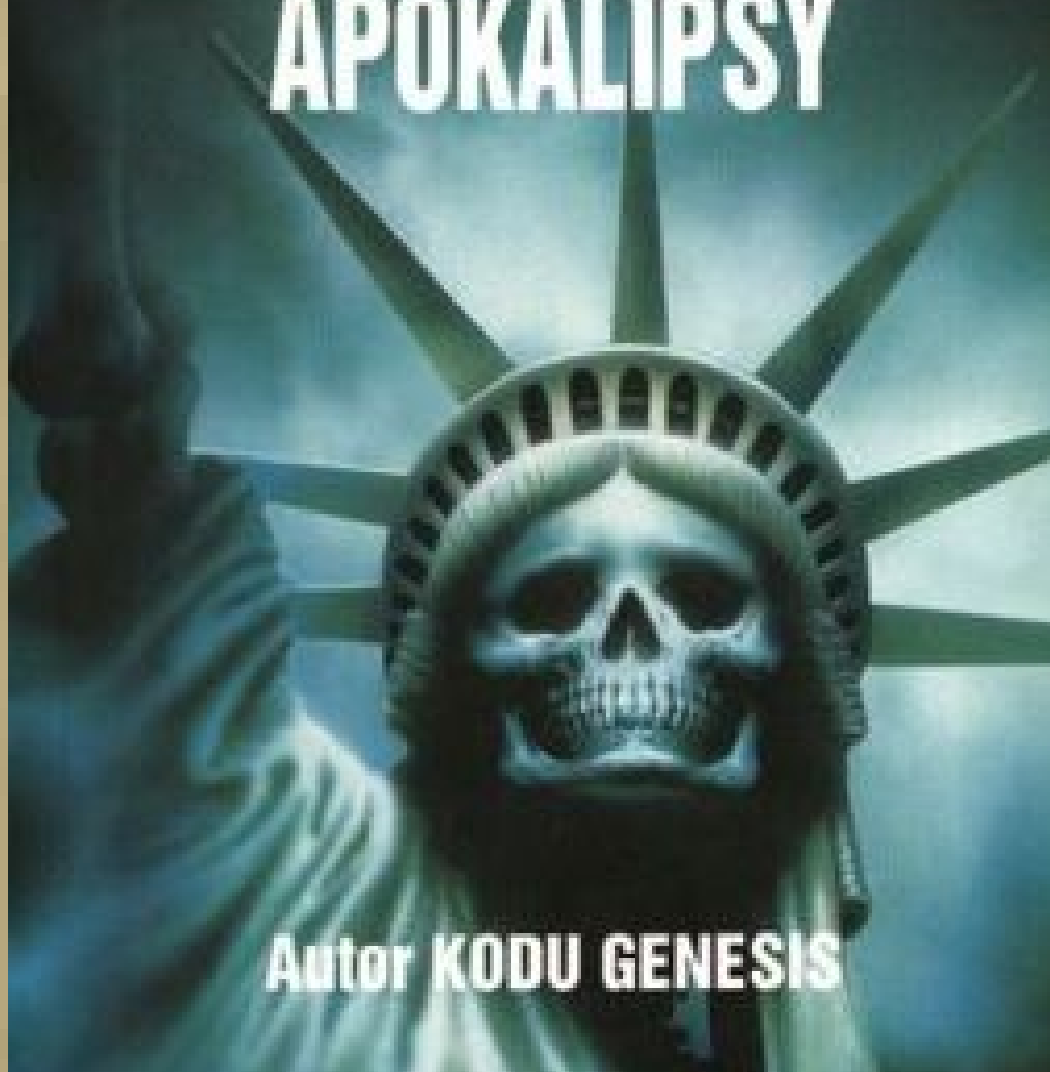


JOHN
CASE
PIERWSZY JEZDZIEC
APOKALIPSY



Autor KODU GENESIS

**JOHN
CASE**

**PIERWSZY JEŹDZIEC
APOKALIPSY**

Z angielskiego przełożył: PIOTR ROMAN

WARSZAWA 2002

Tytuł oryginału:
THE FIRST HORSEMAN

Copyright © John Case 1998
All rights reserved

This edition published by arrangement with
The Sallantme Publishing Group, a division of Random House Inc
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2002

Redakcja: Lucyna Lewandowska
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz
ISBN 83-88-87-63-0

Zamówienia hurtowe:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155
e-mail: hurt@olesiejuk.pl
www.olesiejuk.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy
Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk
tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Zamówienia wysyłkowe:
Księgarnia Wysyłkowa Faktor
skr. poczt. 60, 02-792 Warszawa 78
tel. (22)-649-5599

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
adres dla korespondencji:
skr. poczt 55, 02-792 Warszawa 78
Warszawa 2002. Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Koszalin

PRZYSIĘGA NIEMIECKICH ARTYLERZYSTÓW

...nie wolno sporządzać kul zaprawionych trucizną ani wykonywać innych tego rodzaju prac pirotechnicznych i używać ich na zgubę ludzi (...) jest to nieuczciwym i niegodnym prawdziwego żołnierza występkiem, aby obyczajem złoczyńców i rozbójników godzić na nieprzyjaciela za pomocą jakiegoś tajemnego i skrytego oręża...

Karol Siemienowicz: Wielkiej sztuki artylerii część pierwsza
(wydane pierwotnie po łacinie jako
Artis Magnae Artilleñae pars prima, Amsterdam 1650)

PROLOG

DOLINA RZEKI HUDSON 11 LISTOPADA 1997

Tommy był zdenerwowany. Susannah wyczuwała to, ponieważ wiedziała, że lubi mówić, a od ponad sześćdziesięciu kilometrów nie odezwał się słowem. Co nie znaczy, by miała o to pretensję. Też się denerwowała. Poza tym była podniecona i przestraszona.

Kiedy zjechali z Taconic Parkway, było już mroczno. Wjeżdżając między podmiejskie posiadłości, zapalili światła. Okolica przypominała zdjęcie z magazynu — mijali wspaniałe domy, które wyglądały, jakby mieszkali w nich sami lekarze i prawnicy. Były to enklawy o nazwach „Lisia łąka” i podobnych. Niczego tu nie hodowano — może z wyjątkiem pomidorów i sałaty arugula.

Gdy mijali instytut Omega, Susannah głośno wyraziła swoje zdziwienie: „Co to takiego?” — a wtedy Tommy zakwakał. KWA-KWA-KWA! Oboje się roześmieli i Susannah pomyślała, że chodzi tu o coś w rodzaju New Age.

Problem polegał na tym — i to ją przede wszystkim denerwowało — że mieli wyrwać zęby. Wydawało jej się to obrzydliwe i trochę przerażające. Jak Norymberga albo coś podobnego. Gdyby ich złapano, nie byłoby to zwykłe morderstwo, a... no właśnie, co? Charles Manson albo coś w tym rodzaju.

Rzecz nie w tym, że właśnie ona miała to zrobić — nie umiałaby skrzywdzić nawet muchy. Ta część należała do Vaughna — zęby i palce. I zastrzyki. Musiał, w końcu był lekarzem. (Tommy twierdził, że dobrym. „Vaughn to »Stary Błękit«. prawda, Vaughn?”). Cokolwiek to znaczyło).

Mimo wszystko człowiek się zastanawiał, dlaczego potrzebne było to zębami. I palcami. Dlaczego tych dwojga po prostu nie... wyrzucić? Albo jeszcze lepiej —pozostawić tam, gdzie upadną?

Susannah przez chwilę się nad tym zastanawiała, po czym wzruszyła ramionami, próbując się uspokoić. Za Solange'em nikt nie dojdzie, pomyślała, uśmiechając się do siebie. Czasem robił coś wyłącznie dla teatralnego efektu. Aby wystrzelić fajerwerk. Potrząsnąć nimi.

Oczywiście było to nieistotne. Nikt ich nie złapie. Wszystko zostało dokładnie przećwiczone — od zapukania w drzwi po założenie kajdanek — nie było niczego, czego by nie przemyśleli.

Na przykład U-Haul*. U-Haula wymyślił Solange i był to doskonały pomysł, bo kiedy załatwią sprawę, Vaughn będzie miał miejsce do pracy z tyłu pojazdu. Będzie mógł zacząć robić swoje, kiedy będą jechali.

Poza tym U-Haul nie wzbudza podejrzeń. Samochody z logiem U-Haula są wszędzie. Nie ma miejsca w Ameryce, gdzie sprawiałyby wrażenie, że są nie na miejscu. Nawet tutaj. Wszyscy z nich korzystają.

Jej zadaniem było dostać się do środka i zadbać o to, aby Bergmanowie nie mogli użyć swojej broni. W rzeczywistości miała więc do wykonania dwa zadania, wszyscy jednak uważali, że sobie poradzi. Nie musiała się przechwalać, naprawdę była sprytna. Sprytna sprytem cheerleaderki. No i była w ciąży. Dzięki temu wyglądała bezpiecznie i ludzie jej ufali. Było to ważne, bo Bergmanowie mieli kompletną paranoję. Jakby ktoś zamierzał ich zabić. Susannah skrzywiła się na tę myśl, bo wiedziała, że lęki Bergmanów są uzasadnione.

Generalnie biorąc, cała ta sprawa była paskudna i wolałaby nie brać w tym wszystkim udziału, ale trzeba było to zrobić. Tak mówił Solange, a on nigdy nie kłamał. Nigdy.

Poza tym nie będzie ich bolało. Vaughn powiedział; że nic nie poczują. Jedynie małe ukłucie igły, i na tym koniec.

Chyba że coś pójdzie nie tak. Na przykład gdyby mieli dobermana albo coś w tym rodzaju. Ale nie mieli psa. Gdyby go mieli, Lenny by o tym wspomniał. Był ich synem i gdyby domu pilnował jakiś pies, powiedziałby im o tym.

Tak jak Marty powiedział im o rewolwerze. Co prawda nie był z Bergmanami spokrewniony, ale był z nimi blisko. Powiedział: „Nie wiem, czy stary skurwiel wie, jak go używać, ale ma trzydziestkęósemkę, którą trzyma w korytarzu — w szufladzie małego stolika, tuż pod telefonem. Robiłem sobie z niego żarty, że przecież jest splukany, na co odpowiadał: »O czym ty gadasz? Co za płukanie? Nikt tu nic nie płucze«. Rzecz w tym, że wcale nie żartował. No wiesz, facet żyje nie w tych czasach”.

Choć mimo wszystko... a jeżeli igła się złamie albo baba zacznie się drzeć? Wszystko może się wtedy rypnąć. Jak z Riffem — kiedy była dzieckiem i potracił go samochód. Ojciec próbował go dobić z dwudziestkidwójki, ale tak się zdenerwował, że nie mógł trafić w serce, więc... strzelał i strzelał...

Gdyby coś takiego się stało, wszędzie byłoby pełno krwi... na podłodze, na nich... Problem polegał na tym, że z punktu widzenia prawa to, co zamierzali zrobić, było morderstwem. A dla kogoś, kogo wychowano w katolickim duchu — choć dawno już przestał praktykować — nie było to łatwe.

Zabijanie nigdy nie jest dobre, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nie ma w tym żadnych „jeżeli”, „i” i „ale”. Zabicie kogoś to śmiertelny grzech. Chyba że...

Chyba że jest się żołnierzem. A tak przecież było. Byli żołnierzami — ona, Tommy, Vaughn i Francuz, siedzący z tyłu furgonetki. Byli żołnierzami. A nawet rycerzami. Jak krzyżowcy.

Kiedy Susannah myślała o Tajnej Wojnie — wojnie Solange’a, jej wojnie — samochód skręcił w dwupasmową wiejską drogę, płosząc stadko pasących się na poboczu jeleni.

Poobijany U-Haul z tablicami z Arizony podskakiwał i klekotał na przypominającym tarce podłożu, zwalniał przy każdej skrzynce pocztowej, potem znów się rozpędzał i znów zwalniał przy kolejnej, a kierowca czytał adres. Wreszcie auto zatrzymało się przy rdzewiejącej skrzynce z napisem:

* U-Haul — wielka amerykańska firma przewozowa, dysponująca ok. 200 tys. pojazdów (przyp. tłum)

BERGMAN

Tommy przez długą chwilę wpatrywał się w naklejone na skrzynkę srebrne litery i mruczał coś pod nosem. Potem zgasił światła, cofnął się, wrzucił dźwignię na DRIVE i wjechał na długi podjazd.

Susannah powierciła się niespokojnie na fotelu i wzięła głęboki wdech. Wypuszczając powietrze, chciała coś powiedzieć, ale przeszkodziło jej w tym jąkanie. Zwilżyła wargi językiem.

Chrzęszcząc oponami na żwirze, furgonetka powoli toczyła się w kierunku werandy białego farmerskiego domu. Dojechawszy pod parasol gałęzi starego orzecha, Tommy zgasił silnik i Susannah wysiadła.

Miała wielkie brązowe oczy i jasnoblond włosy i ubrana była w żółtą letnią sukienkę, na którą włożyła powyciągany szary sweter — o wiele za duży na nią. Popatrzyła na kierowcę, jakby chciała powiedzieć: „No to do roboty” — po czym znowu wzięła głęboki wdech i zaczęła wspinać się na werandę, spoglądając na stojące po obu stronach każdego schodka doniczki z chryzantemami.

Kiedy znalazła się na górze, zatrzymała się — nagle poczuła mdłości. Przez długą chwilę stała przed frontowymi drzwiami, chwiejąc się lekko. Wreszcie zapukała — po cichu, w głębi serca mając nadzieję, że w domu nikogo nie ma.

Z początku nie zareagowano, jednak ponieważ ze środka dolatywały odgłosy z telewizora, zapukała ponownie. Tym razem głośniejsze. A potem jeszcze raz, niemal łomocząc w drzwi.

Wreszcie wewnętrzne drzwi się otworzyły i zza siatki wyjrzała kobieta dobrze po pięćdziesiątce.

— Kto tam? — zapytała.

— Dzień dobry... — powiedziała Susannah.

Martha Bergman popatrzyła na jej ciężarny brzuch, a potem spojrzała w kierunku auta, z którego szoferki wychylał się młody chudzielec (jak sądziła, mąż dziewczyny). Na boku furgonetki namalowano kobietę — Hiszpankę, skromnie spoglądającą zza wachlarza. Kierowcy U-Haula lubili takie rzeczy — malowali na samochodach obrazki wskazujące na to, skąd pochodzą: kowbojów, homary albo wieżowce. Martha uznała, że młodzi ludzie musieli przybyć z Nowego Meksyku, a na pewno z południowego zachodu.

— Czy mogę w czymś pomóc? — spytała.

— Mam nadzieję — odparła Susannah, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. — Zgubiliśmy się.

Twarz pani Bergman złagodniała.

— A czego szukacie?

Susannah pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

— W tym problem. Zapomnieliśmy numeru. Pamiętam tylko, że to gdzieś przy tej ulicy — jeden z domów przy Boice Road.

Martha Bergman jęknęła.

— To długa ulica, skarbie.

— Miałam nadzieję, że mogłabym skorzystać z pani telefonu... zadzwoniłabym do brata. Powinien być w domu.

Kobieta zmarszczyła się, zaraz jednak spuściła wzrok i jeszcze raz popatrzyła na brzuch Susannah. Uspokojona, uśmiechnęła się, przekręciła zameczek przytrzymujący siatkowe drzwi i otworzyła je szeroko.

— Oczywiście. Wejść. Telefon jest tam, na stoliku.

— To bardzo miło z pani strony — odparła Susannah i weszła do przedsionka. — Jeju, jaki ładny dom! — Był bardzo podobny do domu jej rodziców — tak samo jak u nich, na

parkiecie leżały podróbki bucharskich dywanów, a pod ścianami stały meble firmy Pottery Barn, wyglądające jak nadmuchane.

Poprzez hałas ryczącego w sąsiednim pokoju telewizora przebił się donośny męski głos.

— Martho! Co robisz?! Chodź oglądać!

— Zaraz przyjdę.

— Z kim rozmawiasz?

— Pozwoliłam młodej damie skorzystać z telefonu — odparła pani Bergman, odwróciła się do Susannah i westchnęła, — Właśnie grają Jetsi — wyjaśniła.

Susannah uśmiechnęła się, dając w ten sposób do zrozumienia, że doskonale wie, o co chodzi, i pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „ci mężczyźni...” — po czym ruszyła w kierunku stolika z telefonem.

— To potrwa tylko chwilę — powiedziała i podniosła słuchawkę. Odwróciła się plecami do gospodyni i wystukała numer komórki w furgonetce.

KLIK.

— Tak jest! — zgłosił się Vaughn.

— Cześć!! — zawołała na użytek pani Bergman.

— Jesteś w środku?

— Aha! — Tak jak to przecwiczili, zaczęła opowiadać, że są tuż za rogiem — a przynajmniej tak im się wydaje — ale zapomnieli numeru domu... — No to pod którym on mieszka?

— Co z bronią?

Susannah uśmiechnęła się przez ramię do gospodyni i delikatnie wyciągnęła szufladkę. Trzydziestkaósemka leżała w środku.

— Żaden problem! — odparła.

— Jesteś pewna?

— Na sto procent

— Zaraz wchodzę.

Susannah mówiła jeszcze przez kilka sekund po tym, jak Vaughn się rozłączył, a potem odłożyła słuchawkę, odwróciła się i oparła o stolik.

— Gładko poszło — stwierdziła pani Bergman, choć wydawało jej się nieco dziwne, że dziewczyna stoi bez ruchu, zasłaniając sobą telefon. — Który to dom?

Susannah wzruszyła ramionami, odwróciła się do niej plecami, otworzyła szufladę i wyjęła broń. Widząc reakcję kobiety, opuściła rewolwer i uśmiechnęła się.

— Wszystko będzie dobrze. Naprawdę — powiedziała. Myślała o Solange’u i o tym, co powiedział im poprzedniego wieczoru: „Spróbujcie ich za bardzo nie wystraszyć. Nie należy doprowadzać do paniki. Przynajmniej nie w tej chwili”.

W tym momencie wszedł Harry Bergman. Był naburmuszony, w jednym ręku trzymał kieliszek wina, w drugim gazetę. Na jego piersi dyndały zawieszony na czarnej tasiemce okulary.

— Na podwórku stoi furgonetka — oznajmił groźnym tonem. Potem przyjrzał się Susannah i powiedział: — Dzień dobry.

— To... tylko... my — wydukała Susannah.

Harry popatrzył na żonę, po czym znów skierował wzrok na dziewczynę.

— Co tu się dzieje? — spytał i zmarszczył brwi na widok miny żony. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem ciszę przerwał głośny zgrzyt, który doleciał z podwórka — przypominał przeciąganie gwoździem po szkolnej tablicy — i rozległo się metaliczne uderzenie.

Pani Bergman podskoczyła.

— Co to do diabła... — zaczął Harry.

— To furgonetka — wyjaśniła Susannah, — Tylne drzwi. Trzeba je chyba trochę nasmarować.

— Na pewno — mruknął Harry i zrobił krok w kierunku stolika z telefonem.

— Lepiej niech pan się nie zbliża — ostrzegła go Susannah. Harry jakby zapadł się w sobie.

— Zostaw go w spokoju — powiedziała jego żona, stając przy nim. — On nie...

— Martho... — zaprotestował Harry.

— Bierzcie, co chcecie.

— Hm... dziękuję — odparła Susannah. — Ale nie o to chodzi...

Bergmanowie patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc, i Susannah poczuła się jak idiotka. Na szczęście po chwili otworzyły się frontowe drzwi i wszedł Vaughn. W dłoniach trzymał strzelbę z obciętą lufą; niósł ją jak aktówkę — nigdzie nie celował, nie musiał. Tuż za nim wszedł facet, z którym przyjechali, Francuz. Tommy pozostał na werandzie, na warcie.

— Proszę mnie uważnie wysłuchać — powiedział Vaughn. — Jeśli zrobicie, czego od was chcemy, pozbędziecie się nas za dziesięć minut. Obiecuję.

Harry Bergman objął żonę ramieniem i skinął głową — być może nie dlatego, że się zgadzał, ale dlatego, że za bardzo się bał, by cokolwiek powiedzieć.

Francuz zaszedł go od tyłu i delikatnie zdjął jego rękę z ramienia żony. Założył mu ją za plecy, owinał oba nadgarstki plastikową taśmą i zaciągnął ją. Kiedy skończył, podszedł do Marthy Bergman i zrobił z nią to samo.

— Doskonale — powiedział Vaughn i odwrócił się do Susannah. — Wiesz, co masz zrobić? — zapytał.

Susannah potwierdziła kilkoma skinieniami głowy i patrzyła, jak wyprowadzają Bergmanów na zewnątrz. Kiedy przechodzili przez drzwi, Vaughn oświadczył:

— A tak poza tym, to rozmawiałem niedawno z waszym synem. Przesyła pozdrowienia.

Susannah usłyszała, jak obydwójce ciężko westchnęli.

Potem drzwi z siatki zatrzęsły się i doleciał zza nich głos Harry'ego Bergmana — przestraszony i warkliwy, przypominający szczekanie małego pieska, broniącego swego terenu przed rottweilerem:

— Co to ma znaczyć? Dokąd nas zabieracie?

Vaughn odparł spokojnym tonem, jakby wyjaśniał najoczywistszą sprawę:

— Tylko do furgonetki...

Susannah wzdrygnęła się. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła rewolwer do czysta. Potem włożyła go do szuflady i starła swoje odciski palców zarówno ze stolika, jak i z telefonu. Co jeszcze? Miała wyłączyć telewizor, pogasić światła i zamknąć za sobą frontowe drzwi. Wszystko miało wyglądać, jakby...

Nagle powietrze przeszył przeraźliwy, dziki krzyk straszliwego przerażenia. Susannah, wstrząśnięta do głębi, wybiegła z domu.

Kiedy zbiegała z werandy, ujrzała Tommy'ego. Wychodził właśnie zza furgonetki — szedł szybkim krokiem, ze spuszczoną głową, miał otwarte usta i wściekle mrugał.

— Co się stało?

Tommy pokręcił głową i usiadł za kierownicą.

— Nie idź tam.

Jak jednak mogła nie pójść?

Kiedy obeszła samochód, zobaczyła go — Harry'ego Bergmana — leżącego na ziemi i dygoczącego, jakby był podłączony do prądu. Kilka metrów dalej leżała pani Bergman — na brzuchu, przytrzymywana przy ziemi przez Francuza, który wykręcił jej ręce do tyłu i opartym o dół jej pleców kolaniem wbijał ją w piach. Przez sekundę spojrzenia obu kobiet spotkały się i Susannah odniosła wrażenie, jakby nocne powietrze między nimi zadrgało. Zaraz jednak podszedł do nich Vaughn — przeszedł nad ciągle jeszcze wijącym się i

podrygującym ciałem Bergmana, kucnął nad panią Bergman i zrobił jej zastrzyk w tył barku, bez trudu przekuwając cienką bawełnianą sukienkę.

Oczy kobiety natychmiast rozszerzyły się i obróciły do góry — kontakt między nią a Susannah został gwałtownie przerwany, gdy do serca pani Bergman dotarło dziesięć centymetrów sześciennych morfiny. Jej ciało zeszywniało, a potem tak samo nagle zwiotczało; całe napięcie z ciała odpłynęło i przestała żyć.

Jeszcze chwilę potrwało, zanim Susannah uświadomiła sobie, że przez cały czas wstrzymuje oddech. Kiedy wreszcie wypuściła powietrze, poczuła potrzebę wyjaśnienia, dlaczego tak tu stoi.

— Usłyszałam jakiś odgłos... — wymamrotała. Vaughn wstał.

— To on. Odwaliło mu, kiedy zobaczył igłę.

Francuz wszedł na tył furgonetki, gdzie przy metalowym stoliku stały dwie dwustulitrowe beczki. Na podłodze leżała gruba czarna folia. Pod sufitem samochodu wisiało kilka żarówek i Francuz zapalił je, a potem zeskoczył na ziemię i pokręcił głową.

— Nie. Nie chodziło o igłę — powiedział. — Poszło o furgonetkę. Zobaczył folię i to go wystraszyło.

Vaughn wzruszył ramionami.

— Nieważne. Pomóż mi zanieść ją do samochodu. Francuz złapał ciało pani Bergman za rękę, Vaughn za nogi.

Kiedy je podnosili, Vaughn popatrzył na Susannah.

— Widziałas, jak gasło jej światło?

Susannah nie zrozumiała.

— Jakie światło?

— W jej oczach. Patrzyłyście na siebie, kiedy ją trafiło.

Susannah powoli skinęła głową. Tak, widziała, co się stało. Oczy kobiety stały się nagle... bezwładne.

Mężczyźni wnieśli ciało do furgonetki. Vaughn odwrócił się do Susannah i popatrzył na nią.

— Domyśliłem się tego. Widziałem to na twojej twarzy.

— Co?

— Twoją reakcję. Przypominało to... — nie dokończył.

— Co? — spytała Susannah. Vaughn pokręcił głową i roześmiał się.

— To było... skomplikowane. Bardzo skomplikowane — stwierdził. Potem pochylił się, złapał martwego Bergmana za rękę i zaczął go ciągnąć w kierunku samochodu.

Susannah popatrzyła na płytkie zagłębienia, które stopy zabitego robiły w ziemi. Były tak idealnie równoległe, że niemal przypominały linie na kartce papieru.

1

GÓRY DIAMENTOWE 26 STYCZNIA 1998

Z początku niczego nie słyszał. Hałas dolatywał gdzieś z oddali, z miejsca znajdującego się kilkaset metrów niżej — był jedynie dalekim pomrukiem, niesionym wiatrem. Kang, idąc powoli w górę zbocza, spuścił głowę, ignorując zarówno pojękiwanie wiatru, jak i dźwięk, który ten wiatr niósł.

Zimno sprawiało, że czuł się bardzo niezdarnie. Dwa razy poślizgnął się na lodzie, ale obydwie razy udało mu się zahamować upadek dłońmi, wbijając palce w zmrożoną

powierzchnię śniegu. Jego rękawiczki były dziurawe i przypominało to chwytanie gołymi rękami pokruszonego szkła.

Sam był zaskoczony, że tak daleko zaszedł — w dodatku w środku zimy. W końcu był kaleką, choć twardym. Twardym po koreańsku. Drogę tę pokonywali już przed nim inni — upiorny las, w którym z tysięcy sosen zostały same pieńki — ale niosły ich dwie nogi.

On miał tylko jedną.

Większość drzew wycięto wiele lat temu na opał, kiedy jednak dotarł wyżej, pojawiły się okorowane sosny. Korę zerwano, by zrobić z niej jedzenie — a przynajmniej to, co zastępowało jedzenie w latach głodu.

Miękkie drewno, znajdujące się tuż pod korą, wypełniało żołądek. Choć człowiek nie trawił włóknistej materii, pozwalała stłumić ból głodu — przynajmniej na jakiś czas — a na korze dało się zaparzyć słabą herbatkę.

Zrywanie kory zabijało jednak drzewa i raniło kraj.

Na wzgórze wspinały się głównie kobiety, szukając dzikich traw, kory i drewna na opał. Żona Kanga, dopóki choroba jej nie zabrała, również wspinała się na to wzgórze, zaopatrzona w składaną piłkę, którą miał teraz przy sobie, i ten sam zwój liny.

To ona poradziła mu, by szedł w tym kierunku. Choć droga była bardzo stroma, dochował złożonej obietnicy i zrobił tak, jak mu poradziła. Od jej śmierci przebył tę trasę kilkanaście razy, a potem wymieniał znalezione drewno na zioła i ryż, raz dostał nawet za nie parę starych butów. Znał teraz wzgórze nad Tasi-ko tak dobrze, jak spękania sufitu nad swoim łóżkiem.

Zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech, i wbił wzrok w zbocze powyżej, ustalając z góry, gdzie postawi którą stopę. Wymagało to skomplikowanych kalkulacji, bo jedna jego noga była od kolana w dół zrobiona z drewna, a proteza nie dostosowywała się do zmian podłoża i sposobu postawienia nogi.

Rozpościerała się przed nim otwarta przestrzeń. Kiedy ruszył, świadom pęknięć w lodzie, każdy krok stawiał z największą ostrożnością. W końcu doznał jednak grani i znalazł się tam, gdzie planował: przy kępie przysadzistych sosen, najeżonych przebijającymi się przez śnieżne czapy szczotkami zielonych igieł.

Jak zawsze, kiedy docierał do tego miejsca, przed oczami pojawiła mu się twarz żony i po jego policzkach potoczyły się łzy. Podkuśtykał do drzew, znalazł młodą sosenkę, oderwał jedną z górnych gałązek i zaczął ssać żywicę. Równocześnie rozglądał się za drzewem, które mógłby ściąć swoją piłką i zawlec do wsi.

Wtedy właśnie to usłyszał, wtedy po raz pierwszy w ciszy sosen do jego uszu dotarł ten dźwięk: na grzbiecie wiatru gwałtowny mechaniczny odgłos, który natychmiast rozpoznał. Był to odgłos zwiastujący ratunek.

Pokuśtykał z powrotem do grani i mrużąc oczy, popatrzył w dół, ku drodze, po której w kierunku Tasi-ko sunął powoli konwój ciężarówek, zminiaturyzowanych przez odległość.

Było sześć ciężarówek pełnych żołnierzy, jeep i dwa ciągniki z wielkimi platformami ładunkowymi, na których stały pomarańczowe buldożery. Ktoś, kto tak jak Kang uważnie przyjrzałby się konwojowi z góry, bez trudu mógł prześledzić trasę, jaką przebył wijącą się przez dolinę drogą. Zaopatrzone w łańcuchy koła wgryzały się w śnieg i lód i wyrwały kawały ziemi, co wyglądało, jakby ciężarówki wyrysowały w poszarpanych konturach wzgórz szeroką linię.

Kąciki ust Kanga uniosły się i po raz pierwszy od tygodni jego twarz rozjaśnił uśmiech. Ze stęknieniem ulgi usiadł ciężko na śniegu i za pomocą śrubokręta, który specjalnie do tego służył, dokręcił śruby w drewnianej protezie. Teraz mogło być już tylko lepiej.

Ale z drugiej strony trudno było sobie wyobrazić, by jeszcze mogło się pogorszyć. Była najstraszliwsza zima, jaką ludzie pamiętali — czas paraliżującego zimna, podczas którego niedostatek jedzenia zamienił się w klęskę głodu, a klęska głodu w plagę. Trzydzieści jeden

osób — jedna czwarta wioski — leżało w hali fabrycznej niczym kłody suszącego się drewna. Także i wcześniej betonowy budynek fabryki, w której przez ponad dwadzieścia lat wyrabiano szczotki — bardzo dobre szczotki — wyglądał z zewnątrz jak wielka trumna. A teraz fabryka była tak samo martwa jak leżący w niej mieszkańcy wioski. Ponieważ nie mieli paliwa, tokarki zamilkły.

Budynek fabryki onieśmiał z zewnątrz, ale w środku przerażał — prowizoryczna kostnica, wyłożona trupami mężczyzn, kobiet i dzieci, których spękana skóra kilka dni przed śmiercią zrobiła się jasnyniebieska. Ponieważ Kang był jedynym w Tasi-ko człowiekiem z przeszkoleniem medycznym, sam musiał przenosić ciała — inni się bali. Teraz leżały w hali fabrycznej i czekały na pogrzeb, gdy zawita wiosna.

Aż do chwili, gdy ujrzał jadące wężykiem ku wsi ciężarówkę, wątpił, czy ktokolwiek dożyje wiosny, by pochować zmarłych. Gdyby miało to jednak nastąpić, było bardzo mało prawdopodobne, by był to akurat on — a jeśli nawet tak, to na pewno nie pozostałoby mu dość sił, by utrzymać kilof i łopatę.

Teraz jednak zawstydził się goryczy swoich myśli. W którymś momencie — być może po śmierci żony — poddał się pesymizmowi. Zaczaj wierzyć, że cierpienie Tasi-ko przeszło niezauważone lub zostało zignorowane, bo wioska leżała na odludziu i nie była ważna. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju myśli są gorsze od jakiejkolwiek działalności wywrotowej. Gdyby je wyjawiał, mógłby osłabić opór mieszkańców Tasi-ko. Ale teraz nie było najmniejszej wątpliwości, że życie każdego mieszkańca wsi jest warte tyle samo, co życie inżyniera w Pyong-yang. Wszystko było jedynie sprawą czasu i odpowiedniego rozdzielenia sił.

Przybycie wojska zadało kłam jego negatywnemu myśleniu. Ciężarówkę z pewnością przywiozły jedzenie i lekarstwa — i lekarzy, prawdziwych lekarzy, nie sanitariuszy jak on. Ludzi, którzy chodzili na uniwersytet w Pyong-yang. Którzy wiedzieli, co robić.

On sam nie był w stanie zrobić niczego. Przez niespełna miesiąc mógł jedynie obserwować, jak wieś dziesiątkuje choroba, której objawy były tak gwałtowne i dziwne, że na wieść o nich przysłano do Tasi-ko doktora ze stołecznego Instytutu Chorób Zakaźnych.

Doktor był bardzo niski i bardzo stary — wyglądał jak miniatuurka człowieka z wielkimi, żółtymi siekaczami. Palił jednego po drugim drogie importowane papierosy i wyrzucał z siebie krótkie monologi, przerywane okresami długiej ciszy. Kang wiedział, że jeżeli pali się tyle drogich papierosów, trzeba być ważną osobą. Ale nie polubił tego człowieka.

Doktor zbadał kilkanaście osób, z których cztery wkrótce zmarły. Zapisał objawy choroby i kazał Kangowi opowiedzieć, jak wygląda jej przebieg. Pobrał kilku chorym wieśniakom krew, a potem polecił zawinąć ciała dwóch zmarłych wcześniej ludzi w prześcieradła i zawieźć je do stolicy w celu przeprowadzenia sekcji.

Kiedy wyjeżdżał, Kang spytał go, co ma robić podczas jego nieobecności, jednak doktor nie odpowiedział na to pytanie. Zapalił kolejnego papierosa i wychylając się z okna samochodu, wskazał palcem na budynek, gdzie trzymano zmarłych.

— To wszystko... — wymamrotał — to Hiszpańska Dama. Zrobiła to Hiszpańska Dama! Choć Kangowi nie wypadało się spierać z ważnym lekarzem z Pyong-yang, nie mógł się opanować. Kiedy samochód ruszył, zaczął biec obok.

— Doktorze... to nieprawda! — zawołał. — Nie mieliśmy żadnych gości. Nie było tu nikogo z zagranicy... — Ale samochód nagle przyspieszył i Kangowi pozostało już tylko krzyknąć za nim: — Co mam robić?!

Stary doktor odwrócił się, by po raz ostatni popatrzeć na wieś, i pokręcił głową, pozostawiając Kanga z poczuciem, że zwariował.

Teraz nie miało to już jednak znaczenia. Stary doktor wrócił. Wrócił z lekarstwami — i buldożerami, by pochować zmarłych.

Kang wiedział, że powinien jak najszybciej zejść na dół i pomóc żołnierzom, ale powstrzymywało go zimno. Niezależnie od tego, jakie leki przywiozło wojsko i ile przywiozło jedzenia, nie mógł zrezygnować ze zdobycia drewna na opał po wejściu tak wysoko, i na dodatek w takim mrozie. Zejście na dół z pustymi rękami byłoby marnotrawstwem.

Odszedł więc od grani i wrócił do rosnących sto metrów dalej drzew, złapał za małą sosenkę, ukląkł na śniegu i zaczął ją wściekle rżnąć maleńką piłą. Drewno było lepkie od żywicy i zaklejało zębki brzeszczotu, w końcu jednak sosenka przewróciła się i Kang wstał. Owinął linkę wokół dolnych gałęzi drzewka, odwrócił się i ruszył z powrotem do grani, ciągnąc za sobą sosenkę jak psa na smyczy.

Staął na grani, by złapać oddech, i kiedy spojrzał w dół, ujrzał coś bardzo dziwnego. Jakieś pół kilometra przed wioską połowa konwoju — trzy ciężarówki i jeden ciągnik — zatrzymała się na środku drogi. Reszta pojazdów z hukiem wjechała do wioski, po czym... przejechała przez nią.

Pozostał tylko jeep, który wjechał na mały plac, w lepszych czasach służący wieśniakom jako rynek. Kiedy stanął, od razu zaczął przyciągać mieszkańców niczym magnes opiłki — wiadomo było, co ich ku niemu ciągnie: obietnica lekarstw, jedzenia i wiadomości ze świata.

Kang zrobił kilka kroków i znieruchomiał. Część konwoju, która zatrzymała się na południu, najwyraźniej nie zamierzała jechać dalej. Ciężarówki stały na środku drogi z wyłączonymi silnikami, żołnierze pozeskakiwali na ziemię i otoczyli pojazdy — każdy z zawieszonym na szyi kałasznikowem, niemal wszyscy palili papierosy.

Na północy sytuacja wyglądała tak samo. Druga część konwoju stanęła mniej więcej kilometr za wioską, a żołnierze również pozeskakiwali z ciężarówek i stanęli wokół nich.

Sprawiało to niepokojące wrażenie, nawet z tak wysoka. Wszystko wskazywało na to, że wieś ma zostać poddana kwarantannie. Choć izolowanie wsi martwiło Kanga, rozumiał mądrość przeprowadzanej akcji. Bez względu na to, z jaką zarazą mieli do czynienia, jej opanowanie było koniecznością. Jego kraj, zdradzony przez Chiny, wymęczony przez powódzie i prześladowany przez głód, nie potrafiłby oprzeć się kolejnej katastrofie.

Uświadomił sobie, że jego myśli znów są niebezpieczne i wywrotowe, ale nie potrafił inaczej. Przepęniało go ogromne zmęczenie, które odbierało mu energię do „wypielenia ogrodu umysłu”.

Nauczono go owego „pielenia” w wojsku, w którym służył sześć lat — jako sanitariusz oddziału zwiadu w zdemilitaryzowanej strefie. Niektóre myśli są kwiatami, inne chwastami, jeszcze inne to żmije. Aby je właściwie określić, potrzebna jest nieustanna czujność.

„Nieustanna czujność” wymagała jednak więcej energii, niż Kang był w stanie z siebie wykrzesać. Podczas minionych lat zbyt wiele stracił — nogę na minie przeciwpiechotnej i żonę w wyniku choroby. Przez ostatni tydzień jadł wyłącznie dzikie trawy i jego umysł nie miał nic wspólnego z ogrodem. Miał w głowie rumowisko i niewiele go to obchodziło. Cóż jeszcze świat mógłby mu zgotować?

Nagle na placu zatrzeszczał megafon. Kang próbował zrozumieć dolatujące z niego słowa, ale głos, płynąc w górę zbocza, rozmywał się, uniemożliwiając rozróżnienie wyrazów. Natychmiast jednak dał się dostrzec efekt wygłaszanej przez megafon przemowy, ludzie zaczęli się odsuwać od jeepa i jeden po drugim znikali w swoich domach. Po kilkunastu minutach wioska — skupisko rozpadających się drewnianych chat, otoczonych nieurodzajnymi polami i pustymi budynkami fabrycznymi — sprawiała wrażenie opuszczonej. Jeep ruszył i ciągnąc za sobą smugę białego dymu z rury wydechowej, potoczył się na północ, w kierunku drugiej blokady.

Najpierw kwarantanna, a teraz godzina policyjna? — zdziwił się Kang. Do tego w środku dnia? Dlaczego? I co z lekarzami? Gdzie się podziali? Twarz Kanga zmarszczyła się. To, co

obserwował, było bardzo dziwne, i instynkt nakazywał mu zachować ostrożność. Choć było mało prawdopodobne, by ktoś go zauważył z dołu, zdjął z szyi czerwony szalik, który jego żona zrobiła ze starego, sprutego swetra. Wetknął go sobie za pazuchę i usiadł na drzewku, które ciągnął za sobą. Potem oderwał gałązkę i — przez cały czas obserwując drogę — zaczął ją żuć.

W ciągu następnej godziny niewiele się wydarzyło. Pomijając żołnierzy i zapory, droga do Pyong-yang nadal była pusta.

Zbyt pusta. Nigdy nie była ruchliwa, ale teraz całkowicie opustoszała. Ani przy jednej, ani przy drugiej barykadzie nie pojawił się żaden samochód osobowy, nie przejechała żadna ciężarówka, nie przeszedł ani jeden pieszy. Mogło to oznaczać tylko jedno: po obu stronach wsi, w nieco większej odległości, ustawiono kolejne zapory. Wniosek był z tego taki, że miały służyć całkiem innemu celowi, niż Kang początkowo sądził: nie miały bronić dostępu do wsi. Miały uniemożliwić wydostanie się z niej.

Serce Kanga załomotało gwałtownie. Nagle żołnierze po obu stronach Tasi-ko, jak na jednoczesny rozkaz, pobiegli na pobocze, wzdłuż którego ciągnął się rów, i pochowali się w nim. Kang nie rozumiał, co się dzieje — nie pojmował jeszcze sensu tego, co widzi, nawet w chwili, gdy ujrzał nadlatujący znad gór samolot.

Była to wojskowa maszyna o aluminiowej, matowobrazowej powłoce, która zdawała się pochłaniać światło słońca. Dudnienie silników niesło się głośno przez zimne powietrze. Nagle od kadłuba samolotu coś się oderwało i koziołkując, zaczęło spadać na wieś. Samolot położył się na skrzydło, skręcając na wschód, po czym wyprostował się i przyspieszył, mknąc ku horyzontowi. Kang zerwał się i otworzył usta, chcąc krzyknąć albo zawyć — było już jednak za późno. Cały świat zaczął nagle pulsować. Błysnęło oślepiające światło i rozległ się basowy pomruk, który zdawał się wysysać powietrze z nieba. Przez ułamek sekundy Kang widział ognistą falę, która rozchodziła się wokół i paliła wszystko, co napotkała na swojej drodze. Po sekundzie fala gorąca uderzyła w grani i przewróciła go jak kręgiel. Spróbował wciągnąć powietrze, zrobił wdech niczym tonący, któremu w ostatniej chwili udało się wydostać na powierzchnię, natychmiast jednak uświadomił sobie, że w powietrzu nie ma... powietrza — czuł jedynie gorąco i smród spalonych włosów.

Zabijają wszystkich, pomyślał. Rozgorączkowany, poślizgnął się na lodzie i wylądował ciężko na plecach. Gdzieś za jego oczami trysnęła fontanna światła, a w głowie coś trzasnęło. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, zanim jego zmysły się wyłączyły, była wioska, drżąca w morzu płomieni.

Kiedy się ocknął, było już ciemno, a powietrze wypełniał ostry odór spalenizny. Piekła go twarz, jakby zerwano mu skórę z policzków, a potylicą pulsowała rytmicznie. Palcami prawej ręki dotknął bolącego miejsca tuż za uchem i natychmiast je cofnął, przerażony krwawiącym guzem. Przez chwilę wywracał mu się żołądek, a klatka piersiowa była ściśnięta jak w imadle, na szczęście ciało wkrótce się uspokoilo.

W oddali pomrukiwały ciężkie maszyny — w dole, na lewo.

Gdzie ja jestem? — zastanawiał się przez chwilę.

Powoli usiadł i rozejrzał się. Był w miejscu podobnym do grani wzgórza nad Tasi-ko. Ziemię pokrywała warstwa śliskiego lodu, z którego to tu, to tam, wystawały kikuty drzew. Kiedy się odwrócił i spojrział w dół, zobaczył pełzające po zgliszczach buldożery, oświetlane reflektorami kilku ciężarówek.

Znajdował się w punkcie obserwacyjnym nad jakimś placem budowy. Jak tu się jednak dostał? Zbierał drewno i... nie, ból w głowie uniemożliwiał myślenie. W jego umyśle wirowały strzępki poszarpanych obrazów: brązowy samolot... jeep... twarz żony... ogień...

Potrzebował lekarza i odruchowo zawołał o pomoc, choć ludzie w dole nie mogli go usłyszeć. Wstał z trudem i zaczął schodzić zboczem, krzycząc w ścianę hałasu wytwarzanego

przez buldożery. Spod jego nóg wyprysnęła mała lawina kamyków. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że robotnicy budowlani to żołnierze i wszyscy mają pozakładane maski gazowe.

Dziwne... — pomyślał.

Był w połowie zbocza, gdy jeden z żołnierzy go zauważył i krzyknął coś. Kang zatrzymał się z ulgą i złapał oddech. Stanął pośrodku grupy głązów i zamachał rękami. Wtedy jednak żołnierz podniósł lufę kałasznikowa i zaczął strzelać — w zdyscyplinowany, wojskowy sposób, posyłając w kierunku Kanga krótkie salwy, które brzmiały niemal jak stukanie klucza okrętowego radiotelegrafisty.

Kang odniósł wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Nagle przypomniał sobie, gdzie jest: na zboczu wzgórza nad Tasi-ko. Przypomniał sobie coś jeszcze: zabijają wszystkich...

Kiedy w głąz obok uderzyły dziewięciomilimetrowe pociski, trysnął z niego deszcz kamiennych odłamków, ale nawet w tej sytuacji Kang nie był w stanie się poruszyć. Jego wzrok był skierowany w dół i chyba nawet nie widział żołnierzy, którzy rzucili się biegiem w jego kierunku — wpatrywał się w przypominający krater ugór, dymiący w światłach ciężarówek. Wieś Tasi-ko przestała istnieć.

Przeraziło go to znacznie bardziej niż broń w rękach żołnierzy — przepełniło go przerażeniem, jakiego nie czuł jeszcze nigdy w życiu. Ten lęk nie miał żadnej wyraźnej przyczyny, nie koncentrował się na żadnym konkretnym obiekcie i promieniował równocześnie z wnętrza jego ciała, jak i spoza przestrzeni.

Po chwili Kang oprzytomniał, odwrócił się i zaczął biec w górę zbocza, skacząc od głązu do głązu, z cienia w cień. Im wyżej w zimne, ciemne i nieznane im wzgórza docierali jego prześladowcy, tym bardziej pozostawali w tyle. Machali latarkami wielkimi, bezsensownymi zakolami i wkrótce stało się jasne, że nie mają pojęcia, jaką Kang podążył drogą, i tak naprawdę zaczynają się martwić o siebie.

Kang szedł dalej. Przestał odczuwać zwykłą nieporadność drewnianej nogi i pokonywał teren z mechaniczną sprawnością, niewidoczny jak cień w nocy. Choć jego płuca płonęły, a mięśnie były całkowicie wyzbyte energii, wdrapywał się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie głosy żołnierzy zamilkły i przestał słyszeć buldożery.

Maszerował już w mroźnym powietrzu cztery lub pięć godzin, jego koszula była całkowicie przepocona, a kikut nogi zamienił się w krwawą miazgę. Miał odmrożone palce, pękniętą czaszkę i całą twarz w pęcherzach.

Szedł jednak dalej i w końcu znalazł coś w rodzaju ścieżki, prowadzącej w dół. Podążając nią, zszedł z gór w chwili, gdy noc zaczynała się zmieniać w dzień. Kiedy stwierdził, że jest niedaleko Drogi Zwycięstwa, ruszył wzdłuż niej, nie dbając o to, dokąd go zaprowadzi. Nie miał dokąd pójść i wiedział, że umiera. Wprawdzie tliła się w nim jeszcze resztką energii, ale niedługo zgaśnie. Usiądzie, aby odpocząć, i wszystko się skończy. Jeżeli będzie miał szczęście, znajdzie drzewo, o które będzie się mógł oprzeć... zamknąć oczy... i odejść.

Miał nadzieję, że umrze w taki właśnie sposób — jak stary mnich, tworzący w sennym marzeniu nowy świat. Wizja ta dodała mu otuchy i pozwalała podczas dalszego marszu wzdłuż drogi na tyle wyostrzyć wzrok, by mógł wypatrywać odpowiedniego drzewa. Drzewa śmierci. Jego drzewa.

Nigdzie go jednak nie było. Poranek zamienił się w popołudnie, powietrze rozgrzało się i dzień powoli przeszedł w wieczór. Zapadła noc, temperatura spadła, ale Kang szedł dalej.

Przecłapał drugi dzień, potem trzeci. Kierowany wyłącznie instynktem, nie myśląc o niczym, parł w kierunku jedyne miejsce, które znał tak samo dobrze jak Tasi-ko: ku strefie zdemilitaryzowanej Korei. Ten pilnie strzeżony pas ziemi niczyjej o długości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów, przecinający półwysep od Morza Żółtego do Morza Japońskiego, był kiedyś rezerwatem i obszarem, na którym ludzie wyrzynali się nawzajem. Pełna tuneli i naszpikowana minami strefa zdemilitaryzowana była zieloną taśmą, przecinającą na pół

morze błota i lodu — spokojną, zalesioną i niebezpieczną. Była bramą do Krwiożerczego Południa. Może tam znajdzie swoje drzewo.

2

FLASH

TEKST TELEGRAMU 98 SEUL 008070
TAJNE
INFO CIAE-04 DODE-01 INR-02
STR. 01
Z AMB. AMER. SEUL
DLA: CIA LANGLEWA NATYCHMIAST 8030
PRIORYTET DLA WASZYNGT.
IDENT: OS» NADZ. DYR. AZJA PN/KRLD
TEMAT: (K) DEZERCJA — KANG YONG-PU
ŹR: SEUL

1. TAJNY CAŁY TEKST
2. FUNKCJON. APBN KRLD INF. O ZATRZYM. 29-01-98 O 0400 PRZEZ SIŁY USA/KRLD OBYW. KRLD KANG YONG-PU. KANG MÓWI O WEJŚCIU DO STF ZDEM. TEJ SAMEJ NOCY PRZEZ „TUNEL INFILTRACYJNY” MW 43 KM NA ZACH. OD SEHYON-NI.
3. KANG TO INWALIDA, WETERAN I PRAC. MED. MÓWI, ŻE ZDEZERT. W WYNIKU INCYDENTU MILIT. TASI-KO.
4. FUNKCJON. APBN NIE UWAŻAJĄ TWIERDZ. KANGA ZA WIARYGODNE. ŹRÓDŁO „WELOCYPED” (PYONGYANG) NIE DONOSI O JAKIEJKOLWIEK AKTYWNOŚCI WOJSK W II KORPUSIE.
5. WG APBN KANG JEST „NIESTABILNYM” ELEMENTEM.
6. DZIAŁANIE: NIEZALECANE ŻADNE (DECYZJA ZOSTANIE PODJĘTA PO PRZESŁUCHANIU).

Taylor Fitch poluzował krawat, opadł na oparcie fotela i z westchnieniem po raz trzeci przeczytał telegram. Jako były dziennikarz (cóż, nawet jeśli była to przykrywka, do dziś pisywał artykuły), zawsze krzywił się na widok niejasnych skrótów. Ilu ludzi wiedziało, że APBN oznacza wywiad południowokoreański, czyli Agencję Planowania Bezpieczeństwa Narodowego? Ilu ludzi pamiętało, że KRLD to skrót od Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna?

Było ich bardzo niewiele, choć Fitch, zastanawiając się nad tym, nie miał na myśli ogółu społeczeństwa, ale samą agencję.

Potarł podbródek i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien ufarbować sobie brody. Nosił ją od czasów studenckich, ale trochę już posiwiiała — tak samo jak włosy na skroniach. Nie podobało mu się to. Prawdę mówiąc, nienawidził tej siwizny (choć musiał przyznać, że nie tak bardzo jak rozdęcia w talii, które pojawiło się w ostatnim czasie). Może powinien zapisać się na siłownię. Może...

Może powinien bardziej skoncentrować się na swojej pracy. Nawet jeśli schudnie dwadzieścia kilo, telegram nie zniknie z jego stolika. Coś musiał z nim zrobić.

Na przykład... schować go do akt. Po prostu zabrać go z biurka i wpiąć do teczki. Nie wyglądało na to, by ten jak-mu-tam był kimś ważnym. Nie był członkiem Zgromadzenia Narodowego — nie miał z nim nic wspólnego. Jeżeli komórka w Seulu nie spieprzyła sprawy, nic nie wskazywało na to, by był choćby członkiem Koreańskiej Partii Robotniczej. Był jedynie czymś w rodzaju wiejskiego pielęgniarza.

Tasi-ko. Gdzie to jest, do kurwy nędzy?

Obrócił się z fotelem i popatrzył na wielką mapę, wiszącą na ścianie za jego plecami. Była to sztabówka Korei Północnej, a na jej dole znajdował się alfabetyczny spis miast, miasteczek i wsi. Obok każdej nazwy umieszczono współrzędne, podające długość i szerokość geograficzną w stopniach, minutach i sekundach.

Strefa zdemilitaryzowana — gruba, zielona krecha — biegła niemal dokładnie wzdłuż 38. równoleżnika. Na północ od niej szpilki z czerwonymi główkami znakowały miejsca stacjonowania północnokoreańskich oddziałów piechoty i artylerii, a niebieskie i białe pineski reprezentowały porty marynarki wojennej i lotniska.

Wieś Tasi-ko znajdowała się w sektorze K-7. Był to rejon działania II Korpusu — podnóże Gór Diamentowych, mniej więcej sto trzydzieści kilometrów od strefy zdemilitaryzowanej. Pośrodku pustkowi. Coś się tam wydarzyło. Albo i nie. Źródło w Pyong-yang nic nie słyszało o jakimkolwiek „incydencie”, tak samo nie słyszał o nim Fitch. Nie znaczyło to jednak wiele. Korea Północna była pełna tajemnic. Działo się tam wiele rzeczy, o których nie mówiono wewnątrz kraju i o których nie dowiadywał się nikt poza jego granicami. Jedyne, co było w tej sytuacji pewne, to dezercja tego człowieka — najwyraźniej sam postanowił zająć się swoim losem. Ponieważ najprawdopodobniej zmusił go do tego głód, dlaczego miałby kłamać? Po co miałby wymyślać jakiś „incydent”, skoro wystarczyło powiedzieć: „Byłem głodny”?

Może więc rzeczywiście coś się tam stało? Tylko co? Z telegramu nic nie można było na ten temat wydedukować, ale Fitch sądził, że wie dlaczego: Seul po prostu o to nie zapytał, bo ludzie w Seulu byli zbyt leniwi.

Była to ponoć elitarna delegatura, ale rzeczywistość zadawała kłam temu twierdzeniu — połowę czasu spędzano tam na bezkrytycznym wchłanianiu tego, co dawali Koreańczycy, przepisywaniu materiałów na maszynie i wysyłaniu ich do Langley. Nikt nie przetwarzał uzyskiwanych danych, więc z pewnością były prawdziwe. Zatrudnieni w delegaturze ludzie mechanicznie przekazywali dalej to, co dostali, i biegli do najbliższego burdelu.

Fitch wymamrotał coś pod nosem i odwrócił się z powrotem do biurka. Przysunął klawiaturę i napisał telegram, który poza długą czołówką zawierał tylko dwa słowa. Brzmiały one:

JAKI „INCYDENT”?

Wcisnął klawisz szyfrowania, wydrukował zakodowany tekst i wysłał go do Seulu, używając wielkiego, czerwonego fakstelefonu, który stał na cokole przy oknie, niczym pomnik Nathana Hale’a*.

Następnego ranka na biurku Fitcha leżała zaszyfrowana odpowiedź. Według MOTOWN (jak nazywali siebie ludzie z Seulu), Kang twierdził, że mniej więcej przed dziesięcioma dniami zrównano Tasi-ko z ziemią. Zostało to dokonane za pomocą czegoś, co przypominało

* *Nathan Hale (1755—1776) — bohater wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, powieszony przez Anglików. Był pierwszym w historii Amerykaninem, straconym za szpiegostwo. Jego pomnik stoi przed wejściem do dawnego budynku kwatery głównej CIA (przyj. tłum.).*

mieszankę benzyny i powietrza i zostało zrzucone z samolotu kilka godzin po zamknięcia wioski przez wojsko. Poza Kangiem nikt z mieszkańców nie przeżył, a to, co pozostało z budynków, zostało zrównane z ziemią przez buldożery.

NASZE ŹRÓDŁO TWIERDZI, ŻE W TASI-KO WYBUCHŁA EPIDEMIA, SPOWODOWANA PRZEZ (NIEZIDENTYFIKOWANĄ) HISZPAŃSKĄ KOBIETĘ. PODOBNO AKCJA MIAŁA MIEJSCE PO INSPEKCJI, DOKONANEJ PRZEZ WYŻSZEGO RANGĄ LEKARZA Z INSTYTUTU CHORÓB ZAKAŹNYCH KRLD.

Co to za „hiszpańska kobieta”? — zastanawiał się Fitch. W Korei Północnej nie mieszkają Hiszpanki. A jeżeli nawet, to jest ich tyle, co bałajek na Timorze. Poza tym skąd wiedzieli, kto wywołał epidemię?

Wiadomość kończyła się stwierdzeniem, że nie ma żadnej możliwości zweryfikowania opowieści Kanga, którego zresztą — jak Fitch sobie przypomniał — nie można było traktować poważnie.

Mieli oczywiście rację i Fitch musiał przyznać, że ten człowiek coraz bardziej wygląda mu na szaleńca. Mimo wszystko... nie zaszkodzi wykonać paru telefonów. Nigdy nic nie wiadomo. Po prostu należy dmuchać na zimne.

Potrzebował zdjęć — zdjęć Tasi-ko (albo tego, co z niej zostało). Mogły je mieć różne agencje.

Pierwszą była NRO — Narodowe Biuro Zwiadu*. Była to otrzymująca sześć miliardów dolarów rocznie „filia” CIA, specjalizująca się w robieniu z satelitów zdjęć o wysokiej rozdzielczości. Niestety NRO wymagało, by każdą prośbę o materiał zdjęciowy potwierdzało biuro koordynacyjne CIA, co oznaczało, że ten, kto chciał cokolwiek od nich dostać, musiał podać kryptonim, przypisywany każdemu Programowi Dostępu Specjalnego CIA.

W tym przypadku nie było jednak żadnego programu, a więc nie było też kryptonimu. Kiedy Fitch zadzwonił, oficer łącznikowy odmówił pomocy.

Na szczęście Pentagon okazał się bardziej skłonny do współpracy i Fitch uznał, że najszybciej dostanie to, czego chce, od NIMA — Narodowej Agencji Obrazowania i Mapowania **. Był to wyłączny dostawca zdjęć Ziemi, wykonywanych z przestrzeni kosmicznej dla wojska, a ich archiwum było znacznie obszerniejsze. Podczas gdy NRO koncentrowało się na wybranych zagadnieniach, takich jak dyslokacja wojsk czy lokalizacja reaktorów jądrowych, NIMA zajmowało się zadaniami o szerszym zakresie.

Poza bogatą paletą zadań wojskowych, na barkach NIMA spoczywało również zadanie sporządzenia pełnej mapy świata — całego świata — trójwymiarowej, uwzględniającej przesunięcia linii brzegowej, zmiany klimatyczne oraz rozwój rolnictwa na każdym kontynencie.

Fitch zadzwonił do NIMA i powiedział kobiecie, która odebrała telefon:

— Potrzebuję fotki.

— No to trafił pan w odpowiednie miejsce. Jakiej fotki?

— Korei Północnej.

Kobieta wymamrotała coś pod nosem — zabrzmiało to, jakby prychnęła, jednocześnie wydymając wargi.

— Czy to znaczy „tak”? — zapytał Fitch.

— To zależy. To duży kraj.

Fitch odwrócił się z krzesłem i poszukał wzrokiem w spisie na dole mapy Tasi-ko.

— Mam współrzędne.

* NRO — *National Reconnaissance Office (przyp. num.)*.

** NIMA — *National Imagery & Mapping Agency (przyp. tłum.)*.

— Niech pan je poda.

Kiedy to zrobił, zapytała:

— Chodzi panu o jakiś konkretny czas?

— Tak, właściwie tak. Chciałbym dostać coś zrobionego w zeszłym tygodniu i coś sprzed mniej więcej miesiąca.

— Przed i po?

— Właśnie.

— No cóż... zobaczę, co da się zrobić, ale jeśli to dżungla... Jaką chce mieć pan rozdzielczość?

— Chodzi mi o ogólny widok terenu, nic więcej. Wystarczy, jeśli będę mógł odróżnić parking od pola ryżowego.

— To świetnie — odparła kobieta, ożywiając się. — Nie sądzę, by był z tym jakiś problem. Jeśli jednak chce pan znać moje zdanie, najprawdopodobniej znajdzie pan to, czego szuka, w Internecie.

— Nie jestem podłączony do Internetu!

— A powinien pan.

— Gdybym był, pewnie niedługo by mnie zabito.

— Nie rozumiem...

— Chodzi o bezpieczeństwo. Żaden z naszych komputerów nie jest połączony z telefonem.

— No dobrze... w każdym razie na wszelki wypadek podaję: jesteśmy pod wuwuwu nima kropka com. Zapisał pan?

— Zapisałem, ale dopóki mnie nie podłączą do sieci, na nic mi się to nie przyda — odparł Fitch.

Zdjęcia przyniesiono jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem. Goniec zjawił się z nimi w chwili, gdy Fitch wkładał płaszcz przed wyjściem do domu. Rozerwał kopertę, stojąc w drzwiach, i wyjął dwie fotografie o formacie 28 x 38 centymetrów. Pierwsza była pokolorowanym w trakcie obróbki zdjęciem z satelity Landsat, obejmującym kąt o rozwarciu dziewięćdziesiąt minut, czyli wycinek o szerokości mniej więcej trzech kilometrów. Widać na nim było przytulone do siebie betonowe domki, otoczone jałowymi polami, za którymi zaczynały się Góry Diamentowe. Z tyłu zdjęcia podano czas, datę i współrzędne:

13:07,23 GMT

13.01.97.

38°41'16" N, 126°54'08" E

Drugie zdjęcie było czarno-białe i miało z tyłu pieczętkę informującą, że zostało wykonane w ramach programu zwiadowczego Sił Powietrznych, którego kryptonim zamazano. Była na nim data 28 stycznia 1998 roku i przedstawiała miejsce o tych samych współrzędnych co pierwsza fotografia. Choć wycinek, który objął aparat, był inny — jedynie trzydzieści stopni — nie trzeba było nic więcej, by zrozumieć, co się stało.

Zdjęcie ukazywało puste pole. Pokryte śniegiem pole.

Kiedy Fitch przenosił wzrok z jednego zdjęcia na drugie, zaczęło mu szybciej bić serce. Sprawdził ponownie współrzędne, choć nie było takiej potrzeby. Ta sama dwupasmowa droga, która na zdjęciu Landsatu biegła przez wieś, teraz prowadziła przez „parking”. Boże, to jak magiczna sztuczka, pomyślał Fitch. Widzisz coś — a po chwili znika ci sprzed oczu.

Choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, o czym informowały zdjęcia — o dokonaniu masakry — wiedział także, że ponieważ jako pierwszy to odkrył, czeka go

nagroda. Może medal, a co najmniej pochwała. Z tego właśnie powodu — choć trzymał w dłoniach dowód śmierci wielu ludzi — kącki jego ust uniosły się w półśmiechu.

Niemal dwie doby zajęło mu zdobycie kopii zeznania Kanga, a kiedy je dostarczono, okazało się, że tekst jest po koreańsku: dwadzieścia sześć stron po hangulsku, z dołączonymi — czegoż innego można się było spodziewać — przeprosinami od MOTOWN, których wszyscy tłumacze „byli zajęci”. Fitch miał nadzieję, że zaraz po otrzymaniu kopii zeznania przekaże po jednym egzemplarzu każdemu członkowi „grupy roboczej Tasi-ko”, ponieważ jednak nie było to możliwe, pozostało mu poproszenie o pomoc pochodzącego z Japonii Harry’ego Inoue, który znał dobrze koreański i jeszcze cztery inne języki.

Grupa składała się z pięciorga ludzi. Poza Fitchem i Inoue była w niej Janine Wasserman, doświadczona agentka, która właśnie wróciła z kilkuletniego pobytu w Seulu, Allen Voorhis — analityk, który większość kariery zawodowej spędził w Narodowym Centrum Interpretacji Zdjęć, oraz doktor George Karalekis, lekarz z Dyrektoriatu Nauki i Technologii.

Był piątek. Fitch powitał wszystkich w małej sali konferencyjnej, którą zarezerwował rano, i rozdał im kopie zdjęć otrzymanych z NIMA. Potem zapytał Harry’ego Inoue, jak szybko dostarczy tłumaczenie.

— To zależy — powiedział Harry. — Mogę zabrać materiał do domu? — Kiedy Fitch pokręcił głową, oświadczył: — W takim razie we wtorek.

— W porządku — odparł Fitch. — Ale czy mógłbyś teraz rzucić okiem na tekst i powiedzieć nam z grubsza, o co chodzi?

Inoue skinął głową i zaczął czytać zeznania Kanga.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Fitch wyjaśnił, w jakim celu się zebrali. Opowiedział o tym, jak Kang wszedł w nocy do strefy zdemilitaryzowanej, a potem przedstawił historię, w którą trudno byłoby uwierzyć — gdyby nie potwierdzały jej leżące przed nimi zdjęcia. Z jakiegoś powodu armia północnokoreańska użyła mieszanki paliwowo-powietrznej do zniszczenia spokojnej wioski. Z dokonanego trzydzieści lat temu spisu ludności wynikało, że zabito ponad sto osób.

— Nie widzę ciał — mruknął Voorhis, wpatrując się w zdjęcia sponad okularów. — Jest tu tylko trochę śmieci.

Fitch skinął głową.

— Cóż, Kang może się mylić. Mógł się uratować ktoś jeszcze poza nim.

— Może nawet wszyscy — zasugerowała Wasserman. Fitch popatrzył na nią. Była wysoką, mocno zbudowaną czterdziestoletnią kobietą, zawsze zachowywała powagę i patrzyła na świat przewiercającymi ludzi na wylot błękitnymi oczami. Jak zwykle, była bardzo elegancko ubrana — i zdaniem Fitcha były to stroje najbardziej znanych kreatorów mody. (Ktoś powiedział kiedyś o niej, że ma mnóstwo odziedziczonych po kimś z rodziny pieniędzy i jest spokrewniona z Guggenheimami albo Rothschildami. W każdym razie jej pieniądze były bardzo stare i było ich mnóstwo).

— Co pani ma na myśli? — spytał Fitch. Wasserman wzruszyła ramionami.

— Nie byłby to pierwszy przypadek przenoszenia ludzi przez północnych Koreańczyków z miejsca na miejsce. Nie byłby to także pierwszy przypadek teatralnej inscenizacji.

Fitch milczał przez chwilę.

— Słuszna uwaga — stwierdził w końcu. — Może potrzebowali miejsca na jakiś obiekt. Kang mówi jednak co innego, a jak na razie jest naszym jedynym źródłem.

— A co mówi pan Kang? — zapytał Karalekis. Fitch odwrócił się do tłumacza i uniośł brwi.

Inoue odchrząknął i pochylił się do przodu. Przez cały czas patrzył na leżący przed nim raport.

— Twierdzi, że wieś ogarnęła epidemia. Zmarło wiele osób.

— A powiedział, z jakiego powodu? — naciskał Karalekis. Tłumacz przewrócił kartkę zeznań Kanga.

— Nie. Mówi, że nigdy czegoś podobnego nie widział. Gorączka do czterdziestu jeden stopni, zgangrenowane narządy płciowe... — Popatrzył pytająco na Karalekisa, ale twarz doktora niczego nie zdradzała. Przewrócił kolejną kartkę. — Gwałtowne wymioty, przypominające wybuchy krwotoki — z ust, nosa, oczu... Boże drogi, posłuchajcie tego! Niektórzy robili się niebiescy. „Jasnoniebiescy”.

Karalekis pokiwał głową.

— Nie zaskakuje to pana? — spytał Inoue. — Ludzie, którzy robią się niebiescy?

Lekarz wzruszył ramionami.

— To się zdarza. Chodzi o sinicę.

Fitch popatrzył na niego.

— Wie pan, o czym ten człowiek mówi? Czy coś to panu przypomina?

Karalekis ponownie wzruszył ramionami.

— To może być wszystko.

Fitch i Inoue wpatrywali się w niego bez słowa przez długą chwilę. Wreszcie Fitch przerwał milczenie.

— Nie — powiedział. — Nie „wszystko”. Na pewno nie było to zwykłe przeziębienie. Ani hemoroidy.

— Nie to miałem na myśli — odparł Karalekis. — Chciałem powiedzieć, że nie wiem jak rzetelnym obserwatorem jest pan Kang. Nie wiem, jakie przeszedł przeszkolenie i czy...

Wasserman pochyliła się do przodu.

— Czy moglibyśmy... — zaczęła, próbując włączyć się do dyskusji. — Przepraszam, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze zniszczeniem wioski przez armię Korei Północnej. Tak więc część mieszkańców chorowała...

— Bardzo ciężko chorowała.

— No i co?

Inoue uniósł dłoń.

— Zaczekajcie chwilę. — Przewrócił kilka kartek. — Mówi, że chcieli... najbardziej zbliżone do tego angielskie słowo to... „przyżegać”. Chcieli przyżec to miejsce.

— Skąd pan Kang miałby znać ich motyw? — spytała Wasserman. — Powiedzieli mu, czemu to zrobili?

Inoue wyglądał na speszonego.

— Nie — odparł. — Ma pani rację. To tylko jego przypuszczenie. Twierdzi, że tracił jednego pacjenta na trzech lub czterech, zanim przyjechał doktor z Pyong-yang. Wkrótce potem wioska została zrównana z ziemią.

— Uznał więc, że dokonano „przyżegania”. Inoue skinął głową.

— Właśnie. Tak, jak to się robi z krwawiącą raną.

— A jeżeli oni wcale nie próbowali opanować choroby — powiedziała powoli Wasserman — tylko chcieli ją po prostu ukryć?

— Dlaczego? — spytał Fitch.

— Dlatego, że ich gospodarka się rozpada, pozamykano wszystkie fabryki, ludzie głodują i nic nie działa. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują, to zła prasa.

— I sądzi pani, że dla jej uniknięcia zabiliby tylu ludzi? — spytał Fitch.

— Oczywiście.

Karalekis popatrzył na Fitcha, który westchnął ciężko.

— A co z tym doktorem? — spytał. — Tym z Pyong-yang? Co ten facet powiedział o epidemii?

— Powiedział... — Fitch popatrzył na Wasserman i widząc jej sceptyczną minę, dodał szybko: — Przepraszam... nie wiemy, co powiedział doktor. Według pana Kanga obciążył tym wszystkim... hiszpańską kobietę.

Wasserman parsknęła. Fitch zgrzytnął zębami i oświadczył:

— Ja tylko przekazuję słowa tego człowieka.

Zapadła cisza. Yoorhis wydmuchał nos, Karalekis zakaszłał, nikt jednak nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie milczenie przerwał Inoue, mówiąc:

— Ale on tak naprawdę nie zrobił tego.

— Czego nie zrobił? — zapytał Fitch.

— Nie tak się wyraził. — Inoue postukał palcem w leżący przed nim tekst. — Nie powiedział: „hiszpańska kobieta”. Powiedział: „hiszpańska dama”. Powiedział: „doktor uznał, że wszystkim winna jest hiszpańska dama”.

— W takim razie bardzo przepraszam... — mruknął Fitch. Tłumacz rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć, że jedynie próbuje pomóc, ale nagle zauważył, że Karalekis wpatruje się w niego intensywnie.

— O co chodzi? — spytał.

— Co powiedziałaś?

— O transkrypcie?

Karalekis skinął głową.

— Według pana Kanga doktor powiedział... — Inoue znowu spojrzał na tekst — „uznał, że wszystkim winna jest hiszpańska dama”.

— Hiszpańska dama... — powtórzył Karalekis.

— Zgadza się. Tak właśnie miał powiedzieć.

— Nie: „hiszpańska kobieta”?

Inoue pokręcił głową.

— Nie.

Karalekis przez chwilę patrzył na tłumacza, a potem przełknął ślinę i zwrócił się do Fitcha:

— Chyba najlepiej będzie, jeśli zadzwoni pan do Atlanty.

— Do Atlanty? A co tam jest? — zdziwił się Fitch.

— CDC* — odparł Karalekis. — Jeżeli ten facet się nie pomylił, to „coś” może zabić więcej ludzi, niż zginęło w drugiej wojnie światowej.

3

W ciągu następnych kilku tygodni Grupa Robocza Tasi-ko otrzymała kryptonim NIEWIDZIALNY WRÓG i powiększyła się o dwóch nowych członków.

Pierwszym był doktor Irving Epstein, ekspert od grypy, pracownik Narodowego Instytutu Zdrowia (NIH). Drugim Neal Gleason, patykowaty agent FBI, oficer łącznikowy CIA.

Przydzielenie im Gleasona napęliło Fitcha goryczą, niemal tak silną jak radość z obecności Epsteina, nie mógł jednak nic poradzić na obecność gliniarza. Gleason współpracował z Agencją w sprawach mających związek z bronią chemiczną i biologiczną, co — przynajmniej teoretycznie — pokrywało się z zadaniami Biura, czyli ochroną kraju

CDC (Centers for Disease Control and Prevention) — instytucję zajmującą się badaniem chorób zakaźnych i zapobieganiem im (przyp. tłum.).

przed aktami terroryzmu wewnętrznego. Ale tak naprawdę według Fitcha przydzielenie im Gleasona było kolejnym przykładem wysiłków Biura, by podkreślić swoje znaczenie.

Gleason nie był szczególnie zainteresowany Grupą Roboczą Tasi-ko — miał ważniejsze sprawy na głowie: dwa razy w miesiącu pokonywał trasę Waszyngton — Amman, gdzie spotykał się z amerykańskimi inspektorami, przydzielonymi do działających w Iraku komisji ONZ. Jak można było przewidzieć, znajdował się bez przerwy w stanie otumanienia, wywołanego zmianami stref czasowych - co ukrywał pod nonszalanckim stylem bycia i za okularami przeciwsłonecznymi firmy Maui Jim.

Grupa Robocza Tasi-ko była dla niego jedynie zajęciem ubocznym, była jedną z kilkunastu grup, których działanie „sprawdzał”, gdy nie był w drodze na kolejne lotnisko.

— Traktujcie mnie po prostu jak muchę na ścianie — powiedział Fitchowi. — Nawet nie pisnę.

I przez większość czasu rzeczywiście prawie się me odzywał.

Ale Epstein był całkiem inny. Był niski, gruby, rozmowny i lubił ubierać się w stylu typowym dla rooseveltowskiego Nowego Ładu — mucha, szelki i garnitur z kory.

Najwyraźniej podniecał go fakt, że jest częścią „tajnego świata” (choć tylko w ramach „pożyczki”), i był zachwycony, że może mówić o hiszpance. „Hiszpańska Dama” była przydomkiem, jaki nadano odmianie grypy, która zaczęła się w Hiszpanii*. Rysunki z tamtych lat przedstawiały wysoką, szczupłą kobietę, której koronkowa mantylka skrywała nagą czaszkę.

Epidemiolog stanął przed mapą Azji i posługując się laserowym wskaźnikiem, zaczął wyjaśniać, że grypa jest bardzo delikatnym wirusem, podlegającym nieustannej mutacji w zależności od składu antygenowego.

— Czego? — zapytał Fitch.

— Chodzi o osłonkę lipidowo-białkową — wyjaśnił Karalekis. — To charakterystyka powierzchni wirusa.

Fitch jęknął.

— W zależności od tego składu — kontynuował Epsteina — zalicza się go do jednego z trzech ogólnych typów: H-jeden, H-dwa albo H-trzy. Istnieją jeszcze inne, ale te trzy są najważniejsze.

Fitch zmarszczył czoło — nie lubił być pouczany — ale Janine Wasserman uspokajająco dotknęła jego ramienia.

- W obrębie każdego typu — ciągnął Epstein — występuje niemal nieskończona liczba szczepów...

— Czy to znaczy, że jeżeli mówimy o grypie — wtrącił Voorhis — mówimy o pewnej klasie chorób?

Epstein wzruszył ramionami.

— Nie ująłbym tego w ten sposób, choć można to tak rozumieć. Istotne jest to, że co roku trzeba produkować nową szczepionkę, ponieważ wraz z mutacją wirusa każdy szczep pandemiczny ustępuje miejsca swojemu następcy.

Popatrzył na słuchaczy z dobrotliwym uśmiechem, ale na Fitcha to nie zadziało.

— Doktorze, używa pan pojęć...

— Chodzi mu o szczep, który w danym roku dominuje na świecie — wyjaśnił Karalekis.

— Coś w rodzaju epidemii? — spytał Voorhis.

Epstein pokręcił głową.

— Nie, pandemia to nie „coś w rodzaju epidemii”. Pandemia jest globalna, a epidemia — jak w przypadku Tasi-ko — to lokalny wybuch choroby.

— Więc jest to wewnętrzny problemem Korei Północnej — wtrącił Gleason.

* Chodzi o pandemię grypy z lat 1918-19, która pochłonęła około 20 mln ofiar (przyp. tłum.).

Karalekis zmarszczył czoło.

— Cóż... tak jakby, chyba że...

— Chyba że się rozpowszechni — dokończył Epstein.

Voorhis niespokojnie pokręcił się na krześle.

— Niektóre epidemie są gorsze od innych, prawda? W zależności od... szczepu?

— Owszem — przyznał Epstein. — Niektóre szczepy są bardziej złośliwe od innych i czasem atakują różne populacje. Grypa hiszpańska atakowała głównie młode organizmy. Dzieci. Nastolatki. Osoby poniżej trzydziestego roku życia.

— Dlaczego? — spytała Wasserman.

Epstein wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Dlaczego pan tego nie wie? — spytał Fitch.

— Dlatego, że nikt jej nie zbadał.

— Nie badano grypy? — zdziwił się Fitch.

— Mówimy o tym jednym szczególnym wirusie — odparł Epstein. — Nikt nigdy nie oglądał go pod mikroskopem.

— Dlaczego?

— Ponieważ wirusy to twory submikroskopowe. Aby je obejrzeć, potrzebny jest mikroskop elektronowy, a wynaleziono go chyba w trzydziestym siódmym, czyli... mniej więcej dwadzieścia lat po tym, jak pojawiła się ta choroba.

— Więc nikt nigdy nie widział tego wirusa? — spytał Fitch.

Karalekis pokręcił głową.

— Z Koreańczykami łącznie?

Obaj lekarze popatrzyli na siebie. Po chwili Epstein powiedział:

— Zgadza się... z Koreańczykami łącznie.

— A to oznacza — powiedział Fitch — że ten gość z Pyong-yang...

— Doktor — poprawiła go Wasserman.

— Nieważne, w każdym razie oznacza to, że facet zgadywał. Mówiąc o „Hiszpańskiej Damie”, wyraził jedynie przypuszczenie.

— No cóż... — mruknął Epstein.

— Inaczej być nie mogło — oświadczył Fitch. — Powiedział pan właśnie, że... Epstein pokręcił głową.

— To nie takie proste.

— To znaczy?

— Ten człowiek widział chorych. Obserwował przebieg choroby.

— I na tej podstawie uznał, że to, z czym miał do czynienia, jest hiszpanką — wyjaśnił Karalekis.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Ciszę przerwała w końcu Janine Wasserman.

— To chyba nie tak — powiedziała. — Wcale nie porównywał tego, co widział, z czymkolwiek. Po prostu oznajmił, że to hiszpanka. Kropka.

Voorhis popatrzył na nich z dezaprobatą.

— Według tłumacza... według doktora. Według dezertera. — Rozejrzał się po pokoju. — Czy tylko mi się tak wydaje, czy...

Neal Gleason parsknął drwiąco, popatrzył na zegarek, a potem wstał i oznajmił:

— To wszystko jest bardzo interesujące, ale muszę być o drugiej w Navy Yard, więc... eee... informujcie mnie na bieżąco, dobrze? — Powiedziawszy to, wziął płaszcz i wyszedł.

Wasserman sprawiała wrażenie, jakby tego nie zauważyła. Pochyliła się do przodu, oparła łokcie na stole i ze zmarszczonym czołem odwróciła się do Karalekisa.

— George, zastanawiam się nad tym, nad czym wszyscy rozmyślamy: dlaczego Koreańczycy zareagowali tak, jak zareagowali...

— Tak...?

— Jeżeli dobrze rozumiem, nie da się zatrzymać rozwoju epidemii grypy, zabijając tych, którzy już zachorowali...

— Dlaczego? — spytał Voorhis.

— Ponieważ... — zaczął Epstein.

— Ponieważ nie istnieje pojedynczy wektor — dodał Karalekis.

— Właśnie — potwierdził Epstein.

Voorhis popatrzył najpierw na jednego lekarza, a potem na drugiego, jakby śledził przebieg meczu tenisa.

— O jaki „wektor” chodzi? — spytał po chwili.

— Mechanizm rozprzestrzeniający — odparł Epstein.

— To znaczy? — spytał Fitch.

— Chorobę rozprzestrzeniają ludzie, gryzonie i kaczki — powiedział Karalekis. — W przypadku grypy kaczki grają najbardziej znaczącą rolę.

— Migracja ptactwa wodnego... — dodał Epstein.

— Od tego się zaczyna — oświadczył Karalekis.

— Fala zwiastunowa, czyli pierwsza fala ludzi zarażonych nowym szczepem, niemal zawsze pojawia się w Chinach — wyjaśnił Epstein.

— Dlaczego? — spytał Voorhis.

— Chińczycy mają dużo ptactwa wodnego i znaczne zagęszczenie populacji ludzkiej, wystarczające do pojawienia się nowej fali choroby...

— Przyczyn jest wiele — powiedział Karalekis. — My jednak mamy szczęście, ponieważ dotarcie nowego szczepu do Stanów trwa mniej więcej rok. Daje to nam czas na produkcję i rozprowadzenie nowej szczepionki.

Janine Wasserman odchrząknęła.

— Gdybyśmy mogli pozostać przy temacie... mówiliśmy o reakcji Koreańczyków. O braku logiki w ich działaniu... — Przez chwilę obaj doktorzy mieli głupie miny. Najwyraźniej byli zawiedzeni, że przerwano im wykład. Wasserman kontynuowała: — Zastanawiałam się nad ich pewnością — oczywistą pewnością, że mają do czynienia z hiszpanką, a nie z czymś „podobnym”.

Epstein i Karalekis otworzyli usta, ale Fitch powstrzymał ich ruchem dłoni.

— Koreańczycy musieli zdawać sobie sprawę z tego, że zabicie mieszkańców Tasi-ko nie wpłynie na zahamowanie wybuchu epidemii — kontynuowała Wasserman. — Choroba rozpowszechniałaby się dalej innymi drogami.

Obaj lekarze popatrzyli na siebie i po chwili Epstein skinieniem głowy przyznał jej rację.

— Tak więc ich działanie było całkowicie nieracjonalne, chyba że skądś wiedzieli, że... wybuch choroby, który miał miejsce w wiosce, jest jednowektorowy — powiedziała Wasserman. — Że jest to coś wyjątkowego. Fuks.

Karalekis wyduł wargi.

— Hrm... — mruknął. — Rozumiem, o co pani chodzi...

Epstein zmarszczył czoło. Był kompletnie zdezorientowany.

Spojrzał na Karalekisa i zapytał:

— A o co chodzi?

— Pani Wasserman sugeruje, że mogło dojść do... wypadku, a to, co się stało w Tasi-ko, było próbą... ukrycia tego faktu — odparł Karalekis.

— Ma pan na myśli wypadek laboratoryjny?

Karalekis spojrzał na niego.

— Tak. Poza tym, postępując inaczej...

— ...nie mogliby w żaden sposób zapobiec epidemii — dokończył za niego Fitch. — Musieli tak zrobić.

W spojrzeniu Epsteina pojawił się niepokój.

— Czy to podejrzenie ma realne podstawy? To znaczy, czy wiemy coś o tym, by Koreańczycy z północy eksperymentowali z tego typu materiałem?

Karalekis wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je z ciężkim westchnieniem.

— Tak — powiedział. — Prowadzą jeden z najbardziej zaawansowanych programów broni biologicznej na świecie. Nie mamy u nich zespołów nadzorczych, nie wiem więc, gdzie znajdują się ich laboratoria, wiemy jednak na pewno, że prowadzą badania tego rodzaju. W przypadku takiego kraju jak Korea jest to nawet logiczne.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytał Epstein.

— Ponieważ broń biologiczna jest najtańszą bronią, jaką zna świat. Program nuklearny kosztuje — tylko na początek — kilkaset milionów, ale wąglika, cholery i tyfus można wyprodukować w garażu. A do roznoszenia zarazków nie potrzeba bomb — doskonale nadaje się do tego aerozol z supermarketu.

— Dam panu Epsteinowi książkę, w której się to omawia — wtrącił niecierpliwie Fitch. — Chcę wiedzieć jedno: jeżeli w okolicy Tasi-ko jest laboratorium broni biologicznej, w jaki sposób wirus grypy mógłby się z niego wydostać?

Karalekis wzruszył ramionami.

— W wyniku jakiejś awarii, na przykład nieszczelności rury transportowej. Nie zdarza się to często, ale się zdarza.

— Trzeci Świat... — mruknął Voorhis. — Założę się, że takie rzeczy stale mają tam miejsce.

— Z pewnością — zgodził się Karalekis. — Jeżeli to była awaria... i jeżeli to była hiszpanka...

— To znaczy...? — spytał Fitch.

— Cóż, chyba w związku z tym pojawia się kolejne pytanie, prawda?

— Też tak sędzę — prychnął Epstein.

Fitch popatrzył na obu doktorów.

— A jak brzmi to pytanie?

Karalekis uniósł brew.

— Hm... chyba tak: gdzie jeszcze rozprzestrzenili tego wirusa?

Odpowiedź doktora przez długie sekundy zdawała się unosić w powietrzu. W końcu Voorhis zapytał:

— Wystawia nas pan?

— Nie rozumiem... — zdziwił się Karalekis.

— Żartuje pan sobie.

— Nie, wcale nie żartuję. Dlaczego pan tak uważa?

— Cóż... ponieważ... — Voorhis uśmiechnął się szeroko — to tylko grypa, na Boga! Wszyscy ją łapią. To nie ebola! Nie gorączka Q! Dlaczego Koreańczycy mieliby zabawiać się grypą, mogąc mieć... no co? Wąglika! Sarin! Albo milion innych, znacznie bardziej niebezpiecznych rzeczy!

Epstein i Karalekis popatrzyli po sobie. Po chwili Epstein odwrócił się do Voorhisa.

— Chyba nie do końca pan rozumie — oświadczył. — Śmiertelność grypy hiszpańskiej...

— Wiem, co pan chce powiedzieć — przerwał mu Voorhis. — To potwór, ale nie nadaje się do zaatakowania armii.

— To prawda — przyznał Karalekis. — Prawdopodobnie nie, ale jeżeli zamiarem agresora byłoby osłabienie armii przeciwnika i wyniszczenie ludności cywilnej, Hiszpańska Dama byłaby bardzo skutecznym narzędziem.

— W zeszłym tygodniu przejrzałem dane liczbowe — włączył się Epstein. — Weźmy Nowy Jork: jest tam pięćdziesiąt sześć szpitali, przyjmujących nagłe przypadki — razem

osiem tysięcy łóżek. To wszystko! No, niemal wszystko, bo każdy szpital ma jeszcze dwie karetki reanimacyjne — DWIE! — które mogą się zająć trzema osobami na godzinę. — Milczał przez chwilę, po czym dodał: — Biologiczny atak na Nowy Jork albo inne wielkie miasto byłby nie do opanowania.

— Kolejną cechą grypy jest to, że sama się podtrzymuje — kontynuował Karalekis. — Kiedy zaczynają się zachorowania, dochodzi do czegoś w rodzaju reakcji łańcuchowej: wirus wytwarza się w coraz większej ilości. To coś podobnego do syntezy jądrowej, tyle że efekt bardziej przypomina działanie bomby neutronowej, bo nie dochodzi do zniszczenia infrastruktury wroga. Giną tylko ludzie, domy zostają.

— Więc jak bardzo to jest śmiertelne? — zapytał Voorhis.

— No cóż... — zaczął z wahaniem Karalekis — teoretycznie, mając odpowiedni szczep, można by rozpaść pożogę, która ogarnęłaby cały świat i zabiła wszystkich mieszkańców naszej planety... z wyjątkiem uodpornionych.

— Rozumiem — odparł Voorhis. — Nie mówimy jednak o teorii, a o konkretnym wirusie w Korei Północnej. Jak śmiertelny jest ten szczep?

— Cóż... jesienią tysiąc dziewięćset osiemnastego roku hiszpańska grypa zabiła ponad pół miliona Amerykanów. To więcej, niż zginęło w obu wojnach światowych, na wojnie w Korei i w Wietnamie. A wszystko to odbyło się w ciągu czterech miesięcy.

— A co z dżumą? — spytał Fitch. — Chyba była znacznie gorsza.

Karalekis przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Możliwe, tyle że dżuma potrzebowała aż dwudziesta lat, by zrobić swoje. A hiszpanka zabijała dwadzieścia albo i trzydzieści milionów ludzi w rok.

— Jezus, Maria... — szepnął Fitch. Epstein popatrzył na Voorhisa.

— Wspomnił pan o eboli. Zgoda, to paskudny mikroorganizm, ale... jest stabilny. Dość trudno się nim zarazić.

— Mniej więcej tak samo trudno jak wirusem HIV — dodał Karalekis.

— Musi dojść do wymiany płynów ustrojowych, a nie mam tu na myśli kichania — wyjaśnił Epstein. — Z grypą jest jednak nieco inaczej. Jak sam pan powiedział: wszyscy ją łapią!

— I nie jest stabilna — podkreślił Karalekis. — Nie mamy szczepionki przeciwko szczepowi, który pojawi się w przyszłym roku.

— Powiem więcej: nie mamy szczepionki nawet przeciwko zeszłorocznej grypie — oświadczył Epstein. — Hiszpańska Dama to najbardziej śmiertelne wydarzenie medyczne w historii.

— I to już w swoim naturalnym stanie — dorzucił Karalekis.

— Jak to „w naturalnym stanie”? — spytał Fitch.

— Cóż, tylko spekuluję, ale jeśli Koreańczycy... zaczęli się bawić wirusem, kombinować coś z jego genami, to mogli stworzyć... wirusa-chimerę o znacznie większej śmiertelności.

— Wirusa-chimerę?! — zawołał Voorhis.

— Mój kolega ma na myśli łączenie genów: tworzenie potwora poprzez łączenie różnych zarazków — wyjaśnił Epstein.

— Rozumiem, ale czy nie trzeba do tego celu dysponować nowoczesnie wyposażonym laboratorium? — spytał Voorhis.

Epstein pokręcił głową.

— Genentech rozsyła po szkołach specjalne zestawy, by zachęcić dyrekcje do zakupu swoich produktów. Coś, co pozwoliłoby przeprowadzić to, o czym mówimy, można kupić za mniej więcej czterdzieści dolarów.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. W końcu Fitch powiedział:

— Z tego, co mówicie, wynika, że siedzimy w górnicy po uszy.

— To całkiem możliwe — odparł Epstein.

Znów zapadła cisza. Janine Wasserman wstała, obeszła powoli stół, skierowała się ku wiszącej na ścianie mapie Korei Północnej i przez chwilę się jej przyglądała.

— Widzę tu dwa problemy — powiedziała w zamyśleniu. — Pierwszy to zlokalizowanie miejsca, gdzie wydarzył się wypadek.

— Na pewno pomoże nam w tym Departament Obrony — oświadczył Fitch.

— Jestem pewien, że uda się zorganizować kilka przelotów — stwierdził Voorhis. — Przynajmniej U-dwa.

Fitch skinął głową.

— No i ECHELON.

Wszyscy mruknęli potakująco — z wyjątkiem Epsteina.

— Co to takiego? — spytał, spoglądając po kolei na pracowników CIA.

Fitch aż się skulił, zły na siebie, że zdradził tajemnicę osobie niepowołanej.

— To... tajny program — wymamrotał. — Nie powinienem o nim wspominać.

Program słownikowy ECHELON był jednym z najbardziej strzeżonych programów wspólnoty wywiadowczej — był obejmującą cały świat elektroniczną siecią podsłuchową. Dzięki połączeniu satelitów szpiegowskich i „posterunków nasłuchowych” z najnowocześniejszymi komputerami wspólnota wywiadowcza USA oraz sojusznicy Ameryki mogli przechwycić i odkodować niemal każdy komunikat elektroniczny, jaki wysyłano z dowolnego punktu globu — już w chwili rozpoczęcia jego nadawania. Wyszukując słowa kluczowe, program mógł wyłapywać i segregować wiadomości o szczególnym znaczeniu.

— Jakich słów kluczowych użyjemy? — spytał Voorhis. Fitch wzruszył ramionami.

— Nie bardzo wiem, co się może nam najbardziej przydać. Hasło GRYPA zaprowadzi nas donikąd — stwierdził.

— Tak, ale... GRYPA i KOREA PÓLNOĆNA albo GRYPA i TASI-KO... myślę, że szczególnie interesujące powinno być wszystko z „Tasi-ko”.

Fitch skinął głową.

— Chyba ma pan rację.

— Jeżeli znajdziemy laboratorium, co z tym fantem zrobimy? — zapytał Voorhis. — W końcu to Korea Północna...

— Jeżeli dojdzie co do czego, pewnie będzie się tym musiało zająć MSZ.

— A co ze szczepionką? — wtrąciła się Wasserman. — Jak długo potrwałaby jej produkcja?

Epstein odpowiedział bez wahania:

— Pół roku.

— Czy w razie potrzeby dałoby się to przyspieszyć?

Epstein popatrzył na Karalekisa.

— Gdyby to w ogóle było możliwe, może mógłbym urwać miesiąc — oświadczył po wzrokowej konsultacji z kolegą po fachu. — Ale nie da się zrobić szczepionki, nie mając wirusa, a...

— A nie mamy wirusa — dokończył za niego Karalekis.

Wasserman pochyliła się do niego.

— No cóż... to nasz drugi problem — powiedziała. — Chyba musimy go znaleźć.

Jeżeli istniało jakiegokolwiek miejsce na świecie, w którym można było znaleźć wirusa hiszpanki, był nim pozbawiony okien budynek, stojący na terenie Medycznego Centrum Wojskowego imienia Waltera Reeda w Bethesda w stanie Maryland. Mieściło się w nim Narodowe Archiwum Tkanek, nazywane czasami przez brukowce „Biblioteką Śmierci”. Przypominający magazyn budynek był zabudowany po sufit metalowymi regałami, zastawionymi kartonowymi pudłami. W każdym kartonie znajdowały się próbki ludzkich tkanek, zanurzone w słoiczkach z formaliną, które oblane uformowaną w sześciiany parafiną.

W tym „archiwum” znajdowało się w sumie dwa i pół miliona próbek zakażonej tkanki, a większość z niej pobrano z ciał żołnierzy, poległych na wszystkich frontach prowadzonych przez Amerykę wojen.

Karalekis miał nadzieję, że w którymś z bloczków parafiny znajdzie również wirusa hiszpanki. Najbardziej prawdopodobne było to w tkance płucnej — w cienkich jak papier próbkach, pobranych od żołnierzy zmarłych z powodu niewydolności oddechowej jesienią 1918 roku. Jednak i tu prawdopodobieństwo znalezienia tego, czego szukali, było bardzo małe. Wirus grypy zaczyna się rozkładać po upływie doby od śmierci gospodarza, istniało więc spore ryzyko, że nawet jeśli znajdą wirusa, nie będzie się nadawał do zrobienia szczepionki.

Mimo to należało spróbować. Dzięki priorytetowi, przyznanemu badaniom związanym z zagadnieniami bezpieczeństwa, Karalekis mógł rozpocząć skrupulatne i czasochłonne poszukiwania, które zapowiadały się na lata. Nie miał zbyt wielkiej nadziei, że cokolwiek znajdą: laboratoria biologiczne łatwo kamuflować, a ECHELON był skuteczny tylko na tyle, na ile nieostrożny był przeciwnik. Jeżeli w prowadzonej przez Koreańczyków komunikacji nie używano nazwy „Tasi-ko”, ECHELON nic nie znajdzie i CIA da dupy. Choć może niekoniecznie.

Pewnego pogodnego lutowego dnia, kiedy Karalekis siedział w biurze Dyrektoriatu Nauki i Technologii, w drzwiach jego gabinetu nieoczekiwanie pojawił się Fitch.

— Epstein chyba rozwiązał nasz mały problem — stwierdził.

— Napp-raww-ddę? — mruknął sceptycznie Karalekis.

— Naprawdę. — Fitch usiadł i rzucił na biurko teczkę z aktami.

Karalekis przyjrzał się jej nieufnie. — A... to... co?

— Wniosek o dofinansowanie. Stary, odrzucony wniosek. Epstein opowiedział mi o nim i dostałem kopię z NSF.

Karalekis popatrzył na okładkę.

A/Kopervik/10/18

Autorzy:

dr n. med., dr fil. Benton Kicklighter (NIH)

dr fil. Anne Adair (Georgetown University)

— A-Kopervik, dziesięć-osiemnaście — przeczytał Karalekis. — Co to ma być?

Fitch wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wielki strzał.

— Naprawdę?

— Może się pan założyć. Hiszpanka to hiszpanka.

Karalekis zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem...

— To wniosek o dofinansowanie, złożony przez doktora z Narodowych Instytutów Zdrowia. Gość nazywa się Kicklighter, a drugi wnioskodawca to Adair. Okazuje się, że odkryli ciała norweskich górników...

— Już się cieszę...

— ...które chcieliby wykopać. Leżą sobie w ziemi gdzieś za kołem podbiegunowym.

— I to ma nam pomóc? Jak?

— Zmarli w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Z tego dokumentu wynika, że objawy były typowe. Wysoka gorączka, sinica, krwawienia — wszystko. Z tego dokumentu wynika też... — Fitch postukał palcem w teczkę — że zakopano ich w wiecznej zmarzlinie.

Karalekis pochylił się do przodu.

— W zmarzlinie...? — Wymówił to słowo, jakby wypowiadał je po raz pierwszy w życiu. — I sądzą, że...

Fitch wzruszył ramionami.

— Nic nie sądzą i nie wiedzą. Nikt tego nie wie. Dopóki nie dotrze tam ekspedycja, nic nie da się powiedzieć na pewno. Wszystko jednak wskazuje na to, że cała okolica Kopervik — to chyba jakieś opuszczone miasteczko — aż się roi od niedźwiedzi polarnych. Rozumie pan — niedźwiedzi.

— Rozumiem. I co z tego?

— Że w związku z tym zakopano ciała dosyć głęboko. Są dobrze zamrożone.

4

MURMAŃSK 23 MARCA 1998

— Element numer cztery — powiedział wysoki chudzielec, stojący pod ścianą. — Gogle arktyczne. — Trzymając rękę przed sobą, pobujał zawieszonymi na palcu okularami. — Pod żadnym pozorem nie wolno wychodzić za dnia bez tych gogli. Nawet na minutę.

Annie Adair z niepokojem popatrzyła na długą listę elementów wyposażenia. Jeżeli — a na to się zanosilo — każdemu z nich będzie towarzyszył piętnastominutowy wykład, będą siedzieć w tym ciasnym i dusznym pomieszczeniu jeszcze przez wiele godzin.

Wysoki mężczyzna pochylił tułów do przodu, by zademonstrować najlepszy sposób zakładania gogli. Przez chwilę szarpał głową do góry i do dołu, próbując dokładnie przycisnąć obramowania szkielec do oczodołów. Kiedy się wyprostował z nałożonymi czarnymi goglami, przypominał wielkiego owada.

— Powinny być bardzo ciasno dopasowane, jak okulary do pływania — wyjaśnił. — Uszczelki na skroniach nie powinny przepuszczać ab-so-lut-nie żadnego światła.

Annie powstrzymała ziewnięcie i popatrzyła na doktora Kicklightera. Był znany z niecierpliwości i widząc zirytowane postukiwanie stopą oraz gryzienie kostki dłoni, domyślała się, że zaraz wybuchnie. Nie mogła na to pozwolić. Doktor K. nie umiał współżyć z ludźmi ani nie wiedział, co to zawodowa uprzejmość. Zdawał się nie pojmować, że lepiej wytrzymać kilka godzin nudy niż zrażać sobie ludzi, od których byli zależni i którzy robili im przysługę.

Lodołamacze były wynajęte na całe lata naprzód, więc znalezienie jakiegoś, który pływał pod odpowiednią flagą, znajdował się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu i na dodatek zechciałby przyjąć na pokład członków ekspedycji udającej się do Kopervik, było trudną sprawą. Ale jak dotąd wszystkie elementy współgrały. Wniosek o dotację, który Annie spisała na straty ponad rok temu, nagle został zaakceptowany i jakimś cudem znaleziono dla nich miejsce na pokładzie „Rex Mundi” — lodołamacza wynajętego przez Narodową Agencję Oceanów i Atmosfery (NOAA).

Zastanawiała się, jak doktorowi K. udało się to wszystko zorganizować, nie zamierzała jednak zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Kiedy go zapytała, w jaki sposób załatwił tę sprawę, uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

— Cóż, Annie, okazało się, że mamy przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Tak też musiało być: wejście Annie na „Rex Mundi” oznaczało, że ekipa Śniegowych Bałwanów — zespół fizyków NOAA, specjalizujących się w zagadnieniach związanych ze śniegiem i lodem — nie będzie musiała siedzieć pięć dni w Oslo.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, były spięcia zarówno z fizykami, jak i z załogą. To drugie było problemem swoistego rodzaju. Mimo obietnicy hojnej premii część załogi opuściła statek na wieść, że zahaczenie o Kopervik będzie związane z ekshumacją zwłok. Znalaziono co prawda nowych ludzi — ale z dużym trudem. Jak powiedziano Annie, marynarze zabobonnie bali się przewożenia na statku zwłok.

Mężczyzna w goglach nadal donderował o kątach odbicia światła i intensywności promieniowania słonecznego w Arktyce. Annie mogłaby cierpliwie siedzieć tu cały dzień, ale jednym z jej zadań była ochrona opiekuna. Doktor K. umiał być naprawdę napastliwy i widząc szybkość, z jaką poruszał stopą, postanowiła interweniować.

— Chyba zrozumieliśmy, o co chodzi — powiedziała tonem, który jej zdaniem był optymistyczny i pojednawczy: Katie Couric* robi przerwę na reklamy.

— Słucham...? — Śniegowy Bałwan nie mógł uwierzyć, że mu przerwała.

— Eee... to znaczy... chcę powiedzieć, że rozumiemy, że mamy przed wyjściem na zewnątrz zakładać gogle. — Annie dość nieporadnie udała, że ziewa, w nadziei, iż udało jej się przekazać komunikat: „Ci ludzie są zmęczeni. Właśnie przelecieli Atlantyk”.

Ale fizyk zrobił minę, jakby chlasnęła go po głowie. Annie zdawała sobie sprawę, że złamała niepisaną zasadę: kiedy fachowcy instruuja „cywili”, nawet jeśli są to również naukowcy, oczekują od nich skupionej uwagi. Ci, którzy byli u siebie, musieli pokazać, kto tu rządzi. Gdyby doktor K. przyjmował gości w swoim laboratorium i miał ich poinstruować, jak należy się obchodzić z wymazem wirusowym, również oczekiwałby pełnej koncentracji.

— Jestem ostatnią osobą, którą trzeba ostrzegać przed ślepotą śnieżną — oświadczyła. — Kiedyś też mi się to przytrafiło.

— No proszę...

— To było w Vail. Gogle wypadły mi z wagonika kolejki. — Jezu, gadam jak idiotka, pomyślała. — I w którymś momencie, kiedy znaleźliśmy się nad linią drzew, przestałam widzieć.

Przez chwilę panowało milczenie, a kiedy fizyk ponownie się odezwał, jego głos ociekał jadem:

— Cóż, prawdziwa ślepotą śnieżną to coś znacznie poważniejszego. Nie mówimy o utracie orientacji. Mówimy o bólu, bardzo silnym bólu... jakby oczy wypełniało mielone szkło. Może to odebrać człowiekowi zdolność widzenia na kilka dni lub nawet tygodni, jeżeli ekspozycja była odpowiednio intensywna.

Znów zapadła cisza. Po kilkunasto sekundach ponownie rozległo się stukanie stopy o podłogę, choć w nieco wolniejszym rytmie.

— Za-kodo-wane — powiedział doktor K. lodowatym tonem.

— To świetnie. — Fizyk NOAA zdjął gogle — na jego twarzy odcisnęły się czerwone kręgi — i wzięła neoprenową maskę. — Element piąty. Jeżeli temperatura spadnie poniżej...

— Przepraszam bardzo — przerwał mu doktor Kicklighter — podejrzewam, że właśnie na tym polega pańskie zadanie, ale chciałem spytać, czy nie będzie pan musiał wszystkiego powtarzać, kiedy dołączy do nas nasz skryba? Nie lepiej poczekać na niego? Powinien chyba tak samo jak i my chronić wzrok i tak dalej...

— Jaki „skryba”? — zapytał fizyk, wpatrując się w Kicklightera, i Annie pomyślała: to by było na tyle. Jesteśmy ugotowani. Ten facet nienawidzi nas.

— Niejaki Daly.

Zapukano głośno do drzwi i do pokoju wszedł chudy blondyn, nie czekając, aż zostanie zaproszony. Annie rozpoznała w nim kierownika fizyków.

— Mark, dokończysz instruktaż na pokładzie. Idzie na nas burza jak cholera i kapitan uważa, że jeśli nie znikniemy stąd za dwie godziny, utkniemy na trzy albo cztery dni.

* Popularna lektorka wiadomości sieci NBC (przyp. tłum.).

— Wypływamy? — zdziwił się doktor K. — Ale przecież...

Blondyn wzruszył ramionami.

— Robimy, co każe kapitan. W końcu robi nam przysługę. Gdyby zechciał, mógłby nas to uziemić. I co wtedy? Stracilibyśmy swoje okienko. — Przerwał na chwilę, by podkreślić znaczenie swoich słów, po czym dodał z uśmiechem: — Macie dwadzieścia minut. Samochód będzie czekał pod hotelem. Powiedziawszy to, wyszedł tak samo nagle, jak się zjawił,

Mark zaczął pakować swoje rzeczy do granatowego marynarskiego worka.

— A co z... Frankiem Dalym? — spytała Annie.

— Kto to taki? — spytał Mark.

— Nasz kronikarz — wyjaśnił Kicklighter.

— Mamy z nim umowę — powiedziała Annie. — Jezu... przejechał milion kilometrów!

Mark popatrzył na nią z uśmiechem, wzruszył ramionami, wyprostował się i zarzucił torbę na ramię.

— No to chyba nie zdąży.

— Szczęście w nieszczęściu — mruknął pod nosem Kicklighter. — Potrzebujemy go jak dziury w moście.

Mark zachichotał i wyszedł, pozostawiając Annie w rozterce. Po wszystkich dyskusjach o potrzebie obecności (albo niemożności jej umknięcia) reportera podczas ekspedycji Daly zjawi się lada chwila w Murmańsku po to tylko, by stwierdzić, że „Rex Mundi” zniknął.

Pół godziny później stała przed hotelem i czekała na samochód, który miał ich zawieźć na statek. Powietrze było ciężkie, ciepłe i w dalszym ciągu wypełnione stłumioną wrogością, która zabarwiała frustrację Annie strachem.

Próbowała skontaktować się z Dalym, zostawić mu wiadomość, przekazać, żeby nie przyjeżdżał, ale połączenia były okropne i...

Temperatura rosła — podniosła się z minus jedenasto do minus pięciu i gdy dojechali do portu, płatki śniegu latały na wszystkie strony, miotane wilgotnym, porywistym wiatrem.

Kiedy wchodziła po bujającym się trapie na statek, czuła niepokój, może nawet strach. Grube liny, służące jako poręcze, były śliskie od lodu, a gdy spojrzała w dół (wielki błąd!), ujrzała jedynie czarną wodę. Na moment się zawahała, ale Kicklighter złapał ją za łokieć i popchnął do przodu.

Po chwili znalazła się bezpiecznie na pokładzie i zatrzymała się razem z doktorem z dłońmi na relingu, by popatrzeć na plastikowe kubeczki, unoszące się i opadające na uderzającej w nabrzeże fali.

— Jesteśmy na krańcu świata — powiedział Kicklighter i skinął głową w kierunku miasta. — Tak Lapończycy nazywają to miejsce.

Annie grzecznie przytaknęła, nie miała jednak pojęcia, o czym mowa.

— Jakie miejsce?

— Murmańsk. Ta nazwa oznacza: „Kraniec Świata”. A może „Koniec Świata”? Nie pamiętam.

Annie popatrzyła na niego.

— Cóż, to pewna różnica — zauważyła i na widok uśmiechu doktora zarumieniła się. Kicklighter powoli unióś rękę i zaczął machać. Wiatr szarpał rękawem jego kurtki.

— Tak to jest... — powiedział w przestrzeń. — Bon voyage.

ARCHANGIELSK 23 MARCA 1998

Frank Daly był w połowie trzygodzinnego lotu z Moskwy do Murmańska, kiedy maszyna, w której siedział — Il-86 — zaczęła drżeć. Podniósł głowę znad laptopa, wyrzwał przez podrapane okienko i stwierdził, że wlecieli w chmurę. Powietrze było niemal nieprzezroczyste — choć kiedy odrzutowiec sunął jak duch przez białe kłaczkę, dało się dostrzec kontur skrzydła.

Drżenie nasilało się i po chwili przemieniło się w silną wibrację, która przeszła w dygot. Daly zamknął komputer, włożył go do wyściełanej torby, zasunął suwak, wsunął torbę do plecaka i wepchnął go pod fotel przed sobą. Potem opadł plecami na oparcie, myśląc: to moja wina. Jeżeli się rozbijemy, stanie się tak dlatego, że zamiast pracować nad Hiszpańską Damą, grałem w samolocie w Doom. Bóg przestworzy nie lubi bumelantów i teraz się na mnie zemści. Daly nie wierzył w Boga. Ale kiedy działo się coś takiego jak teraz... Tkwił w huraganie dziesięć tysięcy metrów nad ziemią. A to co takiego...? Samolotem rzuciło na bok, gwałtownie zadrżał, zabujał się i jęknął. Już nigdy nie będę grał w Doom w samolocie. przyrzekł sobie Daly i z całej siły zacisnął dłonie na podłokietnikach. Co ja sobie wyobrażałem? Jak mogłem sądzić że przyniesie mi to szczęście? Odruchowo trzy razy odpukał w podłokietniki, potem jeszcze trzy razy. Stosował ten rytuał, choć nie pamiętał, skąd się wziął — wyglądało na to, że trzymało to czarne koty na dystans i pozwalało omijać pęknięte lustra.

No i pozwalało unikać latania spadającymi samolotami. Przynajmniej do tej pory.

Przypomniał sobie, skąd wziął mu się ten nawyk: była to skrócona modlitwa, ostatnia resztkę katolickiego wychowania.

Potężny mężczyzna z krzaczastymi wąsami, który siedział na miejscu przy przejściu, rzucił Daly'emu spojrzenie pełne przerażenia, jęknął po kobiecemu OOOCHCHCH! — i zakrył twarz dłońmi. Po kilku chwilach niebo całkiem poczerniało, zaczęły się otwierać drzwiczki szafek i zapaliły się napisy: NIE PALIĆ! ZAPIĄĆ PASY! ...PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO UMIERANIA! O podłogę huknęła taca z napojami, ktoś wrzasnął głośno. Maszyna zaczęła gwałtownie spadać i chwiejąc się, pomknęła w dół, walcząc z turbulencjami.

Trwało to dziesięć minut i w samolocie coraz bardziej nasilał się odór wymiocin. Po podłodze, pod siedzeniami, toczyły się butelki wódki, puszki z piwem i innymi napojami. Otworzył się też jeden ze schowków nad fotelami i na dół poleciały walizki, wywołując wrzaski bólu i zaskoczenia.

W końcu samolot odbywający lot numer 16 zakręcił i poleciał na południe. Po obu stronach przejścia ludzie jęczeli i pochlipywali, a siedzący z tyłu mężczyzna zawodził na cały głos w języku, którego Daly nie był w stanie określić. Zapach alkoholu, połączony z odorem zwymiotowanego jedzenia, tworzył odurzającą mieszankę. Wkrótce jednak stewardesy zaczęły przywracać porządek — zajęły się rannymi, zbierały porozrzucane bagaże, uspokajały rozhisteryzowanych pasażerów.

Przez cały czas nie usłyszeli żadnego komunikatu z kabiny pilotów. Pół godziny później koła samolotu uderzyły w beton, maszyna podskoczyła, po czym ponownie osiadła na pasie.

Kiedy stanęli, Daly ujrzał przez okienko śnieg, wirujący na tle niskiego, szarego terminalu, na którym był jakiś napis wykonany cyrylicą.

— Gdzie jesteśmy? — spytał w przestrzeń.

Odpowiedź doleciała do niego z przodu, gdzie kilka rzędów bliżej dziobu rumianemu Australijczykowi udało się przekrzyczeć płacz przestraszonego dzieciaka:

— Jesteśmy w Archangielsku, koleś! W obsranym, pieprzonym Archangielsku!

Daly spędził deprimującą godzinę, próbując dowiedzieć się czegoś na temat następnego lotu do Murmańska — ale nie uzyskał żadnej konkretnej odpowiedzi. Przedstawiciel Aeroflotu siedział dziesięć minut przy telefonie i w końcu oznajmił, że lotnisko w Murmańsku jest zamknięte.

— Burza — oświadczył, jakby Daly sam nie mógł tego stwierdzić.

— Więc jak dostanę się do Murmańska? Muszę tam dotrzeć!

Urzędnik wzruszył ramionami, ale zapisał na kawałku papieru adresy i numery telefonów dwóch mieszczących się w Archangielsku biur turystycznych — Intourist i Sputnik.

Wokół automatu w holu kłębił się gęsty tłum ludzi, więc Daly wyszedł na zewnątrz, by rozejrzeć się za taksówką. Ku jego zaskoczeniu niemal natychmiast coś nadjechało. Była to czarna wołga z powgniatanymi zderzakami i nagrzewnicą, która dmuchała w kolana pasażera zimnym powietrzem. Drobiny śniegu odbijały się od przedniej szyby niczym maleńkie piłeczki.

— Zna pan angielski? — spytał Daly.

Kierowca popatrzył na niego we wstecznym lusterku.

— Jasne. Mówię i rozumiem wszystko,

— Jak daleko stąd do Murmańska?

Kierowca wzruszył ramionami.

— Może pięćset.

— Mil?

— Dolarów. Rubli. Kilometrów. Wsio rawno. Nie dostanie się pan.

— Muszę!

Kierowca zaśmiał się.

— Kiedyś może tak. Nie dziś.

— Ale...

Uśmiech kierowcy był szeroki jak jezdnia, a jego oczy migotały w lusterku.

— Witamy w Archangielsku. To brama do bieguna północnego.

Kiedy dotarli do centrum i biura turystycznego Sputnik, było wpół do piątej i ciemno jak w worku węgla — jednak biorąc pod uwagę szerokość geograficzną, nie było w tym nic dziwnego. Według przewodnika Daly'ego Archangielsk leżał zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na południe od koła podbiegunowego.

Przez chwilę, stojąc przed biurkiem pracownicy Sputnika, miał nadzieję, że mu się uda. Urzędniczka obdarzała go kolejnymi szerokimi uśmiechami, równocześnie dzwoniąc i próbując znaleźć sposób — jakikolwiek sposób — dostania się do Murmańska. W pewnej chwili wyraźnie się ożywiła, ale zaraz jej uśmiech zamienił się w przyklejony grymas i jasne było, że mu po prostu kibicuje, trzymając za plecami skrzyżowane na szczęście palce.

Jej aktywność powoli zamierała, palce się rozplotły, a kąciki ust opadły. W końcu mruknęła coś z niechęcią i odłożyła słuchawkę.

— Kolej nie chodzi. Zamknięto wszystko od nas do Murmańska, czyli od nas do Moskwy i na wschód. Jest...

— Wiem. Wielka burza.

— Zgadza się. Pada za duży śnieg. — Wzruszyła ramionami. — Myślę, że będzie pan musiał zostać u nas na dzień albo dwa.

Daly jęknął, nie miał jednak innego wyjścia.

— A co z rezerwacją hotelu? Mogłaby pani...

Kobieta pokręciła głową.

— Zajmujemy się tylko przewozami.

Daly musiał zrobić okropnie nieszczęśliwą minę, bo urzędniczce najwyraźniej zrobiło się go żal. Zlustrowała go od stóp do głów, próbując jakoś pogodzić ze sobą jego drogie buty i

kurtkę z plecakiem, który wyglądał jak wyciągnięty psu z gardła. Był to wór z płótna w kolorze khaki z plastikowymi zatrzaskami, które miały kiedyś wyglądać jak skórzane, ale już od dawna tak nie wyglądały, i toporną, narysowaną długopisem „pacyfą” na klapie.

Urzędniczka wskazała na nią.

— Za Czeczenie? — spytała.

Daly milczał przez chwilę, zaskoczony.

— Może — odpowiedział w końcu. Kobieta uśmiechnęła się.

— Niech pan spróbuje w „Excelsiorze”. Jest fajny i blisko — tuż za rogiem. Spodoba się panu.

„Excelsior” rzeczywiście był „fajny”, ale zajęty do ostatniego miejsca, więc Daly usiadł w holu i zaczął wertować przewodnik Rosja, Ukraina i Białoruś. Jeśli chodziło o hotele, autorzy przewodnika nie bawili się w ceregiele: kwatery w Archangielsku były albo „tanie i paskudne” albo „do przyjęcia i drogie”. Dla Daly’ego, którego wydatki pokrywała fundacja, sprawa ceny nie grała roli — a przynajmniej nie powinna.

Jak jednak szybko stwierdził, hotele klasy DP&D (tak je sobie nazwał) były zapchane nafcjarzami i handlarzami diamentów, hurtownikami towarów masowych i oszustami w białych kołnierzykach ze wszystkich stron świata. Wyglądało na to, że Archangielsk stał się bazą awangardy awanturczych przedsiębiorców, zamierzających „zagospodarować” Syberię. Ciągnąc bagaż po śniegu, Daly odwiedził trzy hotele DP&D, ale wszystkie miały komplet. Wreszcie w hotelu „Puszkina” dyskretnie podał recepcjonistce kilka banknotów i poprosił o znalezienie pokoju — gdziekolwiek.

Zajął to niemal godzinę, ale w końcu wyszedł z budynku z kartką, na której było napisane: CZERNOMORSKAJA — ULICA JA TEMME 3.

Kiedy poprosił o zawołanie taksówki, portier popatrzył na niego powątpiewająco i posepnie pokręcił głową.

— Autobus lepszy — stwierdził, po czym wskazał na pobliski przystanek, gdzie kilka osób, sprawiających wrażenie przemarzniętych, czekało w świetle migającej latarni, mocno przytupując. Daly chciał się upierać, ale portier wyglądał na tak zdziwionego — niemal zranionego — że dał sobie spokój.

Potruchtał w kierunku przystanku, zastanawiając się, co powiedziałby jego ojciec. Starego nigdy nie nudziło pouczanie go, że nic nie osiągnie, jeżeli nie będzie potrafił „patrzeć faktom w oczy” i trzymać nerwów na wodzy. „Musisz hamować swoją irlandzką duszę, Frankie. Popatrz na mnie — mówił i walił się w tym momencie w pierś. — Całe życie pracuję za grosze, a wiesz dlaczego? Bo zawsze muszę mieć rację. Bo nie umiem trzymać na kłódkę swojej przemądrzałej gęby. Bo nigdy nie umiałem się pogodzić z tym, że czasem nie warto robić wielkiego halo z dupereli. To jak w tej piosence, w której koleś mówi: »Trzeba wiedzieć, kiedy spasować«. Wspomnienie uznania ojca dla dowcipu i mądrości Kenny’ego Rogersa rozbawiło Daly’ego.

Powoli zaczynały mu zamarzać kończyny — palce u nóg, stopy — a także twarz. Tupanie nic nie pomagało. Pomóc mógł mu jedynie autobus, kiedy więc wreszcie nadjechał, Frank natychmiast wskoczył do środka. Kierowca popatrzył na kartkę w jego dłoni i wskazując na zegarek, zatoczył na tarczy półkole. A więc do „Czemomorskiej” było pół godziny drogi.

Daly znalazł miejsce jak najbliżej grzejnika i usiadł. Jadąc przez Archangielsk trzęsącym się autobusem, którego okna były tak zamrożone, że równie dobrze mogli lecieć w chmurach, nie był w stanie wypędzić z głowy słów ulubionej piosenki ojca.

Krążyła mu po głowie niczym karaluch po cukiernicy.

Gra się kartami, jakie rozdada — możesz grać, spasować, odejść od stołu albo...

Albo co? No tak, można jeszcze uciec. O tym zawsze zapominał. Można jeszcze uciec.

Kiedy dotarł do hotelu, śnieg padał poziomo, a niemal cały budynek był pozbawiony światła. W piwnicy dudnił generator, dając tylko tyle elektryczności, że goście hotelowi nie wpadali na ściany, ale poza tym niewiele było widać. Nieliczne żarówki były wspierane przez świece, które sprawiały, że obskurna recepcja była skąpana w złowrogim żółtym mroku, pachnącym woskiem.

Daly wszedł do środka i rozejrzył się. W rogu, na obitej czerwonym skajem kanapie, siedziała ubrana w poliestrowe ciuchy prostytutka o żółtej twarzy i malowała sobie paznokcie. Tuż obok niej na rozpadającym się krześle siedział japoński biznesmen i przeglądał komiks, a nieco dalej trzech młodzieńców w czarnych skórzanych kurtkach kłóciło się przy butelce wódki.

Daly wypełnił kartę meldunkową i zapłacił dolarami. Kiedy recepcjonista liczył pieniądze, Daly przeczytał napisaną ręcznie kartkę, wiszącą za jego plecami:

**POTRZEBUJESZ PIENIĘDZY? MOŻESZ SPRZEDAĆ SWOJE RZECZY
W NASZYM SKLEPIE NA PIERWSZYM PIĘTRZE. UCZCIWE CENY!**

Daly był zafascynowany i z lekka przerażony rosyjską kleptokracją, w której wszystko, co nie było zamocowane na stałe, można było kraść i sprzedawać. Już w Moskwie dwóch ludzi chciało kupić od niego okulary przeciwsłoneczne, a dzieciak na motorowerze próbował ściągnąć mu zegarek. Kierowcy zdejmowali wycieraczki, zabierali je ze sobą do lokalu i kładli obok talerzy, gdzie wyglądały jak dodatkowe sztuce. Po dwóch dniach spędzonych w stolicy Rosji Daly zrozumiał, że prędzej czy później ktoś zechce go zabić, by zabrać mu komputer, zamienił więc drogą skórzaną torbę na postrzępiony plecak. Laptop — wart cztery tysiące dolarów ThinkPad — bez trudu zmieścił się w czymś, co w poprzednim wcieleniu było prawdopodobnie pojemnikiem na kredki i kanapki z masłem orzechowym (czy co tam rosyjskie dzieci jedzą w szkołach na drugie śniadanie — może buraki).

Po dłuższej chwili czekania na windę zrezygnował i z kluczem w dłoni ruszył w górę ciemnymi schodami. Gdzieś między pierwszym a drugim piętrem usłyszał krzyk. Głos był zduszony i pełen przerażenia, równocześnie daleki i bliski. Kiedy uświadomił sobie, że dolatuje z wnętrza ściany, włosy na karku stanęły mu dęba. Nagle zrozumiał: nie było to nic nadprzyrodzonego, ktoś po prostu utknął w windzie. Z westchnieniem ruszył w drogę powrotną i poinformował o tym recepcjonistę. Ale ten jedynie odwrócił dłonie wnętrzem do sufitu i powiedział cichym, ponurym głosem:

— Co dzień ten sam problem. To wina polityki konserwacyjnej. Pewnie potrwa godzinę... może dwie.

Średnia przyjemność, pomyślał Daly, postanawiając trzymać się z daleka od wind. Jego pokój znajdował się na trzecim piętrze. Kiedy już tam się znalazł, dłuższą chwilę zajęło mu majstrowanie przy zamku.

Wszedł do środka, rzucił plecak na łóżko i czując jak ogarnia go przygnębienie, zlustrował poplamione tapety, popękane kinkiety i pełne zacieków płytki ceramiczne na suficie. Tuż przy drzwiach terkotał grzejnik, chociaż był zimny. Jedyne okno otwierało się na szyb wentylacyjny, co oznaczało, że pokój jest ciemniejszy, ale i cieplejszy od wielu innych w budynku. Mimo to wiatr przedostał się przez szparę między parapetem a framugą okna i na wytartym dywanie leżała kupka gruboziarnistego śniegu. Daly przez chwilę mu się przyglądał w nadziei, że za chwilę stopnieje, ale śnieg trzymał się znakomicie.

Daly skrzyżował ramiona na piersi, wbił pięści pod pachy i usiadł na skraju łóżka. Westchnął, popatrzył na parę z ust, która wirując, rozplynęła się w powietrzu, i wzdygnął się.

Niezależnie od tego, jak było mu zimno i niewygodnie, jedno było pocieszające: przy takiej burzy „Rex Mundi” nigdzie nie wypłynie.

77°30'N,20°12'E

Annie stała na biegnącym wysoko nad pokładem pomoście i wpatrywała się w lód. Trwały lód, pomyślała. Jak przy brzegach. A to oznaczało, że jest połączony ze stałym lądem. Tylko spokojnie, upomniała sama siebie.

Nie lubiła popełniać błędów. Dawało to Śniegowym Bałwanom okazję do wyśmiewania się z niej. A jeśli nawet nie wyśmiewania się, to traktowania jej z góry — obrzucania jej rozbawionymi spojrzeniami i serwowania „pomocnych” uwag. Nie za bardzo umiała sobie z tym poradzić — czuła się wtedy jak idiotka, czerwieniła się i przechodziła do defensywy. Nie mogła nic na to poradzić. Zawsze jej mówiono, że w jej rodzinie tak już jest: wszyscy mieli „cienką skórę”.

Zanim na tyle dorosła, by zrozumieć, że to jedynie metafora, uważała tę „cienką skórę” za coś w rodzaju choroby, ułomności, którą odziedziczyła po matce razem z wysoko wysklepionymi kośćmi policzkowymi. CIENKA SKÓRA. Brzmiało to jak coś, co tylko czeka, by pęknąć. Jak lód na stawie.

Trwały lód. Wszędzie.

Uciekli przed burzą i dzień był przepiękny — błękitne niebo i temperatura nieco powyżej zera. „Rex Mundi” przesuwiał się powolutku do przodu, krusząc lód, jego pokład i nadbudówki pokrywała gruba warstwa odłamków. Kierował się na Storfjorden — przesmyk między zlodowaciałym wschodnim brzegiem Spitsbergenu a zachodnim wybrzeżem Wyspy Edge’a.

Annie wpatrywała się w nierówną powierzchnię lodu, ciągnącego się przed dziobem statku aż po horyzont. Szukała ciemniejszej plamki, pierwszego sygnału tego, co Śniegowe Bałwany nazywały „tropem” — pęknięcia w lodzie, które doprowadziłyby ich do atramentowoczarnej otwartej wody.

Gdyby do niej dotarli, mogliby płynąć szybciej.

Choć pospieszne wypłynięcie z portu sprawiło, że „dostali w prezencie” kilka dodatkowych dni, Annie martwiła się zarówno ramami czasowymi, jak i dalszym przebiegiem wyprawy. Pierwsza część podróży — na północ i północny zachód przez Morze Barentsa — minęła błyskawicznie. Murmańsk przez cały rok nie zamarza, ponieważ opływa go ten sam ciepły prąd atlantycki, który sprawia, że zachodnie brzeże Spitsbergenu jest dostępne przez większą część roku.

Kiedy jednak skręcili na wschód, kierując się ku przesmykowi Storfjorden, otoczył ich zbity lód. Gdy znaleźli się w fiordzie, jego warstwa wyraźnie pogrubiała, co oznaczało wiele godzin „trwałego” lodu i powolnego przebijania się do przodu. Helikopter raz za razem startował w poszukiwaniu „tropów”, które zaprowadziłyby ich do kanałów wodnych, przecinających lód niczym lodowate strumienie.

Śniegowe Bałwany kazały jednak zaprzestać lotów. Fizyk, który równocześnie był pilotem helikoptera, uznał, że lepiej będzie, jeśli zaoszczędzą paliwo do wożenia zapasów między statkiem a Kopervik, tak więc nie pozostało im nic innego jak przebijać się przez lód i mieć nadzieję na szybkie dotarcie do wody.

Poza „tropami” w wielu miejscach „wiecznego lodu” były też płaszczyny otwartej wody, coś w rodzaju jezior. Powiedziano Annie, że co roku pojawiają się w tych samych miejscach. Ich wielkość i pozycję dokumentowano na mapach, utworzonych z nakładających się na siebie rysunków. Jedno z takich jezior widziała rano — ktoś z załogi pokazał jej, gdzie należy się ich spodziewać. Na mapie był to wydłużony kształt, przypominający ptasie

pióro, zwijające się ku lądowi — w kierunku jedynej ciemnej plamki na Wyspie Edge'a: obozu górniczego Kopervik.

Problem polegał na tym, że mapy sporządzano od niewielu lat i nie dało się określić, kiedy „jeziorko” może zniknąć. Mozolne przegryzanie się przez lód sprawiało, że „Rex Mundi” poruszał się jedynie z ułamkiem prędkości, na jaką było go stać, jeśli więc miałoby przez całą drogę przebijać się przez lód, to... cóż, zajmie im to sporo czasu.

Gdyby jednak wypłynęli na otwartą wodę w ciągu kilku najbliższych godzin, po południu dotarliby do celu i rano zeszli na ląd.

Annie nie umiała opanować niecierpliwości. Wniosek o dofinansowanie był jej pomysłem i kiedy — mimo wsparcia doktora K. — Narodowa Fundacja Nauki go odrzuciła, była zdruzgotana. A teraz, kiedy zaakceptowano projekt, drżała z podniecenia, pragnąc natychmiast przystąpić do działania.

Zamierzali pobrać próbki wirusa z płuc górników. Chcieli zastosować przy tym technikę, zwaną restrukturyzacją łańcucha polimerazy albo PCR, która pozwoli na odtworzenie wirusa w laboratorium. Gdyby mieli szczęście i udałoby im się zdobyć wystarczającą ilość materiału, umożliwiającą wyhodowanie szczepu, który zabił górników, mogliby oczywiście wyprodukować szczepionkę (na wypadek, gdyby ktokolwiek jej potrzebował). Znacznie ważniejsze było jednak (przynajmniej z punktu widzenia Annie), że mogliby sprawdzić teorię doktora K, dotyczącą związku rodzaju otoczki białkowej wirusa ze złośliwością szczepów grypy. Byłyby to pionierskie badania...

Annie ze zdziwieniem dowiedziała się, że jeszcze na przełomie XIX i XX wieku były na Ziemi miejsca tak niegościnne, że nie należały do żadnego suwerennego państwa. Jednym z nich aż do 1939 roku był archipelag Svalbard, do którego należy Spitsbergen. Do tego czasu — bo potem stał się częścią Norwegii — należał do wszystkich. Każdy mógł korzystać z jego zasobów — pod warunkiem, że był gotów wytrzymać kilka miesięcy ciemności i izolacji, złej pogody i zagrożenia ze strony niedźwiedzi polarnych. (Jeszcze dziś osoby odwiedzające Svalbard przybywają tu uzbrojone — i to nie w dwudziestkiwójki, wybierają raczej strzelby i broń ręczną kalibru .45, mogącą powalić na miejscu ważącego trzysta kilogramów niedźwiedzia).

Nie znaczy to oczywiście, że Svalbard ma dużo surowców naturalnych. Kiedyś były tu pokłady węgla i jako pierwszy zaczął je eksploatować amerykański biznesmen John Longyear, który w 1906 roku założył Arktyczne Towarzystwo Węglowe. Pod auspicjami tej firmy otwarto kopalnię węgla na Spitsbergenie, co wywołało „gorączkę węgla”, podczas której awanturniczy Brytyjczycy, Duńczycy i Rosjanie zaczęli zakładać szyby wydobywcze wzdłuż i wszerz archipelagu.

Z początku wydobywanie przynosiło zyski, ale wkrótce zaczęło stawać się coraz droższe. Tak naprawdę jednak chodziło o sam archipelag, broni on bowiem dostępu do Morza Barentsa, a nie o leżący pod lodem węgiel.

W końcu górę wzięli Norwegowie — dokonali tego dzięki podtrzymywaniu działalności takich szybów wydobywczych jak Kopervik, kopalni produkującej najdroższy węgiel świata. Kopalnia działała do momentu ostatecznego przyznania terenu Norwegii, po czym natychmiast ją zamknięto.

Teraz, prawie sześćdziesiąt lat później, Armie i doktor K. szukali całkiem innego zakopanego „skarbu”: jednego z najbardziej złośliwych i zaraźliwych wirusów w historii ludzkości. Znajdował się on — taką przynajmniej mieli nadzieję — niecały metr pod powierzchnią wiecznej zmarzliny, w płucach pięciu norweskich górników, którzy osiemdziesiąt lat wcześniej zadławili się własną śliną. Z zapisu w księdze parafialnej, prowadzonej przez działającego wtedy w Kopervik luterańskiego pastora, wynikało, że ciała górników złożono w zachodnim rogu cmentarza, tuż za kaplicą.

Przed przystąpieniem do prac ekshumacyjnych ekipę NOAA czekało pobranie z wiecznej zmarzliny próbek lodu, tak zwanych rdzeni. Jeżeli pobrane próbki wykażą, że dochodziło do rozmrażania i ponownego zamrażania lodu, będą musieli zrezygnować z kontynuacji prac. Wirus grypy po śmierci gospodarza bardzo szybko ginie, toteż wydobywanie zwłok, które rozmroziły się choć raz po 1918 roku, byłoby bez sensu.

A było to bardzo prawdopodobne.

Cholerny lód, myślała Annie, wpatrując się w pomarszczony ocean bieli z nadzieją, że ujrzy płamę czarnej wody. Nic takiego jednak się nie pojawiało — widziała tylko krystalicznie błękitne niebo i pofalowany lód — biały jak śnieg i tak samo oślepiający.

Sedno tkwiło w tym, że... ekspedycja była jej dzieckiem. Nic dziwnego, że się niecierpliwiła.

To ona — zachęcana przez doktora K. — spędzała niemal cały wolny czas, zajmując się położonymi na dużych wysokościach osiedlami w tak odległych miejscach jak Chile, Syberia i Tybet — i szukając tego, co doktor K. nazywał „realnymi ofiarami”.

W końcu w jednym z dawnych wydań „New York Timesa” przeczytała o Spitsbergenie. Artykuł dotyczył rosyjskich i norweskich roszczeń wobec archipelagu Svalbard. Wspomniano w nim także o znajdującej się na archipelagu kopalni węgla i o tym, że pracujący w niej górnicy w 1918 roku zarazili się hiszpańską grypą. Informacja o śmierci górników nie zaskoczyła jej, zdziwiło ją za to co innego: to, że górników pochowano na miejscu, że nie zabrano ich na kontynent. Zaciekawiona tym, zaczęła grzebać głębiej i w ten sposób dowiedziała się, jak wyglądały praktyki pogrzebowe na mroźnej Północy.

Miejscowi najczęściej kładli zwłoki na lodzie i przykrywali je stosem kamieni. Kopanie grobu w zmarzniętej ziemi nie wchodziło w rachubę — była twarda jak skała do głębokości kilku metrów. Lepiej było pozwolić działać naturalnym procesom, i tak też robiono. Koniec końców zmarłymi zajmowały się polarne niedźwiedzie.

Firmy wydobywcze miały jednak do dyspozycji materiały wybuchowe. Wiercono w zmarzniętej ziemi otwory, wsuwano w nie dynamit i wybuch wyrywał w gruncie dziurę o głębokości niemal metra. Było to więcej niż potrzeba: ani ciepło, ani niedźwiedzie nie miały szansy dostać się tak głęboko.

A przynajmniej Annie miała taką nadzieję. W porozumieniu z doktorem K. napisała do firmy wydobywczej z prośbą o podanie szczegółów pogrzebu. Firma nie istniała od II wojny światowej, ale kancelaria prawnicza, reprezentująca kiedyś jej interesy, skontaktowała Annie z kościołem, którego pastor zajmował się obozami górniczymi Kopervik i Longyearbyen. Na podstawie dokumentów kościelnych ustalono tożsamość zmarłych górników oraz ich bliskich i Annie porozumiała się z ich potomkami, by uzyskać pozwolenie na ekshumację i ponowne pochowanie zmarłych.

Doktor K. nie włączał się do tych działań, ale po załatwieniu wszystkich wstępnych spraw złożył w imieniu ich obojga wnioski o dotację na badania — po to tylko jednak, by otrzymać odmowę.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że projekt jest interesujący i zasługuje na realizację. Poza tym był „na czasie” — zdawano sobie sprawę, że wkrótce może dojść do dużej mutacji wirusa grypy. Następowало to mniej więcej co trzydzieści lat, więc sprawa była „spóźniona”. Zgadzano się co do tego, że jeżeli „przeszłość była prologiem”, nadchodząca zmiana będzie dotyczyć szczepu H-1 — podobnego do hiszpanki. Zgadzano się także co do tego, że teoria doktora K. jest obiecująca — ponieważ jeżeli uda się znaleźć próbki szczepu z 1918 roku, można też będzie uzyskać istotne informacje o związkach między zjadliwością szczepu i jego strukturą antygenową.

Jeżeli doktor K. miał rację, można byłoby zidentyfikować co bardziej zjadliwe szczepy na podstawie stosunkowo dużej haczykowatej wypustki, znajdującej się na białkowej otoczce antygeny. Wśród wirologów żartobliwie nazywano tę wypustkę „Rogiem Kicklightera”.

Jeszcze w obecnych czasach udawało się tu i ówdzie stwierdzić występowanie wirusa typu H-1 — tyle że zaatakowani przez niego ludzie nie umierali już masowo. Prowadzone przez doktora K. badania zdawały się potwierdzać jego teorię — wirusowi brakowało wyraźnego „haczyka” i był znacznie mniej zjadliwy. Zbadanie szczepu z 1918 roku pozwoliłoby zweryfikować tę teorię — i dowiedzieć się wielu innych rzeczy na temat wirusa.

Choć wyglądało to może egoistycznie, Annie nie mogła przestać myśleć o tym, że gdyby poszukiwania wirusa się powiodły, mogłaby się ubiegać o otrzymanie w Georgetown dożywotniej posady.

Być może mogłaby nawet osiągnąć znacznie więcej, gdyby miesiąc przed złożeniem wniosku do Narodowej Fundacji Nauki, w Narodowym Laboratorium Badania Arbo wirusa w Cambridge w stanie Massachusetts nie doszło do wypadku, szczegółowo opisywanego w prasie i telewizji. W wyniku zniszczenia w wirówce pojemniczka z próbkami dwóch lekarzy i technik laboratoryjny zostali zarażeni sibią — kończącą się często śmiercią gorączką krwotoczną, spotykaną kiedyś wyłącznie w Brazylii. Choć zagrożenie natychmiast opanowano, brukowce dowiedziały się o incydencie i doszło do przesłuchań przed komisją Kongresu, które wyraźnie ochłodziły entuzjazm Narodowej Fundacji Nauki. Obawiając się dalszej krytyki, fundacja odmówiła finansowania ekspedycji, której celem było de facto uwolnienie jednego z najbardziej niebezpiecznych wirusów w historii ludzkości.

Minął rok, Annie niemal zapomniała o wniosku, jaki złożyli, i nagle pojawiły się fundusze — choć nie z Narodowej Fundacji Zdrowia, a z niewielkiej fundacji, która miała siedzibę w budynku mieszczącym się tuż obok Sądu Najwyższego.

Annie nigdy o niej nie słyszała, nie miała też pojęcia, że doktor K. przesłał wniosek o dotację innym instytucjom. Cóż, taki już był — różne rzeczy zachowywał dla siebie. Prawdopodobnie po to, aby oszczędzić jej dalszych rozczarowań. Nie miała mu tego za złe.

Opuściła lornetkę i próbowała siłą woli sprawić, by w lodzie pojawił się wodny „trop”. Nic takiego jednak nie zobaczyła, Widziała wyłącznie lód, śnieg i...

...migotliwe wzorki przed oczami, wirujące niczym układające się i przemieniające fraktale. Czytała o tym — była to często występująca halucynacja i Annie wiedziała z artykułu, przeczytanego tydzień wcześniej, że pierwszy opisał to zjawisko dziewiętnastowieczny badacz, który razem z marynarzami przeszedł pół Ziemi Baffina, kiedy ich statek zamarł w lodzie i został „zgnieciony jak orzech”.

Im to z pewnością nie groziło — w ich przypadku nie było ryzyka zablokowania statku przez lód. „Rex” został zaprojektowany do pływania po wodach Arktyki i dzięki wzmocnianemu stalowemu kadłubowi mógł przebijać się przez lód o grubości nawet sześciu metrów. Annie jednak wolałaby poruszać się szybciej. Zamknęła na chwilę oczy — tak jak zalecano w przypadku rozpoczynania się halucynacji. Na samą myśl o owym badaczu polarnym i jego załodze zrobiło jej się zimno. Najpierw zjedli psy, potem zaczęli zjadać namioty, a na koniec własne ubrania. Ostatnią rzeczą, jaką zjedli, były buty — choć nie mieli już wtedy zębów. Dziennik ekspedycji odnalazła następna wyprawa — był owinięty w naoliwiony papier i zamknięty w puszcze po tytoniu. Kierownik ekspedycji opisał w nim smak skóry z butów i to, jak trzymał ją bez zucia na języku, aż rozpuściła się niczym komunijny opłatek. Prawdopodobnie niedługo potem umarł. Uwagę Annie zwróciła jakaś zmiana w powietrzu, zmrużyła więc oczy i z nadzieją wpatrzyła się w dal. Na horyzoncie pojawiły się deszczowe chmury — albo coś, co je przypominało. Przyłożyła do oczu lornetkę i jej euforia natychmiast zgasła: były to burzowe chmury. Potrzebowali kolejnej burzy jak dziury w moście.

Choć miała na sobie wiele warstw ubrania — od termicznej bielizny zaczynając, a na czerwonej kurtce kończąc (takie same kurtki mieli wszyscy pasażerowie „Rexa”), w której wyglądała jak figurka z reklamy opon Michelin — przeszył ją dreszcz. Było jej zimno, nie

chciała jednak wracać do kabiny ani nawet na ciepły mostek. Miała irracjonalne poczucie, że jeśli przestanie wpatrywać się w przestrzeń przed dziobem, otwarta woda nigdy się nie pojawi. A musiała się pojawić. Wkrótce.

Jej wzrok powędrował w kierunku znajdującego się poniżej pomostu, na którym stał doktor K. z założonymi rękami i zaciśniętą szczęką, obserwując horyzont. Prawdopodobnie był zdenerwowany — musiał być zdenerwowany, ale oczywiście nie mógł niczego po sobie okazać. W odróżnieniu od niej umiał skrywać swoje emocje.

Nie dotyczyło to jednak nietolerancji wobec czyichś błędów. W Georgetown i Narodowych Instytutach Zdrowia uważany był za jednego z najlepszych na świecie ekspertów od wirusów RNA. Wspominano nawet o Nagrodzie Nobla — właściwie stale „mówiono o Noblu” — on sam jednak wzruszał tylko ramionami.

— Nie jestem zainteresowany trofeami — mawiał.

W Georgetown nie był zbyt lubiany. Kiedy ktoś się dowiadywał, że Annie jest jedną z jego asystentek, słyszała często:

— Pracujesz z Dickbiterem *? Jak ty to wytrzymujesz?

Odpowiadała wtedy zazwyczaj, że doktor jest po prostu nieśmiały, że żyje w swoim własnym świecie i że... no cóż, brakuje mu umiejętności współżycia z ludźmi.

Był to jeden ze sposobów określania go, ale trzeba było przyznać, że doktor K. nie bywał wredny. Nie złościł się i nigdy nie chował urazy. Problem polegał na tym, że jeżeli się z nim pracowało i nie umiało się nadażyć za skokami myślowymi, jakich dokonywał (a większość jego studentów nie była w stanie za nimi nadażyć), musiał przerywać swój wywód i wyjaśniać. Czasem coś przy tym gubił — a niekiedy to, co mu uciekało z głowy, było ważne.

Jeżeli jakieś pytanie zostało zadane w szczególnie nieodpowiedniej chwili, działo się z nim coś, czego naśladowanie było ulubioną rozrywką jego studentów. Opadały mu ramiona, przechylał głowę na bok i zaczynał powoli, cierpliwie tłumaczyć — głosem tak cichym i monotonnym, że słuchacz miał wrażenie, iż słucha nagrania — i wkrótce dowiadywał się, że w swoim rozumowaniu popełnił szereg błędów, niegodnych nawet początkującego.

Było to bardzo upokarzające doświadczenie, Annie zdawała sobie jednak sprawę z tego, że kryje się za tym żal doktora, iż musiał stracić czas na zajęcie się głupim pytaniem.

Oczywiście nigdy by się głośno do tego nie przyznała, wiedziała bowiem, że zabrzmiałoby to jak przechwałka, jak stwierdzenie, iż przynajmniej ona jest na tyle błyskotliwa, by móc podążać za stale pędzącym do przodu umysłem doktora K. Chociaż... czasem zdarzało się, że przez cały czas za nim podążała, a kiedy tracił rozpęd — popychała go dalej. Było to co prawda bardzo wyczerpujące, ale...

— Lepiej będzie, jeśli wejdiesz do środka, skarbie.

Podskoczyła. Głos pojawił się nagle tuż przy jej uchu i sprawił, że serce Annie gwałtownie załomotało o żebra.

Nie umiała się do tego przyzwyczaić — do specyficznej intymności, narzucanej im przez wytwarzany przez statek hałas. Odgłosy, jakie statek wydawał przy przebijaniu się przez gruby lód, były niesamowite — jak gdzieś wyczytała, przypominały „odgłosy wydawane przez giganta zgryzającego głazy”. Dolatywały od dziobu — a maszyny, znajdujące się na rufie, też dodawały swoje: nieustanny, gwizdzący łoskot, który przepływał, pulsując, przez pokłady, tak samo płynnie i nieprzerwanie jak lód wzdłuż burt.

Członkowie załogi najwyraźniej przyzwyczaili się do wysokiego poziomu hałasu, tak samo Śniegowe Bałwany. Na pokładzie „Rexa” było ośmiu fizyków i wszyscy używali czegoś w rodzaju języka migowego, a kiedy chcieli porozumieć się za pomocą mowy, nie bawili się w ceregiele, lecz po prostu wrzeszczeli człowiekowi do ucha.

* Dość sprośna trawestacja nazwiska Kicklighter. Dickbiter to w swobodnym tłumaczeniu „odgryzacz kutasów” (przyp. tłum.).

Łaskotanie skóry, spowodowane dotykiem powietrza płynącego z ust mówiącej w ten sposób osoby, było dziwnie intymnym doświadczeniem. Annie nie nawykła do czegoś takiego. Nawet jeśli zdążyła zauważyć, że ktoś pochyla w jej kierunku głowę, odsuwała się gwałtownie, jakby chciała uniknąć pocałunku. Ale kiedy zrobiła coś takiego, czuła się głupia. W dodatku czerwieniła się — tak samo jak w tej chwili.

Był to Mark, najstarszy z fizyków, specjalizujący się w badaniu próbek lodu. Znów pochylił się nad Annie, jednak tym razem niemal całkiem udało jej się pohamować odruch szarpnięcia głową w bok.

— Na policzku zaczyna ci się pojawiać plamka odmrożenia — oświadczył.

Wyprostował się i dotknął swojego policzka dłonią w rękawicy. Dała mu znak, by się pochylił i posłuchał tego, co ma mu do powiedzenia, pokręcił jednak tylko niecierpliwie głową i machnął ręką, dając w ten sposób do zrozumienia, że Annie ma bez dyskusji wejść do środka. Wskazała na doktora K., Mark złapał ją jednak za ramię i popchnął w kierunku drzwi.

Po mniej więcej minucie on także wszedł do środka. W ciepłym powietrzu smugi pary unosiły się z ich ubrań niczym dym.

— Kim ty właściwie dla niego jesteś? — spytał, wskazując ruchem głowy na zewnątrz. — Jego opiekunką?

— Nie zauważy, że dostaje odmrożeń. Chciałam tylko...

— To ty nie zauważyłaś, że dostajesz odmrożeń. — Zdjął gogle i pochylił się, by obejrzeć jej policzki. — Nie, nic się nie dzieje, możesz się nie przejmować... Doktorowi, też nic nie jest, rzuciłem na niego okiem. A tak poza tym to co tam robiłaś? Ktoś mi powiedział, że siedziałaś na pokładzie ponad godzinę.

— Wypatrywałam wody.

— No to przestań się martwić. Dopłyniemy do otwartej wody za pół godziny albo nawet szybciej.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

— Jest błysk — dodał.

Zmarszczyła brwi, nie do końca pewna, czy sobie z niej nie żartuje.

— Błysk...? — powtórzyła.

— Jaka ty jesteś podejrzliwa! — Wziął ją za ramię i zaprowadził do okienka. — Popatrz na niebo, tuż nad horyzontem. Widzisz te ciemne kontury?

Annie skinęła głową.

— Zbiera się na burzę — stwierdziła.

Mark pokręcił głową.

— Nie będzie żadnej burzy, a to wcale nie są chmury. Już kilka razy ci mówiłem, że nie mamy tu zbyt wiele śniegu. Nawet w Atlancie jest go więcej. Arktyka to pustynia.

Annie patrzyła przez szybę, pokrytą warstwą ochronną pochłaniającą nadmiar jasności.

— Dlaczego mówisz, że to nie są chmury? Popatrz na nie! To na pewno chmury!

— To odbicie. Lód i śnieg powodują wytwarzanie się w powietrzu warstw o różnych temperaturach, które wywołują czasem zwariowane odbicia. Dzięki temu często można na przykład spoglądać za horyzont.

— Oczywiście — mruknęła Annie. — A kiedy powietrze jest klarowne, widzi się przyszłość. A może zawsze?

— Mówię poważnie. Kiedy wokół jest lód i powstanie odpowiednia kombinacja warunków, można ujrzeć wodę, znajdującą się w rzeczywistości za horyzontem. Odbija się na niebie. A kiedy jest się na wodzie, można zobaczyć lód — w dawnych czasach stawiano na dziobie obserwatora, który obserwował niebo i w ten sposób ostrzegał o zbliżaniu się gór lodowych. — Mark wskazał dłonią na przestrzeń przed dziobem statku. — Zjawisko to nazwano „błyskiem”. Błysk wody. Błysk lodu. Błysk śniegu. Tam właśnie — przed nami — widać błysk wody. Będziemy na otwartym morzu najdalej za godzinę, zobaczysz.

Nie bardzo w to wierzyła — aż do chwili, kiedy przepowiednia fizyka się spełniła. Była właśnie w kabinie i przebierała się w suche ubranie, kiedy nagle zapanowała kompletna cisza. Lód się rozstąpił, zgrzyt metalu o twardą jak skała warstwę umilkł, a świat — cały świat — popłynął łagodnie do przodu niczym wiertło, które przebiło się przez grubą deskę.

Annie uśmiechnęła się, opadła na koję i zamknęła oczy. Widziała to wszystko niemal tak wyraźnie, jakby oglądała film: dziób ciał otwartą wodę jak nóż masło, a ciemne morze rozstępowało się, odpychając na boki kłęby fosforyzującej piany.

Tuż przed nimi, niemal na wyciągnięcie ręki, było Kopervik. A w nim wirus i przyszłość Annie.

7

ARCHANGELSK 24 MARCA 1998

— Ten statek odpłynął.

— Niemożliwe. To musi być pomyłka — zaprotestował Daly. Burza nadal szalała, więc urzędnik Agencji Morskiej Polarsk musiał się mylić. — Tak, miał odpłynąć wczoraj, ale... przecież mnie nie udało się dotrzeć nawet do Murmańska.

Młody człowiek słuchał tego cierpliwie, owijając wokół palca długie pasmo tłustych włosów. Kiedy Daly umilkł, powtórzył:

— Odpłynął.

— Ale... jest sztorm. Szaleje pieprzony huragan! Nikt w taką pogodę nie wypływa!

Urzędnik westchnął, wygładził leżącą przed nim kartkę faksowego papieru i przyłożył palec mniej więcej w połowie znajdującego się na niej tekstu.

— Słyszę, co mówisz, człowieku, ale to lodołamacz, a poza tym wypłynęli przed sztormem.

— Co takiego?! — Daly'ego zatkało.

— Wyszli w morze jedenasta zero zero — powiedział młody człowiek. — Wczoraj.

Daly przeciągnął dłonią przez włosy i opadł na oparcie krzesła. Wyglądało na to, że chłopak wie, o czym mówi. Nagle dotarła do niego cała prawda: nie tylko nie zdążył na statek, ale jeszcze do tego odpłynęli tuż przed tym, gdy miał się zjawić!

To go najbardziej wkurzało. On się zamartwiał, że zatrzymuje Kicklightera i Adair — na pewno zastanawiali się, gdzie jest, i tak dalej — tylko po to, by się dowiedzieć, że zwyczajnie puścili go kantem. Tak, jakby nie tkwił w hotelu „Czernomorskaja” — pieprzonym hotelu „Czernomorskaja”! — w Archangielsku, lecz stał sobie pod kinem w Waszyngtonie!

— Mogę wysłać faks? — zapytał.

— Nie na „Rex Mundi” — odparł chłopak i pokręcił głową. — To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo to... statek. Musi pan wysłać teleks.

— Teleks? — Daly nie bardzo wiedział, co to w ogóle jest. Chyba jakiś rodzaj telegramu. Nie wdając się jednak w szczegóły, powiedział tylko: — W porządku, więc wyślij teleks. Gdzie mogę to zrobić?

Główny urząd pocztowy znajdował się zaraz za rogiem, na ulicy Woskriesienije. Miało to swoje plusy, bo kiedy Daly wyszedł z biura towarzystwa żeglugowego, zimno zaczęło go kąsać jak pies. Przez chwilę miał wrażenie, że zamarznie na miejscu. Nie było to zimno, z jakim ma się do czynienia w Stanach. Takiego zimna nie odczuwa się nigdzie na świecie. Daly czuł, jak go paraliżuje i wysysa mu krew z serca.

Z północy — prosto z Murmańska — dęła lodowata bryza, która kłuła twarz zmrożonym śniegiem, sprawiającym wrażenie, jakby stanowił mieszaninę granulek lodu i grubego piachu. Daly wzdrygnął się, opuścił ramiona, owinał się ciasniej kurtką, schował podbródek w kołnierz i poczłapał przed siebie. Ostrożnie stawiając nogi, sunął po krze, która udawała chodnik, i kierował się w dół, ku zamarzniętej rzece.

Panował półmrok i niewiele było widać. Ulica Woskriesienije znajdowała się po lewej stronie, ale nie wyglądała jak zwykła ulica. Daly przyciskał podbródek do piersi i idąc za sznurem latarni w kierunku Dwiny, miał wrażenie, że znalazł się w jakimś surrealistycznym świecie. Słupy latarni były oblepione śniegiem i niemal niewidoczne — zdawało się, że światła wiszą w powietrzu, utrzymywane jakąś magiczną siłą — blade i zamazane, podskakujące na wietrze.

Na placu — chyba imienia Lenina — tam i z powrotem jeździł spychacz i zsuwał śnieg w sterty, które piętrzył w rogach prostokątnej przestrzeni. Szczękając zębami z zimna, Daly pomyślał, że chyba dość długo tam poleżą.

Kiedy dotarł do poczty, wspinał się oblodzonymi schodami do wejścia, z trudem otworzył drzwi i wszedł do ciepłego kokonu, pachnącego mokrą wełną, potem i tanim tytoniem. Mężczyźni i kobiety o rumianych twarzach, ubrani w grube ubrania, sprawiające, iż wyglądali jak nadmuchiwane lalki, stali w długich kolejkach do ponumerowanych okienek. Daly chodził od jednej osoby do drugiej, pytając: „Teleks? Teleks?” — ale najwyraźniej nikt nie pojmował, o co mu chodzi. W końcu jakiś mężczyzna w futrzanej czapce złapał go za rękaw i wyjaśnił mu znakomitym, pozbawionym akcentu angielskim, jak wysłać teleks.

Daly poszedł do kontuaru w głębi sali i z tyłu koperty, którą miał z hotelu „New World Aster” w Szanghaju, napisał wiadomość:

DR BENTON F. KICKLIGHTER
EKSPEDYCJA KOPERVIK
M/S REX MUNDI
CZĘST. 333-80
JEST MROCNY I BURZLIWY DZIEŃ.
UTKNAŁEM W ARCHANGIELSKU.
SPOTKAM WAS W HAMMERFEST
FRANK DALY

Kiedy przeczytał jeszcze raz tekst wiadomości, poczuł ogromną chęć dodania czegoś paskudnego i ordynarnego na temat robienia ludzi w wała, ale po chwili doszedł do wniosku, że nic dobrego by z tego nie wynikło.

Ponownie przeczytał wiadomość, zmarszczył czoło i zgniótł kartkę. Po pierwsze, płaciło się od słowa, a stawka była na tyle wysoka, by zniechęcić do używania wszystkiego poza rzeczownikami i czasownikami. Po drugie, Kicklighter nie wyglądał na faceta, którego można łatwo rozbawić. Nie umiałby docenić zdania „jest mroczny i burzliwy dzień”. Podczas nielicznych rozmów, jakie przeprowadzili, zrobił na Dalym wrażenie protekcjonalnego skurwiela, cierpiącego na ostatnią fazę choroby ZWC — zespołu wielkiego człowieka. Jak to on się wyraził?

„Powie panu prawdę, panie Daly: dziennikarze nie robią na mnie wrażenia. Cechuje was niezbyt wielka zdolność do dłuższej koncentracji”.

Uderzył potem językiem o podniebienie, jednym kłusnięciem pozbywając się zarówno Daly’ego, jak i całego dziennikarskiego świata. Daly musiał zdobyć się na spory wysiłek, by nie wybuchnąć. Był kiedyś taki czas — nie tak dawno temu — kiedy natychmiast by odpowiedział, że na nim wielkiego wrażenia nie robią wirologowie — bo podobno mają małe

kutasy. Wtedy jednak wzruszył tylko ramionami i wyraził nadzieję, że doktor da mu szansę się wykazać.

Rozejrzał się za innym kawałkiem papieru, niestety nic nie znalazł. Rozprostował więc kopertę z chińskiego hotelu i napisał nową wiadomość na jej drugiej stronie:

UTKNAŁEM ARCHANGIELSK.
SPOTKANIE HAMMERFEST.
DALY

Znacznie bardziej mu się to spodobało. Cztery słowa i tylko nazwisko. Daly. Jak „Karol Wielki” — tyle że z Irlandii.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie dodać w nagłówku „Annie Adair”, ale rozmyślił się. Chociaż — wedle raportu Narodowych Instytutów Zdrowia — to właśnie ona zaproponowała wyprawę po wirusa, była jedynie asystentką Kicklightera. Wielcy Ludzie często bywają pedantyczni, jeśli chodzi o protokół — nawet (a może zwłaszcza) wtedy, gdy sprawa dotyczy ich podopiecznych. Nie, lepiej będzie, jeśli nie zaadresuje teleksu na Annie Adair.

Z kopertą w dłoni stanął na końcu długiej kolejki ludzi czekających przed okienkiem teleksowym. Z pleców stojącej przed nim kobiety, która wyglądała jak gruszka, unosiła się para, a powietrze przepelniał kwaśny odór dymu tureckich papierosów. Po mokrej drewnianej podłodze szurały i skrobały buty. Od czasu do czasu przez gwar przebijały się angielskie słowa, Daly nie mógł ich jednak zlokalizować. Kolejka przesuwała się skokami po pół metra, metr, a potem następowały okresy długiego, niecierpliwego czekania. Było to oczywiście bez znaczenia — i tak nie miał gdzie iść. I nie będzie mógł przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Kiedy wreszcie wysłał teleks, wrócił do biura Sputnika i zarezerwował lot do norweskiego Hammerfest. Aby dać burzy czas na uspokojenie się, a pracownikom Aeroflotu na zdrapanie lodu z pasów startowych archangielskiego lotniska, odmrożenie samolotów i rozpoczęcie normalnego funkcjonowania, zdecydował się na lot za trzy dni — co i tak pozwoliłoby mu znaleźć się w Hammerfest przed „Rexem”.

Po tym wszystkim nie pozostało mu nic więcej jak wrócić do „Czernomorskiej” i zabrać się do pracy.

Znalazłszy się w pokoju, wyjął laptopa z plecaka, ale zaraz ogarnęły go wątpliwości. Co prawda miał zarówno zasilacz, jak i konwerter, trochę jednak bał się korzystać z miejscowych źródeł prądu. Zbyt często widział, jak żarówki zaczynały nagle migotać niczym gwiazdy, które zamierzają zamienić się w supernowe. Korzystając z hotelowego zasilania mógłby sobie zniszczyć twardy dysk, lepiej więc było skorzystać z akumulatora. Siedząc w płaszczu, będzie mógł pracować, aż zamarzną mu palce albo wysiądzie akumulator. Zależy od tego, co wysiądzie najpierw.

Przysunął sobie krzesło, usiadł za biurkiem i włączył komputer. Kiedy wszystko się pouruchamiało, otworzył folder GRYPA i plik, w którym tydzień temu, w Szanghaju, porobił notatki.

Liu-Shin Li, Uniw. Pekin. Dr fil., John Hopkins. Kier. Wydz. Gr., Szangh. Inst. Chor. Alerg. & Zak. Autor „Hiszpańska Dama w Chinach — przegląd histor.” (Wsch-Zach. Przegląd Epidem.). 1918: 10 min ofiar (tylko Indie!). I w.św., rewol. ros., „dryf” albo „przesunięcie”. Epidemia, pandemia. Przesunięcie H-1 „od dawna spodziewane”. W przyszłym roku? S-L.: „Wolałbym nie wypowiadać się na temat tego wirusa”.

Daly pojechał do Szanghaju, by przeprowadzić wywiad z Shin-Li, ponieważ był on w Chinach epidemiologiem numer jeden — a w Chinach zawsze zaczynała się każda znana z historii pandemia grypy.

Wywiad zajął pięć stron, do tego dochodziło dziesięć stron „spraw różnych”: krótka relacja z wizyty Daly’ego w chińskim gospodarstwie na wsi, streszczenia różnych artykułów technicznych, które w skanował do komputera, cytaty z artykułu Shin-Li o pandemii z 1918 roku i na koniec artykuł, który nasunął mu pomysł przyłączenia się do ekspedycji jadącej do Kopervik.

Była to dwuakapitowa notatka z „JRecord”, wydawanego co dwa tygodnie biuletynu dla pracowników NIH:

Kierownik Wydziału Grypy jedzie na Arktykę.

Daly wcisnął klawisz przewijania strony w dół i przeglądał notatki strona po stronie. Zamierzał zrobić z tego materiału trzyczęściowy artykuł: najpierw przedstawi podstawowe zagadnienia dotyczące grypy, w szczególności hiszpanki, następnie — w drugiej części — ekspedycję na Wyspę Edge’a. Zatytułuje ją „Odwrotny pogrzeb”. Zakończy podsumowaniem dokonania Kicklightera w NTH i przedstawi jego teorie o osłonkach białkowych.

Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, może uda mu się opublikować cykl artykułów w „Harper’s” albo „Smithsonian”, a potem wykorzysta opublikowane teksty, by podpisać umowę na książkę. Zamierzał dzięki temu pomysłowi awansować z reportera „Post” na pisarza. Chciał pracować dla siebie, nie dla kogoś innego.

Jedynym problemem było to, że nie zdążył na statek do Murmańska i wszystko wskazywało na to, że „odwrotny pogrzeb” go ominie. Oznaczało to, że być może straci szansę odmalowania kolorytu, na który tak bardzo liczył — chyba że uda mu się opowiedzieć całą tę historię za pośrednictwem kogoś, kto był naocznym świadkiem.

Jedną z możliwości była Annie Adair. W grę wchodził także członkowie załogi oraz inni naukowcy z NOAA. Mogliby opowiedzieć o zimnie, wiecznej zmarzlinie i samotności wyspy, leżącej na północnych krańcach Morza Norweskiego.

Lepiej byłoby jednak — znacznie lepiej! — gdyby był na miejscu w chwili otwierania grobów. Pochylił się nad laptopem, napisał na środku ekranu: CZĘŚĆ I — po czym zaczął wstęp. Pół godziny później miał coś, co mu się podobało:

(Szanghaj). Nazywano ją „Hiszpańską Damą”, choć nie miała z tą nazwą nic wspólnego. Pochodziła nie z Hiszpanii, ale z Chin, i nie było w niej nic eleganckiego — była zabójczynią. W ciągu kilku miesięcy od przybycia do Stanów Zjednoczonych zabiła więcej mieszkańców tego kraju, niż zginęło na wszystkich frontach I wojny światowej. A dziewczka dopiero zaczynała szaleć.

Skrzyżował ramiona na piersi i opadł na oparcie krzesła. Przeczytał to, co napisał, i pomyślał: „Nieźle”. Ale nigdy nie udawało mu się opublikować niczego w tym rodzaju. Skrzywił się, skreślił słowo „dziewka” i pisał dalej.

Doktor Liu Shin-Li, kierownik Wydziału Grypy Szanghajskiego Instytutu Chorób Alergicznych i Zakaźnych, jest zdania, że „hiszpańska grypa była jedną z najbardziej śmiertelnych pandemii w historii ludzkości i zabiła na całym świecie 30 milionów ludzi”.

Zmarszczył czoło. Chyba żeby, pomyślał. Angielski doktor Shin-Li wcale nie był tak dobry, jak go przedstawiał, choć przecież właśnie to miał na myśli.

Prędkość, z jaką ta choroba zabijała, była nie mniej zaskakująca niż złośliwość wirusa. W Westport w stanie Connecticut kobieta grająca w brydża zaliczyła trzy kiery i przewróciła się martwa. W Chicago pewien mężczyzna zatrzymał taksówkę — i zmarł, zanim zdążył otworzyć drzwiczki samochodu. W Londynie bramkarz drużyny piłkarskiej wyskoczył, by złapać piłkę, a gdy opadł na ziemię, był już martwy.

Wszyscy ci ludzie sprawiali wrażenie zdrowych do chwili, aż umarli, ale miliony innych ludzi miały znacznie mniej szczęścia — a objawy choroby były tak różnorodne, że mogło się wydawać, iż wywołuje je dziesięć różnych chorób.

Pewien lekarz z Nowego Jorku doniósł, że jego pacjenci „są niebiescy jak jagody i plują krwią”. Towarzyszyła temu gorączka dochodząca do 41°C, gwałtowne krwawienia z nosa, nieustanne wymioty oraz biegunka. Często mówiono też o gangrenie narządów płciowych, leukopenii (zmniejszenie liczby krwinek białych we krwi), nagłej ślepoty i całkowitej utracie słuchu.

Pacjenci płakali z bólu przy najlżejszym dotyku, a lekarze nie byli w stanie zdiagnozować choroby, której objawy były podobne do objawów tylu innych chorób. W jednej z baz wojskowych lekarze potraktowali setki chorych żołnierzy jak ofiary ataku gazowego — ponieważ objawy były podobne do reakcji organizmu na chlor. W innych szpitalach lekarze byli tak zdezorientowani, że wycinali chorym wyrostki robaczkowe i „leczyli” ich z zapalenia płuc, cholery, dyzenterii, duru brzuszego i gorączki muchy piaskowej.

Większość chorych umierała, kaszląc i topiąc się w mieszaninie krwi i śluzu, a ich płuca rozpuszczały się, zamieniając w „galaretkę z czerwonej porzeczki”.

Zamigotała lampka zasilacza i Daly popatrzył na zegarek. Minęła siódma i powoli robił się głodny. Szło mu jednak dobrze, poza tym na zewnątrz było lodowato. Postanowił pisać dalej.

Zdaniem doktora Shin-Li „głównym rezerwuarem wirusa są dzikie kaczki, a mamy ich więcej niż jakikolwiek inny kraj na świecie. Poza tym, ponieważ hodujemy kury, kaczki i świnie razem, wirus może się przenosić z gatunku na gatunek, od jednego zwierzęcia na inne, równocześnie stale się zmieniając”.

Podczas gdy takie wirusy jak ospa czy choroba Heinego i Medina są raczej stabilne, wirus grypy ma segmentową strukturę chemiczną o bardzo słabych wiązaniach. Nie mając funkcji DNA, chroniącej przed mutacjami, wirus stale „miesza się” w organizmach swoich zwierzęcych gospodarzy. Oznacza to, że jego segmenty odrywają się, łącząc się z innymi i generując nowe szczepy grypy.

Właśnie ta cecha tego wirusa zmusza naukowców do tworzenia co roku nowej szczepionki.

Lampka, informująca o konieczności doładowania akumulatora, paliła się teraz światłem ciągłym. Daly podejrzewał, że za dziesięć minut laptop zdechnie.

Hiszpańska grypa jest przedmiotem badań doktora Bentona Kicklightera, który próbuje ustalić, dlaczego wywołujący ją wirus jest tak niebezpieczny i czym różni się od innych szczepów.

Lampka rozjaśniła się i komputer zapiszczał, ale Daly chciał jeszcze dopisać choć parę zdań. Dochodził do części, na której mu szczególnie zależało — do fragmentu dotyczącego ekspedycji- Chodziło o to, dlaczego ją zorganizowano. Gdyby mógł jeszcze posiedzieć przy komputerze i trochę popisać, może by się tego domyślił. A przynajmniej spróbowałby przedstawić, co go w tej sprawie zastanawia — to zawsze było pierwszym krokiem do zrozumienia każdego problemu.

Tym razem jednak nie miał na to czasu. Laptop znów zapiszczał i Daly z westchnieniem przeniósł napisany tekst na dyskietkę i wyłączył komputer. Potem wsadził go do plecaka i wsunął pod łóżko. Miał zeszywniałe palce i burczało mu w brzuchu, kiedy jednak zobaczył, ile śniegu leży przy oknie, i ocenił siłę huraganu, dmącego w przewodzie kominowym, odechciało mu się wychodzić. Wyglądało na to, że czeka go kolacja w „Czernomorskiej”.

Czemu jego serce nie śpiewało z radości?

8

78°20' N, 22°14' E

Annie obudziła się nagle, wrywając się ze snu tak głębokiego, że kiedy otworzyła oczy, głęboko westchnęła — takim wielkim zaskoczeniem był dla niej powrót do rzeczywistości. Zerwała się i z goglami w ręku ruszyła korytarzem prowadzącym na główny pokład. Ciekawa, gdzie się znajdują, pchnęła metalowe drzwi i wyszła na zewnątrz. Zimne powietrze eksplodowało przed jej oczami niczym flesze paparazzich, a jej myśli rozprysnęły się, jakby wrzucono między nie granat.

Góry lodowe! Wyglądały jak wspaniałe pływające pałace. „Rex” lawirował między dryfującymi błękitnymi kształtami, które nie przypominały niczego, co Annie do tej pory widziała. Nie były to unoszące się na wodzie wielkie lodowe bryły, ale wyrzeźbione przez wiatr i wodę skomplikowane cuda architektury. Parabole, gotyckie iglice, toczone kolumny, migoczące granie, pomarszczone zbocza i kunsztowne lodowe wzgórza. Wszystkie te formy utworzone były z półprzezroczystego materiału — mającego niewiele wspólnego ze zwykłym lodem, jaki Annie знаła — pulsującego błękitnym, niebiańskim światłem, jakby był podświetlony od środka.

Były tu wszystkie odcienie błękitu. Lazur Zatoki Montego i niebieski kolor szat Najświętszej Marii Panny, tak charakterystyczny dla figurek stojących w ogródkach na przedmieściach Bostonu. Niebieskozielony akwamaryn ścian basenów i niebieskie promieniowanie wirujących na dachach policyjnych radiowozów kogutów.

Tuż przed świtem dotarli do kotwiczowiska i Annie ujrzała brzeg Wyspy Edge’a — wysepki przypominającej z oddali zgniecioną gąbkę, ciśniętą w morze. Jej kontury wyznaczały nagie, poszarpane skały. Po godzinie rzucono kotwicę i Annie, doktor K., Śniegowe Bałwany i kapitan zjedli kolację w mesie.

Kapitan był potężnym Litwinem o rumianej twarzy i przeredzających się blond włosach, które zaczesywał od tyłu do przodu, by zakryć łysinę. Annie lubiła go, ale podczas kolacji prawie się nie odzywała. Jej zauroczenie Arktyką przerodziło się w poczucie, że są tu intruzami. Nie powinno nas to być, nie należymy do tego miejsca, myślała. Pustka okolicy, surowa kolorystyka, przejrzystość powietrza, uroczysta cisza — nie współgrały z ich jaskrawymi kurtkami, wiszącą nad statkiem chmurą spalin i hałasem, jaki produkowali.

— Coś nie tak? — spytał kapitan, którego twarz była już mocno zaczerwieniona od wina. Annie pokręciła głową.

— Nie wiem... nie, nic. Po prostu czuję się, jakbym wchodziła na cudzy teren.

Doktor K. prychnął śmiechem.

— A górnicy to co? Też chyba weszli na cudzy teren.

— Chyba tak — odparła. Kiedy podszedł do niej kelner z tacą wątróbki z cebulką, pokręciła głową — Dziękuję. Nie jestem głodna.

— Powinniśmy współczuć tym ludziom — powiedział jeden z fizyków. — Nie byli badaczami i tym, co robili, nie zapisali się w pamięci innych. Byli zwykłymi górnikami, spędzali całe dnie w wykopanych w ziemi dziurach, a kiedy wychodzili na powierzchnię, mieli wokół siebie tylko tę wyspę.

Kapitan pokiwał głową. Na stole stało kilka butelek hiszpańskiego szampana z jego zapasów — przyniósł je, aby uczcić dotarcie ekspedycji do celu. Otworzył pierwszą butelkę i zaczął napełniać gościom kieliszki.

— To miejsce jest piekłem — stwierdził.

Fizyk — ciężarowiec o imieniu Brian, który poza tym pilotował helikopter — roześmiał się i upił łyk szampana.

— Czyja wiem., jak na piekło jest tu może nieco za chłodno.

Kapitan pokręcił głową.

— Nic podobnego — powiedział. — Temperatura jest właśnie taka, jaka powinna panować w piekle.

— Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

— Na podstawie Dantego — odparła zamiast kapitana Annie.

Wszyscy popatrzyli na nią. Kapitan uśmiechnął się, a kiedy odstawiał butelkę, z uznaniem kiwnął głową.

— Nie rozumiem — mruknął Brian.

— Młoda dama ma rację — oświadczył kapitan. — Dante jest ekspertem od piekła.

— Ach, ma pan na myśli poetę...

Do konwersacji dołączył Mark.

— Zdawało mi się, że był nim Milton — powiedział.

Kapitan pokręcił głową

— Nie. Milton był specjalistą od diabła, a Dante od piekła.

— Nadal nie rozumiem, o co chodzi — stwierdził Brian.

— To całkiem proste — odparł kapitan. — Choć może lepiej ujmie to młoda dama...?

Annie miała wrażenie, że została wrobiona, nic jednak nie mogła na to poradzić — znowu otworzyła swoją niewyparzoną gębę i teraz musiała ponieść konsekwencje.

— No cóż... w dziewiątym, najgorszym kręgu piekła — zaczęła — znajduje się jezioro z lodu. Nie z ognia, lecz z przeciwieństwa ognia. To miejsce, w którym zawsze jest bardzo zimno. Tak jak tutaj. Mój nauczyciel literatury klasycznej... — dodała, czując, jak krew napływa jej do policzków — uważał, że przeświadczenie, iż w piekle jest zimno, to pozostałość wierzeń z epoki lodowcowej, kiedy ogień oznaczał życie, a zwiastunem śmierci było zimno. Kapitan skinął głową.

— Jestem na Spitsbergenie trzy, cztery razy w roku, choć nigdy nie docieramy do Wyspy Edge' a — powiedział, nalewając sobie drugi kieliszek taniego szampana. — Za każdym razem pytam sam siebie: „co my tu robimy?”. Wiem na pewno jedno: ludzie nie powinni tu przebywać. To nie miejsce dla żywych istot

Mark roześmiał się.

— Miejmy nadzieję, że NOAA się o tym nie dowie, inaczej wszyscy będziemy musieli zacząć szukać sobie nowej roboty.

— To nie pora na żarty — oświadczył kapitan. — Kiedy mam takie wrażenie, wiem, że trzeba uważać.

— Dlaczego? — spytał doktor K.

— Ponieważ jeśli instynkt mi mówi, żebym uważał, lepiej mieć oczy otwarte. Może woda albo lód chcą się z nami nieco pobawić? Im bardziej zbliżamy się do tego osiedla, tym mocniej czuję to ostrzeżenie.

— Jezu, kapitanie, może nie jest pan odpowiednim człowiekiem do tej roboty... — powiedział Brian, patrząc przy tym na Annie i uśmiechając się. — Może powinien pan pływać na jakimś „Statku Miłości” albo czymś w tym rodzaju?

Kapitan przez chwilę miał lekko zdezorientowaną minę, po chwili jednak jego twarz spochmurniała.

— To nieprzyjemne miejsce. Tamci górnicy przekonali się o tym na własnej skórze.

— Bez wątpienia, ale to nie Arktyka ich zabiła — odparł Kicklighter. — Zginęli od patogenu, który zabiłby ich niezależnie od tego, gdzie by akurat przebywali: w Paryżu, w Oslo, gdziekolwiek. Zginęło wtedy mnóstwo ludzi.

Mark odwrócił się do doktora K.

— Mówi pan o hiszpańskiej grypie, prawda? Mój pradziadek na nią zmarł. I jeden z jego braci. Babcia mówiła, że lekarze nie byli w stanie nic na to poradzić.

— Nawet nie wiedzieli wtedy, z czym mają do czynienia — powiedziała Annie. — Nie można było zobaczyć wirusa pod mikroskopem. A nawet gdyby go...

— Z tą grypą w płucach nie mieli więcej szans niż z lwem, który próbowałby się im dobrać do gardła — oświadczył Kicklighter.

Brian oparł się wygodnie.

— Ooooo... lwy, tygrysy i niedźwiedzie! Jezu!

Mark zachichotał, a Annie zaczerwieniła się. Doktor kilka razy szybko zamrugał, jakby stracił wątek, ale po chwili uśmiechnął się słabo.

— To prawda — powiedział.

Annie czuła, że dworują sobie z niego — więc pośrednio także i z niej. Ale jego nigdy nic takiego nie wyprowadzało z równowagi — był odporny na kpiny i tak pewny tego, czego chce, że wcale nie przejmował się opiniami innych ludzi na swój temat. Skończył jeść, złożył serwetkę, odsunął krzesło, na którym siedział, i wstał. Skinął głową kapitanowi.

— No cóż... — mruknął. — Jutro czeka nas wielki dzień.

W drzwiach zatrzymał się jeszcze, odwrócił i sięgnął do kieszeni marynarki.

— Niemal bym o tym zapomniał — powiedział. — To przyszło wczoraj. — Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Annie. — Chyba zawinił sztorm — dodał, po czym machnął ręką i zniknął.

Annie rozłożyła kartkę i popatrzyła na napisaną na niej wiadomość:

UTKNAŁEM ARCHANGIELSK.

SPOTKANIE HAMMERFEST.

DALY

— Poskramiacz lwów chyba potrzebuje odpoczynku — stwierdził Brian.

Annie poczuła, że piecze ją twarz.

— Możecie się z niego śmiać, ale w tym, co robi, jest najlepszy na świecie — oświadczyła. — A jeżeli wam się wydaje, że nie wymaga to odwagi, to znaczy, że nie macie pojęcia o patogenach, z jakimi doktor Kicklighter ma do czynienia — dodała, wsuwając teleks do kieszeni.

— Czyżby?

Twarcz piekła Annie coraz bardziej i zdawała sobie sprawę, że wino uderzyło jej do głowy.

— Nie byłabym na waszym miejscu taka beztrojska. Nie macie pojęcia, w co się pakujecie.

— Pakujecie...? — powtórzył Brian i zmarszczył czoło, a Mark popatrzył na Annie pytająco.

Annie zmięła w dłoni serwetkę.

— Nie tak chciałam powiedzieć. Miałam na myśli to, że nie wiecie, z czym macie do czynienia. — Jezu, to zabrzmiało jeszcze gorzej, pomyślała. Zdenerwowana, odwróciła się do kelnera, który stał obok niej, gotów nalać jej kawy. — Poproszę! — powiedziała zbyt głośno i zbyt dobitnie.

Brian nie spuszczał z niej wzroku.

— Nie wiedziałem, że się w cokolwiek „pakujemy”.

— To złe określenie.

— Sądziłem, że będziemy tylko przenosić plastikowe worki.

— To prawda — odparła nieco zbyt szybko Annie. Napila się kawy, zauważając przy tym, że Brian i Mark wymieniają się znaczącymi spojrzeniami. Złożyła serwetkę i odsunęła krzesło. — Chyba popatrzę na zorzę polarną — oświadczyła i wzięła kurtkę.

— Dobry pomysł — stwierdził kapitan, po czym również wstał, skłonił się lekko, otworzył drzwi i przytrzymał je przed Annie.

Kiedy szła korytarzem, serce waliło jej jak młotem. Kłamanie przychodziło jej z trudem. Gorzej — wcale jej nie wychodziło. Gdy musiała kłamać, zaraz potem musiała uciekać — tak jak teraz.

Wprawdzie podjęli wszystkie możliwe środki ostrożności, ale zawsze istniało prawdopodobieństwo — choć niewielkie — że wirus jest aktywny i jakimś sposobem wymknie się spod kontroli. Gdyby coś takiego nastąpiło, wszyscy na statku byłiby zagrożeni. Tak więc rzeczywiście „pakowali się w coś” — pomijając nikłe prawdopodobieństwo, że cokolwiek faktycznie się zdarzy.

Stanąła przy relingu i wpatrzyła się w pulsującą za horyzontem zorzę polarną — pomarszczoną zasłonę zieleni, wznoszącą się do samych gwiazd.

Zastanawiała się, czy naprawdę mogłoby się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Choć na wniosku o dotację na pierwszym miejscu znajdowało się nazwisko doktora K., ekspedycja była jej pomysłem. Bez jego poparcia oczywiście nic nie dałoby się zdziałać, jednak bez niej nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że można się tu wybrać.

Jeśli więc coś pójdzie nie tak i umrze połowa ludzi na Ziemi... będzie to jej wina.

Westchnęła. Nie... to przecież niemożliwe, by wirus mógł wyrwać się spod kontroli. Nawet gdyby „Rex” stracił zasilanie i popsuły się generatory awaryjne, skrzynie do przewożenia ciał były przecież hermetyczne, a same ciała będą owinięte nasączonymi formaliną płachtami. Nawet gdyby uderzyli w górę lodową i zatonęli, ciała nigdzie by nie odpłynęły. Mała szansa, by dobrały się do nich ryby, a ponieważ kurs „Rexa” pokrywał się z prądem okołobiegunowym — opływającym biegun północny — wszystko, co by wypadło za burzę, krążyłoby wokół „szczytu” świata po wsze czasy, w dodatku w wodzie o temperaturze poniżej zera stopni Celsjusza.

Nie było się więc czym martwić. Tego samego zdania była fundacja, inaczej nie przyznałaby im dotacji.

Jedynym prawdziwym problemem było to, że wyprawa mogła okazać się marnotrawstwem czasu. Ciała mogły leżeć zbyt płytko — gdy zawiozą je do Waszyngtonu, może się okazać, że nie ma wystarczającej ilości materiału, by mieli nad czym pracować. Oznaczałoby to, że zmarnowała czas wielu ludzi — oraz mnóstwo pieniędzy.

Wszystkie te myśli kłębiły jej się w głowie nawet wtedy, gdy leżała już w koi z zamkniętymi oczami. Myślała również o Franku Dalym. W pewnym stopniu jego przyłączenie się do ekspedycji także było jej winą. Rozentuzjasmowana, zachęciła go, by z nimi jechał, i dopiero potem dowiedziała się, że doktor K. jest przeciwny obecności dziennikarza. Była gotowa powiedzieć Daly’emu, że się rozmyślili i wolą płynąć bez niego,

ale doktor K. nie chciał o tym słyszeć. „Tylko by się zrobił podejrzliwy” — stwierdził. Jakby mieli coś do ukrycia.

Odpłynięcie bez niego — po tym, kiedy zrobił taki kawał drogi — było oczywiście katastrofą

Cóż, w jakiś sposób mu to wynagrodzą. Postanowiła dopilnować tego — na razie jednak nic się nie dało z tym fantem zrobić.

Przewróciła się na bok, przytuliła policzek do poduszki i zaczęła sobie wyobrażać, jak przebiegnie jutrzejszy dzień. Wstanie o świcie, włoży ciepłą bieliznę, swetry i wierzchni strój śniegowy, wypije w mesie filiżankę kawy i będzie pomagać doktorowi K. organizować sprzęt. Gdy tylko skończą przygotowania, ona i inni członkowie ekipy pojedą skuterami śnieżnymi do obozu Kopervik. Bałwany Śniegowe uważały, że jazda na miejsce zajmie mniej więcej godzinę. Tymczasem Brian i doktor K. zaczną przewozić sprzęt helikopterem.

Sprzętu mieli sporo — składany domek, który miał służyć jako kwatery główna, kilka namiotów wojskowych, dwa generatory, trzy beczki oleju napędowego. Do tego dochodziły skrzynki z jedzeniem i wyposażeniem kuchni, strzelby i amunicja na niedźwiedzie oraz narzędzia do kopania w zmrożonej ziemi — ciężkie młoty i łopaty. A także skrzynie do transportu ciał, liny i skrzynie z nasączonymi formaliną płachtami.

Jeżeli doktor K. miał rację, wyjęcie trumien zajmie im trzy dni — jeśli nie będą musieli kopać głębiej niż metr.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, nagle jednak znowu było widno i siedziała na krześle obok koi z książką w ręku.

Wiedziała, że wstawała w środku nocy. Nogi miała przykryte kocem, paliła się lampka nad jej ramieniem, choć oświetlenie było niepotrzebne — kabinę wypełniało dzienne światło. Odruchowo wyjrzała przez luk i na widok błękitu nieba zamrugła. Poderwała się jak sześciolatka, która przespała poranek pierwszego dnia świąt*. Wzięła najkrótszy prysznic w swoim życiu — uważając przy tym, by nie zmoczyła włosów — po czym włożyła ciepłą bieliznę i kombinezon. Parę minut później stała na pokładzie i poprawiała gogle.

— Mamy problemy, spiochu — powiedział Brian, mijając ją w drodze do helikoptera.
— Z czym?

Nie zatrzymując się, fizyk wskazał na mostek. Z początku Annie nie wiedziała, o co chodzi, zaraz jednak zrozumiała: poręcznik na rufie statku łopotał gwałtownie.

Brian, nie zatrzymując się, rozłożył ręce na bok niczym skrzydła i pomachał nimi.
— Wiatr! — krzyknął.

Annie opadły ręce. Nie znała się na helikopterach i nie wiedziała, jaki wiatr jest za mocny.

— Nie martw się — powiedział Mark, podchodząc do niej z kubkiem kawy. — Proszę. Przyniosłem dla ciebie.

— Dziękuję.

— Będzie lepiej, nie gorzej.

— Na pewno? — spytała, biorąc kubek. Upiła łyk kawy.

— Widziałem prognozę pogody.

— Ale...

— Brian zawsze dramatyzuje. Chciałby, żeby wszyscy uważali, że ratuje ich z jakiejś opresji... nawet jeśli nic się nie dzieje.

— Więc ten wiatr...

— Wiatrem nie ma się co martwić.

* W USA Mikołaj kładzie prezenty pod choinkę rano pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia (przyp. tłum.).

Godzinę później konwój, składający się z jaskrawoczerwonych skuterów śnieżnych, kierował się prosto w poranne słońce. Na każdym pojeździe siedziały dwie osoby, ale hałas był taki, że nie dało się rozmawiać. Annie wcale to nie przeszkadzało — był to najwspanialszy dzień w jej życiu. Przez kilometr albo półtora biegł równoległe z nimi — jakieś sto metrów na zachód — niedźwiedź polarny, plama ciemniejszej bieli na tle jasnej bieli. Potem nagle zniknął, rozpląnął się w powietrzu jak dym ze spalonej zapalki.

Nie było niczego widać. Wszystko było widać.

W połowie drogi nad ich głowami powoli przeleciał helikopter — przecinające powietrze łopaty wirnika robiły mnóstwo hałasu. Annie pomachała i przez chwilę wydawało jej się, że maszyna odpowiedziała, bo potężny korpus zabujał się na boki.

Wkrótce znaleźli się na wielkim polu pełnym pęknięć, dziur i zapadlisk, w których mógłby zmieścić się cały skuter. Na znak Marka zawrócili na zachód, po czym skręcili na północ, by ominąć niebezpieczny teren.

Po mniej więcej dwóch godzinach jazdy, pomrukując silnikami, wjechali do Kopervik.

Tak jak się spodziewała, było to miasteczko cieni. Nie było tu wiele do oglądania — ciemnoszary, pozbawiony okien kościół z niewielką iglicą, kilkanaście maleńkich chat, sterta beczek po ropie. Wszystko to łączył w całość biegnący do znajdującego się na zboczu białego, niekształtnego pagórka — wejścia do szybu — pas rozkopanej ziemi.

Annie, nie schodząc ze skutera, uniosła się i rozejrzała wokół — i z zaskoczeniem stwierdziła, że helikopter Briana jest już na miejscu i czeka na rozładunek. Roześmiała się.

— Ruszajmy! — zawołała do Śniegowych Bałwanów. — Mamy masę roboty!

Cmentarz mieścił się za kościołem i kiedy Annie wybiegła zza jego rogu, o mało nie zderzyła się z doktorem K.

— Hops! — krzyknęła zaskoczona. — Przepraszam! Chciałam tylko... — Jego mina sprawiła, że zamarła w pół kroku. Zdawał się jej nie rozpoznawać.

— Annie... — wymamrotał w końcu i wyciągnął rękę, by ująć ją za ramię.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że przestraszona cofnęła się o dwa kroki.

— Co się stało? — spytała, choć wcale nie chciała tego wiedzieć.

Doktor K. odwrócił się do niej plecami i powiedział cicho:

— Stało się coś okropnego...

— Co?

Doktor bez słowa wskazał głową w kierunku kościoła.

Annie popatrzyła w tamtą stronę. Ciemna ściana kościoła była ochlapana białą farbą. Graffiti? — przemknęło jej przez myśl. Tutaj? Zamrugła i odsunęła się, by spojrzeć na ścianę kościoła z lepszej perspektywy.

Toporne chlapaniecia bielą układały się w prymitywny rysunek, który kojarzył jej się z Guernicą Picassa.

— To koń... — stwierdziła. Zwierzę dziko wybałuszało ślepią, szczyrzyło zęby i rozdymało nozdrza.

Kicklighter skinął głową.

Przez chwilę oboje się nie odzywali.

— Ktoś tu był... — wykrztusiła wreszcie Annie. — Prawda?

Ramiona doktora K. opadły bezradnie.

— Zgadza się. Ktoś tu był.

HAMMERFEST, NORWEGIA

27 MARCA 1998

Choć bezpośredni przelot trwał tylko trzy i pół godziny, Frankowi Daly'emu przebycie trasy z Archangielska do Hammerfest zajęło ponad półtora dnia. Pomijając pierwszy etap — lot do Murmańska — wszystkie pozostałe połączenia były nocne. Z Murmańska do Tromso samoloty latały we wtorki i piątki, ale z Tromso do Hammerfest wyłącznie w weekendy.

Było to jednak bez znaczenia. Miał przecież mnóstwo czasu. „Rex Mundi” mógł się zjawić w Hammerfest najwcześniej za dwa dni. Niezależnie od tego, co by się wydarzyło (znad północnego Atlantyku zbliżał się nowy sztorm), nie minie się po raz drugi ze statkiem.

Nie tęsknił za hotelem „Czernomorskaja”. W porównaniu z nim nawet lotnisko w Murmańsku wydawało się pałacem. Choć niemal cały dzień spędził na twardym plastikowym krzeselku i musiał wysłuchiwać dziesiątków niezrozumiałych komunikatów, było mu ciepło. Było to więcej, niż zaoferował mu przez cały czas pobytu Archangielsk.

Kiedy maszyna Norsk Transport wreszcie przebiła się przez chmury i ujrzał swój cel — Hammerfest — poczuł ogromną radość. Z góry miasteczko wyglądało schludnie i czysto — kolekcja milutkich domków, poustawianych na brzegu szarego morza. Gdy samolot położył się do skrętu na skrzydło, Daly ujrzał, że port, wzdłuż którego również ciągnęły się niewielkie budyneczki, jest osłonięty wysokim klifem i stoi w nim kilka statków. W morze wychodziły trzy długie pirsy, przy których przycumowane były trawlerzy i turystyczne jachty.

Ten widok przypominał mu nieco „wioskę bożonarodzeniową”, co roku ustawianą z pietyzmem przez jego matkę na nieskazitelnym „śniegu” z bawełny i składającą się z mnóstwa ceramicznych domeczków, drzew i figurek ludzkich. Nikomu — ani ulubionym siostrzeńcom i siostrzenicom, ani odwiedzającym ich dzieciakom z dalszej rodziny — nie wolno było niczego w tej wiosce dotknąć. W maleńkich okienkach każdego domu i sklepu migotały światła, lustrzana powierzchnia stawu zawsze była błyszcząca i gładka. Każda figurka miała swoje stałe miejsce, co roku te same figurki śpiewały przed tym samym domem te same kolędy, a wysoki mężczyzna, niosący stratę prezentów, spieszył w kierunku domu w georgiańskim stylu.

Matka codziennie odkurzała wszystkie domki i figurki i Frank już jako dziecko rozumiał, że wioska jest dla niej równoległym istniejącym światem. Zmęczona życiem w ciasnym bliźniaku, stojącym niewiele ponad kilometr od rafinerii, wyobrażała sobie, że mieszka w którymś z maleńkich domków nieistniejącej wsi i piecze świąteczne ciasteczka.

Wioska była idealnie uporządkowanym światem, w którym śnieg był zawsze biały, a w soboty nikt nie przypominał o kolejnej racie kredytu hipotecznego. Była to prawdziwie świąteczna osada, w której mężowie przychodzili do domu z kwiatami, nigdy nie pili za dużo i nie kłócili się z żonami.

Kiedy Hammerfest zaczęło rosnać pod mmi, Daly nerwowo pokręcił się w fotelu. Nie lubił, kiedy coś przypominało mu dzieciństwo. Matka nie żyła, a świąteczna wioska leżała schowana na strychu u ciotki Delii. Gdy matka zmarła, jej siostry rzuciły się na dom. Kiedy okazało się, że nie można odnaleźć Franka seniora, błyskawicznie pozalaatwiały wszystkie formalności. (Duży Frank mieszkał z jakąś tancerką aż w Breezewood. więc skąd miał wiedzieć, że jego żona zmarła?). Szanowny Pan w końcu się znalazł, a po pogrzebie w przystępie dziwnej hojności zaczął rozdawać rzeczy, które należały do zmarłej. „Proszę bardzo — mówił. — Dottie na pewno chciałaby, żebyś to dostała... Junior, co zrobimy ze świąteczną wioską?”

Wkrótce jednak „wrócił do formy” i zaczął oskarżać „zwariowane siostrzyczki” o grabież ziemskich dóbr swojej żony. Jak można było przewidzieć, „zbieranina” matki, o której wszyscy mówili „te śmieci w piwnicy”, szybko nabrała dużej wartości — ale wszystko zdążyło już poginać. Jak lubił mawiać ojciec, „rozeszło się”.

Kiedy samolot obniżył jeszcze bardziej lot, wrażenie bożonarodzeniowej idylli odpłynęło, a gdy wyładowali, Frank stwierdził, że Hammerfest dużo brakuje do matczynego ideału. Śnieg był zmieszany z sadzą i żwirem, w powietrzu unosiły się dieslowskie spaliny. To, co z wysokości półtora tysiąca metrów przypominało bożonarodzeniową wioskę, okazało się dość zwykłym miejscem, a wszystkie domki miały współczesną architekturę. Frank dowiedział się później, że podczas wojny miasteczko okupowali Niemcy, a port był jednym z najbardziej wysuniętych punktów, z których U-booty dokonywały wypadów na północny Atlantyk. Zanim wreszcie przepędzono Niemców, spalili miasteczko, nie było więc w nim niemal niczego sprzed wojny.

Wyjątkiem było chyba biurko recepcjonisty w hotelu „Aurora”, bladego siedemdziesięciolatka, który uparł się, że zanieś bagaże Daly’ego do jego pokoju. Kiedy Frank się rozpakował i wziął długi prysznic, wrócił do holu.

Według planu, jaki dała mu Annie Adair, „Rex” miał przyplłynąć do Kopervik najwcześniej w sobotę. Powinno to dać Frankowi dwa wolne dni, jednak mimo to uznał, iż dobrze będzie sprawdzić, co się dzieje ze statkiem. Poprosił recepcjonistę, by mu wyjaśnił, jak dojść do kapitanatu portu, i krzepki staruszek dał mu nowiusienką broszurę z mapką na odwrocie.

— To tutaj — powiedział, rysując długopisem linię od krzyżyka z dopiskiem TU JESTEŚ do rogu ulicy niedaleko portu.

Na zewnątrz było cztery stopnie powyżej zera, niebo pokrywały chmury, a słońce ledwo się przebijało słabym blaskiem tuż nad horyzontem. Powietrze było wilgotne i z zachodu dęła ostra bryza, pachnąca morzem. Choć hotel „Aurora” znajdował się jedynie dziesięć minut drogi od portu, kiedy Daly tam dotarł, był przemarznięty do szpiku kości.

Spodziewał się mniejszego i znacznie spokojniejszego portu. Rozejrzał się wokół i przez chwilę przyglądał się gigantycznemu dźwigowi, który rozładowywał kontenery z chorwackiego frachtowca. Wzdłuż biegnącej nabrzeżem ulicy ciągnęły się magazyny, a na wzburzonej wodzie podskakiwały trawlerzy i rybackie kutry. W górze wrzeszczała chmara mew, zataczająca kręgi w ciężkim powietrzu. Niedaleko Franka grubo ubrana kobieta myła nabrzeże, splukując wodą ze szlauchu fontannę srebrnych łusek.

Przed budynkiem kapitanatu klekotał na wietrze kawał blachy, przypominający tablice, na jakich przed restauracjami wypisuje się aktualny jadłospis. Przymocowana do niej kartka informowała o wyjściach w morze i wejściach do portu statków — z ich nazwami, flagami i macierzystymi portami. Daly przejrzał ją obojętnie — „Annelise”, „Goran Kovasic”, „Stella Norske” — ponieważ była to najwyraźniej lista tylko na bieżący dzień, nie spodziewał się ujrzeć na niej „Rex Mundi”. A jednak tu był:

Amkomft 1250	Skip „Klara”	Hammerfest
Amkomft 0240	Skip „Rex Mundi”	Murmańsk

Daly popatrzył na zegarek. Jeżeli ktoś się nie pomylił, „Rex” miał wpłynąć do portu mniej więcej za półtorej godziny, dwa dni przed ustalonym terminem. Wszedł do biura kapitana portu, by spytać, czy plan jest aktualny, a jeśli tak, to gdzie statek zacumuje.

Spodziewał się starego, ogorzałego wilka morskiego w okularach, kapitan portu okazał się jednak młodym człowiekiem z długimi czarnymi włosami, tak ciasno związanymi w kucyk, że jego oczy zrobiły się skośne jak oczy Chińczyka. Siedział przed poobijanym monitorem, nogi położył na biurku i czytał „Rolling Stone”. Przygaszone światło wydobywało spod czarnych włosów jasne odrosty.

— Oglądałem plan wejść do portu... — zaczął Daly.

Młodociany kapitan podniósł wzrok.

— Wynika z niego, że „Rex Mundi”...

Chłopak popatrzył na monitor i kiwnął głową.

— Aha... ten lodołamacz. Pilot jest już na pokładzie.

— Więc to nie pomyłka?

Kucyk poleciał na prawo, a potem na lewo.

— Będzie przy nabrzeżu C za godzinę. Z wyjścia w prawo i prosto do końca.

Frank nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Znow mógł się z nimi minąć. Za kogo oni się mieli, do jasnej cholery? Za kogo?! Jak mogli go po raz kolejny nie zawiadomić, że zmienili plany? A gdyby nie zjawił się wcześniej w Hammerfest? Gdyby został w Murmańsku albo Archangielsku? Za kogo go brali? Za idiotę na wycieczce?

Zawsze przywiązywał wielką wagę do informowania ludzi, z którymi współpracował, o miejscu swojego pobytu. Zostawił fundacji swoje numery faksu i telefonu oraz godziny odlotu i przylotu — wszystko, co mogłoby im się przydać. Zadbął o to, by przekazano te informacje na statek, a kopię przesłał do biura Kicklightera w NIH. Nie było możliwości, by nie wiedzieli, gdzie jest ani jak się z nim skontaktować.

A jednak go olali, potraktowali jak początkującą dziennikarzynę z „News of the World” albo coś w tym rodzaju. Wychodząc z biura kapitana portu, pomyślał, że właściwie powinien się teraz spakować i wracać do domu. Nie mógł jednak zrezygnować z udziału w ekspedycji — bardzo potrzebował tego materiału.

Ale to on popełnił błąd. Powinien był trzymać gębę na kłódkę — a zamiast tego roztrząbił o całej sprawie. Wszystkim (w tym także dyrektorowi fundacji, Fletcherowi Harrisonowi Coe) opowiadał, jaki to ma ciekawy temat. Jak bardzo ważny, i teraz fundacja czekała na trzyczęściowy artykuł, który miał opublikować „Post”, „Times” i parę innych gazet. Prawdopodobnie w tej właśnie chwili Coe siedział w „Century” albo „Cosmos Club” przy obiadku z redaktorami naczelnymi kilku gazet i opowiadał im, jak wspaniale zapowiada się reportaż (a przy okazji — jakim wspaniałym reporterem jest Frank Daly). Jeśli więc Frank wróciłby do Waszyngtonu jedynie z mieszadełkiem koktajlowym z Aeroflotu i pocztówką z hotelu „Czernomorskaja”, parę osób będzie mocno rozczarowanych.

Nim, Frankiem Dalym.

I wcale nie będzie ich obchodzić, kto jest w rzeczywistości winien.

Z tego właśnie powodu uznał, że musi być na nabrzeżu w chwili cumowania „Rexa”. Potrzebował zdjęć. Jeżeli miał nie mieć zdjęć z ekshumacji na Wyspie Edge’a, potrzebował przynajmniej kilku fotek Kicklightera i Adair, schodzących po trapie — oraz zdjęcia znoszonych ze statku trumien.

Wrócił do hotelu i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na piętro, na którym mieścił się jego pokój. Wyciągnął plecak z szafy, rzucił go na łóżko, wyjął nikon, którego kupił miesiąc temu, i przewinął znajdujący się w środku negatyw. Chciał mieć świeży film, ponieważ zdjęcia, które zrobił w ciągu minionych kilku tygodni, nie nadawały się do niczego — były to głównie fotki Szanghaju i różne takie. Zamierzał wykorzystać jedynie zdjęcia Shin-Li, krążącego po gabinecie w chmurach tytoniowego dymu.

Robiło mu się niedobrze na myśl fotografiach, których mu brakowało: „Rex Mundi”, płynący przez Storfjorden z oblodzonym pokładem, piękna Adair przy otwartych grobach...

Nie - źle.

Adair przy otwartych grobach, patrząca na wydobywane ze zmrożonej ziemi trumny górników. Kicklighter. Kopervik. Ujęcia z helikoptera. Kto wie, co jeszcze? Może ataki białych niedźwiedzi.

Będzie musiał jakoś poradzić sobie z tym, co ma. Bez względu jednak na wszystko, potrzebował na pewno jednego ujęcia: przedstawiającego transportowanie pojemników na zwłoki ze statku na brzeg. Prawdopodobnie użyją dźwigu, który wyjmie je z ładowni na

paletach. Potem załadują je na norweskie ciężarówki wojskowe, które pojedą do Bazy Sił Powietrznych Tromsø, gdzie będzie czekał amerykański C-131. Skoro nie miał nic z Kopervik, musiał mieć zdjęcie przenoszenia pojemników na ląd.

Przed wszystkim jednak powinien się opanować. Nic mu nie da rzucenie się na Kicklightera, zwłaszcza że w minionym miesiącu wydał zbyt wiele pieniędzy na robienie czegoś, co — jak teraz ze skruchą przyznał — było odmrażaniem sobie uszu na złość babci.

Wziął głęboki wdech, zmusił się do uśmiechu, pobiegł schodami na dół i wypadł na ulicę. Minutę później mijał nabrzeże B i kiedy wyskoczył zza budynku, prosto na wiatr, ujrzał „Rex Mundi” płynący za pękatym holownikiem, wciągającym go do portu.

Frank był zaskoczony. Choć nazwa statku oznaczała „Król Świata” czy coś w tym rodzaju, była to najbrzydsza jednostka pływająca, jaką kiedykolwiek widział. Jej dziób był pękaty i pokryty rdzą, a przybudówki na śródokręciu wyglądały jak tani motel, który przynitowano do pokładu.

Statek hałaśliwie wpływał do portu, po pokładzie śmigali marynarze. Frank zrobił kilka zdjęć, a potem zaczął obserwować, jak marynarze rzucają z pokładu — do robotników w porcie — grube jak ramię mężczyzny liny. Był to naprawdę wspaniały widok — pełna siły precyzja i zwoje lin, rozwijające się drgającymi spiralami...

— *Hvor tror du du skal?*

Dobiegający zza pleców głos zaskoczył Franka, tak samo położona na jego ramieniu ręka. Stracił ją i odskoczył do tyłu.

— Jezus, Maria! — krzyknął. — Powinniście nosić ze sobą jakiś dzwon albo coś w tym rodzaju!

Mężczyzn było dwóch — obaj młodzi, ubrani w mundury w kolorze khaki, z czerwonymi opaskami na rękach, i obaj zmarznięci.

— *Er du Engelsk?*

Frank kiwnął głową

— Mniej więcej. Jestem Amerykaninem.

Pierwszy sttażnik popatrzył na drugiego, który zrobił krok do przodu i powiedział.

— Przykro mi, ale... nie może pan iść dalej.

Frank przechylił głowę na bok.

— Naprawdę? — Obaj wyglądali na żandarmów: byli głupi, jasnowłosi, mocno zbudowani i ostrzyżeni na zapałkę. Każdy z nich miał w seryjnej skórzanej kaburze glocka, ale sposób, w jaki nosili broń, sprawiał, że trudno było traktować ich poważnie. — A to dlaczego?

Żandarm zmarszczył czoło, wziął głęboki wdech, po czym pokiwał palcem niczym przedszkolanka, karcąca grupę dzieciaków.

— Przykro mi... musimy zamknąć... — Jego czoło jeszcze bardziej się zmarszczyło i przerwał, jakby zabrakło mu jakiegoś słowa.

— Nabrzeże? — podpowiedział Frank.

— Tak jest! Żałuję, ale musimy zamknąć nabrzeże. Osoby postronne mają zakaz wstępu!

Frank wzruszył ramionami.

— Mam się z kimś spotkać — oświadczył. — A poza tym nie jestem osobą postronną. Jestem dziennikarzem.

Żandarm szepnął coś po norwesku do kolegi i odwrócił się do Daly'ego.

— Musi pan poczekać — stwierdził, po czym okręcił się na pięcie i ruszył do stojącego nieopodal jepea.

— Daly! — krzyknął za nim Frank. — Nazywam się Frank Daly. Niech im pan powie, że jestem z Kickhghterem. Z doktorem Kicklighterem!

Ledwie to powiedział, zza rogu wyjechało bmw, a za nim wielki mercedes. Na przednim błotniku bmw łopotał amerykański proporczyk. Oba pojazdy miały przyciemniane szyby.

Powoli podtoczyły się do nabrzeża i zatrzymały. Wyglądały obco i egzotycznie między dźwigami, wózkami widłowymi i innymi pojazdami obsługi portu.

— Kto to? — spytał Daly.

Pilnujący go żandarm wydał policzki i odwrócił się. Jego partner rozmawiał nerwowo przez telefon komórkowy, który wziął z samochodu. Po chwili rzucił telefon na siedzenie i wrócił do Daly'ego i swojego partnera.

— Przykro mi, ale nabrzeże C zostało zakazane — oświadczył.

— Objęte zakazem wstępu — poprawił go Frank.

— Słucham...?

— Chciał pan powiedzieć „objęte zakazem wstępu”. Powiedział pan...

Żandarm pokręcił głową i przysunął się do Franka ze złośliwym uśmiechem.

— Dziękuję — wycedził. Wydmuchnął to słowo prosto w nos Franka i Daly miał ochotę zaoferować mu miętówkę.

— Cała przyjemność po mojej stronie — mruknął jednak tylko. Nie było sensu się kłócić. Gość jedynie wykonywał swoją pracę: próbował być dobrym żołnierzem.

Ale z drugiej strony — co żołnierze robili w cywilnym porcie, dostępnym dla wszystkich, i jaki związek z „Rexem” miała ich obecność? Poza tym co tu robił samochód z ambasady?

— Przepraszam... — powiedział po chwili. — Przekazał im pan, że nazywam się Daly? — zapytał. Jeżeli pojawi się Kicklighter albo Adair, może zainterweniują, pomyślał.

UI

— Przekazałem — odparł żandarm. — Nikt o panu nie słyszał.

— O! — zdziwił się Frank.

Mogli się pokazać w każdej chwili. Zamocowano cumy na gigantycznych pachołkach i zaczęto przysuwać trap do burty. Ktoś będzie musiał zaraz zejść.

Albo i nie. Nagle otworzyły się drzwi czekających na nabrzeżu samochodów i wysiadło z nich sześciu mężczyzn. Każdy z nich był ubrany w ciemny garnitur i płaszcz. Frank nie musiał patrzeć im na nogi, by wiedzieć, że mają czarne półbuty. Musiało tak być. Nie widuje się ludzi w takim stroju na otwartym terenie. Tym bardziej na takim zadupiu w Norwegii. Na Wall Street może tak, może na K Street też — ale tutaj, w Hammerfest?

Mężczyźni weszli na trap i po chwili zniknęli we wnętrzu statku.

— Proszę... — powiedział błagalnym tonem żandarm. — Może pan sobie iść?

Frank kiwnął głową, nie ruszył się jednak.

— Jasne, ale... co tu się dzieje? Kto to był?

Żandarm pokręcił głową, a jego partner coś do niego powiedział po norwesku. Brzmiało to niecierpliwie i Frank natychmiast zrozumiał, że oznaczało: „Zabierajmy stąd tego frajera”.

— Musi pan iść.

— Był jakiś wypadek? — Do tej chwili taka ewentualność nie przyszła Frankowi do głowy, kiedy jednak o tym pomyślał, poczuł ucisk w klatce piersiowej. Ku swojemu zdziwieniu ogarnął go ten szczególny rodzaj niepokoju, jaki pojawia się, gdy ktoś martwi się o kogoś bliskiego. Czyżby coś się stało Adair?

Cholera, po co mi to? — pomyślał. Mam i bez tego dość problemów.

Wtedy ją zobaczył — drobną figurkę o blond włosach, ściśniętą między dwoma garniturami, sprowadzającymi ją trapem na dół. Kicklighter szedł tuż za Adair, jego siwe włosy i czerwona kurtka wyglądały bardzo egzotycznie wśród ciemnych garniturów od Hickeya-Freemana.

Annie mówiła coś przez ramię do szczupłego Amerykanina w czarnym płaszczu i okularach, wyglądających na wyrób firmy Maui Jim. Idący za nią Kicklighter potknął się na schodkach — ale idący obok mężczyźni natychmiast go przytrzymali.

Gość w okularach miał w sobie coś, co Frank dobrze znał. Zachowywał się z pewnością siebie człowieka, który zwykł swobodnie przechodzić przez policyjne kordony. Był wysoki, wysportowany i rudawy i Frank mógłby przysiąc, że już go gdzieś widział. Tylko gdzie?

Cała grupa zeszła z trapu i skierowała się ku samochodom.

— Annie! Hej! — krzyknął Daly, ale chyba go nie usłyszała, więc ruszył w jej kierunku.

Natychmiast został zatrzymany przez angielskojęzycznego żandarma, który wbił mu łokieć w pierś.

— Stać!

— Annie, na Boga! — krzyknął znowu. Tym razem podniosła głowę i kiedy go dostrzegła, jej oczy rozszerzyły się, a gdy facet w okularach otworzył tylne drzwi mercedesa, powiedziała bezgłośnie: FRANK. Ale mężczyzna położył jej jedną dłoń na barku, drugą na głowie i zmuszając ją do pochylecia się, pchnął do samochodu. Jakby była aresztowana...

Gość w okularach okrążył mercedesa, otworzył drzwi i zaczął wsiadać, zawahał się jednak i popatrzył na Daly'ego. W tym momencie Frank go rozpoznał.

— Gleason! — wrzasnął. — Ty skurwielu, co tu robisz?!

Oba pojazdy nagle ruszyły i kiedy mercedes przejeżdżał obok, w jego oknie mignęła twarz Annie Adair. Miała wyraz twarzy, którego Daly nie umiał zinterpretować. Zaniepokojony i zdziwiony. Jakby chciała mu coś milcząco przekazać.

Po chwili samochody skręciły w bok i przyspieszyły — i Frank został pozostawiony sam sobie.

Nie mógł w to uwierzyć. Przeleciał tyle kilometrów, odbył drogę do piekła i z powrotem — i nawet z nim nie porozmawiali. Wydał niemal cztery tysiące dolarów na hotele i przeloty i... Jezu! Odjechali! Z Gleasonem!

Kiedy wracał do hotelu, kotłowała się w nim taka złość, że ledwie był świadom otaczającego go świata. Aparat fotograficzny dyndał bezwładnie na jego piersi, a zimno, mewy, jaskrawe światło — wszystko zniknęło. Nagle uświadomił sobie, że stoi w recepcji.

— Ma pan spis hoteli w mieście? — zapytał recepcjonistę. Staruszek popatrzył na niego uważnie.

— Nie podoba się panu pokój?

Frank pokręcił głową.

— Nie, pokój jest w porządku. Po prostu szukam przyjaciela.

Pelen ulgi uśmiech, który rozjaśnił twarz recepcjonisty, przypominał Frankowi ilustrację z książki dla dzieci. Gepetto, pomyślał. Rozmawiam z Gepettem*.

— Myślę, że będą go mieli w biurze turystycznym — powiedział staruszek i poinformował Franka, jak je znaleźć.

Po zdobyciu listy hoteli Daly spędził następne półtorej godziny przy telefonie. Ale ani Kickghter, ani Adair nie byli zameldowani w żadnym hotelu czy pensjonacie w mieście.

Potem zadzwonił do Waszyngtonu, do Narodowej Fundacji Nauki i NIH, nikt jednak nie umiał mu powiedzieć, gdzie może być Kicklighter.

— Wątpię, by był w jakimkolwiek hotelu — stwierdził jeden z kolegów doktora. — Moim zdaniem siedzi w namiocie na Spitsbergenie albo coś w tym stylu.

Na szczęście Daly przypomniał sobie, że Annie Adair wspominała coś o tym, że lodołamacz został wynajęty przez NOAA. Po raz piąty tego dnia zadzwonił do Waszyngtonu (kogo obchodziły pieniądze?) i tak długo przebijał się przez biurokratyczne zapory, aż wreszcie znalazł kogoś, kto kilka godzin temu rozmawiał z fizykiem o imieniu Maik. — Są w miejsku, które nazywa się „Skandia”. A może „Sandia”?

* Gepetto — stolarz z książki Carla Collodiego, który wyrzeźbił Pinokia (przyp. tłum.).

Okazało się, że jednak chodzi o „Skandię”. Gdy Frank jechał taksówką do hotelu, dotarło do niego kilka faktów. Po pierwsze, Annie najwyraźniej była przestraszona. Po drugie, prawdopodobnie coś poszło nie tak — inaczej jeszcze by nie przyplłynęli. Nie zamknięto by też dostępu do nabrzeża. I nie byłoby w Hammerfest Neala Gleasona, wpychającego ludzi na tylne siedzenia samochodów.

Frank spotkał go trzy, może cztery razy — kiedy przez dwa lata zajmował się sprawami mającymi związek z bezpieczeństwem państwowym. Gleason nie był jego „źródłem” — nigdy nim nie był i nie będzie. Jeden jedyny raz, kiedy cokolwiek powiedział, okazało się to nieprawdą — kłamstwem, które o mało nie kosztowało Franka utraty pracy. W jego opinii Gleason był po prostu kutasem. I nie miał zielonego pojęcia o epidemiologii.

Za to doskonale znał się na terroryzmie. Był czymś w rodzaju oficera łącznikowego między jakimiś instancjami rządowymi. Miał biuro w Buzzard Point — w śmiesznym budyneczku z kamerami na parapetach. Spółka FBI/CIA — coś w tym stylu. Trzeba to sprawdzić po powrocie do domu, pomyślał Frank. W każdym razie fakt, że Gleason to był, sprawił, iż poczuł się lepiej. Gleason zawsze pojawiał się tam, gdzie były kłopoty — a kłopoty to godne opublikowania wiadomości.

Kiedy dotarł do „Skandu”, bardzo szybko zlokalizował obu gości z NOAA. Siedzieli w hotelowym barze i jedli wędzonego łososia i śledzia, popijając rybę piwem. Zagadał do nich i powiedział, kim jest i co tu robi. Postawił im kolejkę, po czym zaczął opowiadać o swoich przygodach i o tym, jak został „wystawiony do wiatru” — do tego nie jeden raz, a dwa razy. Co więc się takiego wydarzyło?

Fizycy wyrnienili spojrzenia. Po dłuższej chwili ten, który nazywał się Mark, mruknął:

— Chętnie bym pomógł, ale...

— Moglibyście mieć kłopoty, tak?

— Sprawa jest delikatna.

— De-li-kat-na... — powtórzył Frank, obracając to słowo w ustach, jakby je smakował.

— Właśnie. — Naukowcy znów popatrzyli na siebie i kiwnęli głowami. — Nie możemy o tym rozmawiać. Kazano nam złożyć oświadczenie...

Frank ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Chyba dlatego w porcie było FBI. Zajmują się mnóstwem delikatnych spraw. Znam się z Nealem od wielu lat.

— Kto to jest Neal?

— Gleason — wyjaśnił Frank. — Ten w okularach przeciwsłonecznych.

Brian skinął głową, przypominając sobie, o kim mowa.

— Jest z FBI?

— Właśnie — potwierdził Frank. — Nie powiedział wam tego?

Mark pokręcił głową.

— Wcale się nie przedstawiał. Odniosłem wrażenie, że ci wszyscy ludzie są z ambasady.

— Neal zawsze był w FBI — oświadczył Frank. Zamierzał ich zagadywać i stawiać im kolejne piwa, aż rozmowa zejdzie na Kopervik — musiało do tego dojść, nawet gdyby miał siedzieć z nimi do rana. Bezwstydnie rzucał nazwiskami i nazwami i nie szczędził ploteczek.

— W St. Albans nazywali go „Al God”.

— Kogo? — spytał Brian.

— Wiceprezydenta* — wyjaśnił Mark.

— Stanów Zjednoczonych?

— Aha.

— A co to jest St. Albans? — spytał Brian, kończąc trzecie duże piwo.

— Prywatna szkoła — powiedział Frank. — Jeszcze po jednym?

* Gra słów, związana z nazwiskiem ówczesnego wiceprezydenta USA Ala Gore’a. „Al God” oznacza „Al Bóg” (przyp. tłum.).

— Nie, właściwie...

— Kelner!

Frank spytał Marka, w jaki sposób trafił do NOAA, i z uwagą wysłuchał długiej i zawilej opowieści, w której ważnym wątkiem była dziewczyna studiująca oceanografię i praktyka internistyczna w Glacier Bay. Rozmawiali też o ocieplaniu się Ziemi i o Lodowcu Szelfowym Rossa, który najwyraźniej topi się w zastraszającym tempie. O dziewiątej Frank wiedział, że Brian miał niedorozwiniętego brata, a o dziesiątej, że dwa razy miał rzeźączkę — raz w college’u i drugi raz podczas wyprawy do Indii.

— Na szczęście nie porobiły się szszszankkkrry... — wymamrotał Brian, z trudem wypowiadając ostatnie słowo.

Słuchanie jest sztuką i Frank miał ją doskonale opanowaną. Ludzie mówili mu różne rzeczy, ponieważ cokolwiek mówili, okazywał im zrozumienie. Wyciągał z nich zarówno teksty, jak i podteksty.

— No a Kopervik... jakie to miejsce?

Mark zachichotał. Nie upijał się tak szybko jak Brian.

— Nie pytam o nic tajnego — powiedział szybko Frank. — Niezależnie od tego, co to jest. Mam na myśli samo miejsce.

Brian oświadczył:

— Było dużo śniegu. Wszędzie leżała masa śniegu.

— Naprawdę?

— Jasssne...

— Rozumiem — odparł Frank. Przez chwilę milczał, po czym znów zaczął: — No więc przyjechaliście, była masa śniegu i... — Nie bardzo wiedział, jak kontynuować. — No i... co znaleźliście?

Brian popatrzył na niego znad kufła.

— Jesteś bardzo uparty, co?

— Jestem.

— No cóż... — mruknął Brian. — Upór to pozytywna cecha i upartych ludzi należy nagradzać.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Więc powiem ci, co znaleźliśmy. — Brian pochylił się do przodu i machnął ręką na Marka, który próbował go powstrzymać. — Znaleźliśmy...

— Brian! — syknął Mark.

— Wielkiego... białego... konia.

— Jezu! — Mark wstał.

— Co?! — zawołał kompletnie zaskoczony Frank.

— Konia.

— Musimy już iść — oświadczył Mark i wziął przyjaciela pod ramię. — Wstajemy o szóstej.

— Ja nie muszę... — oświadczył pijackim tonem Brian. Mark zmusił go jednak do wstania.

— Musisz. Wszyscy musimy.

— Jakiego konia? — nie dawał za wygraną Frank. Mark energicznie pokręcił głową, rzucił na stół kilka banknotów i zaczął ciągnąć Briana do wyjścia.

— Wielkiego! — krzyknął Brian, kiedy drzwi się za nim zamykały. — Wielkiego jak kościół! — dodał i roześmiał się.

Po chwili już ich nie było.

WASZYNGTON 31 MARCA 1998

Waszyngton był zdaniem Franka czymś w rodzaju politycznego parku rozrywki. Wszędzie pomniki, rezydencje, tablice pamiątkowe, mauzolea i parki. Historia była wszędzie wokół, nie można było nigdzie iść, nie zderzając się z przeszłością.

Chyba po raz setny przemknęło mu przez głowę: to tu strzelano do Reagana — dokładnie tutaj, przed samym wejściem do „Hiltona” (coś takiego!). O, a tutaj ta argentyńska rakieta Wilbura Millsa poszła się kąpać...*. Frank skręcił w lewo, w Massachusetts Avenue, i wkrótce wjechał na rondo przy Sheridan Circle. To tu — kawałeczek dalej — w wyniku wybuchu bomby samochodowej zginął Orlando Letelier. O, dokładnie tutaj! Dokładnie pod... moimi... kołami... — pomyślał.

Przypominanie sobie różnych niepotrzebnych rzeczy nie przeszkadzało mu przeciskać się przez gęstwinę samochodów i szukać miejsca do zaparkowania w przyzwoitej odległości od „Cosmos Club”.

Jechał saabem hatchbackiem, modelem z 1990 roku, który okazał się wielką pomyłką. Kupił go zaraz po tym, jak dostał etat w „Post”, bo jego ówczesna dziewczyna — Monica Kingston — twierdziła, że nowe samochody działają na nią erotycznie. Jej zdaniem miało to związek z „feromonami pieniędzy” — a udowadnianie przez nią słuszności tego twierdzenia o mało nie skończyło się dla nich dziesięć minut po wyjechaniu z salonu samochodowego lądowaniem na latarni.

Monica była teraz całkiem gdzie indziej, a samochód się zestarzał i potrzebował coraz częstszych napraw. Frank chętnie by się go pozbył, ale auto miało swoją historię, no i poza tym jeździło jak cholera.

Nie było gdzie się wcisnąć. Wszystkie miejsca — nawet te, gdzie nie wolno było parkować — zajęły ciężarówki FedExu i samochody z tablicami dyplomatycznymi. Frank znajdował się teraz zaledwie cztery przecznice od „Cosmos Club”, ale z jakiegoś powodu — mimo że pięć razy w tygodniu biegał po osiem kilometrów — nigdzie nie poruszał się pieszo, jeśli nie musiał. (A zazwyczaj nie musiał, chociaż — tak jak teraz — czasem spóźniał się przez to na spotkania).

Nagle jednak uśmiechnęło się do niego szczęście. Lincoln Town Car, odrobinę mniejszy od lotniskowca, ruszył spod krawężnika z miejsca tuż przy słupku, z którego oderwano parkometr — mniej więcej dwie przecznice od klubu. Frank kilka razy skręcił o sto osiemdziesiąt stopni, wyzwalaając kakofonię klaksonów i przekleństw, po czym wjechał na wolne miejsce, wyszarpnął kluczyki ze stacyjki, wyskoczył z samochodu, trzasnął drzwiami i potruczał w kierunku starej posiadłości, w której mieścił się klub. Dotarcie do szerokich, eleganckich schodów, prowadzących na piętro, zajęło mu niecałą minutę.

Goście czekali na gospodarzy w obszernym holu, w którym stało kilka kanap i parę klubowych foteli. Siedzieli tu niemal wyłącznie mężczyźni w „określonym” wieku, ubrani w „określonego rodzaju” garnitury. Prawie każdy czytał „Timesa”, a ci, którzy tego nie robili, szepotali coś do telefonów komórkowych. Na ścianach wisiały fotografie starego Waszyngtonu i starych Waszyngtończyków — dystyngowanych panów i pań, dawnych członków klubu.

* Chodzi o incydent z 7.10.1974, kiedy to po przypadkowym utrzymaniu przez policję samochodu kongresmana Wilbura D. Millsa jadącego z nim striptizerka Fanne Foxe uciekła, wskazując do pobliskiego Tidal Baun. Sprawa zakończyła się wielkim skandalem, a przy okazji dziennikarze wydobyli na światło dzienne inne grzechy kongresmana, który wkrótce zakończył karierę polityczną (przyp. tłum.).

Daly generalnie nie akceptował klubów, ale „Cosmos” stanowił wyjątek. Jego członkowie poświęcali wiele uwagi sztuce i nauce, a wśród nich było niemal tyle samo biologów i pisarzy, co prawników i dyplomatów.

Powinien czuć się z tego powodu swobodnie, był jednak zdenerwowany. Gospodarz, Fletcher Harrison Coe, arabista i były ambasador Stanów Zjednoczonych w Jemenie, również bardzo liczył na jego artykuł — a wszystko wskazywało na to, że spotka go rozczarowanie.

To wszystko dlatego, że tak go potraktowano. Wyrzucono go poza nawias.

Przez trzy dni pobytu w Norwegii Frankowi nie udało się przydybać żadnego członka załogi „Rexa”. Nie wpuszczono go na pokład ani nie udało mu się drugi raz porozmawiać z dwójką fizyków NOAA, którzy wymeldowali się z hotelu. Nie mógł też nigdzie znaleźć ani Kicklightera, ani Adair, musiał więc pogodzić się z koniecznością dalszego wydawania pieniędzy w oczekiwaniu na samolot do Tromsø i Oslo, a stamtąd do Stanów.

A wydatki miał naprawdę duże. Dziewiętnaście dni w trasie. Prawie trzy tysiące dolarów na bilety lotnicze, parę tysięcy na hotele, sześćset parę na jedzenie i rozrywki. Do tego pralnia, lokalne przejazdy, rozmowy telefoniczne... wszystko razem przekroczyło sześć tysięcy dolarów.

Przekazał spis wydatków e-mailem do fundacji — mając nadzieję, że zagubi się na łączach. Niestety tak się nie stało i musiał spotkać się z Coem, a był już dziesięć minut spóźniony.

— Jesteś wreszcie! — zawołała Jennifer Hartwig. — Spóźniłeś się! Pocałuj mnie! — CMOK CMOK w policzek, do tego olśniewający uśmiech, pachnący starymi pieniędzmi.

— Powiedz mi coś — szepnęła Frank, biorąc Jennifer pod rękę. — Byłaś jedyną blondynką w Stanfordzie czy było ich tam więcej?

Roześmiała się i uszczypnęła go kokieteryjnie w ramię.

— Pytam poważnie — powiedział. Znow się roześmiała.

— Dziękuję ci, ale wiesz co? Masz problemy. Szef widział listę twoich wydatków.

— O!

Jennifer zajmowała się codziennymi sprawami fundacji. Dbała o to, aby ludzie pracujący dla fundacji — bez względu na to, gdzie się znajdują — dostawali pensje i czeki, a biuletyn zawsze wychodził na czas — sześć razy do roku. Odpowiadała na podania i prośby, koordynowała pracę komisji wybierających najlepszych pracowników roku i zawsze, kiedy „absolwenci” fundacji spotykali się na integracyjnych imprezach, pełniła rolę hostessy.

Po chwili znaleźli się w jadalni i mijali stolik za stolikiem. W końcu dotarli do celu. Fletcher Harrison Coe wstał, by ucisnąć Frankowi dłoń.

— Witamy w domu, mój drogi!

— Przepraszam, że się spóźniłem, ale nie mogłem znaleźć miejsca do parkowania...

— Łobuzy — mruknął Coe i opadł na krzesło. — Są wszędzie. — Wyjął z kieszonki na piersi pióro i zaczął wypełniać zamówienie obiadowe. — Co chcesz jeść?

Frank otworzył kartę i wbił w nią wzrok. Stek prawdopodobnie będzie znakomity. Sztuka mięsa *chasseur* pewnie też.

— Wezmę różności wegetariańskie — powiedział w końcu dyplomatycznie i popatrzył na Coego, który był wegetarianinem.

— Znakomicie! — ucieszył się Coe i szybko zapisał zamówienie. — Nie wiedziałem, że jesteś wegetarianinem.

— Ja też nie — dodała Jennifer.

Frank wzruszył ramionami.

— Próbuję nieco ograniczyć spożycie mięsa.

— Tak się zwykle zaczyna — stwierdził Coe. — Po co komu zimny indyk...*. — Zawiesił głos, roześmiał się, po czym przywołał starszego kelnera i wręczył mu zamówienie.

Potem nastąpiło kulturalne przekomarzenie się, będące wstępem do właściwej konwersacji, i Frank opowiedział o niebezpieczeństwach lotu z Murmańska, o hotelu „Czernomorskaja” i o „duchach”, które okazały się uwiecznionymi w windzie gośćmi. Coe zrewanżował się kilkoma historyjkami z czasów, gdy był ambasadorem i felietonistą „Timesa”.

Przyniesiono tace z warzywami i stek dla Jennifer, na który rzuciła się z gwałtownością psa dingo. Zanim zjedli, minęło ponad dwadzieścia minut i Frank ze zdziwieniem stwierdził, że towarzystwo mu się podoba. Opowiedział historyjkę o wężu, który uwolnił się z klatki w szanghajskiej restauracji, a Coe zrewanżował mu się — chyba wymyśloną — opowieścią o zgniłym jajku, jakie podano mu w Katarze. Jego asystentka zachichotała. Coe oparł się wygodnie.

— Nnnnooooo... więc... — powiedział, patrząc na Franka. — Kiedy zobaczymy twój wspaniały artykuł?

Jennifer uśmiechnęła się promiennie i zamrugła.

— No właśnie. Kiedy? — zawtórowała swojemu szefowi.

Cisza była tak gęsta, że można byłoby ją ciąć nożem. Frank złożył serwetkę i odchrząknął, po czym wziął głęboki wdech i opadł na oparcie.

— No cóż... — mruknął.

Coe zmarszczył czoło.

— Jest gotowy? — spytał. — Pierwsza część?

Frank przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Nie.

Coe potarł podbródek.

— Pojawiły się pewne problemy — dodał Frank.

— Hmm... — Szef fundacji odwrócił głowę, popatrzył na Jennifer, a potem znów na Franka. — Cóż, manń nadzieje, że uda nam się nieco przesunąć terminy, ale...

— Myślę, że trzeba będzie wszystko odsunąć na nieco dłużej — powiedział Frank.

Zmarszczki na czole Coego pogłębiły się. — Całą serię.

Coe dał znak kelnerowi.

— Franklin, chyba napilibyśmy się kawy. Dla mnie bezkofeinową, dla panny Hartwig cappuccino. A co dla ciebie, Frank?

— Zwykła, ale bez cukru.

Kiedy kelner odszedł, Coe znów popatrzył na Franka.

— Chyba nie muszę mówić, że to... niepokojące.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— W zasadzie postanowiliśmy już, że pierwsza część pójdzie jako wiodący temat w maju. W tej sytuacji... cóż, chyba będziemy musieli rozejrzeć się gdzie indziej.

Frank skrzywił się.

— Co mamy w zapasie, Jennifer? — zapytał Coe.

— Niewiele. Materiał Marquarda o talibach. Nie sądzę jednak, by miał do niego jakieś zdjęcia, poza tymi sam tekst nie jest zbyt świeży. Mamy też artykuł Corony o dzieciakach z gangów we wschodnim Los Angeles. Jest niezły, ale...

— Najbardziej mnie w tym wszystkim martwi — przerwał jej Coe — że tak strasznie długo nad tym siedziałeś, Frank. Miesiąc? Sześć tygodni?

— Dwa miesiące — odparł Daly. — Ponad dwa miesiące.

— Cóż, takie rzeczy się oczywiście zdarzają, ale... wydałeś fortunę.

— Wiem.

— No i?

* Gra słów. „zimny indyk” (cold turkey), slangowe określenie stanu po odstawieniu narkotyku (przyp. tłum.).

Przy kawie Frank opowiedział im o tym, jak nie zdążył na statek i nie zabrał się z Murmańska do Kopervik, oraz o nagłej niedostępności Kicklightera i Adair w Hammerfest.

— Mam więc dobry początek o grypie, ale nic na temat tego, co znaleźli.

Coe włożył do ust ostatni kawałek fasoli szparagowej, popił kawą i pokręcił głową.

— Wygląda na to, że są ci przynajmniej winni jakieś wyjaśnienie. Co mówią?

— Można się jedynie dowiedzieć, że „nie ma ich dziś w pracy”.

— Rozumiem.

— Nie wymkną mi się jednak. Jeżeli będzie trzeba, będę stał pod drzwiami Kicklightera do czwartego lipca.

Coe kiwnął głową.

— To znakomicie, ale... nie wiem, czy to najlepszy sposób na wykorzystywanie twojego czasu. — Pochylił się do przodu, jakby zamierzał zdradzić jakąś tajemnicę. — Problem polega na tym, że byłem trochę fanem...

Frank jęknął. Wiedział, co zaraz nastąpi.

— Fanem czego?

— Hm... cóż, Frank... tego, co robisz. Muszę przyznać, że podzieliłem skórę na niedźwiedziu, zanim... hmm... zanim go złapaliśmy.

Frank popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Rozmawiałem o tej serii z jednym albo dwoma redaktorami naczelnymi, którzy są... dość zainteresowani... — powiedział Coe.

— Jezu... — jęknął Frank. — Z kim?

— Z „Atlanticu”, z „Timesa”. Z „Post” oczywiście też, ale z nimi poradzimy sobie bez trudu.

Frank westchnął.

— Jadłem nawet obiad z tym idiotą z „Vanity Fair” — dodał Coe. — Obawiam się, że wszyscy ci ludzie będą... rozczarowani.

Najważniejsze rzeczy były ukryte między wierszami i niełatwo było się domyślić, o co tak naprawdę mu chodzi, teraz jednak Frank natychmiast zrozumiał, że popełnił niewybaczalny grzech. Pozwolił uniknąć niedźwiedziowi, zamiast go upolować. Inaczej mówiąc — był nieudacznikiem. Wielkiej Klasy Nieudacznikiem. Fundacja Johnsona dostawała co rok tysiące podań, z których wybierała kilku ludzi, by wesprzeć ich w pracy dziennikarskiej. Do tej pory Frank sprawdzał się całkiem nieźle, ale nagle, w drodze do Murmańska — wypadł z toru.

— Ciągłe jeszcze możemy to opublikować — powiedział, zaskakując samego siebie.

Coe miał sceptyczną minę.

— Pierwsza część jest dobra, naprawdę. Mogę ją skończyć w dzień, dwa.

— A jak to zrobisz?

— Jest już prawie napisana. Pracowałem, nad nią w Chinach i potem w Europie. To wprowadzenie, informujące o temacie.

— Co jest wątkiem wiodącym?

— Przemiana antygeny. Powinna nastąpić już jakiś czas temu, a gdy nowy wirus zaatakuje, uderzy bardzo mocno. Kiedy to ustaliłem, zająłem się tłem — dzikimi kaczkami, wirusami jako takimi i szczepem z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Napisałem, jak się robi szczepionki, co znów doprowadza nas do mutacji i poszukiwań wirusa hiszpanki. A potem pojawiają się Kicklighter i Adair i czytelnik czeka na część drugą.

— Nie rozumiem jednego — wtrąciła Jennifer — czy jeżeli hiszpanka wróci, nie będzie popłuczynami? Mało prawdopodobne, by tym razem zabiła tyle osób. Mamy teraz znacznie lepszą opiekę lekarską, prawda? Kiedyś ludzie umierali na szkarlatynę, ale...

Frank pokręcił głową.

— Gdyby pojawił się szczep grypy podobny do hiszpanki, wcale nie bylibyśmy w lepszej sytuacji niż w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku.

— Żartujesz chyba. Dlaczego?

— Bo nie ma na to szczepionki. Mówimy o chorobie tak zakaźnej, że chowano ludzi w masowych grobach.

— Jak w Indiach?

— Nie — odparł Frank. — Mówię o Filadelfii.

— Jednak to, co proponujesz — powiedział Coe — to za ledwie pojedynczy artykuł. Jeśli na tym się skończy...

Frank uśmiechnął się słabo.

— Nie. Mam dla pana dwie części, tyle że nie wiem jeszcze, jak będzie wyglądać druga. Jeszcze nie wiem, ale się dowiem

— Musimy wierzyć ci na słowo — mruknął Coe.

Frank pokręcił głową.

— Bez najmniejszej wątpliwości coś się dzieje. Annie była bardzo pomocna...

— Annie? — spytała Jennifer.

— Doktor Adair. Naprawdę starała mi się pomóc. Skontaktowała mnie z Shin-Li, pomogła poumawiać spotkania w CDC. A kiedy były trudności ze znalezieniem dla mnie miejsca na lodołamaczu, też o nie zawalczyła.

— I nagle zmieniła swoją postawę — stwierdził Coe. — Ciągłe się z tym spotykamy.

Popatrzył na zegarek, po czym uniósł dłoń i zrobił w powietrzu ruch, jakby coś pisał — prosił o rachunek.

— Nie sądzę, żeby zmieniła zdanie — odparł Frank. — Coś musiało się stać w Kopervik. Jestem o tym przekonany.

— Czyżby? — Coe wyjął z pochewki na kluczyki, którą nosił w kieszeni, wykałaczkę z kości słoniowej. — Skąd ta pewność? Nie było cię tam. — Zaczął żuć wykałaczkę.

— To prawda, ale byłem w Hammerfest. Był tam też ktoś jeszcze... i to czyni całą tę sprawę szczególnie interesującą.

— O kim mówisz? — spytał Coe.

W tym momencie podszedł kelner i dyrektor fundacji podpisał rachunek.

— O Nealu Gleasonie.

Coe zamrugał i przekręcił nadgarstki tak, że wnętrza jego dłoni wskazywały ku sufitowi.

— A kto to jest?

— Oficer łącznikowy między FBI a CIA. Pracuje w Wydziale Bezpieczeństwa Narodowego FBI. Zakres jego obowiązków jest utajniony, ale wydaje mi się, że zajmuje się BMR.

A to co takiego? — spytała Jennifer.

— Broń masowego rażenia.

Coe zbladł.

— Masz na myśli... bomby atomowe?

— Też, ale nie tylko. Do tej grupy zaliczana jest także broń chemiczna i biologiczna.

— I ten człowiek był w Hammerfest?

— W porcie. Wszedł na statek, wyprowadził Kicklightera i Adair na nabrzeże i wsadził ich do samochodu. Nie miałem okazji zamienić z nimi ani słowa.

— Ciekawe... — mruknął Coe. — Ale mimo wszystko nienawidzę wyrzucać pieniędzy w błoto — dodał.

Frank kiwnął głową. Co innego miał zrobić?

— Naprawdę uważasz, że mógłbyś napisać pierwszą część...

— W ciągu dwóch dni. Góra trzech.

— Hmm... — Coe wyjął z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku, spojrzął na niego i wstał. — Spotkanie — wyjaśnił.

Kiedy wychodzili, Coe pomachał do mężczyzny, który wyglądał jak William Rehnquist*, a potem do innego — potężnego jak góra. Bill Bradley**, pomyślał Frank.

Przy wejściu do holu dyrektor fundacji włożył nieco wytarty płaszcz z wielbłądziej wełny i starannie owinał wokół szyi jedwabny szalik. Jennifer chodziła w tę i z powrotem i mówiła do maleńkiego telefonu komórkowego, który wyglądał, jakby był zrobiony z drewna orzechowego.

Coe przekrzywił głowę i popatrzył na Franka.

— Wiesz, im bardziej się nad tym zastanawiam...

— Tak...?

— Uważam, że jedna część wystarczy. Nie potrzeba nam tego ple-ple o Arktyce.

— Ale...

— Nie sądzisz, że należy zminimalizować straty?

— Moim zdaniem pojawienie się Gleasona...

— Cóż, to całkiem inna para kaloszy — mruknął Coe, wkładając rękawiczki z miękkiej skóry.

— Co pan ma na myśli?

— Jeżeli za tym pójdziesz, zaczniesz robić dziennikarstwo śledcze.

— A to źle?

Coe odwrócił się i wziął głęboki wdech.

— Czasy się zmieniły, a my musimy zmieniać się razem z nimi. — Zmarszczył czoło i klasnął w dłonie. — Ciao — powiedział, po czym odwrócił się i ruszył do czekającej na podjeździe limuzyny. Jennifer deptała mu po piętach.

Kiedy Frank patrzył, jak odjeżdżają, obok niego stanął czarny odźwierny. Dłonie splótł na plecach, patrzył gdzieś w dal i kiwał się na piętach.

— I jak się dziś czujemy, sir? — spytał w pewnym momencie. Przez długą chwilę Frank nie wiedział, co powiedzieć, ale w końcu oświadczył:

— Mamy przejebane.

Twarz odźwiernego rozjaśniła się w uśmiechu.

— Tak jest, sir! Święta prawda — i to od dawna!

Po Rosji i Norwegii waszyngtońskie mieszkanie Franka wyglądało jak pałac. Znajdowało się przy placu Mintwood, w dzielnicy Adams-Morgan, okolicy zarówno bogatej, jak i biednej, zamieszkaney przez czarnych i yuppie. Przewodniki nazywały ją „modną i żywą”, co oznaczało, że było tu sporo narodowych restauracji, kilka dobrych barów i zero miejsc do parkowania.

Nawet w ciągu dnia ulice były pełne młodych specjalistów z różnych dziedzin. Na chodnikach wysiadali młodzi Goci o kruczoczarnych włosach i bladych twarzach, a co kilkadziesiąt metrów zbierały się trzy- lub czteroosobowe grupki Salwadorczyków, by wypić flaszkę albo zrobić jakiś interes. Wszędzie słyhać było magnetofony.

Mieszkanie było dość osobliwe — Daly wynajął je na długo przedtem, zanim okolica stała się modna. Były w nim palladiańskie okna***, mnóstwo gołej cegły i sprzęt grający za dwa tysiące dolarów, który dwa razy kradziono (choć ani razu w ciągu ostatnich trzech

* William Rehnquist — znany amerykański prawnik i sędzia (przyp. tłum.).

** Bill Bradley — były koszykarz, od 1978 roku senator USA (przyp. tłum.).

*** Palladianizm — klasycyzujący nurt w europejskiej architekturze XVIII wieku, powstały pod wpływem projektów A. Palladia. W Polsce przykładem realizacji tego nurtu jest m.in. Pałac Prymasowski w Warszawie (przyp. tłum.).

lat). Pokoje były bardzo duże i kiedyś pewnie efektownie urządzone. Teraz wyglądały raczej ubogo — było to konsekwencją wywiezienia przez atrakcyjną Alice Holcombe większości mebli, kiedy się wyprowadzała. (Miało to miejsce pół roku wcześniej i Frank mógł na ten temat powiedzieć jedynie: „No cóż...”).

Daly zapalił płomień pod czajnikiem, po czym odsłuchiwał pocztę głosową. Nie było w niej żadnych naprawdę ważnych informacji — i oczywiście nic od Kicklightera czy od Adair. Zapraszano go na kolację. Na pokera. Dzwonili przyjaciele, którzy chcieli „tylko sprawdzić, co słychać”, oraz informatorzy i paru osobników, którzy chętnie by nimi zostali — w tym gość, który twierdził, że rozwiązał zagadkę śmierci Kennedy’ego „i nawet więcej!”. Ostatni telefon przypominał mu, że w poniedziałek o dziewiątej wieczorem ma mecz piłki nożnej.

Frank wrzucił do papierowego filtra miarkę kawy, po czym czekając, aż woda się zagotuje, zaczął przeglądać listy.

Nie było ich wiele: „Journal of Scientific Exploration”, „Economist”, rachunek z VISY, list z banku i mnóstwo śmieci, niewartych papieru, na którym je wydrukowano.

Kiedy czajnik zagwizdał, zalał kawę odrobiną wody i czekał, aż się przesączy. Gdy przestała skapywać, zalał kawę większą ilością wody. Wyglądało na to, że natknął się na coś naprawdę dużego. Był tego absolutnie pewien. Choć nie umiał dokładnie określić, na czym sprawa polega, coś się kroilo i nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Widział to jakby na obrzeżu pola widzenia — niczym czarną dziurę, która ujawnia się tylko pośrednio, poprzez znikające w niej obiekty. Takie na przykład jak Kicklighter i Adair. Popołudnie spędził przy długim drewnianym stole, który służył mu jako biurko, i na papierze firmowym waszyngtońskiego „Post” pisał listy do różnych agencji: FBI, CIA, NIH, CDC, NOAA, Min. Obr. i Dep. Stanu. Każdy z nich był zaadresowany do Dyrektora ds. Informacji i Prywatności Agencji i każdy zaczynał się tymi samymi słowami:

Drogi Panie.....

Jest to prośba zgodna z Ustawą o Wolności Informacji (5 U.S.C., 552).

Zwracam się z prośbą o udzielenie mi wszelkich informacji lub udostępnienie dokumentów, mających związek z ekspedycją Bentona Kicklightera i Annie Adair, którzy niedawno na pokładzie norweskiego lodołamacza Rex Mundi odbyli rejs z rosyjskiego Murmańska do archipelagu Svalbard. Wiem, że ekspedycja została zorganizowana pod auspicjami Narodowej Fundacji Nauki (NSF), a jej celem było wydobywanie ciał górników, pogrzebanych w osiedlu Kopervik. Statek wypłynął z Murmańska 23 marca 1998 roku i wrócił do Hammerfest (Norwegia) pięć dni później.

Dalej prosił o szybkie załatwienie sprawy i dodawał na końcu:

c: Williams & Connolly

Była to nazwa kancelarii prawnej, reprezentującej „Post”. Wspominanie o niej nie było konieczne, bo agencje rządowe mają obowiązek reagować na wnioski składane na podstawie Ustawy o Wolności Informacji w ciągu dziesięciu dni. Jednak w praktyce wiele agencji sabotowało tę ustawę, odpowiadając standardowymi formułkami. Miało to miejsce najczęściej wtedy, gdy autorami listów byli zwykli obywatele, których nikt nie podejrzewał o to, że będą zamierzali dochodzić swoich praw na drodze sądowej. Ale Frank chciał, by wszystkie agencje wiedziały, iż zarówno on, jak i „Post” są gotowi iść do sądu.

Kiedy wydrukował listy, zaniósł je na pocztę na Columbia Road. Miał do niej niedaleko, a spacer okazał się interesujący — po drodze minął mężczyznę, który sprzedawał nadmuchiwane zwierzęta, kilka sklepów, w których sprzedawano tostery w stylu retro, lampy

z podstawkami z lawy wulkanicznej i gargulce, oraz nową etiopską restaurację i bar funkowy „Millie & Al’s”.

Urzędnikiem pocztowym był wesoły Jamajczyk w niebieskiej bandanie na głowie, pozawiazywanej w małe węzłki.

— A cóż tam masz, *mon!* — zapytał.

Frank podał mu listy.

— Oficjalllly bizeness! — zawołał urzędnik, patrząc na kolejne adresy. — Popatrz no, popatrz! Si-aj-ejjj! Eff-bi-aj! Pent-a-gonnn! — Spojrzał na Franka. — Masz ciekawe życie, *mon.* — Zaśmiał się, wziął od Franka pieniądze, wydał mu resztę i wrzucił listy do szarego pocztowego worka. — Dziękujemy za zrobienie z nami biznesu. Następny, proszę!

Podczas następnych dni Frank pracował nad artykułem o grypie, który w dalszym ciągu uważał za „część pierwszą”.

Co jakiś czas dzwonił do tych samych trojga ludzi, ale efekt był wciąż ten sam. Neala Gleasona za każdym razem nie było w biurze, a Kicklightera „przy biurku”. Adair w ogóle nie dało się zlokalizować — choć jej automatyczna sekretarka nagrywała wiadomości Franka. Numer telefonu domowego Gleasona był zastrzeżony, a Kicklighter nie odbierał. Kiedy Frankowi parę razy udało się w końcu dodzwonić do niego późnym wieczorem, doktor, odbierając, nigdy nie powiedział więcej niż „halo?” — a potem zmienił numer i zastrzegł go.

Gdy Frank skończył artykuł o grypie, wysłał go kurierem do biur fundacji, mieszczących się przy K Street. Następnego popołudnia zadzwonił Coe i oświadczył, że materiał mu się podoba i dalej „poradzi sobie sam”.

— To świetnie — odparł Frank. Zapadło po tym milczenie, które Coe przerwał w końcu pytaniem:

— Co teraz? Mam nadzieję, że nic drogiego.

— Myślałem o Nowym Meksyku — powiedział Frank. — Mógłbym napisać o wirusie Sin Nombre. Pomyślałem, że zajrzę do Taos i porozmawiam z tamtejszymi pracownikami państwowej służby zdrowia. To nośna historia.

Coe sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło.

— Znakomicie — oświadczył. — Już się cieszę.

Frank jednak nie od razu zabrał się do pracy nad nowym materiałem. W poniedziałek wieczorem pojechał do Springfield, gdzie grywał w hali w piłkę nożną z kumplami, których znał od chwili, gdy przyjechał do Waszyngtonu. Mecz był wyrównany, a grali z peruwiańską drużyną, której członkowie byli doskonale wyszkoleni i agresywni. Frank strzelił dwie bramki, co nie uchroniło ich jednak od porażki, i wrócił do domu posiniaczony, ale radosny.

Późnym wieczorem mniej więcej po raz dziesiąty w ciągu tygodnia zadzwonił do Annie i ku jego zdziwieniu — tym razem odebrała.

— Próbowałem się z panią skontaktować — powiedział.

— Wiem, ale dopiero wróciłam do domu. Byłam u rodziców, a na sekretarce zdążyło się nagrać osiem wiadomości — odparła. W jej głosie nie było, irytacji ani zniecierpliwienia.

— Zamierzała pani na nie odpowiedzieć?

Przez kilkanaście sekund Annie się nie odzywała.

— Hmm... nie sądzę... nie sądzę, by było to coś do powiedzenia. Poza tym, że przykro mi, iż pan tak się kłopotał. Tak naprawdę nie ma jednak o czym rozmawiać.

— Myślę, że jest — oświadczył. — To ważna sprawa.

Milczała tak długo, że w końcu zapytał:

— Doktor Adair?

— Tak?

— Powiedziałem, że to ważna sprawa.

— Rozumiem, ale nie mogę panu pomóc.

— Może pani, ale nie chce. Dlaczego?

— No cóż... — zaczęła, a potem znów długo milczała. — Muszę kończyć — oświadczyła wreszcie.

— Ale to niegrzeczne! — zawołał Frank.

Wyraźnie ją to zaskoczyło. Frank pomyślał, że Gleasonowi nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

— Słucham...?

— To niegrzeczne! Niech się pani zastanowi... przejechałem prawie pół świata. Wydałem fortunę. A teraz pani nie chce nawet ze mną rozmawiać.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Po prostu nie mogę.

— Chodzi o Gleasona, tak?

— O kogo? — spytała zdziwiona.

— O Gleasona. Neala Gleasona.

— Cóż... muszę kończyć.

— To wszystko? Tylko tyle mi pani powie: „Muszę kończyć”?

— Nie, ale naprawdę...

— Obowiązuje panią coś w rodzaju... — zabrakło mu odpowiedniego słowa — przysięgi o zachowaniu tajemnicy?

Annie znów zamilkła.

— Doktor Adair...

— Annie.

— Słucham...?

— Wszyscy mówią do mnie Annie.

— W porządku, Annie. Chodzi o to, że naprawdę miałem wrażenie, że się dogadujemy. Zanim zaczęło się to... — zamierzał powiedzieć „gówno”, ale się powstrzymał. — Była pani taka miła!

— Dziękuję — odparła. — Może rzeczywiście tak było.

Frank roześmiał się.

— Co wobec tego powie pani na kolację?

— Kolację...?

— Zapomnijmy o Spitsbergenie. Po prostu pójdziemy coś zjeść. Pani powie kiedy i pani wybierze miejsce. Jedno zastrzeżenie: byle nie była to kanadyjska restauracja.

W telefonie znów zapadła cisza.

— To miłe, ale... — odezwała się w końcu Annie — nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie w tych okolicznościach.

Zabrzmiało to, jakby naprawdę miała ochotę pójść na tę kolację, i zachęciło go to, by ją przycisnąć.

— W jakich „okolicznościach”? Nie wiem nic o żadnych okolicznościach.

Tym razem ona się roześmiała.

— Cóż, chyba chce pan, bym coś panu powiedziała, a ja naprawdę nie mogę.

— „Nie mogę” oznacza, że pani coś podpisała!

Usłyszał w słuchawce zrezygnowane westchnienie.

— To do niczego nie doprowadzi.

— Niech się pani nie rozłącza! Niech mi pani pozwoli spróbować.

— Powinien pan porozmawiać z doktorem Kicklighterem.

— Świetny pomysł! Z doktorem Kicklighterem! Dlaczego sam na to nie wpadłem?

Problem tylko w tym, że najwyraźniej wysadził swój telefon.

— Pewnie jest bardzo zajęty.

— Wszyscy jesteśmy zajęci. Pani jest zajęta! Ja jestem zajęty! Nawet Gleason jest zajęty!

— Wiem, ale... naprawdę muszę już kończyć. Naprawdę!

— Dlaczego?

— Bo mam w piekarniku kurczaka, który się przypala, a moje mieszkanie wypełnia się dymem i jeśli nie skończę rozmowy z panem, włączy się alarm pożarowy — odparła. — Potem zjawi się straż pożarna, a za nią policja, wyrzucą mnie z mieszkania i stanę się dziadową z reklamówkami. Chce pan tego?

— Nie. Zamelduję się jednak za tydzień i wtedy powinniśmy pójść na kolację.

11

LOS ANGELES 11 KWIETNIA 1998

Susannah poprawiła torbę z pieluchami, oparła dziecko o biodro i złożyła niedawno kupiony wózek. Miała to już dobrze opanowane — należało pchnąć dźwignię stopą i wózek sam się składał. Kiedy wsiadała do autobusu, starsza Azjatka przytrzymała jej wózek.

— Postawię go tutaj — powiedziała, kiedy Susannah płaciła za przejazd. — Okej? — zapytała, wstawiając wózek za barierkę tuż za kabiną kierowcy.

— Bardzo pani dziękuję... — odparła Susannah, obdarzając kobietę szerokim, pełnym wdzięczności uśmiechem.

— Ma pani śliczne dziecko — zauważyła Azjatka, podając kierowcy bilet przesiadkowy.

— Jest piękny, prawda? — Susannah pochyliła się nad malcem i potarła nosem o jego nosek. — Jest śliczny jak laleczka — zaśpiewała. — To moja mała por-ce-la-nowa lala, oto cały malutki chłopiec mój!

Poprosiła kierowcę, by powiedział jej, kiedy dojadą do Wilshire Boulevard, po czym usiadła na siedzeniu przy przejściu, blisko przodu autobusu, a na fotelu obok położyła torbę z pieluchami, żeby nikt się nie dosiadł. Dotknęła palcem noska synka i delikatnie nacisnęła. Zawsze kiedy to robiła, zaczynał wydawać z siebie gulgoczące dźwięki i tak szeroko się uśmiechał, że w policzkach robiły mu się dołeczki.

— Jak to się stało, że jesteś taki śliczniutki? — spytała, kiwając głową. — Powiedz mi, jak to się stało?

Wyrzała przez okno na uciekające do tyłu budynki Los Angeles, równocześnie bujając lekko Stephena, by leżał spokojnie. Nie mogła się nadziwić, jak beznadziejnie wygląda większa część miasta, zabetonowana i wyasfaltowana, i jak brzydka jest większość domów. I te palmy — czemu właściwie służyły? Były cienkie jak patyki i nie dawały żadnego cienia. Stały sobie tylko przy ulicy — jak szereg rozczarowań.

Kiedy Susannah myślała o palmach, zawsze kojarzyły jej się romantycznie — rosły tuż przy wodzie, na plaży koloru kości słoniowej, i smagał je wiatr. Woda była przejrzysta i błękitna, na niebie ani jednej chmurki. Tu jednak — pośrodku Los Angeles, w prawdziwym życiu, otoczone betonem, były... no właśnie — czym były?

Paskudztwem. Inaczej nie dało się ich określić. PASKUDZTWO. Zresztą cała ta okolica była dołująca — nawet tutaj, niedaleko Beverly Hills, gdzie wszystko ponoć miało być idealne. Nawet jeśli autobus nie jechał akurat najpiękniejszą ulicą w dzielnicy...

Wiedziała, że to prawda, ponieważ już od dłuższego czasu jeździli autobusami. Był to czwarty, do którego wsiadła dziś ze Stephenem.

Chłopiec wykrzywił buzię i wydawał z siebie to swoje u-hu-hu, czuła jednak, że musi go jak najszybciej nakarmić, bo jej piersi zrobiły się pełne i ciężkie. Jeśli tego nie zrobi, może jej wyciec mleko — a nie byłoby to dobre, ponieważ ubranie, które miała na sobie, było przeznaczone tylko na dzisiejszy dzień.

Adeline wzięła ich na zakupy do Pentagon City Mail, niedaleko od ich bezpiecznego domu przy Potomac Towers. Tak właśnie Adeline go nazywała: „nasz bezpieczny dom” — choć było to mieszkanie tylko z dwoma sypialniami. Wiązał się z nim jednak nowy samochód, konto w banku i — co było najlepsze ze wszystkiego — nowa tożsamość. Kiedy Susannah tam przebywała (a po Rhinebeck przebywała często), była „panią Elliottową Ambrose”. Podobało jej się to, bo brzmiało z klasą. Na pewno lepiej niż „Susannah Demianiuk”.

W każdym razie mieszkanie było wygodne, położone blisko centrum handlowego i lotniska. Zmieniali tam ubrania, a w domu znów się przebierali. Potem zwracali ubrania — nieco tylko używane.

Sprawa z ubraniami była taka: jesteś tym, co nosisz. Tak twierdził Solange. Jego zdaniem, jeśli człowiek jest odpowiednio ubrany, robi się niewidzialny — przynajmniej dla gliniarzy, ochroniarzy i innych tego typu ludzi. Jeśli jest się odpowiednio ubranym, nikt człowieka nie zaczepia.

Niestety odpowiednie ubrania były drogie — sama garsonka kosztowała więcej niż jej bilet na samolot — nie było więc sensu ich kupować. Zwłaszcza jeśli można je było wypożyczyć.

Zazwyczaj zaopatrywała się w ubrania w sklepach z używaną odzieżą. Wszyscy tak robili. Dzięki temu nie tylko wprowadzali je do powtórnego obiegu, ale także oszczędzali pieniądze, które można było wydać na ważniejsze rzeczy — na przykład na dobrą wirówkę. Nawet bawełna — materiał podobno tak przyjazny i naturalny — nawet produkcja bawełny była jak wydobywanie ropy naftowej czy coś w tym stylu. Bardzo zanieczyszczała środowisko. Kiedy wróci z Tommym z wybrzeża, Belinda albo chłopcy z biura spraw specjalnych będą mogli wszystko od nich odebrać. Rozejrzała się po autobusie.

Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, autobus wcale nie jest złym miejscem do karmienia dziecka piersią. Oparcia były wystarczająco wysokie, by się za nimi schować, poza tym w środku nie siedziało zbyt wielu pasażerów.

Gdy tylko Stephen złapał jej sutek, natychmiast zaczął pomlaskiwać. Po kilku minutach przekreśliła go, by zabrał się do drugiej piersi. Za oknami powoli przesuwały się budynki Los Angeles. Ulice były pełne samochodów i od czasu do czasu, choć światła się zmieniały, stawali w miejscu i czekali, aż ktoś się ruszy: czerwone — zielone — żółte — czerwone. Nikt nie trąbił, najwyraźniej wszyscy byli do tego przyzwyczajeni. Niebo miało paskudny, szary kolor — pewnie zrobiło się takie od unoszących się w powietrzu spalin.

Kiedy kierowca powiedział: „Następny przystanek Wilshire Boulevard” — Susannah miała już zapiętą bluzkę, a Stephen beknął. Złożyła pieluchę z tetry, którą zawsze trzymała mu przed ustami, gdy mu się odbijało, włożyła ją do torby z pieluchami, po czym z małej, wyściełanej przegródki na dnie — było to miejsce na jedzenie dla dziecka — wyjęła żarówkę. Pochyliła się i położyła ją sobie pod czubkiem buta.

Kierowca przyspieszył, by objechać parkujący „na trzeciego” samochód i skręcił na przystanek. Susannah wstała i wypuściła żarówkę spod stopy. Żarówka potoczyła się po podłodze, a ona poszła w kierunku wyjścia na przodzie autobusu.

Oczywiście nie dało się przewidzieć, kiedy i gdzie żarówka pęknie. Mogła się turlać po autobusie przez cały dzień albo potłuc się, zanim Susannah zdąży wysiąść. Nie można było tego przewidzieć. Przynajmniej nie dokładnie.

To właśnie podobało się w tym Solange’owi. Decydował przypadek — jak w Naturze.

Kiedy Susannah wysiadła z autobusu, nie wiedziała, gdzie jest. Autobusy, którymi jeździła, skręcały na północ, południe, wschód i zachód. Podeszła do rudej kobiety, siedzącej w kawiarnianym ogródku, kilka kroków od przystanku autobusu.

— Przepraszam...

Kobieta podniosła wzrok znad niewielkiego, oprawnego w skórę notesu, w którym coś pisała. Miała zdziwioną minę.

— Wie pani, gdzie jest Rodeo Drive? — zapytała Susannah, przerzucając sobie Stephen'a z biodra na biodro.

Kobieta zlustrowała ją — jakby sumowała w głowie ceny poszczególnych sztuk jej garderoby albo wątpiła, czy ubranie jest własnością młodej matki. Potem westchnęła i popatrzyła w prawo.

— Zaraz za rogiem.

Susannah uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— A tak w ogóle — dodała kobieta, marszcząc twarz w uśmiechu tak zjadliwym, że Susannah miała ochotę sięgnąć do torby i rzucić w nią żarówką — mówi się Rou-dej-o Drive. Nie Roldy-ou.

— Bardzo dziękuję — odparła Susannah i poszła we wskazanym kierunku. Skąd miała wiedzieć, że wymawia się to inaczej? Rodeo. Coś w rodzaju rou-dii-ou. A przecież byli na Zachodzie.

Kobiety przyglądały jej się uważniej niż mężczyźni, którzy poza tym robili to nieco inaczej. (Z wyjątkiem gejów, przyglądających się jej tak samo, jak to robiły kobiety). Dziecko nie zmieniało sposobu, w jaki patrzyli na nią faceci. Te wszystkie pełne podziwu spojrzenia sprawiały, że dobrze się czuła. Zniknął jej już cały ciężowy tłuszcz i wyglądała naprawdę dobrze w eleganckiej, dopasowanej garsonce. Figura nawet jej się poprawiła — od karmienia miała wyraźnie większe piersi. Było to lepsze od implantów, a Stephen był tak zachwycający, że ludzie nie mogli oderwać od nich oczu.

Czuła się naprawdę wspaniale i żałowała, że nie jest to jej prawdziwe, codzienne życie. Spacer Rodeo Drive, pchanie przed sobą dziecka w nowiuteńkim wózku, oglądanie wystaw, i zastanawianie się, czyby się nie zatrzymać na koktajl mleczny albo coś w tym rodzaju. Szyby wystawowe były niezwykle czyste, a szkło nie tyle przezroczyste, co... niewidzialne.

Sklepy były niesamowicie drogie, a w połowie z nich, żeby w ogóle wejść do środka, trzeba było być z góry umówionym.

Wszystkie wystawione przedmioty traktowano niemal jak święte relikwie. Na jednej z wystaw demonstrowano w obracających się puzderkach monokle — tak by można je było obejrzeć ze wszystkich stron, jak klejnoty. Na innej wystawie znajdowała się torebka. Jedna torebka i nic więcej!

Wszystko się świeciło i błyszczało — nawet ludzie.

Susannah sprawdziła w szybie wystawowej, jak wygląda. Pasowała do otoczenia, naprawdę wyglądała, jakby tu było jej miejsce — jakby była żoną jakiegoś producenta albo kogoś podobnego. Równie dobrze ona sama mogła być producentką, która wyszła z dzieckiem by kupić parę kolczyków albo dywan.

Było to bardzo miłe uczucie.

Czuła się wspaniale, ogarnęło ją jednak poczucie winy, że tylko spaceruje. Solange osobiście wyznaczył jej trasę, wyrysował ją na mapkach, które drukował komputer. Mówił, jakimi autobusami ma jechać i do jakich dzielnic się udać. ale szczegóły pozostawił jej samej. Mogła podrzucać żarówki tam, gdzie chciała — w autobusach, w koszach na śmieci, w miejscach, gdzie przy krawężnikach parkowały samochody — ważne było jednak, by robiła to w odpowiednich okolicach.

Musiała trzymać się planu, aby mogli śledzić efekty jej działania. Solange wybierał najmodniejsze dzielnice, ponieważ... kto zużywa najwięcej zasobów naturalnych? Kto najwięcej niszczy?

Tu właśnie był brzuch bestii — dokładnie tutaj było jej centrum nerwowe (jak wyraził się Solange). Może powiedział to jakoś inaczej, ale o to mniej więcej chodziło. Centrum podejrzanej konsumpcji. Dokładnie tutaj — przy Rodeo Drive, miejscu, które tak ją pociągało.

Rou-dej-o Drive.

Kończyły jej się już żarówki. Przygotowali ich tylko dwanaście. Susannah zatrzymała się pod sklepem o nazwie „Bijan’s” i poprawiła parasolkę, która osłaniała oczka Stephena przed słońcem. Sięgnęła do torby, wyjęła żarówkę i położyła ją ostrożnie obok krawężnika, gdzie na pewno rozjedzie ją samochód.

Naprzeciwko szła grupa roześmianych ludzi. Mieli duże, białe zęby i wyglądali tak drapieżnie, że Susannah najchętniej natychmiast zdeptałaby żarówkę. Nie zrobiła tego jednak — nie dlatego, że zachorowałyby, ale dlatego, że miała buty na obcasie, za które zapłaciła u Joan & Davida sto dziewięćdziesiąt dwa dolary i będzie je musiała dłużej ponosić.

12

WASZYNGTON 17 KWIETNIA 1998

Jak zazwyczaj w połowie kwietnia, miasto rozjaśniała wiosna.

Po powrocie z Santa Fe Frank stwierdził, że zima odeszła i cały krajobraz się zmienił. Ulice, parki i pobocza płonęły od tulipanów i azalii, a derenie jakby się umówiły, by zakwitnąć wszystkie naraz.

Otworzył drzwi do mieszkania, rzucił walizkę na łóżko, przebrał się w podkoszulek i spodenki do biegania, po czym wyszedł zrobić przebieżkę, by pozbyć się dygotu po długim locie. Pobiegł ścieżką rowerową przez park Rock Creek. Na przestrzeni dobrych pięciuset metrów, wzdłuż siatki zoo, czarny asfalt był zasłany płatkami kwiatów wiśni. Od czasu do czasu podmuch wiatru zrzucał z drzew następną porcję płatków, które opadały gęsto niczym chmury konfetti. Co tam Paryż — przez kilka tygodni wiosny Waszyngton był najpiękniejszym miastem świata.

Może tak mu się jednak tylko wydawało, bo ostatnie dwa tygodnie spędził na pakach furgonetek, krążąc po pustyni, gdzie nie było niczego poza kurzem, skałami i karłowatymi krzaczkami. Krzew bzu byłby tam cudem.

Jeździł razem z pracownikami służby zdrowia, którzy próbowali w strefie Four Corners zatrzymać rozprzestrzenianie się wirusa Hanta. Jak na razie stwierdzono dwa zachorowania, do tego w miejscach oddalonych o kilkaset kilometrów, jednak gdy chodzi o wirusa, który zabija siedemdziesiąt procent zarażonych osób, nikt nie chce ryzykować.

Niektóre domy, które sprawdzali, znajdowały się na terenie rezerwatu, inne poza nim, w obu jednak przypadkach uzyskanie pozwolenia na stawianie pułapek, pobieranie próbek krwi czy obejrzenie domu było wielką sztuką.

— Chcecie sprawdzić w moim mieszkaniu mysie gówna? Kim wy, do kurwy nędzy, jesteście?

— Próbujemy zapobiec kolejnemu wybuchowi choroby; takiemu, jaki był tu w dziewięćdziesiątym trzecim.

— Czy to myszy ją powodują?

— Tak jakby. To wirus, a myszy go roznoszą.

— Aha... a jak się nazywa?

— Sin Nombre.

— Taką ma nazwę? „Wirus bez nazwy”?

— Zgadza się.

— Jaja sobie ze mnie robicie...

Niektórzy ludzie pamiętali 1993 rok. Gorączkę. Panikę. Umieranie. Wiedzieli o Sin Nombre więcej, niż chcieli wiedzieć, i ta nazwa wcale ich nie bawiła. Dla tych jednak, których jeszcze tu wtedy nie było, oraz tych, którzy nie bardzo wiedzieli, co się działo, nazwa była denerwująca — wywoływała spojrzenia, które mówiły: „Wynoście się stąd! Lepiej zajmijcie się czymś poważnym — nie chorobą, której nawet nie umiecie nazwać!”.

Byli także tacy, którzy reagowali podejrzliwością.

— Chcecie mnie przebadać na obecność antyciał? Jeśli chodzi wam o HIV, to mówcie wprost, a nie pieprzcie o jakimś Sin Nombre!

W końcu jednak pracownicy służby zdrowia dostali, czego chcieli, i nie doszło do wybuchu epidemii — oprócz początkowych dwóch przypadków nikt nie zachorował. Sprawa była mimo wszystko interesująca, a napisanie artykułu okazało się łatwym zadaniem. Ale znacznie ważniejsze dla Franka było to, że Coe będzie zadowolony i da mu tyle luzu, że będzie mógł się zająć tym, co naprawdę go interesowało.

Wziął prysznic, po czym usiadł przy komputerze i zrobił listę wydatków. Wydrukował ją i włożył do szarej koperty — razem z rachunkami. Wyśle ją rano Jennifer.

Dyskietkę, którą zapisywał w laptopie, wsunął do stacji dysków komputera i skopiował pliki z podróży. Otworzył plik Nombre 1 i przeczytał notatki, potem utworzył nowy plik: Nombre 2. Pracował nad artykułem przez godzinę, na więcej nie było go jednak stać — zaczęła się wiosna i miał ochotę gdzieś się wybrać.

Przeniósł napisany tekst na dyskietkę, zamknął komputer i poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i zajrzał w głąb jednej z półek, gdzie za kartonem z mlekiem leżało pudełko na dyskietki. Takie ich przechowywanie mogło się wydawać dziwactwem, Frank jednak wiedział, co robi. W lodówce było chłodno, ale nie za zimno, znacznie ważniejsze było jednak to, że lodówki są izolowane: gdyby w mieszkaniu wybuchł pożar, zawarte na dyskietkach dane będą bezpieczne.

Zrobiło się późne popołudnie i przez okno wpadały skośne pasy światła. Frank podniósł słuchawkę i zadzwonił do Annie Adair.

— Halo?

— Kłania się Frank Daly.

— O! — Przerwa. — Cześć. — Między dwoma słowami, między „o” i „cześć” jej głos się zmienił — z entuzjastycznego zrobił się ostrożny.

Przez kilka minut prowadzili zdawkową rozmowę. Co u niego. Co u niej. Czy dostała jego artykuł o grypie?

— Och, tak! Był dobry... Zrobił na mnie wrażenie.

Po chwili milczenia Frank powiedział wreszcie:

— Myślałem... wie pani, może moglibyśmy gdzieś pójść, coś zjeść.

— Nie wiem. Nie wygląda mi to na najlepszy pomysł.

— Dlaczego?

— Ponieważ... w dalszym ciągu nie mogę z panem rozmawiać.

— Ale pani rozmawia. Przecież rozmawiamy!

— Wie pan, co mam na myśli. Chodzi o... Kopervik. Hammerfest. O te sprawy.

— Uważa pani, że dzwonię z tego powodu?

— Mhmm...

— Mój Boże, cóż za podejrzliwa kobieta! Kopervik! Uważa pani, że chcę rozmawiać o Kopervik?

— Mhmm...

— Kopervik... a jeżeli obiecuję, że nie będę próbował na ten temat rozmawiać?

— Nie wiem, czy bym uwierzyła. Sprawia pan wrażenie... upartego.

— Ja? Uparty? Skądże. Nie jestem uparty, ale głodny. Więc co, jeśli przysięgnę? Z całą powagą. Jeżeli dam słowo?

Zaśmiała się, co oznaczało, że zastanawia się nad przyjęciem zaproszenia.

— No dobrze. Przysięgnę na Biblię.

Ponownie się roześmiała.

— Co pani na to? Na Biblię?

— Nie sprawia pan wrażenia aż tak religijnego.

— Zgoda... ma pani rację. Nie jestem religijny. Co więc powie pani na *Gravity's Rainbow**? Na *Anatomie Graya*? Pani wymienia tytuł, ja na niego przysięgam.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

— Ale... — zaczęła po dłuższej chwili z westchnieniem — wiem, że w dalszym ciągu chce się pan czegoś dowiedzieć o ekspedycji. Ja na pańskim miejscu na pewno bym chciała.

— Proszę mi zaufać. Napisałem artykuł, czytała go pani. Teraz zająłem się większymi i groźniejszymi chorobami.

— Na przykład?

— Sin Nombre. Właśnie wróciłem z Nowego Meksyku.

— Naprawdę?

Naśladować ton lektora wiadomości, Frank zaczął czytać z ekranu stojącego przed nim monitora:

— „Jeszcze przed rozpoczęciem się zimy eksperci od zagadnień zdrowotnych w Four Corners martwili się, że *peromyscus maniculatus* rozmnaża się zbyt szybko”. Chodzi o występującą w tamtym regionie mysz... — wyjaśnił i zapytał: — Kontynuować?

— Nie trzeba.

— W porządku. To co z kolacją?

— No cóż...

Zawsze traktował „no cóż” albo „może” jako zgodę. „Nie mów nie — prosił zawsze matkę — mów może”.

— To wspaniale! Może być piątek? Wiem, że to najlepsze godziny na oglądanie dziennika, ale... przyjadę po panią wpół do ósmej. — Nie dając jej czasu na zastanowienie się, przerwał połączenie. Jeżeli zdecyduje się nie przyjść, zadzwoni. A jeśli nie znajdzie jego numeru, po prostu jej nie będzie.

Annie mieszkała niewiele ponad kilometr od niego, w domu w Mount Pleasant, który dzieliła z koleżanką z Kansas o imieniu Indu i pracującym na własny rachunek specem od komputerów z Caracas.

— Oboje dziś pracują — powiedziała i roześmiała się. — Wszyscy ciężko harujemy.

Znalezienie miejsca do zaparkowania zajęło mu więcej czasu niż dojazd, co też jej powiedział, kiedy otworzyła drzwiczki saaba.

— W takim razie dlaczego nie pójdziemy na piechotę? — spytała.

Tak też zrobili.

Był ciepły, deszczowy dzień. Chodniki były czyste i mokre, woda wypłukała ze studzienek kanalizacyjnych śmieci. Przeszli sześć albo siedem przecznicy dzielących Mount Pleasant od Adams-Morgan, mijając po drodze grupki pijaczków, zaparkowane „na

* Znana powieść Thomasa Pynchona (przyp. tłum.).

trzeciego” policyjne radiowozy, „Kenny’s Bar-B-Que” i kościół zunifikowany. W powietrzu unosił się zapach kapryfolium i wody, słychać było dźwięki salsy i rapu.

— Niech pan opowie o swojej wyprawie — poprosiła. — Jak to się stało, że zainteresował się pan Sin Nombre”?

— Z powodu nazwy. Brzmi tak upiornie... coś całkiem przeciwnego do tego, co mówi się o Nowym Jorku.

— To znaczy?

— No wie pani: „to miejsce to taki cud, że potrzebuje nazwy z dwóch słów”. Ten wirus jest tak paskudny, że nie chcieli go nazwać nawet jednym słowem.

— Zawsze byłam ciekawa, dlaczego tak go nazwano.

— Mogę pani powiedzieć.

— Wspaniale!

— Ale będzie pani nieco rozczarowana.

— Dlaczego?

— Ponieważ powodem powstania tej nazwy jest poprawność polityczna. Kiedyś nazywano ten wirus Muerto Canyon — od miejsca, gdzie pojawił się po raz pierwszy. Nie dało się tego jednak utrzymać, bo kanion znajduje się na terenie rezerwatu Nawahów, którzy dostali szału na myśl, że jakiś wirus mógłby nosić tę nazwę.

— Dlaczego?

— Sto lat temu biali wyrznęli tam mnóstwo Indian. Teraz znów zabijał ich wirus i nie wydawało się właściwe nazywanie go od miejsca tamtej masakry. To tak, jakby nazwać chorobę Taya i Sachsa „zespołem oświęcimskim”*

— I co zrobiono?

— Nazwano go „wirusem Four Corners”.

— Wydaje się to sensowne — powiedziała Annie. — Choroby często nazywa się od miejsca, w którym pojawiły się po raz pierwszy.

— Grypa Hongkong, wirusy Marburg i Ebola...

— Zgadza się.

— To wszystko nazwy miejscowości. Z wyjątkiem Eboli, bo to rzeka — przynajmniej tak mi się wydaje. W każdym razie, gdy nazwano tego wirusa „Four Corners”, mieszkańcy tej okolicy również zaczęli protestować. Izba Handlowa, rada turystyki... i trudno im się dziwić. To tak, jakby mieszkać w miejscowości „Heine-Medinowo”. — Annie roześmiała się. — Nie miano nazwy, więc w końcu tak też nazwano tego wirusa: „wirus bez nazwy”.

— Tylko przetłumaczono to na hiszpański.

— Właśnie. Chyba stwierdzili, że lepiej brzmi.

Skończyli spacer w etiopskiej restauracji o nazwie „Meskerem”. Nie było tu noży ani widelców, a także krzeseł. Siedzieli na skórzanych pufach i jedli palcami ostro przyprawiony gulasz, pomagając sobie gąbczastym, kwaśnym chlebem, zwanym *injera*, którym przenosili z tacy do ust kawałki mięsa i warzyw. Był to taki rodzaj posiłku, który pozwala pojawić się swobodnej intymności, ale siedząca naprzeciwko Franka Annie mimo to zachowywała rezerwę. Wyglądała, jakby zamierzała uciec, gdy tylko Frank wspomni o Kopervik.

Tak więc nie wspominał o Kopervik. Trzymał się od tego tematu z daleka. Rozmawiali o polityce władz wobec chorób i wkrótce Annie zapaliła się do tematu.

* *Choroba Taya i Sachsa — choroba dziedziczna, występująca głównie wśród Żydów aszkenazyjskich, wywoływana brakiem enzymu rozkładającego gangliozyd (związek tłuszczu i węglowodanu) z układu nerwowego. Objawy występują zaraz po urodzeniu — ślepotą, głuchotą, postępujące ośpienie, napady drgawkowe, porażenie — i dziecko umiera zazwyczaj przed ukończeniem trzeciego roku życia (przyp. tłum.).*

— To nie do wiary — zauważyła. — Do dziś od czasu do czasu pojawia się cholera, tyfus, błonica... nawet dżuma. Wszystkie przypadki są zgłaszane WHO, CDC i komu tam trzeba, ale czy Departament Stanu kogoś o tym informuje? Prawie nigdy. Gdyby ogłosić, że w Tajlandii szerzą się choroby weneryczne albo że w Boliwii szaleje cholera, zostałyby to potraktowane jako atak na kraj, o którym mowa.

— Sądzi pani, że władze powinny się bardziej martwić ludzkim zdrowiem?

— Oczywiście, jest jednak jeszcze coś: każda choroba ma swoje lobby, więc zdobywanie pieniędzy na badania ma związek nie tyle z większą korzyścią dla samych chorych, a z... czy ja wiem... rozreklamowaniem się.

— Uważa pani, że to źle?

Wzruszyła ramionami.

— Tak po prostu jest. Ale ludzie tracą obiektywizm, kiedy dzieje się coś złego tym, których kochają. Jest ograniczona suma pieniędzy, więc...

Annie miała regularne rysy, długie nogi i sylwetkę tancerki. Była taka ładna, że kiedy, idąc do toalety, mijała siedzących w restauracji ludzi, podążały za nią oczy wszystkich mężczyzn. Ich dzisiejsze spotkanie potwierdzało jednak to, o czym Frank wiedział już po piętnastu minutach pierwszego spotkania z nią w NIH: nie miała psychiki „ładnej kobiety”. Komplementy krępowały ją i najwyraźniej nie umiała flirtować. Była skromna i wstydliva, a najmniejszy kontakt fizyczny sprawiał, że cofała się jak mimoza.

Naiwność Annie zaskakiwała przy jej błyskotliwości. Była bardzo inteligentna i jednocześnie prawdopodobnie mniej doświadczona od sześcioklasistów, z którymi Frank ostatnio rozmawiał w Hine Middle School (w ramach prowadzonego przez „Post” programu „sięgania dalej”).

Niezależnie jednak od nieporadności w prowadzeniu swobodnej konwersacji, miała poczucie humoru i chętnie mówiła o swojej pracy. Obiecujący był też jej śmiech: lekkomyślny chichot, który czasem się jej wyrывał.

Frank prowadził więc rozmowę tak, by było w niej najwięcej elementów, z którymi czuła się dobrze: uważnie słuchał wszystkiego, co mówiła, i trzymał się z daleka od raf. Doskonale to działało: im bardziej znikало ogólne napięcie, tym była wobec niego swobodniejsza. Frank odziedziczył po ojcu jedną przydatną cechę: elastyczność, która pozwalała mu być doskonałym zwierciadłem dla każdego, z kim rozmawiał — niezależnie od tego, czy zamierzał tę osobę uwieść, czy wydobyć z niej informacje. Czasem jednak ten „dar” go martwił.

Ale nawet wspomnienie ojca nie mogło go odwieść od „rozpracowywania” Annie Adair. Gdy wróciła do stolika, pochylił się do przodu i wziął ją za rękę. Nastąpił niezręczny moment, kiedy odruchowo spróbowała ją zabrać, nie pozwolił jednak na to.

— Proszę... chcę tylko popatrzeć na pani dłonie.

— Po co? — spytała, najwyraźniej podejrzewając, że Frank zamierza sobie z niej zakpić.

— Żeby przepowiedzieć pani przyszłość.

— Niech pan nie żartuje...

Pogłaskał wnętrze jej dłoni, a potem — po kolei — palce.

— Nie wierzy pani, że umiem?

— Nie.

— A jednak tak.

Zachichotała.

— Jak pan się tego nauczył? W szkole czytania z ręki?

— Droga pani... — powiedział żartobliwie karcącym tonem. — To się tak nie nazywa, jej nazwa brzmi: Amerykańska Szkoła Chiromancji.

Chichot.

— Nie skończyłem jej, ale napisałem artykuł o chiromantce.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Widziała pani kiedyś „szyld” chiromantów? Wielka czerwona dłoń z liczbami, zazwyczaj w oknie małego domku przy drodze szybkiego ruchu, między warszatem, gdzie naprawia się flagi, a punktem oprawiania ryb. Nieraz się zastanawiałem, kto do tych ludzi chodzi.

— Sądzę, że ludzie z rybami. I z flagami.

— W każdym razie kiedyś odwiedziłem niejaką Madame Rurak, Wyrocznię z Hyattstown, i za jej zgodą rozmawiałem z kilkoma jej klientami. Przychodzili do niej najróżniejsi ludzie. Tacy sami, jak ci, co przychodzą do chiropraktyków, tyle że ona nie „nastawia” kręgow, a psychikę.

— Bardzo zmyślała?

Wzruszył ramionami i nie odwracając od Annie wzroku, nadal gładził wnętrze jej dłoni.

— Nie wiem. Nie podawała ludziom szczęśliwych liczb w totku. Była zawsze bardzo poważna i skoncentrowana, ale wszystko, co mówiła, było dość ogólne.

— Jak przepowiednie w chińskich ciasteczkach.

Frank jęknął, a Annie roześmiała się.

— Co ci ludzie według pana mieli z tych wizyt?

— Zawsze wychodzili od niej w dobrym nastroju. Odniosłem wrażenie, że rozgrzeszała ich ze sposobu, w jaki żyją. Mówiła, że wszystko, co człowiekowi się zdarza, jest z góry zapisane na jego dłoni. Niezależnie od tego, co się robi, będzie to, co ma być. Możesz kupić akcje Intela po dziesięć dolarów, możesz nauczyć się grać na gitarze, możesz zaprosić na bal maturalny Sherry’ego Dudleya — ale nic z tego nie będzie się liczyć, ponieważ wszystko zostało z góry ustalone: linia życia, linia miłości. Ludziom takie podejście się podoba. Uwalnia ich od presji.

Annie znowu się roześmiała.

— A kto to jest Sherry Dudley?

— Nie mogę powiedzieć.

— Ale pan w to nie wierzy?

— W co? — Pozwijał jej palce jeden po drugim, po czym je jeden po drugim wyprostował. — Ma pani na myśli los? — Pochylił się nad jej dłonią. — Oczywiście, że wierzę. Widzę... kogoś... nowego! Kogoś nowego w pani życiu.

— Naprawdę? — Jej głos był przepełniony sceptycyzmem.

— Tak. Będzie wspaniale. Powinna pani robić wszystko, co powie ta osoba.

— Będzie wysoki, ciemnowłosy i przystojny?

Frank w dalszym ciągu obserwował jej dłoni.

— Hmm... nno tak... jest zdecydowanie wysoki i z pewnością źle nie wygląda! Ale... — pokręcił głową i zmarszczył czoło — nie jest ciemnowłosy. To raczej... czy ja wiem? — Irlandczyk albo ktoś w tym rodzaju. Błękitne oczy. Złote serce. Nigdy nie mówi o Kopervik...

— Rozumiem.

— To jeszcze nie wszystko. Ta linia zawiera mnóstwo szczegółów. Okazuje się, że ten mężczyzna jest uczuciowo związany ze swoim samochodem, który powinien już dawno sprzedać. — Popatrzył na Annie.

— Czy to może przypadkiem saab? — Ponownie zachichotała. — Całkiem przypadkiem?

Popatrzył na jej dłoni.

— Chyba... tak! Zadziwiające! Powinna pani spróbować czytać z ręki! Nawet pani nie patrzy na linie dłoni, a tyle zgaduje! Ma pani naturalny talent!

Poszli na lody do kawiarni „U Boba”. Rozmowa zesłała na sprawy rodzinne. Trudno było sobie wyobrazić bardziej różniące się historie rodzinne — jej rodzinę stanowił wielki klan z

Nowej Anglii, sięgający korzeniami „Mayflower”*, pełen wykładowców uniwersyteckich i Wall Street.

— Spędzali sporo czasu na organizowaniu balów dobroczynnych. Matce dawało to okazję do wydawania bez poczucia winy mnóstwa pieniędzy na ubrania.

— To te pani legendarne „stare pieniądze”?

— Starawe, ale nie legendarne. Dziadek dorobił się podczas kryzysu. Spekulacyjne transakcje terminowe. Nieźle mu szło. A co u pana?

— Tak naprawdę to... nie mam rodziny.

Annie pokręciła głową.

— Każdy ma jakąś rodzinę.

Wzruszył ramionami.

* *Mayflower* — galeon, który w 1620 roku przywiózł z Anglii do Ameryki Północnej pierwszych osadników, „Pielgrzymów” (przyp. tłum.).

— Mam kilka ciotek i kuzynów, ale nie widujemy się. Nie mam braci ani sióstr. Mama nie żyje. A z ojcem nie jestem na najlepszej stopie.

— To smutne.

— Właściwie to nie. Nie współczułaby mi pani, gdyby знаła mojego starego.

Wrócili pod jej dom na piechotę. Ochłodziło się, a za horyzontem pomrukiwała burza. Annie zachowywała się znacznie swobodniej — była bardziej zrelaksowana, od czasu do czasu pochylała się w jego kierunku i chcąc podkreślić to, co mówi, dotykała jego ramienia.

Frank sam dziwił się swoim umiarem. Nie powiedział ani słowa o Kopervik — wspomniał tę nazwę tylko raz, ale w żarcie. Kiedy stanęli pod jej drzwiami i wydukała, że „może zrobi kawę” — odmówił. Gdyby wszedł do środka, nie potrafiłby trzymać rąk z dala od niej. Mogło to być wspaniałe, ale mogłoby też oznaczać kłopoty.

Stali więc przed drzwiami wejściowymi w nieco niezręcznym milczeniu, aż wreszcie Frank powiedział:

— No cóż, było wspaniałe, dziękuję — po czym machnął ręką, odwrócił się i zszedł po schodach do saaba.

Kiedy wracał do Adams-Morgan, słuchał na WPFW jazzu i rozmyślał o wieczorze spędzonym z Annie Adair. Wiedział, że w jej przypadku powściągliwość się opłaci, nie wiedział jednak jeszcze, jakiego rodzaju będzie to nagroda. Chciał Annie czy informacji o Kopervik? Nie był pewien. Podobała mu się, ale w końcu wiele kobiet mu się podobało. Jednak Annie nie tylko mu się... „podołała”. Polubił ją. Była pełna wdzięku, inteligentna, zabawna... Chciał i tego, i tego: Annie i Kopervik. Kopervik i Annie.

Bez określania kolejności,

W następnym tygodniu dostał listy od kilku agencji, potwierdzające otrzymanie wniosków związanych z Ustawą o Wolności Informacji. Zaraz potem nadeszła kolejna przesyłka z Narodowej Fundacji Nauki — dość gruba.

Miała ponad centymetr grubości i jeszcze przed jej otwarciem Frank wiedział, że zawarty w niej materiał nie spełni jego oczekiwań — inaczej nie przysłano by go tak szybko.

Mimo wszystko trzeba było go przejrzeć. Jak to szło w znanym bluesie? Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Usiadł przy stole w kuchni, rozerwał kopertę i wyjął sześćdziesiąt kartek tekstu. Pierwsza zawierała list z informacją, że przesłane materiały należy traktować jako pełną odpowiedź na jego prośbę i nie będzie dodatkowego zajmowania się sprawą. Następne dwie kartki wymieniały wyjątki obowiązywania Ustawy o Wolności Informacji.

Z pozostałych pięćdziesięciu siedmiu kartek większość była kopią wniosku Kicklightera i Adair o dotację, złożonego w NSF dwa lata wcześniej. Frank przejrzał wniosek, nie znalazł w nim jednak niczego, czego by jeszcze nie wiedział.

Pozostały trzy kartki.

Pierwszą była odmowa przyznania dotacji, napisana na papierze firmowym NSF, zaadresowana do doktora Kicklightera i opatrzona datą 11 stycznia 1997 roku. Zaczynała się od słów:

Z żalem informujemy, że Fundacja nie jest w stanie udzielić wsparcia projektowi wymienionemu w Pańskiej prośbie o dotację (ref. #96-14739). Jeżeli zmieniają się priorytety badawcze albo dostępne będą dodatkowe fundusze...

Nic nowego.

Następna kartka była kopią listu napisanego nieco później, 17 lutego 1998 roku. Zaadresowano go do dyrektora NSF i podpisano „z serdecznymi pozdrowieniami”. To było jednak wszystko, nic innego nie dało się przeczytać, ponieważ każda linijka tekstu — wraz z nagłówkiem — została zaczerniona flamastrem. Na marginesie dopisano: B (1).

BINGO!

Frank wiedział, że B (1) oznacza wszystko, co ma związek z bezpieczeństwem narodowym. Potwierdzało to podejrzenia, które go ogarnęły, kiedy zobaczył w Hammerfest Gleasona — że ekspedycja do Kopervik nie była wyłącznie naukową ekspedycją.

Wyjaśniałoby to, dlaczego Kicklighter nagle stał się niedostępny, a Annie Adair nie chciała rozmawiać o Kopervik i o tym, co się tam wydarzyło. Jeżeli chodziło o bezpieczeństwo narodowe, prawdopodobnie kazano im przysiąc, że dochowają tajemnicy, Ciekawe tylko dlaczego? We wniosku o dotację nie zamazano ani jednego słowa. Dokument przedstawiał dokładnie cel ekspedycji — jaki był więc sens domagania się przysięgi zachowania dyskrecji? Jedynym możliwym wytłumaczeniem było to, że chodziło o coś, czego nie wymieniono we wniosku, Frank wpatrywał się w zamazany flamastrem list. Mógł pochodzić z FBI, z CIA, z Pentagonu — nie dało się tego określić.

Sfrustrowany, wziął do ręki ostatnią kartkę — również list. Miał datę 23 lutego 1998 roku i zaadresowano go do dyrektora NSF.

W trzech krótkich zdaniach piszący dziękował za pomoc i oznajmiał, że kierownictwo fundacji jest „szczęśliwe, iż może zawiadomić, że postanowiono wyrazić zgodę na ekspedycję Kicklighter/Adair do Kopervik”. List podpisał:

Szczerze oddany
A. Lloyd Kolp
Dyr. wykonaw.

Frank przyjrzał się nagłówkowi na papierze firmowym:

COMPASS TRUST

Była to spółka powiernicza, której biura mieściły się w McLean, mniej więcej trzy skrzyżowania od CIA. Oczywiście nic to nie znaczyło — a przynajmniej nie musiało znaczyć.

A. Lloyd Kolp? Kim był, jeśli nie szefem Compass Trust?

Frank oparł się wygodnie i ułożył listy chronologicznie od lewej do prawej. Najpierw Kicklighter składa wniosek o dotację, a NSF go odrzuca. Mija półtora roku i nagle w sprawę włącza się ktoś ze wspólnoty wywiadowczej. Nie wiadomo JAK, nie wiadomo OD KTÓREJ STRONY, ale wiadomo, że się włącza. Tydzień później do NSF dociera list, dziękujący dyrektorowi za pomoc (jaką?) i oznajmiający, że postanowiono sfinansować ekspedycję.

Czy drugi list ma związek z trzecim? Nigdy nic nie wiadomo...

Było to jak układanie puzzla, z którego zabrano połowę części.

Frank odchylił głowę do tyłu i wbił spojrzenie w sufit, na którym powoli obracał się wentylator. Potem wzrok Franka powędrował na kalendarz obok telefonu. Dni, w które biegał, były otoczone obwódka. Może powinien iść pobiegać...

Nie miał jednak ochoty. Niebo było zachmurzone i przewidywał, że wkrótce zacnie padać. Pytanie tylko kiedy. Przeszedł przez pokój i włączył komputer.

Dzięki „Post” (a raczej dzięki temu, że umiał włamać się do swojego redakcyjnego komputera) w dalszym ciągu miał dostęp do Nexis. Bardzo się z tego cieszył, ponieważ usługa ta jest koszmarnie droga, a Internet jej nie zastępuje. Korzystając z Internetu, by dowiedzieć się czegoś o Compass Trust, musiałby prawdopodobnie przesiać góry bezużytecznych informacji

Za pomocą programu Nexis człowiek od razu dochodził do sedna sprawy — i tylko do sedna.

Baza danych jest ogromna — obejmuje artykuły z każdej gazety i każdego czasopisma świata, od „Timesa” po „Journal of Robotics”, opublikowane w ostatnich dwudziestu, a nawet trzydziestu latach. Wystarczyło, że wybrał właściwą część bazy („wiadomości”) i poszukiwane słowa kluczowe: Compass Trust i fundacja. Pół minuty później miał listę wszystkich artykułów, w których występowały.

Było jedenaście pozycji — najstarsza pochodziła z 1981 roku. Kilka z nich się powtarzało treściowo albo było jedynie kopiami doniesień serwisów prasowych, a wszystkie informowały, że Compass Trust został założony przez J. Kendricka Mellowesa — „konserwatywnego filantropa”.

Frank uśmiechnął się, widząc to określenie. Mellowes był bez wątpienia „konserwatywnym filantropem”, ale także (i chyba przede wszystkim) „kibicem wywiadu” i sporo płacił za stanowisko w PFIAB — Prezydenckiej Radzie Doradczej Wywiadu Zagranicznego*.

Frank wrócił do strony głównej i przeprowadził ponowne wyszukiwanie — pod hasłem „A. Lloyd Kolp”. Po kilku sekundach ekran zadrżał i pojawiło się pięć pozycji.

Najnowsza miała trzy lata. Informowano w niej, że generał A. Lloyd Kolp zwalnia stanowisko szefa Wojskowego Medycznego Instytutu Badań Chorób Zakaźnych (AMRIID)**. Po wakacjach, spędzonych z rodziną, miał zająć stanowisko dyrektora wykonawczego Compass Trust.

Frank opadł plecami na oparcie i westchnął. Już wiedział, kim jest Kolp. Nawet nie patrząc na pozostałe artykuły, wiedział, co zawierają. Zerknął na tytuły, by się upewnić — miał rację:

**SZEF AMRIID TWIERDZI, ŻE MAŁPI WIRUS
NIE STANOWI ZAGROŻENIA**

Laboratorium w Reston zdezynfekowane:
Kolp przybywa na miejsce

Generał był sławny przez tydzień lub dwa, kiedy poproszono AMRIID o zamknięcie i dezynfekcję prywatnego ośrodka badań nad małpami człękkształtnymi w Reston w stanie Wirginia. Małpy zdychały dziesiątkami i obawiano się, że mogła wyrwać się spod kontroli jakaś paskudna choroba. Zjawił się Kolp ze swoimi ludźmi i wszyscy zachowali się bohatersko. Uspokojono opinię publiczną, a po wszystkim powstała książka.

* PFIAB — President’s Foreign Intelligence Advisory Board (przyp. tłum.).

** AMRIID — Medical Research Institute of Infectious Diseases (przyp. tłum.).

Frank wiedział jednak, że AMRIID ma dość ponurą przeszłość — zanim nadano instytutowi długą nazwę z dziwnym skrótem, ośrodek nazywał się prościej: Fort Derrick. Znajdował się kilka kilometrów od Camp David, bardzo blisko gęstych szeregów nowo wybudowanych domków, i był centralnym ośrodkiem Pentagonu, prowadzącym badania nad bronią biologiczną.

Były to oczywiście prace służące wyłącznie obronności, prawda jest jednak taka, że nikt nie wyprodukuje jakichkolwiek środków obrony przeciwko broni biologicznej, jeżeli nie rozumie jej natury, nie wie, jak działa ani na czym polegają jej ograniczenia.

A to oznaczało tworzenie i testowanie broni biologicznej.

Badacze na etatach Pentagonu wykorzystywali w swojej pracy kilka najgroźniejszych toksyn i wirusów świata: toksynę jadu kiełbasianego, rącznik, węgliką płucnego i dżumę płucną.

Na tak zwane „uzbrojenie” czynników biologicznych przeznaczano wiele pieniędzy. Zespoły naukowców badały różne metody „aerolizacji”, by określić, która z nich zapewnia najlepsze rozprzestrzenianie się czynników chorobotwórczych. Inne grupy pracowały nad technikami mikrokapsulacji, mającymi zapewnić zniszczenie czynnika biologicznego w wyniku kontaktu z wodą, ciepłem i powietrzem.

Były też zespoły badające stopień zjadliwości czynników bakteryjnych i wirusowych i szukające CZŚ — czynników zwiększających śmiertelność. Inni badacze wykorzystywali techniki rekombinacji DNA, by tworzyć nowe i jeszcze groźniejsze zarazki.

Wszystko to robiono w imię bezpieczeństwa. Ponieważ wiele krajów pracowało nad bronią biologiczną, Stany Zjednoczone musiały robić to samo — aby mogły być przygotowane na ewentualny atak i mieć antidota. Niektórzy sądzili, że prace tego rodzaju nadal są prowadzone — mimo zabraniających ich układów międzynarodowych — ale kto wie, jaka jest prawda?

Frank stuknął palcami w biurko. Detrick. Kolp. Mellowes. Compass Trust. Nie trzeba było być geniuszem, by dojść do wniosku, że ekspedycja do Kopervik została zinfiltrowana. A co z Annie? Czy знаła prawdę? Jak mogła jej nie znać? Ekspedycja była jej dzieckiem. To ona wpadła na pomysł jej zorganizowania.

Wcisnął klawisz drukowania i czekał — chciał mieć wszystko na papierze.

Był to oczywiście czysty domysł — nie byłby w stanie niczego udowodnić — ale wiedział dość o tego typu przedsięwzięciach, by podejrzewać, że Compass Trust jest jedynie przykrywką, jednym z mechanizmów pozwalających Pentagonowi i CIA prowadzić różne prace „poza księgami”.

Pytanie brzmiało: dlaczego ta ekspedycja? Dlaczego teraz? Dlaczego Pentagon chciał potajemnie finansować projekt, którego celem było wydobycie z wiecznej zmarzliny dawno utraconego — i bardzo niebezpiecznego — wirusa? Odpowiedź wydawała się oczywista: dlatego że przeprowadzenie tego projektu było nielegalne albo stanowiło wykroczenie przeciwko traktatom — na przykład przeciwko temu, który zakazywał prowadzenia militarnych badań nad bronią biologiczną.

Kiedy Frank wyłączał komputer, zauważył, że zaczęło padać i siedzi w ciemnościach. Opadł na oparcie krzesła, westchnął ciężko i uznał, że ciemności odzwierciedlają jego nastrój.

Jezu, Annie! Jak mogłaś, mała?!

Kiedy wróciła, siedział na jej progu.

Miała na sobie niebieską garsonkę ze spódniczką do kolan, czerwone buty i taką samą torebkę. Czytała trzymany w ręku, złożony na pół egzemplarz „Post” i robiła drobne, posuwiste kroczki, pozwalające nie patrzeć, gdzie stawia nogi.

Widział ją już przedtem w czymś podobnym — kiedy spotkali się po raz pierwszy, w jej gabinecie w NIH. Zdjęła wtedy kitel laboratoryjny, pod którym miała dość podobny strój — typowy dla matrony z przedmieścia, bezosobowy i nudny. Choć zachowywała się profesjonalnie i zawodowo, próby ubierania się w taki sposób, by wyglądać na ważną osobę, kończyły się fiaskiem. Wyglądała trochę jak dziecko, które przebrało się w stroje mamy.

— Frank! — zawołała, kiedy go dostrzegła. Uśmiechnęła się promiennie. — Halo! Wstał.

— Witam...

Po tonie jego głosu zorientowała się, że coś jest nie tak.

— Co się stało?

Milczał przez chwilę.

— No cóż... to dosyć skomplikowane... — powiedział w końcu.

Usiedli na schodach, otoczeni wiosną. Annie zwinęła gazetę, położyła ją sobie na kolanach i popatrzyła na Franka.

— Wysłałem kilka wniosków o udzielenie informacji na podstawie Ustawy o Wolności Informacji — oświadczył. — Związanych z ekspedycją.

Annie jęknęła i przewróciła oczami.

— Zdawało mi się, że nie będziemy o tym rozmawiać.

— Dostałem kilka odpowiedzi. Sądzę, że powinna pani rzucić na to okiem.

Odwróciła się, oburzona, że złamał ich umowę.

— Wiem, co chce pani powiedzieć, ale uważam, że powinna mnie pani wysłuchać. Naprawdę tak uważam.

Z westchnieniem i spojrzeniem mającym wyrażać, ile kosztuje ją pobłażliwość, odwróciła się do niego.

— Proszę mówić — powiedziała tonem całkowicie wypranym z wszelkich emocji.

Pokazał jej list z zamazaniem oznakowanym B (1) (No i co? Nie mam pojęcia, o czym to jest) oraz list z Compass Trust (Niech pan pokaże... kim jest Lloyd Kolp?). Powiedział jej to i wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi. Zainteresowało ją to i jakby zdenerwowało. („Doktor K. twierdził, że finansuje nas NSF — nic nie wspominał o tym Compassie”).

Kiedy skończył, schował dokumenty do aktówki.

— Nic pani o tym nie wiedziała?

Zacisnęła wargi, jakby zaraz się miała rozpłakać. Pokręciła głową.

— Cóż... — Chciał ją ująć za rękę, ale odepchnęła jego dłoń, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. — Miałem nadzieję, że porozmawiamy. O tym, co się stało w Kopervik, o Nealu Gleasonie. O wszystkim.

Przyciskała dłonie do oczu i kiwała głową w tył i w przód. Kiedy na jej spódnicy pojawiły się ciemniejsze plamy, zrozumiał, że naprawdę płacze.

— A kto to jest ten Neal Gleason? — spytała po chwili.

— Sprowadzał was ze statku w Hammerfest. Wepchnął was do samochodu. To agent FBI.

Wzięła głęboki wdech i zaczęła wstawać.

— Muszę iść do domu — stwierdziła.

Frank wyciągnął do niej rękę, ale znów ją odtrąciła.

— Annie...

— Nie mogę o tym mówić.

— Annie, niech pani posłucha: to sprawa na pierwsze strony gazet. Sprawa, o której ludzie powinni się dowiedzieć. Nie rozplynie się w powietrzu.

Zatrzymała się przed frontowymi drzwiami.

— Wiem.

— Więc dlaczego...

— To nie wygląda tak, jak pan myśli.

— A jak?

— Muszę już iść.

— Nie, proszę zaczekać! O czym pani mówi? Ekspedycja została zinfiltrowana przez wywiad. Widać to gołym okiem. To oczywiste i nietrudno się domyślić dlaczego. Kiedy NSF odrzuciła waszą prośbę...

Annie pokręciła głową.

— ...Kicklighter poszedł do szpiegów.

— Nie. Nie poszedł. To wcale nie tak się odbyło.

— No to szpiegzy przyszli do was! Co za różnica? W każdym razie chodzi o badania nad bronią biologiczną, czyli o coś nielegalnego. Nie potrafię uwierzyć, że bierze pani w czymś takim udział.

— Nie biorę i nie jest tak, jak pan uważa.

— Annie... niech pani da spokój. Wykorzystali was. Wiem o tym, choć na to nie wygląda. Niech pani ze mną porozmawia!

Pokręciła smutno głową i wytarła oczy grzbietem dłoni.

— Nie mogę... — Wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Już miała wejść do środka, gdy nagle jej ramiona opadły i odwróciła się do Franka. — Naprawdę świetnie się bawiłam podczas naszej kolacji... — powiedziała, po czym lzy trysnęły jej z oczu, weszła do holu i zamknęła za sobą drzwi.

Siedział za biurkiem, bębnił palcami o blat i próbował logicznie wszystko poukładać — niestety nie rozumiał milczenia Annie. Co jeszcze mógł zrobić? Po półgodzinie spojrzął na listę spraw do załatwienia, widniejącą na ekranie komputera. Była bardzo krótka:

1. Zadzwoń do Kolpa.

2. Sprawdź listy przewozowe.

Pierwsze zadanie było ćwiczeniem z zakresu „dziennikarstwa defensywnego”.

Dzwonienie do Kolpa nic by nie dało, gość na pewno nie zechciałby nic powiedzieć. Frank musiał jednak spróbować, bo kiedy będzie chciał opublikować coś na ten temat, dopadną go prawnicy: „Nie zadzwonił pan do niego? Po prostu założył pan, że nic nie powie?”.

Zadzwoił więc do Kolpa i rozmowa przebiegła dokładnie tak, jak się spodziewał.

„Generała nie ma akurat w biurze. Może mi pan powiedzieć, o co chodzi?”.

Jak każda dobra strażniczka spokoju szefa, sekretarka Kolpa próbowała wyciągnąć z Franka maksimum informacji. „Frank Daly. Z »Post«. Właściwie to mam urlop i pracuję aktualnie dla fundacji... tak, wiem, to skomplikowana sprawa, proszę mu powiedzieć, że chodzi o Kopervik”.

Odłożył słuchawkę i zajął się drugim zadaniem z listy: sprawdzić listy przewozowe.

Chciał się dowiedzieć, co się stało z ciałami górników — dokąd je zawieziono i jaką drogą były przewożone. NSF odrzuciła wniosek Kicklightera o dotację, bo bała się podejrzeń, że podejmuje się zbyt ryzykownych przedsięwzięć. Ponieważ Frank interesował się środkami bezpieczeństwa, jakie zastosowała Annie, precyzyjnie odtworzył jej opis tego, co miało się wydarzyć w Kopervik.

Naukowcy mieli zajmować się ciałami, ubrani w kombinezony zabezpieczające na poziomie czwartym. Ciała po wyjęciu z trumien miały zostać owinięte w płachty nasączone formaliną i umieszczone w hermetycznych pojemnikach do przewozu zwłok. Pojemniki miały być dostarczone helikopterem do zamrażarek w ładowniach „Rex Mundi” — dokładnie mówiąc, do specjalnego „zimnego pomieszczenia”, w którym panowała temperatura 4°F. Po przybliżeniu do Hammerfest pojemniki z ciałami miały zostać przewiezione helikopterem na lotnisko wojskowe w Tromso, gdzie miał czekać wojskowy transporter C-131, wracający z Bośni do USA. Wyposażony w odpowiednią zamrażarkę samolot miał zabrać Annie, Kicklightera i pojemniki ze zwłokami do Bazy Sił Powietrznych w Dover. Po przeprowadzeniu pojemników przez cło żołnierze posterunku Służby Rejestracji Grobów w Dover zawieźliby ciała do NIH w ciężarówce-zamrażarce.

Tak miało się to odbyć — a przynajmniej tak to przedstawiono Frankowi. Czy jednak wszystko przebiegło zgodnie z planem? Może zawieziono ciała gdzie indziej — na przykład do Fortu Detrick?

Frank otworzył w komputerze swoją książkę adresową i znalazł numer Biura Informacji Publicznej Pentagonu. Rozmowa z kapitan Marcia Devlin była krótka i węzłowata. Pani kapitan obiecała zadzwonić za godzinę, co też zrobiła.

— Mam informację, której pan szuka — oświadczyła.

— Wspaniale.

— C-sto trzydzieści jeden wystartował z Tuzli dwudziestego ósmego marca o szóstej rano i wylądował w Tromso tego samego dnia o czternastej dwadzieścia pięć. Dwudziestego dziewiątego marca wziął na pokład pięciu pasażerów. Wystartował o piątej rano i dotarł do Andrews osiem godzin później.

— Powiedziała pani „Andrews”... nie miała pani na myśli „Dover”?

— Nie, proszę pana. Miałam na myśli to, co powiedziałam. Wylądowali w Andrews o trzynastej.

Frank zastanawiał się przez chwilę.

— Więc jednak zmienili plany... — mruknął.

— Słucham...?

— Powiedziałem, że musieli zmienić plany. Wybierali się do Dover.

— Nie wiem. Mogę jedynie powiedzieć, że wylądowali w Andrews.

Frank westchnął.

— Dziękuję, jestem bardzo wdzięczny. Jeśli jeszcze podałyby mi pani nazwiska pasażerów...

— Nie mogę.

Frank udał zaskoczenie.

— O?! A to dlaczego?

— Chodzi o ustawę o prywatności.

— Chyba ma pani na myśli ustawę o tajemnicy państwowej.

— Nie, proszę pana. Sprawa jest natury prywatnej.

Frank podziękował za pomoc i odłożył słuchawkę. Było pięcioro pasażerów: Kicklighter, Adair, Gleason i... kto jeszcze?

Wyjął z szuflady książkę telefoniczną i zadzwonił do Bazy Sił Powietrznych Andrews. Centrala połączyła go z rzecznikiem prasowym, sierżantem Raymondem Garcia. Frank przedstawił swoją sprawę.

— Kapitan Devlin powiedziała, że mam się zwrócić do pana. Jest rzecznikiem Pentagonu, tak?

— Zgadza się, proszę pana.

— Piszę artykuł dla „Post” i Marcia... kapitan Devlin powiedziała, że może pan byłby w stanie mi pomóc... — skłamał.

— Jeśli będę mógł...

— Chodzi o współpracę służb celnych z wojskiem.

— I interesuje pana baza Andrews? — zapytał Garda. Był wyraźnie ostrożny.

— Właściwie to nie. Po prostu jesteście blisko, więc znacznie łatwiej nawiązać kontakt z wami niż z kimś na Alasce.

— A o co dokładnie chodzi?

— Chciałbym rzucić okiem na kilka listów przewozowych.

— Jakich?

— W zasadzie to wszystko jedno. Może z zeszłego miesiąca? Jeżeli są typowe. Czy miniony miesiąc był typowy?

— Chodzi panu o loty międzykontynentalne?

— Właśnie.

— Nie wiem. Przypuszczalnie tak.

— No to może być marzec.

— Ale... czego konkretnego pan szuka? — Frank miał wrażenie, że głos sierżanta Garcii zna tylko dwie barwy: zdziwienie i ostrożność.

— Chciałbym poznać nasilenie ruchu i zorientować się, co wojsko przewozi przez cło i jak to się odbywa. Prawdopodobnie broń i dostawy środków medycznych, ale pewnie także rzeczy osobiste.

— I o tym ma być artykuł w gazecie? — zdziwił się sierżant.

— Dokładnie o tym.

— Hm... Brzmi to nudnawo.

Wspaniale, pomyślał Frank. Jeszcze nic nie napisałem, a już zostałem skrytykowany.

— Używam wielu cytatów.

— Hmm...

— Muszę wiedzieć jedno: czy każdy samolot wojskowy ma list przewozowy?

— Każdy.

— I służby celne mają w nie wgląd?

— Oczywiście.

— A opinia publiczna? Czy gdybym chciał sprawdzić listy przewozowe z marca, mógłbym to zrobić?

— Sądzę, że tak.

— Ciekawe...

— Chyba że lot został utajniony. Czasem takie miewamy.

— Ale umiałby pan je oddzielić od reszty?

— Jak najbardziej.

— W takim razie chętnie rzucę okiem na dokumenty. Jeden miesiąc całkowicie mi wystarczy. Może być marzec.

Musiał czekać trzy dni, ale sierżant Garcia nie znalazł powodu, by mu odmówić, więc umówili się na spotkanie. Frank był pewien, że rzecznik prasowy bazy przejrzał listy przewozowe z całego miesiąca i wyjął te, które mogłyby okazać się żenujące: na przykład dotyczące lotu kongresmana wracającego z Peru z kilkoma wyrobami sztuki prekolumbijskiej, podróży generała rozsmakowanego w duńskiej pornografii, czy wyprawy agentów CIA, którzy w ogóle nie przechodzili przez cło.

Jadąc do bazy Andrews, zastanawiał się, czego się może dowiedzieć: jeżeli dostanie do ręki list przewozowy, dowie się, kto przeprowadzał ciała przez kontrolę i dokąd się potem udawał. Pozna też tożsamość Pasażera numer cztery i Pasażera numer pięć. Jeżeli listu przewozowego nie będzie... cóż, to też będzie jakąś informacją. Będzie to świadczyło o tym, że lot oddzielono od normalnych, ponieważ został utajniony albo był z innego powodu „delikatny”.

Przy głównej bramie bazy dostał od umundurowanego wartownika identyfikator, znaczek na parkowanie i mapę, po czym został przemachany ze wskazaniem, gdzie znajduje się budynek dowództwa.

Sierżant Raymond Garcia okazał się niskim mężczyzną układającym twarz w tak wystudiowane miny, że Frank byłby się gotów założyć, iż ćwiczy je przed lustrem. Na widok Franka złożył ręce na plecach i bujając się na obcasach wypolerowanych na wysoki połysk butów, zaczął nawijać:

— Jestem pewien, iż rozumie pan, że armia jest świadoma możliwości nadużycia wojskowego systemu transportowego. Zapewniam jednak, że ryzyko tego jest minimalne. W pełni współpracujemy ze służbą celną.— Pochylna głowa. Znaczące spojrzenie.

W innych okolicznościach Frank pewnie by spróbował się dowiedzieć, jaka wpadka kazała sierżantowi złożyć tego typu oświadczenie, teraz jednak zależało mu przede wszystkim na obłaskawieniu Garcii.

— Nie szukam trupów w szafie, sierżancie. To ma być bardzo ogólny artykuł, do tego nie tyle o armii, co o służbie celnej i jej obowiązkach.

Zaprowadzono go do niedużego, oświetlonego jarzeniówkami pokoiku, gdzie czekały na niego stolik i krzesło. Na stole leżał plik listów przewozowych, obok stał dzbanek kawy, do którego włożono plastikową łyżeczkę.

— Kawy? — spytał Garcia.

Frank kiwnął głową, więc sierżant wyszedł i po chwili wrócił z plastikowym kubeczkiem.

— Życzę szczęścia w poszukiwaniach — powiedział, podając Frankowi kubeczek. Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Następne pięć minut Frank spędził, udając, że przegląda listy przewozowe. Ułożono je w kolejności chronologicznej, więc nie potrzebował nawet minuty, by znaleźć to, czego szukał.

Lot 251 — z Tuzli, miejsce przeznaczenia Tromso, 28 marca. Następnego dnia przelot z Tromso do Andrews. Zaznaczono, że lądowanie nastąpiło o 13.13.

Frank spojrział na kolumnę: PASAŻEROWIE.

Znajdowało się na niej pięć nazwisk, ułożonych w kolejności alfabetycznej:

Adair Anne
Fitch Taylor
Gleason Neal
Karalekis George, dr
Kicklighter Benton, dr

Zapisał oba nowe nazwiska — Karalekis był prawdopodobnie doktorem z NIH, Fitch mógł pracować wszędzie: w FBI, w CIA...

Zajrzał na drugą stronę dokumentu, gdzie wymieniano przewożone cargo — i przez chwilę wydawało mu się, że ktoś musiał się pomylić.

Ładownia była pusta — jeśli nie liczyć kilku komputerów oraz osobistych rzeczy załogi i pasażerów.

Upił duży łyk kawy i znów popatrzył na kartkę: nie było nic na temat pojemników do przewozu zwłok ani o samych zwłokach. Na dole napisano: „strona 2 z 2”.

Przejrzał pozostałe listy przewozowe, by się upewnić, czy nie było innych lotów z Tromso — w poprzednie albo następne dni. Nie było. Nigdzie nie było też śladu pojemników do transportu zwłok.

Uwielbiał jazdę saabem (jeżeli nie stał akurat w warsztacie). Samochód wspinał się drogi i pięknie brał zakręty i gdyby Frank nie miał już na swoim koncie ośmiu punktów karnych, w drodze do Waszyngtonu chętnie by dodał trochę gazu.

Niestety nie mógł. Nie przekraczał setki także dlatego, że czuł się trochę skołowany. Nie było ciała. Co to miało znaczyć?

Mogło oznaczać niemal wszystko: pojemniki z ciałami poleciały innym samolotem; służba celna Norwegii zatrzymała je i nie zwolniła do końca marca; ciała mogły zgnieć w wyniku nieoczekiwanej odwilży. Może w którymś roku na Wyspie Edge'a zawitało „eskimoskie lato”?

Winne mogły być też niedźwiedzie. Annie opowiadała mu o nich i o tym, że towarzystwo górnicze używało do przygotowywania grobów dynamitu — musiały być na tyle głębokie, by zabezpieczały zwłoki przed niedźwiedziami. Może nie zrobili wystarczająco głębokich wykopów, może zadziało nieznane gdzie indziej, a charakterystyczne dla Arktyki zjawisko, powodujące wypychanie obiektów spod ziemi na powierzchnię? Annie powiedziała mu, że kiedy wyrzucanymi na powierzchnie obiektami były zwłoki, nazywano je „pływakami”.

Minał stadion RFK* i wjechał w gęstwinę samochodów wokół Kapitolu.

Annie mówiła, że kilka rzeczy będą musieli zbadać na miejscu — przede wszystkim cykle zamrażania i topnienia wiecznej zmarzliny. Jeżeli w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat ciała się rozmroziły, nie byłoby możliwości uzyskania wirusa, więc przywożenie ich do Stanów straciłoby sens. Gdyby jednak tak było — dlaczego Annie po prostu mu o tym nie powiedziała? Czemu służyłoby w takim przypadku jej milczenie?

(Istniała jeszcze inna ewentualność: zamiast zabierać ciała, mogli pobrać próbki tkanki. Annie opowiadała mu nawet, jak to się robi — za pomocą urządzenia przypominającego piłę do wycinania otworów wykrawało się cylindryczne kawałki z płuc i innych narządów.

Problem polegał na tym, że w liście przewozowym nie wspomniano o „tkankach”, jakichkolwiek materiałach medycznych ani niczym w tym stylu. Pobranie próbek z ciała nie wyjaśniało także obecności Neala Gleasona, udziału w całej sprawie Compass Trust ani tego, że w Hammerfest i potem Frank został odsunięty od jakichkolwiek informacji.

Wieczorem miał mecz — w Sportspleksie w Springfield. Zebrała się ta sama banda co zwykle i jak zwykle każdy w jego drużynie miał inną koszulkę. Grali z Latynosami, głównie pracownikami World Bank. Ich przeciwnicy puszyli się w jaskrawych, identycznych koszulkach — identycznych mundurkach, uzupełnionych podkolanówkami — podczas gdy drużyna Franka stała w nieładzie w podkoszulkach w różnych ciemnych kolorach.

— Co ty gadasz, że nie jest niebieska?! Jest w niej trochę niebieskiego!

* Stadion imienia Roberta Fitzgeralda Kennedy'ego (przyp. *than.*).

— Ależ panie sędzio... *es gris!* Niech mu pan każe ją zmienić...

— Wcale nie jest *gri*, frajerze. Co to w ogóle jest *gri*?

Mecz skończył się remisem i obie drużyny poszły na galerię nad boiskiem, by napić się piwa i rzucać głupie komentarze pod adresem drużyn, które zaczęły grać po nich. Te dwie godziny były najlepszym kawałkiem dnia — bo pozwalały Frankowi nie myśleć (a przynajmniej nie myśleć o niczym ważnym). Wszystko zniknęło: „Washington Post”, ojciec, Fletcher Harrison Coe, Neal Gleason, pojemniki do transportu zwłok. Świat kończył się na kilkunastu chłopakach, którzy robili coś, co lubili i w czym byli niezli. Mecz nic nie znaczył i dlatego stawał się ważny.

Frank wyszedł z hali mniej więcej o dziesiątej. Kiedy szedł na parking, czuł się bardzo dobrze — dziwiło go to, bo już w drzwiach budynku znów przypomniał sobie, że tkwi w martwym punkcie. Nie miał zielonego pojęcia, co robić dalej. Zarówno w sprawie Kopervik, jak i w związku z Annie. Nagle obie rzeczy znów stały się ważne.

Noc była jednak tak piękna, że zatrzymał się na chwilę przy saabie. Na tle Oriona przesuwał się samolot — powoli jak żuk w smole. Frank przez chwilę mu się przyglądał i uznał, że to chyba jednak nie samolot. Może była to kometa albo...

Panoptikon Satellite Corporation mieściła się w Herndon, zaledwie kilka kilometrów od lotniska Dullesa. Była to firma cywilna, zajmująca się wykonywaniem zdjęć satelitarnych o doskonałej rozdzielczości, pozwalającej dostrzec obiekty o średnicy metra. Klientami korporacji były kraje Trzeciego Świata, których nie było stać na własne satelity, firmy poszukujące surowców naturalnych, organizacje ekologiczne, przemysł rolniczy, przedsiębiorstwa połowowe i media. Robiono też w tej firmie znakomite zdjęcia pogodowe.

Ich usługi nie były tanie i Frank miał poczucie winy, że wyda pieniądze fundacji na materiały do artykułu, z którym kazano mu dać sobie spokój, nie zamierzał jednak płacić sam, a zdjęcia zdobyć musiał.

Powiedział pracownicy, czego potrzebuje, podał jej współrzędne Kopervik i datę dopłynięcia „Rex Mundi” do Wyspy Edge’a. Pracownica wpisała informacje do komputera, zaczęła kilka chwil, po czym oświadczyła:

— Żaden problem. Fotografujemy archipelag Svalbard dwa razy dziennie i wygląda na to, że mamy zdjęcia archiwalne z trzech lat wstecz.

Dwadzieścia minut później zjawiała się z czarno-białą fotografią formatu 90 x 120 centymetrów, jeszcze nieco wilgotną. W górnym prawym rogu podana była data i godzina oraz miejsce, które przedstawiało zdjęcie. Położyła fotografię na stole i każdy jego róg przycisnęła owiniętym w filc ciężarkiem. Oboje przyjrzeni się jej uważnie. Po chwili kobieta się roześmiała.

— Niech pan patrzy! — powiedziała, wskazując palcem na owalny, jaśniejszy kształt w prawym dolnym rogu fotografii.

— O co chodzi?

— O to. — Przystawiła długi, zakrzywiony, pomalowany czerwonym lakierem paznokiec do plamki, która wyglądała na wadę powstałą przy wywoływaniu zdjęcia. — Niedźwiedź polarny. Widywałam je już przedtem. — Przyłożyła do zdjęcia lupę i kazała Frankowi się przyrzeć.

Miała rację. Rzeczywiście był to niedźwiedź, Franka jednak znacznie bardziej interesowała sama osada Kopervik: grupka chat, kościół, helikopter. Lupa pozwoliła mu dostrzec, że helikopter stoi w chmurze śniegu, wznieconej przez ruch łopat wirnika. Kiedy robiono zdjęcie, musiały się jeszcze obracać.

Przesunął wzrok na osadę — między chatami widać było kościół z perspektywicznie skróconą, ale wyraźnie widoczną wieżą. Niedaleko niego znajdowała się grupka czarnych plamek — byli to prawdopodobnie Kicklighter, Annie i chłopcy z NOAA.

Przybysze zbrali się wokół ciemnego miejsca, na którym nie było śniegu. Wzrok Franka zdążył się już przyzwyczaić do różnych odcieni bieli i czerni na zdjęciu, stwierdził więc bez specjalnego trudu, że patrzy na cmentarz. Widać było otaczający go mur i — mimo śnieżnej pokrywy — dostrzegł też regularnego kształtu smugi, prawdopodobnie nagrobki. Tuż obok zauważył ciemną płaszczyznę, która wyglądała jak rozmazana. Jakby leżały tu skrzynie, pnie albo... Trumny. Patrzył na stertę trumien. Zmarszczył czoło. Dokładnie to spodziewał się zobaczyć, a jednak... w tej scenarii było coś, czego nie powinno być. Zaczął bębnić palcami w stół i przez kilka minut wpatrywał się w zdjęcie, przesuwał szkło powiększające to tu, to tam, by lepiej się przyrzeć, fotografia nie chciała jednak ujawnić więcej informacji. Popatrzył na znajdujący się na górze pasek, informujący o dacie wykonania zdjęcia, i pokręcił głową.

Rejs trwał trzy dni, więc... wyglądało na to, że ekspedycja wyprzedziła harmonogram. Najprawdopodobniej ekshumacja zajęła mniej czasu, niż zaplanowano; musiał to być ich ostatni dzień na Wyspie Edge’a — inaczej nie zdążyliby do Hammerfest w dniu, w którym

tam przybyli. Ponieważ na zdjęciu nie było widać namiotów, pod którymi pracowano, musiały zostać w chwili robienia zdjęcia odesłane już na „Rexa”. Tak samo reszta sprzętu, bo i jego nie było.

Przesunął szkło powiększające nad helikopterem, szukając pojemników na ciała, ale kadłub był zamazany z powodu wirującego śniegu. Poza tym było mało prawdopodobne, by najpierw zwieziono sprzęt. Na pewno pojemniki jako pierwsze trafiły do „zimnego pokoju”.

Frank zdjął ciężarki z rogów i patrzył, jak zdjęcie samo się zwija. Pracownica fachowo zwinęła je jeszcze ciaśniej, by pasowało do kartonowej tuby z logo Panoptikonu. Potem zamknęła tubę plastikowym denkiem i wypisała rachunek na dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów i czterdzieści sześć centów.

Był w połowie drogi do domu, kiedy nagle w głowie zapaliło mu się zielone światełko. Gdzieś w Bandarland, jadąc Chain Bridge Road, wcisnął pedał hamulca. Gość jadący za nim wściekł się, Frank był już jednak w połowie zakrętu o sto osiemdziesiąt stopni i zwracał do Herndon.

— Potrzebuję jeszcze jedno zdjęcie — poinformował pracownicę Panoptikonu.

— Słucham...?

— Te same współrzędne, ale zrobione miesiąc wcześniej. Dwudziestego ósmego lutego albo coś w tym rodzaju.

Popatrzyła na niego, wzruszyła ramionami, po czym zaczęła wciskać klawisze komputera.

Pół godziny później patrzył na następne zdjęcie — takie samo jak poprzednie, tyle że nie było na nim helikoptera oraz Annie i jej towarzyszy.

Przesunął lupę nad cmentarzem. Ciemne podłużne kształty — sterta trumien — wyglądały tak samo. Frank popatrzył na pasek z datą, by się upewnić, czy pracownica Panoptikonu się nie pomyliła: 11.47, 28 lutego 1998. Annie i Kicklighter jeszcze byli w Stanach. Ciało już jednak nie było, a trumny rzucono na bezładną kupę.

Odkrycie tej możliwości sprawiło, że zawrócił przed mostem. Do tej chwili próbował wszystko wyjaśniać inaczej. Przypłynęli szybciej, niż planowali, do Hammerfest? Cóż, prawdopodobnie poszło im gładko w Kopervik.

Przed mostem dotarło wreszcie do niego, co oznacza obecność trumien. I to, że leżą w bezładnej stercie. Annie wyjaśniła mu, ile wysiłku kosztowało ją uzyskanie zgody na ekshumację: musiała najpierw zidentyfikować górników, odnaleźć ich rodziny, skontaktować się z nimi w celu uzyskania pozwolenia na wykopanie zwłok krewnych, a potem przekonać przedstawicieli Kościoła luterańskiego, że rozkopywanie grobów jest sprawą interesu publicznego. Po pobraniu zakażonej wirusem tkanki ciała miały zostać pochowane na stałym lądzie.

Było to wszystko bardzo porządnie załatwione, co miało podkreślać szacunek do zmarłych. Frank nie wyobrażał sobie, by Annie przeszła całą tę procedurę, a potem zrzuciła trumny na kupę, jakby były zwykłymi kawałkami starego drewna.

Oznaczało to, że przed ekspedycją Kicklightera i Annie do Kopervik przybył ktoś inny i zabrał ciała górników. Frank przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym wrócił do lady.

— Poproszę o jeszcze jedno zdjęcie. Wcześniejsze o miesiąc od tego. Dwudziestego stycznia będzie dobrze.

Urzędniczka popatrzyła na niego dziwnie.

— Większość ludzi się od tego nie uzależnia... — mruknęła i znów zaczęła uderzać w klawisze. — Poza tym nie ryzykowałabym ze styczniem. Nie na tej szerokości geograficznej. Chyba że chce pan zdjęcie w podczerwieni.

— Dlaczego?

— Bo jest ciemno. Gdyby były tam światła, dałoby się cokolwiek zobaczyć, ale...

Frank pokręcił głową.

— To miasto duchów.

— Więc?

— Proszę spróbować dwudziestego listopada dziewięćdziesiąt siedem.

Szukanie zajęło im trzy następne godziny i kiedy skończyli, rachunek dochodził do dwóch tysięcy osmiuset dolarów.

Frank cofał się miesiąc po miesiącu, aż znalazł, co musiał znaleźć: śnieżna pokrywa była dziewicza, groby nienaruszone. Data; 20 sierpnia 1997.

Oznaczało to, że ciała zabrano między 20 sierpnia a 20 września.

Kiedy Frank określił ramy czasowe, ustalenie dokładnej daty ekshumacji było już prostym rebusem: nastąpiła 9 września.

Na cmentarzu stał niewielki dźwig, skuter śnieżny i namiot. Za kościołem przycupnął helikopter, a przy grobach pracowało może sześć osób. Jednak mimo lupy nie było możliwości zidentyfikowania żadnej z malutkich figurek.

Przesunął lupę na helikopter, który ze względu na rozmiary wydał mu się łatwiejszy do identyfikacji. Podobna do ważki maszyna stała na śniegu mniej więcej dwadzieścia metrów od kościoła. Frank wpatrywał się w nią, szukając jakichś oznakowań, ale nic nie znalazł. Po prostu zdjęcie miało za małą rozdzielczość. Zmęczony, opadł w końcu na oparcie krzesła i potarł oczy.

Kiedy je po chwili otworzył, ujrzał — albo wyobraził sobie — coś, czego dotychczas nie dostrzegał: paski. Choć raczej należałoby powiedzieć: „coś jakby paski” - na tylnej części kadłuba helikoptera. Unosił lupę i powoli opuszczał ją nad papierem, próbując znaleźć miejsce dające idealne powiększenie.

Nie było go jednak. To, co w jednej chwili widział — albo wydawało mu się, że widzi — po sekundzie jakby wybuchło pod lupą, a linie rozpryskiwały się jak wrzucone do wirówki. Sfrustrowany, odsunął krzesło i poszedł do lady. Lekko oszołomiony, zastanawiając się, co może oznaczać dokonane odkrycie — jeśli oczywiście w ogóle coś odkrył — zapłacił kartą i poszedł do samochodu z grubą tubą, pełną zdjęć satelitarnych.

Teraz przynajmniej wiedział CO, KIEDY i GDZIE. Ktoś dostał się do Kopervik przed Annie i „Rexem”. Dlatego pojawił się Gleason. Dlatego ekspedycja wróciła z pustymi rękami. Dlatego cała sprawa została otoczona murem milczenia.

Pozostawały jeszcze dwa pytania.

KTO? — i DLACZEGO?

14

Ktoś ich uprzedził. Kiedy ekspedycja zjawiała się na cmentarzu, ciał już nie było.

Frank siedział w samochodzie na moście Chain, ledwie słysząc płytę z bluesem z Cape Verde, grającą w odtwarzaczu. Wpatrywał się w długi sznur tylnych świateł samochodów, których odbicia w mokrym asfalcie wyglądały jak kałuże krwi. Wycieraczki saaba stukotały rytmicznie. Przez strugi deszczu raz za razem przebijała się błyskawica.

Gdzieś w przodzie musiał się wydarzyć wypadek. Frank uznał, że przydałyby mu się nowe wycieraczki. Martwiło go, że zaparowała tylna szyba samochodu. Myślał o duperelach, by nie zastanawiać się nad implikacjami tego, co odkrył w Panoptikonie. Przed oczami miał cały czas stertę trumien i ciemne smugi odkopanych grobów.

Prawda była taka, że nie chciał o tym myśleć. Zbierał materiał na zwykły artykuł, kawałek, w którym nieustraszony reporter ujawnia powiązania między nauką i wojskiem. Zdawało mu się, że wie, o czym jest ta historia, nagle jednak jego punkt odniesienia zniknął i przestał wiedzieć, w co się pakuje. Zaczynał się bać.

Zabębnił palcami o kierownicę. KTO? DLACZEGO?

Z jednej strony zdjęcia wiele ujawniały: przygarbiony Kicklighter, schodzący z „Rexa” ciężkim krokiem, spojrzenie Annie, przypominające oczy przestraszonego jelenia, i jej niechęć do mówienia o Kopervik, obecność Neala Gleasona w Hammerfest. Wyjaśniały związek całej sprawy z Pentagonem i dotacją z Compass Trust. Ale z drugiej strony... nie, nie wyjaśniały. Tak naprawdę nic nie wyjaśniały.

Sznur samochodów przed nim stał w miejscu, w oddali słychać było pojękiwanie syren. Frank próbował skupić myśli na zdjęciach, jednak w jego głowie pojawiały się tylko ciągle te same pytania: kto otworzył groby i dlaczego?

Kopanie w wiecznej zmarzlinie przypomina drażnienie skały — nawet jeżeli ma się specjalne narzędzia, zajmuje to wiele dni. Kopervik leżało na takim odludziu, że zamiast tam, równie dobrze można było się wybrać na inną planetę. Oznaczało to, że nie miało tu miejsca zwykle okradanie grobów. Ktoś — z bardzo grubym portfelem — chciał zdobyć ciała dla siebie, a jedynym tego powodem mógł być wirus, który się w nich przechował. Mogło to oznaczać tylko i wyłącznie jedno: ci, którzy zabrali ciała, chcieli zająć się hodowlą wirusa — tak samo, jak planowali to Kicklighter i Adair. Ale po co?

Raczej nie po to, aby badać osłonkę białkową. Annie na pewno wiedziałaby o każdej oficjalnej ekspedycji na Kopervik. Ponieważ wykonała wszystkie prace przygotowawcze, prawdopodobnie w ramach uprzejmości zawodowej poproszono by ją o konsultację albo nawet dopuszczono do uczestnictwa w wyprawie. A gdyby jakimś cudem nie wiedziała o przygotowywanej ekspedycji, wiedzieliby o niej funkcjonariusze Narodowej Fundacji Nauki. Tak samo byliby poinformowani o niej przedstawiciele towarzystwa górniczego i rodziny zmarłych, które wydały zgodę na ekshumację. O co tu więc chodziło?

Przez chwilę Frank rozważał pomysł, czy możliwe jest, by wirusa chciał zdobyć jakiś koncern farmaceutyczny — w nadziei wyprodukowania szczepionki. Po co jednak ktoś miałby produkować szczepionkę przeciwko zarazkowi, który nie istnieje albo jest uwięziony pod wieczną zmarzliną za kołem polarnym?

Więc kto i dlaczego?

Dlaczego ktoś miałby chcieć zdobyć szczep grypy o szczególnej zjadliwości?

Odpowiedź na to akurat pytanie nie była aż tak trudna: jeżeli nie do celów badawczych i nie po to, aby zrobić szczepionkę, to jedynym powodem wydobywania ciał mogła być chęć wyekstrahowania wirusa w celu stworzenia broni biologicznej.

I to jakiej! Jako środek zakaźny, przenoszony drogą powietrzną, wirus był straszliwą bronią, poza tym...

Klakson z tyłu wyrwał Franka z zamyślenia i kiedy spojrzął przed siebie, stwierdził, że od czerwonych świateł jadącego przed nim samochodu dzieli go dwadzieścia metrów. Pochylił się do przodu, by przebić się wzrokiem przez pokrytą kroplami deszczu szybę. Przejechał przez most, mijając granicę dwóch stanów. Przy Ward Circle studenci biegali tam i z powrotem przez skrzyżowanie, rozbryzgując wokół wodę — upojeni deszczem i przemoczeni do suchej nitki.

Kto? — zastanawiał się dalej Frank. Najbardziej oczywistym kandydatem wydawało się wojsko — a przynajmniej wspólnota wywiadowcza — jednak przecież nie finansowałiby potajemnie ekspedycji Kicklightera, gdyby mieli już ciała.

A więc terroryści. Wyjaśniałoby to obecność Neala Gleasona. Ale... nie. Biorąc pod uwagę środki, potrzebne do wysłania ekspedycji do Kopervik — znacznie bardziej prawdopodobnym kandydatem wydawało się któreś z „niegrzecznych” państw. Iran, Irak, Libia — zwykli podejrzeni.

Nie przekonywało go to jednak. W jego analizie tkwił jakiś błąd. O czymś zapomniał. Tylko o czym?

Dwie przecznice od domu zatrzymał się przy barze sieci „Mixtec” i dziesięć minut później wyszedł stamtąd, niosąc pudełko z ryżem i *bistec al pasilla*. W mieszkaniu rzucił zdjęcia na stół i usiadł przed telewizorem, po czym zaczął przeskakiwać kanały, aż znalazł mecz Bulletów albo Wizardów, czy jak tam się w tym tygodniu nazywali. Strickland podawał, nie patrząc, do Webbera, który natychmiast zaatakował. Gra była niezła, po chwili jednak na ekranie pojawił się wynik i okazało się, że Indiana prowadzi czternastoma punktami.

Frank wyłączył telewizor. Nie był w nastroju do oglądania meczu. Ciągłe myślał o zdjęciach satelitarnych i swoim wrażeniu, że coś tu nie trzyma się kupy. Ale co?

Pomyślał, że może nasunie mu się jakiś pomysł, jeżeli przejrzy notatki o grypie. Dlaczego nie miałby w czasie jedzenia posłuchać paru taśm z wywiadami, które przeprowadził? Może coś mu wpadnie do głowy. Zaczął grzebać w szufladzie, aż znalazł to, czego szukał: *grypa/wyw. Adair/8.03.98*. — i wsunął kasetę do magnetofonu. Wyjął butelkę piwa i sos Yucateco i zaczął słuchać.

— *To niezamierzone. Używają komórek gospodarza do powielania się i w trakcie tego procesu zabijają je. To, że chorujemy, jest efektem ubocznym. Idealny wirus nie powodowałby choroby.*

— *Nie? Sądziłem, że to sens ich istnienia.*

(*Śmiech*) — *Nie. Z biologicznego punktu widzenia sens ich istnienia jest taki sam jak nasz. Chcą się powielić w jak największej liczbie. Jeśli więc zabijają gospodarza, działają na własną szkodę.*

Pokręcił głową. Jak mógł znaleźć to, czego szukał, jeżeli nie wiedział, czego szuka? Wcisnął klawisz przewijania. Po chwili Annie znów mówiła:

— *Nie, ospa jest tak stabilna, że można by położyć jej wirusa na kawałku papieru, schować ją do szafy z aktami i prawdopodobnie przeżyłaby kilka dziesięcioleci. Dlatego jest problemem dla archeologów wykopujących mumie.*

Wyłączył magnetofon i wstał. Taśma nic mu nie da. Lepiej będzie spotkać się ze „źródłem”.

Parter domu Annie znajdował się kilkadziesiąt centymetrów nad poziomem ulicy. Frank siedział przez pół godziny na schodach i czekał. Wreszcie pojawiła się — razem z drobną, ciemnowłosą kobietą. Obie były roześmiane i niosły wielkie torby z zakupami. Annie miała na nogach sandały i była ubrana w spłowiały czerwony podkoszulek oraz dzinsy z dziurami na kolanach. Był przekonany, że te dziury porobiły się od noszenia, na pewno nie powstały w fabryce, by spodnie odpowiadały aktualnej modzie. Najpierw zauważyła go drobna towarzyszką Annie i położyła dłoń na jej ramieniu. Annie stanęła, śmiech zamarł jej na ustach, a twarz przeszła kilka ciekawych przemian: przez ułamek sekundy wyrażała prawdziwą radość z jego widoku, po czym pojawił się na niej ostrożny uśmiech.

— *Czy zamierza pan tak częściej? Jeśli tak, mogę zostawić kolację — powiedziała.*

— *Chciałem tylko pani coś pokazać — powiedział Frank, klepiąc tubę ze zdjęciami.*

— *Mhmm...*

Koleżanka Annie zatrzymała się przy drzwiach, wyraźnie zaciekawiona. W końcu Annie ich sobie przedstawiła.

— *Frank, to Indu. Mieszkamy razem.*

— *A Frank? — spytała nieśmiało Indu.*

— *Frank jest dziennikarzem.*

Indu obdarzyła go krzywym uśmiechem, po czym popatrzyła z rozbawieniem na Annie i weszła do środka.

— Co chciał mi pan pokazać? — spytała Annie.

— Fotki z satelity.

— Co takiego...?

— Zdjęcia satelitarne. Z lotu ptaka.

— Czego?

— Kopervik. Zrobione dwudziestego szóstego marca, mniej więcej o trzynastej.

Wygląda pani na nich jak kropeczka.

— Żartuje pan sobie?

Frank pokręcił głową.

— Wiem, co znaleźliście.

Annie próbowała zachować spokój, zastanawiając, się, czy to nie jakaś sztuczka.

— Naprawdę? — spytała z sarkazmem.

— Tak.

— A co znaleźliśmy?

— Guzik z pętelką.

— Słucham?

— Ciała zniknęły. Ktoś was uprzedził.

Przyglądała mu się przez długą chwilę, a potem gestem zaprosiła do środka.

— Chyba nie powinniśmy rozmawiać o tym na ulicy.

Nie bardzo chciała mówić także w środku, gdy rozłożył zdjęcia na stole.

— Jestem pewien, że Gleason kazał wam coś podpisać, ale zaraz będzie to nieaktualne — stwierdził Frank. — Chyba że trzyma pani w zanadrzu coś jeszcze. — Stuknął palcem w zdjęcie satelitarne. — Tak to mniej więcej wyglądało?

Pochyliła głowę.

— Tak. Byłam w szoku. Ciągle jeszcze chyba jestem.

Wyjął z tuby drugie zdjęcie i położył je na pierwszym, mocując rogi książkami.

— To zostało zrobione cztery albo pięć miesięcy wcześniej — wyjaśnił Frank. — Siódmego września. — Śnieg na cmentarzu był biały i nietknięty. Rozwinął następną fotografię. — A to dziewiątego. Wtedy to się stało.

Wpatrywali się długo w fotografię. Ziemia była pocięta, trumny rzucone na stos. Na śniegu stał helikopter — tuż przy kościele.

- A więc kiedy tam dotarliśmy, nie było ich już od miesięcy... — powiedziała w końcu Annie. Frank skinął głową.

— Kto to zrobił? — spytała.

Frank popatrzył na nią, jakby chciał powiedzieć: „gdybym to wiedział...”.

Zadzwoił telefon. Nie poruszyli się, aż Indu zawołała z dołu, że to matka Annie. Annie skrzywiła się i przewróciła oczami, kiedy jednak zaczęła rozmawiać, natychmiast stało się jasne, że matka jest jej najlepszą przyjaciółką. Ich rozmowa była konfidenyjna, dziewczęca i przemiała.

— O nnnnnieeee — jęknęła w którymś momencie Annie. — Żartujesz!

Kiedy rozmawiały, Frank rozmyślał. Może zamiast rozwiązywać tę zagadkę, powinien całą sprawę po prostu opisać? Nawet jeśli nie miał wszystkich odpowiedzi, artykuł był wart pierwszych stron gazet. Był ważny. Gdyby go opublikowano, musiano by zająć wobec niego stanowisko. Gleason i spółka mogli go unikać, ale nie uciekną przed zjednoczoną prasą.

Jeżeli jednak napisze artykuł, sprawa przestanie być jego własnością. Lepiej zaczekać, aż uzyska pewność, że drażył na tyle głęboko, na ile to było możliwe. W tej chwili nie był tego wcale pewien. Mógł zrobić jeszcze kilka rzeczy, mógł postawić jeszcze kilka wartych odpowiedzi pytań. Na przykład: jaką broń da się zrobić z grypy hiszpańskiej? Znał faceta,

który mógł mieć na to odpowiedź. Poznał go na konferencji dotyczącej terroryzmu. Dwa lata temu, w Baltimore. Pamiętał jego twarz: była szeroka, z wysokimi kośćmi policzkowymi, okolona czarnymi włosami. Facet śmiesznie się nazywał. Naprawdę dziwnie... ale jak?

Annie wyszła z pokoju i po chwili wróciła z pudełeczkiem na szkła kontaktowe. Nie przerywając rozmowy z matką, powyjmowała z oczu soczewki — kiedy popatrzyła na Franka, stwierdził, że ma szalone, rozkojarzone spojrzenie osoby z silną krótkowzrocznością.

Pomachał jej, jakby chciał powiedzieć: „jestem tutaj”, i zobaczył, że Annie się uśmiecha.

— Muszę kończyć — powiedziała do słuchawki — Kocham cię! — Zanim odłożyła słuchawkę, pocałowała ją. Kiedy wróciła do stołu, potarła jedno oko kostką dłoni i wpatrzyła się drugim w zdjęcie.

— Chyba już pójdę — stwierdził Frank. — Mam jeszcze sporo pracy.

Gdy zdejmował książki z rogów zdjęć, Annie złapała go za rękaw.

— Niech pan zaczeka! Chwileczkę!

Frank popatrzył na nią, a potem na zdjęcie.

— Co się stało?

Wskazała na helikopter. Ponieważ sfotografowano go z góry, kadłub wyglądał jak wydłużona kropla. Długie łopaty wirnika odbijały się ostrym konturem od śniegu.

— Niech pan spojrzy na to!

Frank zmrużył oczy.

— Na co? Na helikopter?

— Na paski.

— Jakie paski?

— Na kadłubie.

Przyjrzał się, potrząsnął jednak głową.

— Nie widzę żadnych pasków.

— Tutaj. — Wskazała na rozmazane kropki z tyłu kadłuba.

— W dalszym ciągu nic nie widzę.

— To flaga amerykańska.

— Żarty!

— Musi pan zmrużyć oczy.

Zmrużył oczy i odchylił się na piętach do tyłu.

— Spędziłam tak pół życia: siedząc w ciemności, patrząc przez okular mikroskopu elektronowego i próbując zobaczyć coś na obrazach znacznie bardziej zamazanych niż ten. To flaga — powtórzyła Annie. — Amerykańska flaga — Ujęła jego dłoń w swoją i wodząc jego palcem tuż nad zdjęciem obwiodła nim maleńki prostokąt. — Paski przebiegają w tym kierunku — powiedziała, rysując w powietrzu linie równoległe do kadłuba. — Widzi pan teraz?

Miała rację. Były to paski, które widział — albo wyobrażał sobie — w Panoptikonie. Równoległe kreski wyglądały jak paski na amerykańskiej fladze i jeżeli wiedziało się, że istnieją, trudno było ich nie dostrzec — choć przy oglądaniu przez lupę tworzyły rozmazaną plamę.

— Teraz już jestem naprawdę skołowany — mruknął Frank. — To się coraz bardziej nie trzyma kupy.

— Sądzi pan, że to wojskowy helikopter?

Pokręcił głową.

— Może tak, może nie. Wiele maszyn ma amerykańskie flagi.

Annie przycupnęła na stołku.

— Nic z tego nie rozumiem — stwierdziła.

— Niech mi pani powie jedną rzecz... — Frank skinął głową w kierunku zdjęcia. — Jeżeli Kopervik było tam, z tamtej strony, to gdzie stał „Rex Mundi”?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym wskazała na miejsce poza zdjęciem, niemal metr na lewo.

— Gdzieś tam, dość daleko. Musieliśmy podjechać na skuterach śnieżnych. Jechaliśmy dość długo.

Frank jeszcze raz przyjrzał się kropkom, upewniając się, czy na pewno układają się w paski flagi. Zsunął książki z rogów zdjęć i pozwolił im się zwinąć, a potem schował je do toby. Zastanawiał się, czy gdyby udało mu się określić miejsce postoju statku, mógłby znów pojechać do Panoptikonu.

— Jak nazywał się port?

Annie pokręciła głową.

— To właściwie wcale nie był port. Jestem pewna, że nie miał nazwy. Zakotwiczyliśmy po prostu przy brzegu.

A więc to by było na tyle, pomyślał z pewnością z ulgą Frank. Jego karta VISA zaczynała się palić, a miał poważne wątpliwości, czy fundacja zaakceptuje dotychczasowe wydatki — i jeszcze sfinansuje kolejną rundę.

Annie odprowadziła go do drzwi. Ziewnęła i przeprosiła.

— Muszę wstać o szóstej.

— Jest na to lekarstwo... — mruknął. Miał ochotę ją pocałować, kiedy się jednak pochylił, odskoczyła do tyłu i zaczęła paplać, jak bardzo się cieszy, że teraz nie ma między nimi tajemnic, niech do niej dzwoni i mówi o wszystkim, czego się dowie. Potem niemal wypchnęła go na zewnątrz. Przypomniały mu się czasy ze szkoły średniej.

Facet o śmiesznym nazwisku nazywał się Thomas R. Deer, a najśmieszniejsze w tym było to, że środkowy inicjał był skrótem od „Running”*. Był barczystym Siuksem ze wschodniej Montany i ekspertem od broni chemicznej i biologicznej. Jego gabinet mieścił się na szóstym piętrze Instytutu Badań Bezpieczeństwa Narodowego — po drugiej stronie ulicy znajdowała się stacja metra Bethesda.

Frank podał recepcjonistce nazwisko, usiadł w eleganckiej poczekalni i zaczął przeglądać „Economist”.

Poznał Deera na sponsorowanej przez Wojskowy College Wojenny konferencji, której tematem było: Zabezpieczanie miast przed bioterroryzmem — działania w sytuacji kryzysowej i konsekwencje. Przez większość czasu gadali napakowani mięśniami kretyni z Pentagonu i naukowcy z prywatnych firm konsultacyjnych; wśród publiczności kręcili się przedstawiciele Białego Domu, ministerstw rolnictwa, sprawiedliwości i obrony, ludzie z Lockheeda, Cal Tech i Brookingsa, była też jakaś kobieta z laboratorium FBI i ktoś z Akademii Lekarzy Służb Ratowniczych. Jednak ci, którzy znacznie bardziej interesowali Franka, byli mniej ważni — i znacznie bardziej zagrożeni. Nazywano ich „ludźmi pierwszej reakcji” — spośród nich na konferencji był obecny szef straży pożarnej z Arlington, pielęgniarka z Fairfax oraz wyraźnie zaniepokojony mężczyzna z Nowojorskiego Biura Służb Ratowniczych.

To oni odpowiadali za „wystawienie sztuki”, a wcale nie byli optymistyczni. Ci, którzy jako pierwsi poszliby na miejsce ataku chemicznego, prawdopodobnie staliby się jego ofiarami. Nie bardzo było wiadomo, co w takim przypadku robić. Liczba karetek była ograniczona, tak samo ograniczona była liczba łóżek szpitalnych i miejsc w kostnicach. Po każdym użyciu ambulansu konieczne byłoby jego odkażenie — co oznaczało, że przez jakiś czas byłby wyłączony z użytku. Kolejne problemy pojawiały się w związku z izbami przyjęć — jak skuteczny byłby w swoich działaniach ich personel, zmuszony do poruszania się w

* Deer — jeleń, running — biegnący (przyp. tłum.).

niezgrabnych kombinezonach, chroniących przed skażeniem biologicznym? Prawda była taka, że atak gazowy na jeden nowojorski wieżowiec sparaliżowałby miejską służbę zdrowia w ciągu godziny.

Atak biologiczny byłby jeszcze gorszy, bo katastrofa pozostawałaby w utajeniu przez kilka dni. Potem zachorowania by się mnożyły — najpierw powoli, później lawinowo, zapelniając kolejne oddziały nagłych wypadków, aż w końcu byłoby za późno na cokolwiek i pozostawałoby już tylko grzebanie zmarłych. Albo palenie. Potem — w zależności od zastosowanego patogenu — zaczęłyby umierać szpitalny personel.

Była to konferencja, którą długo się pamięta.

— Frank? — Deer zajął do poczekalni. Jego garnitur bez wątplenia pochodził od Armaniego. — Tak myślałem, że tu będziesz! Chodź!

Poszli wyłożonym dywanem korytarzem, wymieniając się uwagami na temat „Washington Post” i ciekawej małej restauracyjki w Eastern Market, gdzie podawano najlepsze w mieście kraby. Kiedy weszli do gabinetu, Deer wskazał Frankowi fotel, a sam usiadł za ogromnym mahoniowym biurkiem. Wielkie okno za jego plecami ukazywało panoramę stolicy.

Jeszcze przez chwilę pokonwersowali na mniej ważne tematy — opowiedzieli sobie, co porabiali podczas minionych dwóch lat — i w końcu Deer przeszedł do sedna.

— O co chodzi? — spytał.

Frank wzruszył ramionami.

— Pracuję nad dość niezwykłą historią i pomyślałem sobie, że możesz mi pomóc. — Mniej więcej dziesięć minut zajęło mu streszczenie całej sprawy i przedstawienie swoich perypetii — zaczynając od lotu do Murmańska, a na pobycie w „Czernomorskiej” kończąc. Deer uśmieł się przy opisie hotelu, potem jednak jego czoło coraz bardziej się marszczyło.

— Jesteś pewien, że FBI wie o wszystkim? — spytał. Frank kiwnął głowę.

— Wie. Tak samo Pentagon.

— Więc kto zabrał ciała?

— Nie wiem. Przez jakiś czas sądziłem, że...

— ...Irakijczycy.

Frank zrobił zaskoczoną minę.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ każdy ich podejrzewa. Bez względu na to, co się dzieje, wszyscy sądzą, że zrobili to Irakijczycy.

— Ale ty nie.

— Nie. Po co mieliby wykręcać taki numer?

Frank wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem? Może dlatego, że chodzi o coś tak śmiercionośnego...

Deer nie wyglądał na przekonanego.

— „Śmiercionośne” to pojęcie względne. W przypadku takiego patogenu jak grypa uzbrojenie go wymaga masy pracy. Pojawiają się przy tym przeróżne problemy.

— Co masz na myśli, mówiąc „uzbrojenie”?

— Różne zarazki mają różne cechy. Jedne są praktycznie niezniszczalne, inne giną same z siebie. Jeżeli chce się zastosować patogen jako broń, należy wyhodować szczególnie zjadliwy szczep. Wzmocnić to, co określamy mianem „czynników zwiększających śmiertelność”. Opracować metodę optymalnego roznoszenia. Te właśnie czynniki składają się na „uzbrojenie”. Istnieje cała masa zarazków i toksyn, nad którymi pracuje się na świecie — i wcale nie tak trudno je zdobyć. Nie trzeba po nie jeździć na Arktykę.

— Na przykład jakie?

— Wąglik. Jad kielbasiany.

Frank zanotował to sobie.

— I można te paskudztwa kupić?

Deer wzruszył ramionami.

— Jeżeli pracuje się w laboratorium uniwersyteckim czy komercyjnym albo ma się lewy papier firmowy jakiejś placówki naukowej, można dostać, co się chce, pocztą. Gorączka Q, tularemia, dżuma — wszystko ci przyślą przesyłką kurierską. Jeśli ktoś zamierza zdobyć broń biologiczną, po co mu wymyślanie koła na nowo? Ogólnie dostępne książki i czasopisma są pełne wszelkiej potrzebnej do tego wiedzy — włącznie z opisami metod rozpowszechniania.

— Na przykład? — zapytał Frank, szybko pisząc w notesie.

— Aerosole. Kleszcze. Nietoperze. Bomby.

— Nietoperze?

— Jak najbardziej. Także gołębie. I delfiny.

— W jaki sposób...

— Obwiązuje się je.

— Czym?

— Małymi porcelanowymi bombami.

— Żartujesz.

Deer popatrzył Frankowi w oczy.

— A wyglądam, jakbym żartował?

Frank niespokojnie pokręcił się na fotelu.

— Powiedziałaś coś na początku o grypie, że...

— Byłaby kiepską bronią.

— Dlaczego?

— No cóż... po pierwsze, prowadząc wojnę, ma się do czynienia z oddziałami walczącymi na otwartym terenie, potrzebne jest więc coś, co bardzo szybko skutkuje — coś, co nokautuje ludzi — jak gaz.

— A gdyby chodziło o atak na ludność cywilną?

— Jak w przypadku ataku Saddama na Kurdów?

— Właśnie. Albo gdyby w grę wchodził scenariusz terrorystyczny.

Deer obrócił fotel i popatrzył na panoramę Waszyngtonu.

— Potrzebne by było coś, nad czym można zapanować, co można by rozprzestrzenić bez obawy wybicia całej ludności planety.

— Na przykład?

— Wąglik płucny. Mając go, można by postawić parę ostrych żądań.

— Dlaczego? Co jest w nim szczególnego?

— To potworny zarazek. Na myśl o nim ludzie dostają dygotu. Można z nim dość wygodnie pracować — zademonstrować, co można by przy jego użyciu zrobić i jaki byłby efekt, gdyby się zaprzestało określonych działań, co nie mniej ważne.

— Czyli można by na przykład dokonać demonstracji, uśmiercając mieszkańców dzielnicy...

— Albo miasta czy budynku. Nie trzeba wiele, by ludzi śmiertelnie przerazić. Zwłaszcza że w przypadku wąglika płucnego nie wystarczy zakopywanie zwłok. Trzeba je palić.

— Dlaczego?

— Ponieważ czynnik chorobotwórczy to przetrwalnik. Można go gotować, i nic.

— Rozumiem — skinął głową Frank. — A grypa?

— Nie można nią nikomu grozić. Możesz jej jedynie użyć i czekać, aż zarażą się ptaki.

Potem w takich miejscach jak Chiny pojawia się fala zwiastunowa i BUM! — za chwilę grypa jest już wszędzie. Epidemiolodzy używają pojęcia „śmiertelność względna”. Ebola ma znacznie większą śmiertelność od hiszpanki — zabija niemal każdego, kto się zarazi, tyle że nie tak łatwo się tym wirusem zarazić, więc nie zabija aż tak wielu ludzi. Przy grypie

śmiertelność jest dość niska, ale grypą zarażają się wszyscy. Oczywiście gdyby ktoś przy niej pomajstrował...

— To znaczy?

— Teoretycznie biorąc, można połączyć grypę z czymś innym, znacznie bardziej śmiertelnośnym.

— Na przykład?

Naukowiec przez chwilę kiwał się na fotelu.

— Na przykład z jadem kobry.

— Słucham?!

— Jak najbardziej. Gdy człowiek złapie taką grypę, to tak, jakby go ugryzł w płuca jadowity wąż.

— Jezus, Maria!

Deer kiwnął głową.

— To przerażająca dziedzina. Nie sądzę jednak, że to właśnie mają na celu ci, którymi się zajmujesz, ci, którzy zabrali ciała z Arktyki.

— Czemu tak myślisz?

— Gdyby chcieli zrobić coś podobnego — na przykład połączyć dwa geny — nie potrzebowaliby szczególnie groźnego szczepu grypy. Mogliby wykorzystać te, które są pod ręką. Nie w tym jednak problem, a w tym, że wszyscy zarażają się grypą. To największe zagrożenie, jakie ze sobą niesie. Nie da się opanować choroby po wybuchu, gdyby więc użyć grypy jako broni, można by zabić miliony ludzi... dziesiątki milionów.

— O tym właśnie mówię — powiedział Frank. — Tym się właśnie martwię.

— Dlaczego ktoś miałby chcieć coś takiego zrobić?

Frank zastanawiał się przez chwilę.

— Nie mam pojęcia — przyznał w końcu. Deer splótł dłonie na karku i odchylił się do tyłu.

— Moim zdaniem ten, kto zabrał ciała, chciał je wykorzystać do badań. Prawdopodobnie jest to jakaś firma farmaceutyczna, któraś z mniejszych. Ktoś wpadł na pomysł, jak się dorobić, i miał przy tym więcej brawury niż rozumu.

— Tak uważasz?

— Właśnie tak.

Skąd więc Gleason?

— Nie wiem. FBI wtyka nos we wszystko. Na to, co się stało z ekspedycją, Anglicy mają specjalne powołanie. „Wydymać”. Ekspedycja została wydymana, więc... federalni się zjawili, by sprawdzić, co się stało.

— Prawdopodobnie masz rację...

Deer kiwnął głową, po czym obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni.

— Z drugiej strony... gdyby ktoś chciał się zemścić... był wściekły na cały świat...

— Na przykład kto?

— Nie wiem. Może... Siuksowie?

— Siuksowie... — powtórzył niepewnie Frank, zastanawiając się, czy Deer sobie z niego nie żartuje.

— Nie wiemy zbyt wiele o lodołamaczach — dodał Deer — ale niektórzy z nas są dość poważnie wkurzeni...

Frank wpatrywał się w niego bez słowa. W tym momencie kamienna mina Biegnącego Jelenia pękła i kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

ALEXANDRIA, STAN WIRGINIA

Czekali w bezpiecznym domu już sześć dni i Tommy tęsknił za Susannah. Przyzwyczał się do seksu z nią i jego brak sprawiał, że był cały rozdygotany. Choć uprawiał jogę, wykonywał ćwiczenia umysłu i regularnie się relaksował, do czego przyzwyczajono go podczas szkolenia, nie potrafił do końca opanować nerwów. Najgorsze było to, że nie mieli nic do roboty i pozostawało im jedynie denerwowanie się. Taka jednak była rzeczywistość — poddawała ich sprawdzianowi. Przypominało to podróż małą łódeczką po wielkiej wodzie.

Może najbardziej dawała mu popalić huśtawka między gotowością do akcji a stanem zawieszenia. Kiedy wiedział, że czeka ich konkretne działanie — tak jak teraz — ostro się nakręcał. Nie było się oczywiście czym martwić, ale nie umiał odsunąć od siebie wszystkich wątpliwości. A jeżeli silnik nie zapali? A jeśli będą jakieś kłopoty w porcie? Co będzie, jeżeli pokaże się Straż Wybrzeża? Odpowiedzialność za łódź ciążyła na nim. Test czy nie test — nie chciał, by obwiniano go o cokolwiek, gdyby coś się nie udało. Tak więc podniecał się i denerwował, po czym, kiedy odwoływano akcję — już trzy razy! — popadał w odrętwienie. Był znudzony i równocześnie podenerwowany — w sposób zżerający całą energię. Robiło mu się już niedobrze od oglądania kanału pogodowego, który Belinda i Vaughn ciągle włączali. Jeśli zobaczy jeszcze jedną pulsującą masę zieleni, sunącą w kierunku środkowego Atlantyku, rzuci pawia.

Próba „na sucho” udała się oczywiście bez pudła. Nie pomylił najmniejszego szczegółu. Choć trochę się bał, że rozpryskiwacz, który zrobił w warsztacie, może się zatkać, wszystko poszło doskonale. Była to jedynie wzmacniana pompka ciśnieniowa, podłączona do standardowego rozpryskiwacza pestycydów. Skrzyżowanie pistoletu aerozolowego z maszyną do robienia śniegu. Urządzenie wyglądało jak armatka wodna i działało jak cholera. Podczas testów na farmie w Placid domowej roboty wynalazek Tommy’ego bez trudu pokonał robione na zamówienie urządzenie, które obstałował Solange — sprzęt zaprojektowany przez inżyniera aerozolowca (bez względu na to, co to, do cholery, znaczyło) — po prostu skopał mu dupsko. Tommy wciąż jeszcze słyszał dumę w głosie Susannah: „Tommy może zrobić wszystko”. Solange podziękował mu promiennym uśmiechem i największą w jego ustach pochwałą: „Dobra robota”.

Wyprawa „na sucho” udała się w stu procentach, potem jednak nie było już ani jednego razu, by w chwili, gdy zbliżali się do portu, nie zmienił się wiatr albo nie zaczynało kropić. Wtedy wracali do kanału pogodowego i robiło się tak kurewsko nudno, że Tommy’emu chciało się wyć.

— Mógłbyś przestać? — spytała Belinda, obrzucając go pełnym oburzenia spojrzeniem.

— Co?

— Stukać stopą.

— Teraz już nie wolno nawet stukać stopą? Muszę stukać stopą. — Wstał i zrobił kilka rytmicznych, tanecznych kroków. Zakończył przesadnym ukłonem w jej stronę. — Mam to we krwi.

Belinda uśmiechnęła się. Zachowywała się wobec niego trochę jak matka — na przykład nazywała go Tommy-O. Nie umiała się wściekać na poważnie.

— Po prostu na chwilę przestań — powiedział Vaughn tym swoim pozbawionym wyrazu tonem z Nowej Anglii, wcale nie świadczącym o tym, że go to obchodzi. Nic nigdy go nie ruszało, a powiedział to tylko dlatego, żeby stanąć po stronie Belindy. — Próbujemy się skoncentrować.

— Przcp-ra-szam...

Im było łatwo. Nie nudzili się. Pracowali. Belinda była zastępczynią szefa Jednostki Programów Specjalnych i była okropnie zajęta. Już samo utrzymywanie komunikacji z kwaterą główną mogło człowieka zarzącać. Każdą wiadomość trzeba było przed wysłaniem potrójnie zaszyfrować, używając do tego trzech różnych algorytmów, z których każdy miał po sto dwadzieścia osiem bitów.

Tommy nie bardzo wiedział, co to takiego „algorytm ani dłaczego liczyła się w nim liczba bitów, ale wiedział jedno: sto dwadzieścia osiem to sporo.

Belinda miała generalnie hopla na punkcie kontrolowania, co oznaczało, że wtykała nos absolutnie we wszystko i musiała być ze wszystkim na bieżąco. Kiedy nie spała ani nie ćwiczyła, rozmawiała przez komórkę albo siedziała nad laptopem.

Vaughn był nie mniej zakrecony od Belindy. Całymi dniami siedział na łóżku i stukał w klawisze laptopa. Co on właściwie przez cały czas robił? Nie gadał jak normalny człowiek, trudno więc było za nim nadażyć. Tommy lubił mu jednak zadawać pytania - - po to, aby posłuchać, jak Vaughn mówi.

— Hej, Vaughn, co robisz?

— Opracowuję symulację współczynników rozprzestrzeniania.

Pół godziny później:

— Hej, Vaughn...

— Czytam o działaniu toksyn.

— Jakich?

— Rdzy żdźbłowej zbóż i traw.

Pięć minut później Tommy popatrzył mu przez ramię na ekran laptopa.

— A to co?

— Przenoszenie się jąder węgla przy kropelkowaniu płomieniowym.

Czasami Belinda i Vaughn paplali o sprawach, które nie miały żadnego sensu. Susannah nazywała to „słowną zupą”. Jej taka rozmowa zdawała się nie przeszkadzać, ale Tommy czuł się wtedy wyrzucony poza nawias. Ponieważ cały czas musiał się z nimi gnieździć na kupie, czuł się fatalnie. Tęsknił za swoim warsztatem. Tęsknił za Susannah. Tęsknił za wszystkimi na farmie. Tęsknił za wyprawami w teren. Belinda i Vaughn zdawali się w ogóle nie zauważać, gdzie się znajdują. Mogliby równie dobrze pracować w szafie.

Vaughn był niezłym dziwakiem, to fakt. Zachowywał się z taką rezerwą, że aż czasami trudno było uwierzyć, że jest człowiekiem z krwi i kości. Susannah powiedziała kiedyś Tommy’emu, że złapała go za ramię, by sprawdzić, czy jest ciepły w dotyku.

Belinda wstała i przeciągnęła się, a potem wzięła pilota i włączyła kanał pogodowy. Lektor przedstawiał właśnie dane dotyczące środkowego zachodu, ale Belinda chyba już podjęła decyzję na podstawie czegoś, czego dowiedziała się z komputera.

— Zapowiada się dobra pogoda — oświadczyła. — Wyruszymy w południe.

— Ty tu rządzisz — odparł Tommy.

Zabijał czas, robiąc pompki, brzuszki, wykroki i zestawy ćwiczeń jogi. Powtarzał afirmacje. Potem zabrał się do sprawdzania własnego wnętrza i doszedł do wniosku, że jest pełen negatywnych myśli! Nie lubił Vaughna. Czuł się od niego lepszy. Był dumny ze swojego rozpylacza. Chciało mu się wyc z powodu nudy. Ssało go z braku seksu. Zaczął medytację z błękitną wodą, która niemal zawsze działała, jednak choć mocno się skoncentrował, usłyszał, jak Vaughn wykrzykuje: „Rany! Sprawdź to!”. Aby wydobyło się z niego tyle emocji, sprawa musiała być niezwykła, ale Tommy stłumił ciekawość.

Błękitna woda! Skupienie! Pozwolił, by błękitna woda wypełniła mu umysł. Podnosiła się powoli, aż nie zostało miejsca na nic innego — na choćby jedną myśl. Pozostał jedynie błękit. Ocean niemyślenia.

Tommy został włączony do ekipy, ponieważ wychował się przy łodziach. W każdym porcie czuł się jak w domu, bez trudu radził sobie z węzłami i linami, silnikami, przybijaniem do brzegu i cumowaniem. Akceptowali jego kierowniczą rolę w tym zakresie, a ponieważ zachowywał się swobodnie, oni zaś byli ubrani jak turyści, nikt w Belle Haven Marina nie zwracał na nich uwagi. Łódź wynajęli na trzy tygodnie i przyciągnęli ją z Virginia Beach — a Tommy dwa tygodnie temu zrobił zdejmowane mocowania armatek wodnych. Razem z Vaughnem przynieśli na pokład sprzęt — ukryty w przenośnych łódźkach i workach marynarskich.

Belinda siedziała na pokładzie i smarowała się kremem do opalania. Tommy wyprowadził „Sundancera” z miejsca, gdzie cumował, i zaczął się przeciskać przez zatłoczoną wodę wokół portu. Po minucie byli na rzece.

Niebo było zachmurzone, a na wodzie znajdowało się jedynie kilka łodzi — nic zaskakującego we wtorek. Operacja została wyznaczona na środek dnia, kiedy ludzie będą wychodzić z biur, udawać się do restauracji, chodzić i biegać po Mall.

Nad ich głowami dudniły pasażerskie samoloty, kierujące się na National Airport. Na środku rzeki — z jednej strony było lotnisko, z drugiej park East Potomac — Tommy zgasił silniki i pozwolił „Sundancerowi” dryfować. Kiedy Vaughn i Belinda zaczęli udawać, że łowią ryby, zamocował uchwyty armatek. Gdy skończył, ponownie uruchomił silniki i popłynęli w górę rzeki, zbliżając się coraz bardziej do brzegu District.

Nawet gołym okiem było widać, ile tam było ludzi. Biegano i jeżdżono na łyżworolkach, wszędzie krążyły rowery, grano w golfa, wokół rozglądali się turyści, mamuśki pchały wózki ze swoimi pociechami. Od sterburty minęła ich motorówka, siedzące w niej dzieciaki w kamizelkach ratunkowych pomachały im. Tommy odmachał.

Belinda wykonała miliard obliczeń, jednak operacja wcale nie była skomplikowana. Zasadniczymi zmiennymi były wilgotność powietrza, kierunek wiatru i odległość łodzi od brzegu. Siła wyrzutu armatki wodnej była stała, tak samo niezmienny był łuk, po którym wylatywała woda. Parametry te ustalono tak, by zapewniały optymalne rozprzestrzenianie się kropelek. Im bliżej brzegu podpłyną, tym szerszy pas spenetrują — a im głębsza penetracja, tym więcej osób zostanie trafionych. Najmniej pewnym punktem był wiatr. Powinien wiać ze stałą prędkością i nadlatywać albo z północnego wschodu, albo z południowego zachodu. Przy jakiegokolwiek zmianie jego kierunku musieliby przerwać akcję.

Łódź płynęła w górę Potomacu, na północ. Oznaczało to, że jeżeli wiatr będzie wiał z północnego wschodu, podpłyną jak najbliżej brzegu wirgińskiego i zrzucą ładunek na Pentagon. Jeżeli wiatr będzie wiał z południowego zachodu, tak jak dziś, podpłyną do brzegu i wystrzelą to, co przywieźli, w powietrze, między obeliskiem ku czci Waszyngtona a Mauzoleum Lincolna.

Jeżeli uda im się wystarczająco głęboko spenetrować miasto, rozpylone w powietrzu kropelki dotrą do Białego Domu i prezydent zacznie kasłać jak zwykły obywatel. Byłoby to śmieszne jak cholera, gdyby jednak Tommy miał wybór, wołałby, aby wiatr wiał z drugiego możliwego kierunku — wtedy mogliby zaatakować Pentagon. Był to tylko kolejny test, ale pomysł przypięprzenia wojsku bardzo mu się podobał.

Nawet jednak przy wietrze z południowego zachodu mieli kilka dobrych celów. Zaczęliby od opryskiwania mostu przy Czternastej Ulicy, dzięki czemu objęliby wszystko od Mauzoleum Jeffersona po Centrum Kennedy’ego — w tym Mauzoleum Weteranów Wojny Wietnamskiej i Tidal Basin.

Gdyby nie był to tylko test, narobili by niezłego bigosu.

Kiedy dotarli do mostu przy Czternastej Ulicy, na którym samochody stały zderzak w zderzak, Tommy poszedł na rufę by przygotować rozpryskiwacz. Belinda przejęła ster, a on pokazał Vaughnowi, co ma robić, po czym zszedł na dół i wszystko powłączał.

Urządzenie działało doskonale. Mgiełka była tak drobna, że chmury kropli prawie nie było widać. Pędziły w niebo i znikwały, ciągnąc za sobą tęczę.

— Mamy odjazd! — krzyknął Tommy.

Belinda roześmiała się, a Vaughn powiedział to, co zawsze mówił, kiedy był podniecony:

— O rany...

— Przyklep piątkę!

Vaughn podniósł dłoń i przytrzymał ją tuż przy twarzy, jakby przysięgał na Biblię. Kiedy Tommy w nią klepnął, dłoń Vaughna poleciała do tyłu, bezwładna jak rękawiczka. Jeśli chodzi o ludzi nie z tej ziemi, to ten gość nie ma o niczym pojęcia... — pomyślał Tommy.

16

To Annie wpadła na pomysł, by pobiegać po Mall.

Zazwyczaj Frank biegał ścieżką, służącą dawniej do ciągnięcia barek wzdłuż kanału, albo przez park Rock Creek, ale szerokie aleje Mall stanowiły miłą odmianę — pod warunkiem, że nie były zatłoczone. Na tej trasie można też było rozmawiać — nie było wzgórz, które odbierały oddech.

Podobało mu się, jak Annie biegnie. Kiedy szła, jej chód wyglądał nieco dziwnie — przypominała wstydliwą uczennicę, wyciągniętą siłą na front klasy — bieganie było jednak czymś innym. Poruszała się swobodnie i z wdziękiem, jej długie nogi niemal płynęły nad ziemią.

Kiedy znaleźli się przy Mauzoleum Lincolna, wbiegli schodami na górę, krok w krok, po czym odwrócili się i zatrzymali, by złapać oddech i popatrzeć na okolicę, przez którą właśnie przebiegli.

— Wygląda jak z obrazu Seurata... — powiedziała Annie.

— To ten gość, który malował plamkami? Tak. *Popołudnie...*

— ...*nad Grande Jatte* — dokończył Frank.

Wszędzie było pełno ludzi: w samochodach, na rowerach, na łyżworolkach. Biegali i robili sobie pikniki, spacerowali wzdłuż Potomacu. Nad głowami dudniły samoloty, startujące z National Airport i szykujące się do lądowania. Szerokie koryto rzeki orały motorówki.

Wszędzie były pomniki: Waszyngtona, Lincolna, Jeffersona, Einsteina. Mauzoleum Weteranów Wojny Wietnamskiej. Reflecting Pool. Kapitol.

W połowie drogi powrotnej znaleźli się przy doskonale utrzymanym boisku, na którym grano zażarty mecz w „futbol dotypany”*. Akurat kiedy nadbiegali, piłka wyleciała na aut, kilka razy wariacko podskoczyła i potoczyła się ku ulicy.

— Pomocy! — zawołał ktoś z grających.

Frank odruchowo złapał piłkę, odwrócił się i odrzucił ją w perfekcyjny sposób. Zanim wylądowała na piersi nieszczęśnika, który posłał ją na aut, przeleciała czterdzieści metrów.

— Rany! — zawołał mężczyzna. — Chce pan zagrać?

Frank pokręcił głową, machnął ręką i pobiegł dalej.

— Jeśli chcesz, możesz zagrać — powiedziała Annie.

— Nie... nie gram w futbol.

— Nie oszukasz mnie. To było jak... w telewizji.

* *Odmiana futbolu, w której gra się bez ochraniaczy, a zawodnik trzymający piłkę jest zatrzymywany nie za pomocą przewracania na ziemię, lecz delikatnego dotknięcia (przyp. tłum.).*

Frank wzruszył ramionami.

— Kiedyś grywałem.

— Ale rzucasz, jakbyś był zawodowcem.

Przyspieszył, zmuszając Annie do większego wysiłku. Tak, próbowała być miła, ale nie chciał na ten temat rozmawiać. Futbol sprawiał, że myślał o ojcu... ciekawe, czy jeszcze żyje? Ta myśl była dość obojętna.

Przez jakiś czas biegli w milczeniu; Annie zastanawiała się nad nagłą zmianą jego nastroju.

— No więc? — zapytała, zmieniając temat. — Już po wszystkim?

— To znaczy?

— Chodzi mi o Kopervik. Utknąłeś wtedy w martwym punkcie.

— Skąd! Nie jestem w martwym punkcie!

— A co da się jeszcze zrobić?

— Masę rzeczy.

— Na przykład?

— Pójść różnymi tropami.

— Jakimi tropami?

Popatrzył na nią. Dobre pytanie.

— Nie wiem dokładnie. Jest ich wiele.

Annie roześmiała się. Wyminęła dzieciaka na rowerze, a kiedy dogoniła Franka, powtórzyła pytanie.

— Jakimi tropami?

— Kim ty jesteś, Torquemada*?

— Jestem po prostu ciekawa.

— No dobrze... flaga! Flaga to trop.

— Ta na helikopterze?

— Tak jest.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym spytała:

— Jak ma ci to pomóc?

— To flaga amerykańska, toteż należy zakładać, że maszyna należała do amerykańskiego statku. Może więc ciała zawieziono do amerykańskiego portu.

— No i...?

— Powinno to gdzieś zostać zapisane.

— Chyba że ciała przemycono.

— To nie takie łatwe. Zwłaszcza jeżeli trzeba by je trzymać w zimnie.

— A trzeba! — zawołała Annie tak głośno, że mijająca ich para popatrzyła na nich ze zdziwieniem. — Trzeba by je trzymać w zimnie, gdyby się chciało uzyskać wirusa. Nie przeżyłby rozmrożenia.

— A kiedy dotarliby do Stanów...

— Potrzebowałiby laboratorium.

— Jakiego typu?

* *Tomas de Torquemada (1420—1498) — główny organizator inkwizycji hiszpańskiej (przyp. tłum.).*

Nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, zwalniając przy tym tempo biegu. Frank dostosował się do niej.

— Gdyby mieli „zimny pokój”... coś w rodzaju przemysłowej zamrażarki... — Zwolniła do marszu. — Mogliby pobrać próbki z ciał, zaczynając od płuc, i pracować z małymi fragmentami tkanki. Nie potrzebowaliby wtedy kombinezonów kosmicznych. Mogliby pracować, stosując hermetyczne skrzynie, zintegrowane z rękawicami, w które wkłada się ręce od zewnątrz. — Zmarszczyła czoło.

— Co jest?

Pokręciła głową i smutno się zaśmiała.

— Boże! Nie mogę w to uwierzyć!

— W co?

— Zaczynam się o nich martwić! Chodzi mi po głowie coś w tym rodzaju: „Mam nadzieję, że zdają sobie sprawę z tego, że nawet w »zimnym pomieszczeniu« trzeba ostrożnie pobierać próbki. Czasem narzędzia się rozgrzewają, a kiedy do tego dojdzie, można spowodować „aerolizację wirusa”. — Pokręciła głową. — Przepraszam. Gadam bzdury. Myślę sobie: „mam nadzieję, że wiedzą, co robią”, a co innego sama robię?

— Tom Deer uważa, że to firma farmaceutyczna.

Annie popatrzyła na niego sceptycznie.

Gdy dotarli do schodów Kapitolu, wbiegli na górę. Dotarli na szczyt bez oddechu, Annie miała jednak jeszcze na tyle siły, by unieść ręce wysoko w powietrze i przeskakiwać z nogi na nogę niczym Rocky.

Kiedy siedzieli w samochodzie i jechali do niej, podjęła przerwany wątek:

— No więc flaga! Co z tym fantem zrobisz?

— Cóż, zacząłem od telefonu do Departamentu Stanu — powiedział Frank, zwracając.

— Opowiedziałem historyjkę, że piszę artykuł o zmarłych za granicą Amerykanach, i spytałem, jak przewozi się ich ciała do domu.

— Ale to byli Norwegowie.

— Tak, jednak ci, co ich przywozili, mogli twierdzić, że Amerykanie...

— Rozumiem. Co dalej?

— Okazuje się, że jest mnóstwo przepisów, wymogów co do aktów zgonu, różne rodzaje pojemników do przewozu ciał, sposoby ich zabezpieczenia... Bóg jeden wie, co jeszcze. W każdym razie zadzwoniłem do Urzędu Celnego, który zajmuje się nadzorem przywożonych do Stanów ludzkich szczątków.

— I...?

— Przez chwilę się certoliliśmy i w końcu postanowiłem spytać wprost.

— O co?

— Jak mógłbym odnaleźć pięć ciał, które ktoś by wwiózł do kraju. — Wyprzedził ich pędzący z ogromną prędkością radiowóz. — Jezu, widziałas go? — Zjechał z Beach Drive i zatrzymał się na światłach. Saab zgasł i Frank musiał kilkanaście razy poruszać kluczykiem i przez chwilę pomęczyć rozrusznik, by ponownie zapalił.

— I co powiedzieli? — spytała Annie.

— Kto?

— Celnicy.

— O czym?

Szturchnęła go lekko w ramię.

— O ciałach!

— Aha, no tak. Poradzili dzwonić do kapitanatów portów.

— Których?

— Wszystkich.

— Wszystkich?

— Tak. Aż znajdę ciała.

— Rety!

— Przetaksowali mi listę.

— I zamierzasz to zrobić? Obdzwonić wszystkie porty?

— Właśnie. Będę pytał, czy w ciągu jesieni wwożono do Stanów jakieś ciała.

— Jezu! Nie umiałabym tak! Nienawidzę dzwonić do ludzi których nie znam.

Frank wzruszył ramionami.

— Dziennikarze ciągle to robią.

— Wiem, ale... Jesteś okropnie uparty!

Roześmiał się.

— O, tak... jestem jak buldog.

Na jego sekretarce były dwie wiadomości, a pochodziły z dwóch różnych krańców świata.

Pierwszy nagrał się Fletcher Harrison Coe. Jego szczękościsk z Long Island zamienił imię Franka w wielosylabowy wyraz: *Fraa-ann-nnk*. *Mówi Fletcher Coe. Dzwonię, ponieważ ciągle czekamy na artykuł o Sin Nombre, który nam obiecałeś. Miał być do tego numeru, a przynajmniej... tak mi się wydawało. Oczywiście rozumiem, że jesteś zajęty, ale... trochę mnie niepokoi dość gwałtowny skok wy...datt...kków i... Cóżżż, bez żadnego dowodu, że mamy jakiś efekt, stawia to nas wszystkich w dość dziwnej sytuacji. Dryndniesz do nas?*

Jezu, teraz jeszcze będzie musiał zmusić się do napisania kawałka o Nowym Meksyku! Nie mógł zadzwonić do Jennifer ani do Coego i zbyć ich jakimiś wymówkami — musi coś napisać. Zrobi się. Jeśli przepracuje noc i wstanie jutro z samego rana, może skończy do wieczora.

Skasował wiadomość i odegrał następną.

Wuj Sid mieszkał na całkiem innej planecie niż Fletcher Harrison Coe i miał zupełnie inny sposób prowadzenia konwersacji. Po pierwsze, nigdy się nie przedstawiał. (Choć właściwie wcale nie musiał). Poza tym konieczność nagrania się na automatyczną sekretarkę powodowała, że wuj Sid wykrzykiwał wiadomość na bezdechu:

Frankie to ty? Gdzie jesteś? Słuchaj! Wiem o tych idiotyzmach między tobą a twoim ojcem że się poważnie pokłóciliście rozumiem to ale pomyślałem sobie że powinieneś wiedzieć — on jest starym twardym byczkiem ale dostał na Boga drugiego ataku i nie wygląda to dobrze i mówią że poważnie osłabiło mu to serce i nie wiem czy się tym razem wyliże. Jak się dowie że do ciebie dzwoniłem narobi mi koło dupy ale pomyślałem że może chciałbyś z nim być. To dziesięć lat na Boga Ojca! Chcesz nosić urazę w sercu do następnego stulecia? Zawieźli go na intensywną terapię do Saint Mary's. — Zapadła chwila ciszy, w słuchawce słychać było szelest papieru, uderzenie pięścią o coś twardego. — Cholera nie

mogę znaleźć ale dadzą ci numer w informacji. Saint Mary's! — Telefon zapiszczał i wiadomość była zakończona.

Tylko tego mi jeszcze było potrzeba, pomyślał Frank. Co za koordynacja w czasie... Ogarnęło go oburzenie i na chwilę poddał się temu uczuciu, zaraz jednak poczuł wstyd. Nie mówcie mi nic o egoizmie... jestem tak samo zły, jak mój stary.

Wziął z kuchni piwo, wrócił do salonu i usiadł przy komputerze. Włączył go i popijając piwo, czekał, aż Windows się zaloguje.

Niezbyt często myślał o swojej rodzinie. A właściwie wcale o niej nie myślał. Była czymś, co istniało w jego dzieciństwie, a od tamtego czasu minęło wiele lat.

Dźwięk, jaki wydaje uderzony klawisz pianina, a po nim akord na harfie, poinformowały go, że komputer jest gotów do pracy. Otworzył notatki o Sin Nombre.

Jak wuj Sid to powiedział? Może chciałbyś z nim być... Jasne — tak, jak on był z nami! „My” to był on sam i matka — z domu Sigrid Leverkusen, była lokalna królowa piękności i szkolna sympatia najmocniej uderzającego obrońcy, jakiego znała Kerwick High. (Ta-damm!).

Popatrzył na notatki, szukając w wypowiedziach Indian, których poznał w pueblo Taos, czegoś, co dałoby się zacytować.

Jakąż pomyłką było małżeństwo jego rodziców! Związek nie przetrwał próby czasu i zaczął blednąć wraz z odpływaniem w dal lat chwały ojca. Po dwóch „sezonach” w Penn State i czterech operacjach kolan Duży Frank wrócił do Kerwick, wyglądając i czując się jak „człowiek, który przegrał wojnę”.

Potem urodził się Frankie i wszystko, co dobre, skończyło się. Przeszłość minęła — przynajmniej tak się wydawało — a marzenia ojca spotkał los podobny do wielu innych próżności. Zdaniem Franka poddał się. Przestraszył się i poddał. Jezu — miał dopiero dwadzieścia lat...

Prawie nigdy nie było go w domu. Kiedy pracował w elektrociepłowni, gdzie był na etacie konserwatora urządzeń grzewczych, stale pił z kumplami w „Ryan's Bar & Grill” — albo uganiał się za kelnerkami.

Oznaczało to — między innymi — że Franka wychowywała matka. Mieszkali w zniszczonym, obitym poziomymi deskami domu w robotniczej dzielnicy. Każdy dom w okolicy miał małeńki kawałek trawnika (albo — znacznie częściej — ubitej ziemi); tylko Daly'owie i jeszcze ze dwie rodziny zrobiły sobie ogródek. Był on dumą i radością Sigrid i w dzieciństwie Frankie lubił pomagać w nim matce.

Nie dlatego, by miał nadmiar wolnego czasu. Już jako dzieciak pracował — zgarniał śnieg, kosił trawniki, załatwiał ludziom sprawunki. Kiedy był w odpowiednim wieku, zaczął pracować w weekendy w Safeway, gdzie od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem pakował warzywa i uzupełniał rzeczy na półkach. W lecie pracował — po czterdzieści godzin w tygodniu — w elektrociepłowni. Co piątek oddawał matce czek i nawet ojciec musiał przyznać, że ich syn nieźle sobie radzi.

Tak też i było, choć należy przyznać, iż miał dobre dziedzictwo. Po matce odziedziczył zamiłowanie do czytania i niemal fotograficzną pamięć i kombinacja ta uczyniła z niego wyróżniającego się ucznia. Ciotki lubiły się chwalić, że jest „lustrzanym odbiciem Sigrid”, było to jednak tylko życzeniowe myślenie. Matka dała mu swoje zielone jak głębokie jezioro

oczy i wysokie, wystające kości policzkowe, ale ludziom kojarzył się z nią przede wszystkim dzięki nieśmiało uśmiechowi i figlarnym błyskom w oczach, sprawiającym, iż ci, co z nim w tym momencie rozmawiali, natychmiast byli wciągani w krąg serdecznego, konspiracyjnego koleżeństwa.

Resztę miał po ojcu — ciało, składające się głównie ze skóry i kości, oraz szopę ciemnych włosów, opadających na czoło. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i ważył siedemdziesiąt trzy kilogramy — jak dobra tyczka do fasoli — a jego prawą rękę lokalne gazety porównały kiedyś do strzelby.

Był jedynym dziewięcioklasistą, któremu udało się dostać do drużyny futbolowej Kerwick High School, i w połowie dziesiątej klasy zaczął grać jako quarterback*. Sposób, w jaki rozgrywał mecze, był imponujący, a z każdym następnym meczem Frank robił się jeszcze lepszy. Wkrótce ojciec i jego kumple zaczęli się pojawiać zarówno na meczach w Kerwick, jak i na wyjeździe, i przez cały czas podawali sobie kolejne flaszki i darli się, próbując śpiewać hymn szkolny. Duma ojca była wyraźnie wyczuwalna, a apogeum osiągnęła po tym, jak Frank rzucił „Najświętszą Marię”, która przeleciała w powietrzu sześćdziesiąt pięć metrów — wyrównując rekord szkół średnich Pensylwanii i wygrywając mecz. Wszyscy wiedzieli, że jego przeznaczeniem jest uczestnictwo w wielkim programie dla sportowców szkół średnich — ale nagle przestał grać.

Frank opadł na oparcie krzesła i wbił wzrok w ekran monitora. Zapadła noc, a on nie napisał ani słowa. Po ścianie ślizgały się światła samochodów, rozchodziły się wachlarzowato na suficie, po czym zjeżdżały po przeciwległej ścianie i znikwały w dywanie.

Zerwanie z futbolem było naprawdę popieprzonym pomysłem.

Co nie znaczy, by tego żałował. Złamał w ten sposób serce Dużemu Frankowi — a w końcu o to chodziło.

Stało się to pod koniec dziesiątej klasy, kiedy matka złapała infekcję dróg oddechowych, która przeszła w zapalenie płuc.

Gdy Frank wrócił ze szkoły, znalazł ją na podłodze w kuchni, gdzie straciła przytomność. Miał wtedy piętnaście lat, ale sam zaniósł ją do samochodu, znalazł kluczyki i pognął w gęstym ruchu na izbę przyjęć — skąd pielęgniarka natychmiast odesłała go do domu, by przywiózł potrzebne do celów administracyjnych dane dotyczące ubezpieczenia.

Na tym się nie skończyło. Kiedy wrócił do szpitala z numerem ubezpieczeniowym, wysłano go do domu ponownie — tym razem po matczyną szczoteczkę do zębów, piżamę i szlafrok. Gdy to wszystko przywiózł, zadzwonił do Ryana, by sprawdzić, czy jest tam jego ojciec — powiedział, że to sprawa życia i śmierci, aby barman go nie okłamał, jak to często robił.

„Przykro mi, Frankie, ale nie widziałem go od paru dni. Rozpuszczę jednak wici. Powiedz matce, żeby się trzymała”.

Spędził noc na niewygodnym krześle, w jaskrawo oświetlonej poczekalni oddziału nagłych przypadków. Przez całą noc nad jego głową skrzeczał niewyregulowany telewizor, wrykujący kiepskie dowcipy i niespokojną muzykę. Matka leżała na oddziale intensywnej

* *Quarterback* — bardzo ważna pozycja w futbolu: zawodnik za linią ataku i dający innym znaki, jak mają grać (przyp. tłum.).

terapii, a lekarze wyglądali na zmartwionych. „Jest bardzo chora, synu. Można się jakoś porozumieć z twoim ojcem?”

Frank cały czas myślał o tym, że jej stan musi się poprawić, nikt już przecież nie umiera na zapalenie płuc. A może jednak? Nie. Oczywiście, że nie. Z wyjątkiem tych, którzy umierali na zapalenie płuc.

Był z matką trzy dni — trzymając ją za rękę i czekając, aż przyjdą ciotki. Kiedy wreszcie się zjawily, zrobiło się jeszcze gorzej, bo przez cały czas wściekały się na nieobecność jego ojca i zastanawiały, co zrobią, kiedy Sigrid się polepszy. Ale jej stan się nie zmieniał.

Stary wparował w połowie całej tej stypy. „Załatwiałem sprawy” — mruknął, a z ust buchnął mu zapach miętówek. Frank skoczył na niego, ale wuj Sid stanął między nimi. „Nigdy nie podnoś ręki na ojca” — powiedział.

Na jesieni Frank zerwał z zespołem. Nie robił z tego wielkiej sprawy — po prostu przestał przychodzić na treningi. W owym czasie miejscowa gazeta pisała, że obecna drużyna futbolowa jest najlepsza, jaką Kerwick „kiedykolwiek miała”, a trenerzy z różnych szkół dzwonili do Franka przynajmniej dwa razy w tygodniu. Grzecznie im odpowiadał, że nie gra już w futbol.

— Co się stało, synu? Jesteś kontuzjowany?

— Nie, nic mi nie jest.

— Więc... nie rozumiem.

— Po prostu nie gram. Zająłem się czymś... innym.

— Czym?

— Czytam. Pracuję w Safeway.

— To żart, prawda?

— Nie.

— W takim razie potrzebujesz terapii... im szybciej, tym lepiej. Trzeba ci pomóc.

Raz za razem wpadał do Franka szkolny trener, w końcu jednak i on się poddał. Musiał posyłać drużynę na boisko i wkrótce Kerwick miała trzy wygrane mecze — i żadnego przegranego. Do wszystkich zaczęło docierać, że Kerwick High School wcale nie potrzebuje Franka. Szkoła i bez niego miała znakomitą drużynę.

Nie o to jednak chodziło. Zamiarem Franka było złamanie ojcu serca — ukaranie go za to, że przed laty zrezygnował ze swojego życia i zagnał żonę do małżeńskiej poczekalni.

Granie w futbol było najlepszym okresem życia Dużego Franka, źródłem nadziei i oczekiwania na coś dobrego. Oglądanie syna na boisku było dla niego jak przebudzenie, a patrzanie, jak odchodzi od gry — niczym ponowne pogrzebanie.

Nigdy o tym nie rozmawiali, choć Frank widział, że ojciec rozpaczliwie tego chce. Tak naprawdę to po śmierci matki wcale nie rozmawiali, wymieniali jedynie komunikaty i pytania w rodzaju: „Widziałeś szuflę do śniegu?”, „Chcesz samochód?” czy: „Nie będzie mnie kilka dni?”

W ostatniej klasie Frank postanowił odejść z Kerwick. Jak na ironię, mógł to zrobić dzięki zdobyciu stypendium dla dzieci, których rodzice byli członkami związku zawodowego konserwatorów urzędów grzewczych.

University of California w Berkeley był najdalszym miejscem, do jakiego mógł się udać, nie wyjeżdżając za granicę. Spędził tam cztery błogie lata, studiując sztuki wyzwolone*, co wiązało się z mnóstwem ćwiczeń kreatywnego pisania. Wtedy też zakochał się w biologii i

przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie iść do Akademii Medycznej. Jego wychowanie — tak blisko granicy ubóstwa — sprawiło jednak, że zdecydował się nie ryzykować ogromnych długów, w jakie musiałby popaść, studiując medycynę. Po dyplomie, który otrzymał w 1989 roku, wrócił na wschód w poszukiwaniu pracy.

Znalazł ją w Nowym Jorku — zaczął pracować jako redaktor językowy w „Alliance”, rosyjsko-angielskiej gazecie, wydawanej w Brighton Beach. Wkrótce opublikował w „Village Voice” i „Boston Globe Magazine” kilka artykułów o Małej Odessie. Do 1992 roku wygrał stanowe nagrody za „reportaż fabularny” i „dziennikarstwo wyjaśniające”. Tę drugą otrzymał za serię artykułów o przemyśle benzyny, zorganizowanym przez emigrantów z Rosji. Wtedy złożył podanie o przyjęcie do „Washington Post”, które rozpatrzono pozytywnie. Praca w redakcji zajmującej się sprawami Metro, policją i sądami, przyniosła mu awans — pozwolono mu zająć się bezpieczeństwem narodowym. Świetnie sobie radził i właśnie rozbudowywał swoją sieć informatorów, kiedy przeniesiono go do redakcji krajowej, gdzie miał się zająć wyborami prezydenckimi. Również i to był awans, niestety niezbyt szczęśliwy: Frank nie lubił reportażu politycznego, bo wszystko kręciło się tu wokół plotek i przecieków.

Do Fundacji Johnsona przywiodła go perspektywa kolejnego awansu — przeniesienia do Białego Domu, gdzie miał zajmować się Pierwszą Rodziną. Przerażony tą ewentualnością, złożył wniosek o przyznanie mu przez fundację dotacji na zbadanie „wspaniałego świata” nowych wirusów.

Był to dobry pretekst, by wziąć z „Post” roczny urlop bez „tracenia terenu”. Miałby czas na zastanowienie się, czego naprawdę chce — jednocześnie zajmując się tematem, który naprawdę go interesował.

Patrząc na przesuwające się po suficie światła samochodowych reflektorów, rozmyślał nad tym, kim właściwie w tej chwili jest. Czy naprawdę jest człowiekiem, który — jak wyraził się wuj Sid — „chce nosić urazę w sercu do następnego stulecia”? Może. Prawdopodobnie. Wszystko na to wskazywało.

Potem jednak pomyślał sobie, że niech to cholera... może już czas? Podniósł słuchawkę i wykręcił numer informacji w Kerwick.

Po sygnale odezwał się kobiecy głos:

„Numer kierunkowy, który pan wybrał, został zmieniony. Nowy numer...”

Jezu, minęło naprawdę dużo czasu, pomyślał. Zmienili kierunkowy jego dzieciństwa.

** Dyscypliny akademickie takie jak językoznawstwo, literaturoznawstwo, historia, filozofia, matematyka i inne nauki ścisłe, obejmujące wiedzę o zasięgu ogólnokulturowym (przyp. tłum.).*

Następnego poranka, pijąc kawę i czytając „Post” przy kuchennym stole, czuł się mocno zmęczony.

Siedział do trzeciej i pisał o Sin Nombre, nie udało mu się jednak skończyć. Stanowiło to poważny problem, ponieważ był drugi piątek miesiąca, co oznaczało ostatni dopuszczalny termin składania materiałów do biuletynu fundacji. Ale jeżeli nie obdzwoni dziś kapitanatów, będzie musiał z tym poczekać do poniedziałku.

Przez chwilę wydawało mu się, że może zyskałby trochę czasu, gdyby zadzwonił do fundacji i powiedział, że przyśle artykuł później, bo jego ojciec jest na oddziale intensywnej terapii w Saint Mary’s i...

Nie. Nie użyje choroby ojca jako wymówki pozwalającej ominąć sztywne terminy. Tak nisko jeszcze się nie stoczył. Popracuje nad artykułem do południa — aż skończy — i potem zacznie dzwonić po kapitanatach. A jeśli chodzi o ojca... zadzwoni później.

O drugiej artykuł był w drodze do Jennifer Hartwig — w plecaku kurierki rowerowej, która wyglądała i zachowywała się, jakby wyskoczyła z filmu *Mad Max*. Do artykułu Frank dołączył uniżoną prośbę o refundację jego wydatków. Nigdy bym nie pomyślał, że moją dobrą wróżką zostanie kalifornijska dziewczyna, która ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu... — przemknęło mu przez głowę.

„Taste of Thai” dostarczyło *pad thai*, które jadł prosto z pudełka, przebijając się równocześnie przez listę kapitanatów.

Było to nużące zajęcie i prawdopodobnie marnotrawstwo czasu, stanowiło to jednak jego jedyny trop. Zabrał się więc do roboty i po kilku telefonach miał już opracowaną gadkę.

Szybkość uzyskiwania odpowiedzi zależała od inteligencji i chęci współpracy osoby, z którą rozmawiał. Czasami dowiadywał się tego, czego potrzebował, już po minucie lub dwóch, były jednak takie przypadki, że przebijanie się przez automatyczne centrale zajmowało dziesięć minut — czekał wtedy, bębniąc palcami w biurko, i odsłuchiwał kretyńskich, nikomu niepotrzebnych informacji, z kim to się może połączyć.

Wielu ludzi „nie było akurat przy biurku”, „rozmawiało z drugiego aparatu”, „było na obiedzie” albo „wyszło”. Mimo wszystko do czwartej po południu dodzwonił się do dziewiętnastu portów, z których jedenaście można było bez obawy odrzucić. Albo nie przechodziły przez nie repatriowane ludzkie szczątki, albo ostatni raz miało to miejsce przed wrześniem 1997 roku. Pozostało mu więc jeszcze dwanaście portów.

Wstał i przeciągnął się. Ta robota mogła jeszcze potrwać.

Zaraz jednak uśmiechnęło się do niego szczęście.

Zadzwonił telefon i zameldowała się pani Phyllis (albo „tylko-Phyllis-jeżeli-nie-ma-panic-przeciwko-temu”), która pracowała w Porcie Bostońskim. Ze specyficznym akcentem z Nowej Anglii poinformowała, że w zeszłym roku przez port przeszło osiem „zestawów” ludzkich resztek, w tym pięć w tym samym czasie.

Frank opadł na oparcie fotela i zaczął intensywnie mieszać kawę.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście, słodzzziutki! Nie myślę się w takich sprawach, a ta była dość nietypowa.

— Dlaczego?

— Po pierwsze z powodu liczby ciał. Po drugie, przywieziono je statkiem. Zazwyczaj tego rodzaju transport odbywa się drogą powietrzną, ale tu przyczyną śmierci był wypadek na morzu.

— Pamięta pani nazwę statku?

— „Crystal Dragon”. Nazwa wydała mi się wtedy taka ładna...

Frank zaczął dziękować, przerwała mu jednak.

— Ja tylko wykonuję moją pracę, słodzzziutki. Te dane są jawne. Jeżeli poda mi pan numer swojego faksu, prześlę szczegóły.

Pięć minut później z urzędzenia wysunęło się osiem kartek tekstu. W dokumentach wymieniano nazwiska marynarzy, którzy zginęli, zawierały one także akty zgonu, wystawione przez lekarza pokładowego, doktora medycyny Petera Guidry’ego. W każdym przypadku przyczyną śmierci było utonięcie.

W podpisanym i efektownie ostemplowanym liście od urzędnika służby dyplomatycznej ambasady amerykańskiej w Reykjavíku wspomniano o „wypadku na morzu” i zezwalano na ominięcie kontroli celnej „bez zwykłego certyfikatu konsularnego”. Ten sam dokument informował także, że po dotarciu do Bostonu ciała mają zostać wysłane do licencjonowanego pracownika zakładu pogrzebowego, zatrudnianego przez Dom Pogrzebowy J. S. Bella w Saugus w stanie Massachusetts.

Ponieważ śmierć nastąpiła na morzu, do pracownika zakładu pogrzebowego należało sprawdzenie oraz poświadczenie „stanu zwłok” — dopiero potem mogły zostać przekazane innym pracownikom zakładu.

Odpowiedni dokument (podpisany przez kogoś, czyjego nazwiska nie dało się odcyfrować) potwierdzał przeprowadzenie tej procedury i skontrolowanie jej przez urzędnika Urzędu Celnego, który umieścił pod nim jedynie inicjały. Frank wiedział od gościa w Departamencie Stanu, że było to mniej więcej zgodne z normami działania. Może firma J. S. Bella miała stałą umowę z Portem Bostonem o przejmowaniu repatriowanych do Stanów ciał. Popatrzył na listę nazwisk, ułożoną alfabetycznie:

Leonard Bergman, 22

Arturo Garcia, 26

Thomas O’Reilly, 39

Ross D. Stevens, 52

Christopher Yates, 27

Żadne nic mu nie mówiło, od razu jednak zwrócił uwagę na to, że wszyscy mieszkali w tej samej miejscowości: w Lake Placid w stanie Nowy Jork.

Jak to możliwe? Hm... może byli strażakami, którzy wygrali wycieczkę, albo ekspedientami, mającymi obsadzić punkt sprzedaży wysyłkowej...

Chyba jednak nie. Jeżeli nie był to jakiś niezwykły zbieg okoliczności, znalazł górników z Kopervik. Zdjęcia satelitarne dowodziły, że ich ciała ekshumowano 9 września, a akty zgonu, które przed nim leżały, wystawiono 12 września (cztery dni później zwłoki dotarły do Bostonu).

Zaczął się zastanawiać, co robić. Odpowiedź była oczywista: spokojnie. Nie skacz z radości. Nawet nie wiesz, na czym polega ta gra.

Znalazł numer telefonu Domu Pogrzebowego J. S. Bella w Saugus i zadzwonił.

Zdaniem Annie ciała, po osiemdziesięciu latach w ziemi, musiały ulec znacznym zmianom. „Masz na myśli, że będą wyglądały jak mumie?” — spytał.

„Nie — odparła. — Raczej jak jedzenie, które trzyma się zbyt długo w zamrażarce. Po jakimś czasie pierś kurczaka zaczyna się marszczyć, bo traci wilgotność — podobnie zwłoki. Po miesiącu nawet kostki lodu mają połowę objętości”.

Zapadnięte oczy, wystające żebra, wargi cofnięte w grymasie. Ciała straciłyby mniej więcej połowę wagi — nie dałoby się tego ukryć. Pracownik zakładu pogrzebowego natychmiast by to dostrzegł.

Podniesiono słuchawkę po trzecim dzwonku i kobieta, która odebrała telefon, słysząc, że jest dziennikarzem, poinformowała go, że nie ma dla niego „nic nowego”.

— Słucham...? — zdziwił się Frank.

— Jest pan z redakcji nekrologów, tak?

— Nie. Nie zajmuję się nekrologami. Pracuję dla... „Post”.

— Dla „Washington Post”?

— Właśnie.

— O! Ojej! Zazwyczaj dzwonią do nas z lokalnej gazety i... czy mógłby pan zaczekać?

Minęło prawie sześć minut, zanim w słuchawce rozległ się męski głos, i Frank zdążył przełączyć telefon na urządzenie głośnomówiące.

— Malcolm Bell przy aparacie.

— Dzień dobry. Frank Daly, „Washington Post”.

— Hm... panie Daly. W czym mogę pomóc?

— Frank — poprawił Frank tonem, który nawet dla niego samego brzmiał nieco łaśnicowato. — Pracuję nad artykułem, dość... nietypowym artykułem... chodzi o kilka śmierci, sprzed jakiegoś czasu... utonięcia... i wydaje mi się, że... hmmm... pan się nimi zajmował.

— Tak?

Frank milczał przez chwilę, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, które zamierzał zadać.

— Jak powiedziałem, chodzi o ofiary utonięcia.

— Rozumiem.

— Właśnie. I... jak powiedziałem, miał miejsce wypadek... przynajmniej tak uważamy... na morzu. Miał związek ze statkiem „Crystal Dragon”, który...

— Wiem, co to jest „Crystal Dragon”, panie Da;y. Jak brzmi pańskie pytanie?

— Cóż... chciałbym zapytać... być może zabrzmiało to dziwnie, ale... czy zmarli... Pozwoli pan, że sformułuję to tak: czy w wyglądzie zwłok, którymi się pan zajmował, było coś nietypowego?

Po długiej przerwie Bell odpowiedział przeproszającym tonem:

— Przykro mi, panie Daly, ale to dotyczy sfery prywatnej. Mamy odpowiednie przepisy i... no cóż... z pewnością pan rozumie, że nie możemy omawiać wyglądu zwłok... a już na pewno nie z prasą. To dość delikatna materia i...

— Rozumiem pana doskonale, lecz...

— Może mógłbym pomóc, gdyby pan uzasadnił swoje zainteresowanie. Powiedział pan, że pracuje nad artykułem...

— Zgadza się. — Było dla Franka oczywiste, że szale się przechyliły. Nie dowie się niczego od Bella.

— Powiedział pan także, że pracuje dla „Post”.

— Tak, zgadza się...

— Ciekawi mnie, dlaczego „Post” miałyby być zainteresowana czymś, co wydarzyło się tak dawno i tak daleko stąd. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Oczywiście. — Frank miał dziwne wrażenie, że to on jest wypytywany. — Eee... no cóż, przepraszam, że niepotrzebnie pana niepokoiłem.

— Ależ skądże! Chętnie pomagam prasie. Jeżeli da mi pan swój numer...

Frank wcisnął klawisz FLASH.

— Może pan sekundę zaczekać? — spytał. — Mam drugi telefon... — Wcisnął HOLD i policzył do dziesięciu, po czym wrócił do Bella. — Przepraszam bardzo, ale muszę odebrać. Pozwoli pan, że zadzwonię jutro?

— Oczywiście, bardzo proszę. Powiedział pan: „Daly”?

Gdzieś w połowie pogawędki z Bellem Frank poczuł niepokój. Poważny niepokój. Sam był sobie winien. Zachował się niecierpliwie. Był jak zawsze niecierpliwym! Kiedy pracował nad czymś, co go interesowało, a tropy się mnożyły, miał skłonność do włożenia z butami w delikatną materię — choć jedynym właściwym zachowaniem byłoby zastopowanie i przemyślenie wszystkiego. Ustalenie planu gry. Sporządzenie listy telefonów według ważności. Bez tego kończyło się to w ten sposób, że mówiło się ludziom więcej, niż sami ujawniali. Czasami dochodziło też do tego, że rozmawiało się nie z tym, z kim trzeba — tak jak teraz.

Wystarczyło się jedynie chwilę zastanowić: jeśli ktoś sprowadzał do Stanów pięciu martwych Norwegów, podając ich za Amerykanów, którzy zginęli w wypadku na morzu, potrzebował zaufanego szefa domu pogrzebowego, który przejąłby „towar” na kontroli celnej. Taką osobą musiał być — to oczywiste — pan Bell, którego ciekawość była nie mniejsza niż ciekawość Franka. „Oczywiście, bardzo proszę. Powiedział pan: »Daly«?”

Zły na siebie, Frank włączył komputer i wszedł do Nexisa, co powinien był zrobić przed telefonem do Bella. Jeżeli pięciu Amerykanów zginęło na morzu, musiało to zostać zauważone przez agencje informacyjne.

Wpisał swoją nazwę użytkownika i hasło, po czym kliknął WSZYSTKIE WIADOMOŚCI. Pojawiła się nowa strona; jako temat wpisał:

crystal dragon + utonięcie + pięć

Po mniej więcej dziesięciu sekundach ekran wypełniła kolejna strona, informująca, że znaleziono dwadzieścia siedem materiałów spełniających podane kryteria. Przejrzał listę. Na pierwszym miejscu był artykuł z bostońskiego „Globe” z datą 16 września, na ostatnim — z „Times Union” z Albany, z 5 marca. Wywołał pierwszy artykuł, zatytułowany:

ATLANTYCKI SZTORM POCHŁANIA PIĘĆ OFIAR

Kapitan „Crystal Dragon” opowiadał w nim, że kiedy jego statek przemierzał Atlantyk ze wschodu na zachód, przy wysokiej fali wypadł za burtę jeden z członków załogi. Na ratunek wyruszyło czterech ludzi, ale ich szalupa została wywrócona. Choć każdy miał na sobie kamizelkę ratunkową, wszyscy utonęli. Dzięki temu jednak — a także dlatego, że statek był wyposażony w helikopter — udało się odnaleźć ciała.

W ostatnim akapicie informowano, że „Crystal Dragon” to „statek misjonarski”, należący do Świątyni Światła, „nowej religii” z siedzibą główną w Lake Placid. Sekta, prowadzona przez charyzmatycznego uzdrowiciela Luca Solange’a, prowadziła „ośrodki zdrowia” w Big Sur i Cabo San Lucas. Wszyscy członkowie załogi byli członkami kościoła i dlatego zaplanowano wspólny pogrzeb.

Frank był zciekawiony, ale korzystanie z Nexisa jest drogą przyjemnością, a poza tym tak naprawdę nie miał prawa z niego korzystać. Nie z domu i nie w czasie urlopu bezpłatnego. Przejrzał więc jak najszybciej pozostałe artykuły, zapisał je na twardym dysku i wydrukował.

Kiedy drukarka zrobiła swoje, zadzwonił do Saint Mary’s. Pielęgniarka przekazała, że ojciec jest ciągle w stanie krytycznym.

— Mógłbym z nim porozmawiać?

— Mowy nie ma! Jest bardzo chory. Otrzymuje leki uspokajające i jest zaintubowany.

— Rozumiem.

— Powiedział pan, że jest członkiem rodziny?

— Jestem synem. Mogłaby mu pani przekazać, że dzwoniłem?

— Przekazać mu, że pan dzwonił?! To wszystko? — Ton jej głosu wyraźnie mówił, co sądzi o Jego zachowaniu. — Mam mu jedynie przekazać, że dzwonił syn?

— Tak. I to, że jadę.

18

MADISON, STAN WISCONSIN

Ach, Madison... Madison na wiosnę!

Niebo było błękitne i czyste, a Andrew wchodził powoli na Bascom Hill, ucieszony wiosenną pogodą po miesiącach mrozu. Choć nie było jeszcze na tyle ciepło, by nosić szorty, zbocze było pełne młodych kobiet — leżących zarówno na brzuchu, jak i na plecach — których blade uda odcinały się ostro od zielonej trawy.

Tak samo jak wielu innych studentów, Andrew miał dorywczą pracę, która pomagała mu płacić za książki i czesne. Aby zarobić, studenci gotowi byli robić wszystko. Znał dziewczyny — bardzo poważnie podchodzące do studiów — które dorabiały, tańcząc topless, i takie, które przebierały się za kłownów na przyjęciach dla dzieci. Znał koleśka, który w lecie dorabiał, jeżdżąc u Oscara Meyera wienermobilem *. To było ekstra!

Andrew, w ramach nauki doradztwa finansowego, otrzymywał od uczelni mniej więcej piętnaście godzin tygodniowo różnych prac, związanych z kierunkiem jego studiów. Uczelnia

** Wienermobile — reklamujące parówki firmy Oscar Meyer samochody, których karoseria jest ukształtowana jak wielka parówka (przyp. tłum.).*

starła się dawać studentom zlecenia odpowiadające ich zainteresowaniom (zakładając, że dało się je ustalić), tak więc kandydaci na księgarzy pracowali w archiwach, teatrologowie sprzedawali bilety w kasach Zrzeszenia Studentów, a studenci rolnictwa pracowali w uniwersyteckiej lodziarni.

Jako student wydziału inżynierii, Andrew dostał pracę w zakładzie produkcji pary, gdzie dodawał do pompy zaopatrującej bojler różne chemikalia, sporządzał plany przebiegu rur albo wymieniał stare urządzenia. Podobnie jak wiele dużych instytucji — w tym także szpitale i bazy wojskowe — uniwersytet doszedł do wniosku, że ogrzewanie parą jest znacznie bardziej ekonomiczne od ogrzewania prądem elektrycznym.

Andrew zaczął schodzić po drugiej stronie wzgórza i skierował się ku Zachodniemu Kampusowi, gdzie przy Walnut Street mieścił się zakład produkcji pary. Chodniki były pełne studentów, idących na wykłady i wracających z wykładów, więc posuwał się powoli. Nie przeszkadzało mu to jednak — miał mnóstwo czasu.

Mimo wszystko trochę się denerwował. Choć był to jedynie test, jeżeli zostanie przyłapany na tym, że dodaje do pompy zaopatrującej bojler w wodę coś innego niż amertrol, szef go ukrzyżuje. Czy jeśli zachoruje dużo — naprawdę dużo — osób, będzie można stwierdzić, że on to sprawił?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę i uznał, że nie. Nie było takiej możliwości. Na tym polegało całe piękno sprawy.

Po części był zdenerwowany także dlatego, że chciał dobrze wykonać swoją robotę. Solange liczył na niego. Tak powiedziała kobieta od zadań specjalnych i wierzył jej. Zjawiała się w jego mieszkaniu dwa tygodnie temu, niezapowiedziana, z walkmanem w dłoni.

— Na pewno zechcesz to usłyszeć — powiedziała i podała mu słuchawki.

Po chwili głęboko w jego głowie rozległ się głos Solange'a: *Andrew, ona się nazywa Belinda i chcę, byś robił dokładnie to, co ci powie.* Nie było najmniejszej wątpliwości, że to głos Solange'a — Andrew słyszał go setki razy w radiu, w telewizji, na taśmach motywacyjnych. Nie można było pomylić jego głosu z żadnym innym, był bardzo charakterystyczny. Słuchanie, jak Solange zwraca się do niego po imieniu, mówi do niego, jakby byli przyjaciółmi, sprawiało, że serce mu rosło. *Potrzebujemy twojej pomocy w tajnej wojnie. Wszystko niedługo się rozstrzygnie, a jesteś jedyną osobą która może dokonać tego, na czym nam zależy. Nie zawieź mnie, Andrew. Nie zawieź mnie, przyjacielu.*

Do tej chwili nie miał pojęcia, że ktokolwiek na farmie — a tym bardziej Solange — wie o jego istnieniu. Wysyłał oczywiście czeki i prenumerował wszystkie potrzebne publikacje, uczęszczał na ćwiczenia i leczył swoje czakry w ośrodku zdrowia w Big Sur, ale nigdy nie był na farmie ani nie spotkał nikogo, kto był naprawdę wysoko w strukturze Świątyni. Do tej chwili.

Belinda wiedziała o nim wszystko — także rzeczy, z których sam nie zdawał sobie sprawy aż do chwili, kiedy mu o nich powiedziała. „Solange uważa, że byliście w innym życiu braćmi. To możliwe, Andrew? Czułeś to?”

Oczywiście, że to czuł.

Minął stadion futbolowy z billboardem z podobizną Bucky'ego Badgera i hasłem:

SPORT W WISCONSIN:
PATRZ JAK BUCKY BIEGA PATRZ JAK PODAJE
PATRZ JAK DRYBLUJE
PATRZ JAK BUCKY KOPIE JAK PŁYWA JAK GRA!

Patrz, jak Bucky rzuca pawia, pomyślał Andrew, przechodząc przez bramkę i kierując się ku szafkom. Powiesił w środku plecak i kurtkę, wyjął czerwony kombinezon i nałożył go na dżinsy i koszulę. Kombinezon był luźny i miał wielką kieszeń, w której bez trudu mieścił się termos.

Jego termos wyglądał jak jeden z tych modnych, zrobionych ze szczotkowanej stali chromowej wynalazków, które sprzedawano w Starbucks. Gdyby ktokolwiek zapytał, co to takiego, właśnie tak by powiedział.

Zakład produkcji pary był schludny, choć niewiele osób wiedziało, jak działa i co tak naprawdę się w nim dzieje. Większość ludzi — nawet inżynierowie — uważała, że to zamknięty system, wytwarzający ciepło w zimie. Prawda była jednak inna: parę, podgrzaną do temperatury niemal 400°C, wykorzystywano przez cały rok. Rozprowadzana kilometrami rur, w zimie ogrzewała budynki, a w lecie wspomagała klimatyzatory. Przez cały rok grzała wodę w kranach. System nie był też wcale zamknięty — nadmiar wytwarzanej pary był wypuszczany w powietrze za pomocą rozsianych po całym kampusie podziemnych automatycznych wentyli.

Automatyczne wentyle były niezbędne dla działania systemu, ponieważ zapobiegały zapowietrzaniu się rur i dudnieniu w nich. Każdy, kto ma w domu kaloryfery na wodę, zna ten problem. Najogólniej mówiąc, jest to spowodowane skraplaniem się pary zaburzenie równowagi ciśnienia, które sprawia, że woda zbyt szybko przepływa przez rury, powodując gwałtowne dudnienie i szarpnięcia łoskot. Aby ten problem zlikwidować, należy otworzyć wentyle, usunąć powietrze i wyrównać ciśnienie. To jednak, co w niedużym domu jest jedynie męczące, nabiera całkiem innych wymiarów w systemie przemysłowym, używającym przegrzanej pary. Jeżeli dopuści się do zapowietrzenia takiego systemu, może powstać ciśnienie wystarczające do rozerwania rur, co wyzwoliłoby gejzer pary, mogącej się rozprzestrzenić nawet tysiąc siedemset razy w stosunku do pierwotnej objętości. Innymi słowy — doszłoby do potężnej eksplozji. Każdemu, kto znajdowałby się w pobliżu, oderwałoby głowę.

Automatyczne wentyle zapobiegały temu, systematycznie wypuszczając niewielkie ilości pary i gwarantując tym samym utrzymanie w rurach stałego ciśnienia. Ta tak zwana „para wystrzałowa” dostawała się najpierw do mieszczących się pod ziemią ścieków burzowych, a stamtąd wydobywała się na ulice przez włazy kanalizacyjne.

— Hej Drew, jak leci? — rzucił Steve Belinsky, jeden z inżynierów-elektryków, otwierając szafkę i wyjmując kombinezon.

— Nie narzekam — odparł Andrew. — Ładny dzień.

— Cudo. Zastanawiam się, czy nie pojechać na ryby do Monony.

— Żeby tylko brały.

— To nieistotne. Kiedy jesteś na jezioru i walniesz sobie kilka browarów... komu jeszcze potrzebne ryby?

— A mnie zostawisz tutaj, w paszczy lwa?

— Masz przesrane — oświadczył Belinsky i zatrzasnął szafkę. — Do zobaczenia.

Andrew również zamknął drzwiczki, przekręcił tarczę zamka numerycznego i poszedł do biura po plan pracy na cały dzień. Pracę zaczął od obejrzenia pompy zasilającej, ponieważ do niego należało dodawanie amertrolu do wody. Był to preparat demineralizujący, tworzący żywicopodobną masę, pokonującą walentne przyciąganie przez ścianki rur i wychwytyjącą takie zanieczyszczenia jak wapń i krzem. Nie dopuszczał on do powstawania złożeń minerałów w rurach, co zaburzałoby przepływ pary. Dziś razem z amertrolem doda zawartość termosu. Zajmie go mu to jedynie kilka sekund i istniała bardzo niewielka szansa, że ktokolwiek zauważy, co robi. W całym zakładzie było tylko pięciu pracowników.

„Solange uważa, że byliście w innym życiu braćmi. To możliwe, Andrew? Czułeś to?”. Oczywiście, że to czuł. Nawet teraz to czuł.

19

Frank miał przez cały tydzień grypę — tak samo Annie.

Było to otumaniające, zakatarzone, przyprawiające o ból pleców choróbsko, które ciągnęło się i ciągnęło, jakby nigdy nie miało się skończyć. Wyłączyło Franka z działania na trzy dni i dopiero teraz wracał do siebie. „Post” informowała, że choroba zatacza coraz szersze kręgi: zamknięto kilka szkół, K Street była niemal pusta, a Kongres miał problemy z zebraniem kworum.

Wszystko to działo się, choć sezon grypowy skończył się już wiele tygodni temu, a zamieszanie nie dotyczyło wyłącznie Waszyngtonu. Los Angeles miało własny wybuch choroby. Nazwano ją „grypą Beverly Hills”, ponieważ ta dzielnica została dotknięta najbardziej. W wieczornych wiadomościach Frank oglądał program na ten temat. Reporter siedział w Polo Lounge, otoczony pustymi stolikami. Na końcu programu zamówił talerz rosołu z kurczaka z makaronem i pomachał do kamery. Dowcipne, pomyślał Frank i po raz enty wydmuchał nos.

Potrząsnął głową, aby nieco sobie w niej rozjaśnić, po czym zaczął przeglądać materiał z Nexisa. Generalnie biorąc, był to jeden i ten sam artykuł — depesza AP, którą zamieściło wiele gazet, lakoniczna wersja artykułu z „Globe”.

Czytał go raz za razem, nic z tego jednak nie wynikało.

Artykuł był dziwnie blady. Nie było żadnego wywiadu z naocznym świadkiem, cytatów z wypowiedzi marynarzy z tego samego statku, opisujących sztorm, wielkość fal, moment, kiedy przewróciła się szalupa.

Była jedynie wypowiedź kapitana — zwięzły opis tego, co się stało.

Jeszcze dziwniejszy (jak na dziennikarskie oko Franka) był brak artykułów w prasie lokalnej. „Lake Placid Sentinel”, po którym można się było spodziewać, że umieści tę historię na pierwszej stronie, opublikował skróconą wersję gdzieś w środku, w dziale „wiadomości ze

świata”, traktując całe wydarzenie nie jak katastrofę u siebie w domu, a bardziej jak powódź gdzieś w Bangladeszu.

Wyjątkiem było kilka artykułów faceta, który nazywał się Eric Overbeck i pisał dla „Rhinebeck Times-Journal”. Przedstawił on sprawę Marthy i Harry’ego Bergmanów, rodziców jednego z marynarzy.

RODZINA WYKLUCZONA Z UDZIAŁU W POGRZEBIE Małżeństwo z Rhinebeck skarży sektę o niezwrócenie ciała syna.

Z artykułów wynikało, że Bergmanowie byli oburzeni zbyt pobieżnym według nich śledztwem dotyczącym przyczyn śmierci ich syna. „Wszyscy zdają się wierzyć tym ludziom na słowo — powiedział ojciec. — Poza mną. Nie jestem zadowolony z wyników dochodzenia. Wcale nie jestem! I nie zamierzam przestać mówić!”. Gazeta wydrukowała zdjęcie ich syna — przystojnego młodzieńca, który „zrezygnował na ostatnim roku ze studiów na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork w New Paltz, by dołączyć do Świątyni Światła”. Na koniec wspomniano o tym, że Bergmanowie wynajęli prywatnego detektywa, by zajął się sprawą. Zaangażowali także adwokata, który naciskał prokuratora okręgowego hrabstwa Dutchess, aby zbadał mieszczący się w Lake Placid „kościół”.

Wszystko wskazywało na to, że Frank powinien porozmawiać z Bergmanami. Zaczął czytać ostatni artykuł w pliku.

TAJEMNICZY KORPUS MOŻE MIEĆ ZWIĄZEK Z KOBIETĄ Z RHINEBECK

(ALBANY). Znaleziony w zeszłym tygodniu w lasach Adirondack korpus może być zwłokami mieszkanki Rhinebeck, Marthy Bergman, która prawie pół roku temu zniknęła razem ze swoim mężem Haroldem.

Policja potwierdza, że może chodzić o ciało kobiety w wieku pani Bergman i o podobnej do niej wadze.

Oficjele hrabstwa Dutchess zastrzegli, że choć charakterystyczne cechy ciała są podobne do tych, jakie znajdowały się na dermatologicznej „mapie znamion”, stworzonej na podstawie historii chorób pani Bergman, rozkład ciała sprawił, że jednoznaczna identyfikacja ciała okazała się niemożliwa.

„Nie dysponując głową albo rękami, bardzo trudno jest dokonać identyfikacji — stwierdziła rzeczniczka prasowa wydziału policji hrabstwa Dutchess. — Nie da się sprawdzić odcisków palców ani porównać zębów z kartą dentystyczną. Wykonujemy oczywiście badanie DNA, wykorzystując materiał pobrany z domu Bergmanów”. Wyniki testów będą znane za kilka tygodni.

Pani Bergman i jej mąż Harold zniknęli w tajemniczych okolicznościach w listopadzie. Przedstawiciele władz twierdzą, że sprawa jest bardzo dziwna, zwłaszcza że w domu państwa Bergmanów nie stwierdzono żadnych śladów gwałtownego wtargnięcia.

Krażyły plotki, że państwo Bergmanowie popadli w depresję po niedawnej śmierci syna, członka Świątyni Światła.

Z gardła Franka wydobył się dźwięk, wyrażający zarówno zrozumienie, jak i zaniepokojenie. „Eureka!” i „O-o!”. Teraz, kiedy sprawy zaczynały nabierać sensu, Frank

coraz bardziej żałował, że nie prowadził swojego dochodzenia ostrożniej, ale zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Powinien był zachować większą cierpliwość. W jego uszach znów rozbrzmiał głos właściciela zakładu pogrzebowego: „Powiedział pan: »Daly«,?»

Tak jest, zgadza się. Podać panu mój adres? Czy wystarczy, że się zastrzelę? Kiedy już padnę trupem, może mi pan obciąć głowę — albo co innego, jeśli pan sobie życzy!

Znów wydał z siebie ten sam odgłos co poprzednio — tym razem jednak nieco głośniejszy i bardziej go przeciągnął. Jeśliby się lepiej wsłuchać, odkrywałoby się w tym dźwięku także nieco zdziwienia. Było to coś w rodzaju „muuu”. Zaniepokojonego i zdziwionego „muuu”.

Frank nie mógłby niczego udowodnić, ale wydawało mu się, że wie, co tak naprawdę się stało. Z jakiegoś powodu Świątynia Światła wydobyła ciała górników z Kopervik i sfingowała wypadek na morzu. Ciała włożone zostały do plastikowych worków i opatrzone przywieszkami z nazwiskami marynarzy, którzy utonęli — i którzy byli w dalszym ciągu na pokładzie statku, ukrywali się albo... nie żyli. Jeżeli w ogóle byli kiedykolwiek na pokładzie. W tym momencie na scenę wchodzi pan Bell z zakładu pogrzebowego...

Wszystko szło pięknie, dopóki Bergmanowie nie zaczęli naciskać, by przeprowadzono dochodzenie. „Wszyscy zdają się wierzyć tym ludziom na słowo. Poza mną”. Faktycznie. Akt zgonu nie był dla Harry’ego Bergmana wystarczającym dowodem. Chciał, żeby przeprowadzono sekcję.

Wyglądało na to, że znalazł w biurze prokuratora okręgowego kogoś przyjaźnie nastawionego — wtedy jednak zniknął.

Frank zaczął przeglądać wydruki artykułów z „Times-Journal”. Jak nazywał się autor? Overbeck. Tylko on napisał więcej niż jeden artykuł.

Frank zadzwonił do informacji i podano mu numer. E. Overbeck mieszkał tuż za rzeką Hudson, w miasteczku Port Ewen. Zatelefonował do niego.

Po drugim dzwonku odebrała dziewczynka.

— Halo?

— Mogę prosić Erica?

— Sekundę! A kto dzwoni?

— Frank Daly. Trzasnęło, kiedy odkładała słuchawkę, potem Frank usłyszał kroki i cichnący głos małej.

— Tato! Tato! Telefon!

Kiedy tamci znaleźli się w zasięgu słuchu, Frank usłyszał ostatnie strzępki rozmowy.

— Nie wiem... — burknęła nadąsana dziewczynka. — Sam go o to spytaj.

— Halo?

— Czy mówię z Erikiem Overbeckiem?

— Słucham — powiedział mężczyzna z wahaniem.

— Nazywam się Frank Daly i pracuję dla „Post”. (Brzmiało to znacznie lepiej niż: „Pracuję w »Post«, ale jestem teraz na urlopie bezpłatnym”).

— Rozumiem. Mogę w czymś pomóc?

W głosie mężczyzny słychać było, że jest pod wrażeniem. Miło, że „Post” ciągle cieszy się renomą, pomyślał Frank.

— Nie wiem... pracuję nad artykułem, mającym związek z jednym z pańskich materiałów. Miałem nadzieję, że uda mi się skorzystać z pańskich przemysłów...

— Mówi pan o elektrowni? — zapytał mężczyzna. Był podekscytowany, wręcz szczęśliwy.

— Raczej nie — odparł Frank. — Chodzi mi o Bergmanów. Napisał pan kilka artykułów...

— Aha...

Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Overbeck nie sprawiał już wrażenia dziennikarza, któremu się pali, by jego nazwisko znalazło się w „Post”. Zmienił się w kogoś, kto właśnie dostał wezwanie do sądu, by zeznawać jako świadek przeciwko Hezbollah.

— Hm... chętnie bym panu pomógł, ale jestem teraz dość zapracowany...

— To zajmie tylko minutę.

— Przykro mi. Naprawdę nie mam czasu.

— Ale...

— Niech pan nie próbuje mnie przekonywać. Nie potrzebuję więcej nerwów. Gazeta, dla której pracuję, ma dwa tysiące nakładu. Zostaniemy zaskarżeni przez Świątynię i stracę pracę. Proste.

— Grozili, że was zaskarżą?

— Nie będę się na ten temat wypowiadał.

— Grozili wam, że...

— Muszę kończyć — uciął Overbeck i odłożył słuchawkę. Frank próbował zadzwonić ponownie, ale było zajęte. Linia pozostawała tak długo zajęta, że było jasne, iż odłożono słuchawkę.

Poszedł do kuchni i znalazł w lodówce butelkę Negra Modelo. Po powrocie do salonu zadzwonił do Annie i opowiedział jej zarówno o tym, czego się dowiedział, jak i to, czego się domyślał.

— Więc twoim zdaniem zabili ich. — Nie było to pytanie.

— Tak, jestem tego niemal pewien. — Zapadła między nimi długa cisza. — Mógłbym do ciebie wpaść? — spytał w końcu Frank, ale Annie nie odpowiedziała.

— Może nie dziś — odparła w końcu. — Jestem jeszcze trochę zakatarzona. Może jutro. Znow milczeli.

— I co dalej? — odezwała się po chwili Annie.

Frank wzruszył ramionami i zaraz roześmiał się, bo nie mogła widzieć tego gestu.

— Mam do wykonania kilka telefonów. Do biura prokuratora okręgowego hrabstwa Dutchess, do PD w Poughkeepsie...

— Do kogo?

— Prywatnego detektywa. Pracował dla Bergmanów. Nazywa się Kramer. Martin Kramer. Poza tym mój ojciec jest chory i...

— Jezu!

— ...prawdopodobnie powinienem się z nim zobaczyć.

Następnego dnia po południu stał w holu Szpitala Saint Mary's i próbował nawiązać kontakt wzrokowy z jakąś ludzką istotą. Ochroniarz zdawał się przebywać myślami na Plutonie, a sanitariusze i pielęgniarki wpadali i wypadali, nawet na niego nie patrząc. Urzędniczka w izbie przyjęć, która w ponurym świetle jarzeniówek wyglądała, jakby i jej

przydało się przyjęcie do szpitala, wreszcie skończyła długą rozmowę telefoniczną i popatrzyła na niego.

— Mogę w czymś pomóc?

— Na to liczę — powiedział tak ciepło, że się uśmiechnęła. Wyjaśnił, że jego ojciec jest na oddziale intensywnej terapii, a on przyjechał spoza miasta. — Chciałbym się z nim zobaczyć.

Urzędniczka zadzwoniła, uśmiechnęła się ponownie i posłała go do pokoju pielęgniarek.

Widok szpitalnych korytarzy przypomniał mu matkę — wspomnienie to nabrało wyrazistości, kiedy pielęgniarka skierowała go do poczekalni na końcu korytarza. Było tam już dwoje ludzi. Kobieta była blondynką koło pięćdziesiątki w jaskraworóżowych spodniach od dresu i bawełnianej bluzie z cekinami, układającymi się w napis: ATLANTIC CITY! Drugą osobą był chudy mężczyzna w zatłuszczonym kombinezonie. Na piersi miał niebieski owal z imieniem RAYMOND. Kiedy Frank wszedł, ich głowy nagle podskoczyły, a po twarzach przebiegł błysk niepokoju, który zaraz zamienił się w ulgę. Frank nie wyglądał na kogoś, kto przynosi jakiegokolwiek wiadomości — dobre albo złe.

Było to pomieszczenie, w którym siedział czternaście lat temu, kiedy umierała matka.

Czuł się identycznie jak wtedy. Powietrze przepełniał zapach strachu i nadziei, z telewizora na ścianie dolatywały salwy odgrywanego z taśmy śmiechu. Zaczęli we troje wpatrywać się w ekran, nic jednak nie widzieli, zagubieni we własnych myślach.

Po jakimś czasie zjawiała się pielęgniarka.

— Kto do pana Daly'ego?

Frank ze zdziwieniem zauważył, że kobieta w różowym dresie jest jakoś związana z jego ojcem, bo kiedy wstał, ona też wstała — nie mniej zaskoczona od niego. Przez chwilę na siebie patrzyli, a potem odwrócili się do pielęgniarki.

— Doktor przyjdzie za chwilę, chciałam jednak, żebyście państwo wiedzieli, że arytmia się ustabilizowała — powiedziała siostra, lekko klepnęła kobietę w ramię i uśmiechnęła się. — Jest w niezłym stanie.

Kobieta złapała Franka za rękę i ścisnęła ją tak gwałtownie, że aż go zabolalo:

— Jestem Daphne — powiedziała, po czym wyjaśniła, że jest żoną ojca.

— Rozumiem — mruknął skonsternowany. — Ja jestem Frankie.

— O! — Zmarszczyła czoło, zaraz jednak rozluźniła się i złapała go za rękaw. —

Wszystko w porządku?

Przez moment zastanawiał się, czy jej zmarszczenie czoła miało związek z jego wyglądem lub tożsamością.

— Nie, nic mi nie jest. Po prostu przechodzę grypę.

— Krąży po całym mieście.

Nie mieli sobie wiele do powiedzenia i oboje poczuli ulgę, gdy zjawiał się lekarz, który oświadczył, że stan „Francisa” najwyraźniej się poprawia, choć pacjent w dalszym ciągu jest bardzo chory.

— Nie dbał o siebie, ale mimo wszystko jest silny jak tur. Może będzie to dla niego nauką. Miejmy taką nadzieję.

Mógł pozwolić wejść do chorego tylko jednej osobie na raz i Frank chciał puścić przodem Daphne, ale odmówiła.

— Długo się nie widzieliście — stwierdziła. — lepiej będzie, jeśli ty wejdiesz pierwszy.

— Nie, nie muszę...

Odwróciła się do niego plecami i zabrała do czytania mocno zużytego egzemplarza „People”.

— Może to nie moja sprawa, ale chyba najwyższy czas, żebyś się z nim zobaczył — rzuciła przez ramię i usiadła.

Nie miał wyboru, musiał iść pierwszy.

Stary leżał na plecach, nieprzykryty, wzrok wbijał w sufit. Z nosa wychodziły mu rurki, spod koszuli nocnej cewnik. W jego lewym przedramieniu tkwiła igła podłączona do kroplówki, policzki zarastała kilkudniowa szczecina. Miał podkrążone oczy i przerywany oddech.

Jezu...

Frank wziął krzesło i przysunął je do łóżka. Mijały minuty. Choć ojciec miał otwarte oczy, Frank nie był pewien, czy jest przytomny. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, gałki oczne wyglądały jak szklane kulki. Po chwili jego głowa przekreśliła się na bok i popatrzył synowi w oczy.

— Cześć — odezwał się Frank.

Stary zamrugał.

Pozostawali tak przez długie minuty. Było jasne, że ojciec nie może mówić — i tak samo jasne, że Frank nie wie, co powiedzieć. W końcu wyciągnął rękę i ujął dłoń chorego. Choć nie powinno, zaskoczyło go, jaka jest twarda i chropawa — po latach w bojlerowni skóra na rękach ojca była jak azbestowe rękawice. Trzymał go za rękę i kiedy lekko ją ścisnął, usłyszał własne słowa, wypowiedane za nich obu:

— Przykro mi. Po prostu mi przykro, że między nami było tyle... nieporozumień.

Stary ponownie zamrugał. Potem jego ręka napięła się i przyciągnął syna bliżej. Przekrzywił głowę, co miało być chyba wzruszeniem ramion, i kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu, który miał wyrażać: „Co na to poradzić?”.

Przez chwilę Frank byłby gotów przysiąc, że w oczach ojca zobaczył łzy, ale kiedy się zastanowił, nie był pewien, czy to nie w jego oczach się pojawiły. Serce załomotało mu w piersi i przez chwilę czuł się, jakby połknął żyletkę.

Stary odwrócił głowę i Frank uspokoił się. Siedzieli jeszcze długo ręką w rękę, choć nie padło żadne słowo, byli tylko po prostu razem. Przed oczami Franka przewijał się film z jego dzieciństwa — widział matkę, bojlerownię, szkolne podwórze, sklep spożywczy, ogród, boisko... Boże!

Nagle ojciec zakaszłał, jakby prychnął i... odszedł.

Daphne zaprosiła go, by zanocewał w ich domu.

— Możesz spać w swoim łóżku — powiedziała. — Twój tata nie dał mi go tknąć...

Frank jednak odmówił, twierdząc, że już zapłacił za pokój w „Red Roof Inn”. Ale nie mógł ominąć stypy, która okazała się otwartym przyjęciem dla radosnych żałobników. Gdy przyjechali do domu — jak go Frank ciągle jeszcze nazywał — ze smutkiem stwierdził, że ogród jest zapuszczony, róże nie przycięte, a jednoroczne kwiaty schną na krzewach. Kiedy jednak wszedł do środka, stało się dla niego jasne, że Daphne całą swoją energię skoncentrowała na salonie, w którym siedział jakiś podrzutek o migdałowych oczach i rycząc, wpatrywał się w wielki telewizor.

Ten niewinny początek wkrótce zamienił się w coś całkiem innego, kiedy przyjaciele ojca zaprosili go na drinka w kuchni.

— Weź se krzeselko, Frankie!

— Mam nadzieję, że nie ty bulisz za trumnę, synu! Widzieliście kiedy co takiego?!

— Mówię ci, Frankie, jakem na niego patrzył, myślałem że to druga królowa Anglii!

— Dajcie młodziakowi piwko, bo nieco pozieleniał pod oczami!

— Wszystkie możliwe bajery... — mruknął ktoś. — Lexus z mahoniem... twojemu ojcu bardzo by się to podobało.

— Siadaj, Frankie... Widziałeś go? Leżał sobie jak jakiś pieprzony prezydent...

Wuj Sid dodał:

— Wcale nie jestem pewien, czy to był on. Nigdy tak dobrze nie wyglądał!

— Masz rację! Kiedy twój ojciec miał różowe policzki?!

— Nigdy — przyznał Frank.

— Nie wspominając o goleniu!

I tak szło dalej — kobiety stały w salonie i rozmawiały z szacunkiem między sobą, podczas gdy rozmowa mężczyzn w kuchni na przemian ożywiała się i słabła, jak przyprawy i odpływy. Ktoś opowiedział jakąś historię, wszyscy buchali śmiechem, dłonie klepały w stół. Rozlewano następną kolejkę. Opowiadano następną historyjkę, znów buchał śmiech. Kobiety zaglądały do nich od czasu do czasu z poważnymi minami, a kiedy coś je rozbawiło, przewracały oczami.

Frank został do dziesiątej wieczorem — do tego czasu dowiedział się o swoim ojcu więcej niż przez całe życie. Słuchając przyjaciół ojca, zaczął rozumieć, jak można było kochać człowieka, który miał tak wiele skaz, a kochając go — nawet mu wybaczać.

Następnego poranka kondukt pogrzebowy pojechał — Frank był w jednym samochodzie ze szlochającą Daphne — na cmentarz Świętego Krzyża. Na miejscu ojciec Morales powiedział kilka słów, Frank rzucił na trumnę garść ziemi i już trzeba było iść do domu.

— Musisz przejrzeć jego rzeczy — powiedziała Daphne. — Może być w nich coś, co zechciałbyś sobie wziąć, no wiesz... zatrzymać.

Pojechanie z nią do domu wydało mu się łatwiejsze od spierania się, więc pojechali.

— Wszystko jest w sypialni. Nie ma tego wiele. Nie bardzo lubił zbierać rzeczy.

Frank poszedł do sypialni, gdzie na łóżku, w starannie ułożonej stercie, leżały ubrania ojca. Były to dwie znoszone sportowe kurtki, kilka par spodni na drucianych wieszakach, dwa pudełka koszul do garnituru (prosto z pralni) i granatowy płaszcz. Choć dziwnie się przy tym czuł, przymierzył płaszcz i ze zdziwieniem stwierdził, że jest na niego za ciasny w ramionach. Zawsze sądził, że ojciec jest od niego większy. Prawdopodobnie jednak tak nie było.

Odłożył płaszcz na łóżko i podszedł do komody. Zaczął po kolei wysuwać szuflady, znajdując w nich to, czego należało się spodziewać — podkoszulki i majtki, skarpety i koszulki polo, kilka swetrów i bluz. Na wierzchu komody, tuż obok podniszczonego portfela, leżał stary timex.

Czując się jak złodziej, otworzył portfel i zajrzał do środka. Było w nim dwanaście dolarów gotówką, prawo jazdy, karty VISA i Exxon, informacja ubezpieczeniowa i karta ATM. A także legitymacja związkowa. W głębi, gdzie Daphne raczej chyba nie zaglądała, znajdowało się czarno-białe zdjęcie matki Franka.

Wyjął je i wsunął do swojego portfela, po czym ostatni raz się rozejrzył. Nie było nic więcej.

— Muszę wracać do pracy — stwierdził.

— Oczywiście, ale...

— Daj znać, gdybym mógł coś... rozumiesz, gdybym mógł w czymkolwiek pomóc.

— Nie chcesz niczego zabrać?

Frank pokręcił głową.

— Nie sędzę. Chyba najlepiej będzie, jeśli oddasz wszystko pomocy społecznej.

— Ale albumy musisz wziąć. Nie należy ich wyrzucać.

— Jakie albumy?

Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z trzema wielkimi tomami, w jakich ludzie zazwyczaj przechowują fotografie. Każdy był oprawiony w skórę koloru burgunda, a centymetr od krawędzi wokół okładki biegła podwójna złota linia. Daphne podała mu jedną z ksiąg i Frank — ciekaw, co w niej znajdzie — otworzył ją.

Na samym początku był wklejony pierwszy artykuł, jaki opublikowano z jego nazwiskiem: długi materiał z „Alliance” o ortodoksyjnych Żydach, nawracających emigrantów w Brighton Beach. Dalej były reportaże, które pisał dla „Village Voice”, potem pierwszy artykuł dla „Post”. Naklejono go na płachcie starannie wyciętego, pożółkłego papieru gazetowego, przymocowanego paskami taśmy samoprzylepnej. Z prawej strony niebieskim długopisem napisano datę:

16 lipca 1992

Frank był oszołomiony. We wszystkich trzech albumach musiały być setki artykułów — prawdopodobnie każdy, jaki napisał. Popatrzył na Daphne, która wzruszyła ramionami.

— Jak tyle tego się zbierało? — spytał.

— Prenumerował gazety — odparła. — Zawsze je prenumerował.

Wieczorem po stypie zadzwonił z Kerwick do Annie, więc kiedy wrócił do Waszyngtonu, wiedziała o śmierci jego ojca.

— Dobrze się czujesz? — spytała.

— Tak, nic mi nie jest. Dobrze, że tam pojechałem. Co u ciebie?

— Masz na myśli grypę?

— Aha.

— Chyba wreszcie się kończy. Wróciłam do pracy. Co nowego w twojej sprawie?

— Przejrzałem kilka artykułów na temat tych marynarzy, którzy utonęli, albo podobno utonęli. Są dość ciekawe.

— Pod jakim względem?

— Po pierwsze, wszystkie nekrologi są takie same. Jakby napisała je jedna osoba — i tak chyba było. No i rodziny... wreszcie udało mi się je obdzwonić.

— I co?

— Najpierw dodzwoniłem się do siostry O'Reilly'ego, Megan, która również jest wyznawczynią Świątyni Światła.

— Rany...

— Potem byli rodzice Artura, pan i pani Garcia. Też należą do sekty.

— Coś takiego!

— Ale o tym, że są rozświetleni przez sektę, dowiedziałem się dopiero po rozmowie z nimi. Powiedział mi to prokurator okręgowy hrabstwa Dutchess.

— Jak to: „rozświetleni przez sektę”?

— No wiesz, coś jak: „skorumpowani przez mafię” albo „rozpracowani przez wywiad”.

— Rozumiem.

— W każdym razie sposób, w jaki zareagowali, był raczej dziwny. Zachowywali się wrogo. Nie podobały im się moje pytania, kontrowali je natychmiast. „Nie, nie uważamy, że było coś dziwnego w wypadku »Crystal Dragona«, „Nie, nie mamy powodu wierzyć w to, że Arturo albo Thomas żyją”. „Mówił pan, że jak się pan nazywa?”. „Jaki jest pański numer telefonu?”. „Kto jest pana zwierzchnikiem?”. Według nich mój telefon był objawem wrogości wobec ludzi o innych poglądach religijnych. Mieści ci się to w głowie? Zareagowałabyś tak, gdyby ktokolwiek do ciebie zadzwonił?!

— Oczywiście, że nie. A jak pozostali?

— Cóż, było całkiem inaczej. Dodzwoniłem się do córki Rossa Stevensa — facet nie był już młody, miał pięćdziesiąt dwa lata — i matki Chrisa Yatesa. Zachowali się zupełnie inaczej.

— To znaczy?

— Nie chcieli ze mną rozmawiać. Wcale.

— Ponieważ sprawa była dla nich zbyt bolesna?

— Nie, ponieważ byli śmiertelnie przestraszeni.

Annie milczała.

— Wiem, że to może być uprzedzenie — dodał Frank — ale jedyni rodzice, którzy zażądali śledztwa — Bergmanowie — i zniknęli z powierzchni ziemi, prawda? Jeżeli prokurator okręgowy ma rację, zniknęli bez śladu do chwili, aż... no, aż znaleziono...

— Korpus. Gazety określały to „korpus”.

Przez chwilę milczeli, po czym Frank powiedział:

— Chyba tam pojedę.

— Nie zamierzasz chyba...

— Pojadę.

Po kolejnej chwili ciszy odezwała się Annie:

— Frank?

— Tak?

— Czym właściwie jest ta Świątynia? Co to za ludzie?

Przez parę sekund nie odpowiadał, wsłuchując się w oddech Annie.

— Nie wiem. Może normalni. Choć nie sądzę.

Pojechał New Jersey Turnpike do Międzystanowej 287, wjechał na New York Thruway, przeciął rzekę Hudson na wysokości Poughkeepsie i wjechał główną ulicą do miasta. Zaczął się rozglądać za restauracją „Fernacci’s”. Kiedy ją znalazł, zatrzymał na znajdującym się tuż obok parkingu, zgasił silnik i oparł się wygodnie. Była 18.35, a miał się spotkać z Martinem Kramerem o siódmej.

Nie chciało mu się czekać w restauracji, otworzył więc „Post” na stronach sportowych i zaczął czytać.

Dwadzieścia minut później na parking wjechał nowiutki czarny jaguar. Był to model XJ-12 z deską rozdzielczą z orzechowego drewna i skórzaną tapicerką, zrobioną zdaniem Franka ze skóry zdartej z chińskich więźniów. Z auta wysiadł niski, krępy mężczyzna i uważnie przyjrzał się Frankowi.

— Pan jest Daly?

— Tak.

— Marty Kramer. Miło mi poznać.

Uścisnęli sobie ręce i poszli do restauracji. Okazała się bardzo przyjemnie urządzona i miała klimatyzację. We wnętrzu było sporo terakoty i drewna, a z ukrytych głośników dolatywały ciche dźwięki muzyki z *Turandota*. Maitre d’ wskazał im stolik w rogu i usiedli.

— Fajny wózek — powiedział Frank, spoglądając w kierunku parkingu.

Kramer wzruszył ramionami.

— Zawozi mnie tam, gdzie potrzebuję.

Był niski, miał wypukłą klatkę piersiową, która nieco upodabniała go do gołębia, haczykowaty nos, krzywe zęby i błyszczące czarne oczy. Jego czarne, krótko przystrzyżone włosy wyglądały jak kolce jeża i błyszczały od żelu.

— Hej, Mario! — zawołał. — Co trzeba zrobić, żeby dostać tu coś do picia?

Kelner uśmiechnął się i podbiegł do nich z kartą win. Przedstawił specjalności zakładu, przyjął zamówienie i odszedł tam, skąd przyszedł.

Przez godzinę przebili się przez drinki (temat: Knickowie kontra Wizardzi), dwa carpaccio (temat: Clinton kontra prokurator Starr), coś, co musiało być chlebem pokropionym olejem z oliwek (temat: trening do biegu na dziesięć kilometrów) oraz *entrees: osso buco* dla Kramera i *tortellini* dla Franka.

Kramer okazał się znakomitym rozmówcą i słuchaczem, ale bardzo niechętnie udzielał informacji. Po prawie godzinie konwersacji Frank nie dowiedział się praktycznie niczego o jego pracy dla Bergmanów.

— Nic mi pan nie powiedział — stwierdził.

Kramer uśmiechnął się.

— A co chce pan wiedzieć?

— No cóż... — mruknął Frank, nalewając do kieliszków montepulciano. — Tak na początek może powie mi pan, czy Bergmanowie zostali zamordowani? Jak pan sądzi?

Kramer skrzywił się i pokiwał głową.

— Jest jeden problem — mruknął. — Jeśli moje nazwisko pojawi się w prasie, stracę klientów. Proste. Czytał pan moją wizytówkę? Co tam jest napisane?

— Ze jest pan prywatnym detektywem.

— Właśnie. Prywatnym.

— Proszę mi zaufać. Rozmawiamy nieoficjalnie.

Kramer parsknął śmiechem.

— Mówię poważnie.

— Na pewno?

Frank skrzyżował ramiona na piersi.

— Na sto procent.

Kramer westchnął, najwyraźniej znużony jego uporem.

— W porządku — powiedział i odłożył serwetkę. — Zaryzykuję. Co chce pan wiedzieć?

— Wszystko, co może mi pan powiedzieć o Bergmanach.

Detektyw opadł na oparcie krzesła i zastanowił się.

— Para dziwaków — oświadczył w końcu.

Frank roześmiał się, po chwili jednak spoważniał.

— Co pan ma na myśli?

— Chce pan wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło? Ich dzieciak zwał i przyłączył się do cyrku. Opuścmy to sobie.

— Tak, ale... rodzice zatrudnili pana już po jego śmierci. Nie było to więc poszukiwanie zaginionego.

Kramer wydał usta.

— To nie do końca prawda. Przyszli do mnie mniej więcej pół roku po tym, jak dzieciak dołączył do Świątyni. Jakies dwa lata temu.

— I o co poprosili?

— Żeby go porwać. Nie nazwali tego wprost, ale właśnie tego chcieli. Mieli już nawet zorganizowanego „deprogramatora”.

— I co się stało?

Kramer wzruszył ramionami.

— Rozejrzałem się, pozadawałem trochę pytań. O ile byłem w stanie ocenić, dzieciakowi wiodło się nieźle. Był szczęśliwy, więc się wycofałem. Powiedziałem im, że nic się nie da zrobić.

— A po tym, jak utonął? Znowu pana zatrudnili?

Kramer sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Nie rozumiem, dlaczego pan się tym interesuje? Nie jest to sprawa o znaczeniu ogólnokrajowym, nie wydarzyła się w głównym regionie sprzedaży „Post”. Czego pan szuka?

— Prawdy.

Kramer prychnął.

— W takim razie radzę poczytać Krishnamurtiego.

— Bardzo śmieszne.

— Mówię poważnie. Jest pan reporterem policyjnym czy co?

— Nie — odparł Frank.

— Więc o co chodzi?

— Pracuję nad artykułem związanym z medycyną, ale to wszystko jest dość skomplikowane. Myślę, że najprostsza odpowiedź na pańskie pytanie brzmi następująco: staram się dowiedzieć, czy ludzie z tego statku...

— Z „Crystal Dragona”?

— Tak. Staram się dowiedzieć, czy rzeczywiście utonęli. Uważam, że być może wcale tak się nie stało. Ich śmierć mogła zostać sfingowana. A jeżeli się mylę i rzeczywiście utonęli — może ich śmierć była morderstwem.

Kramer przyglądał się Frankowi przez długie sekundy, a potem upił łyk wina.

— Na czym stanęliśmy?

Frank musiał się zastanowić.

— Mówił pan o tym, jak pracował pan dwa razy dla Bergmanów. Po raz pierwszy, kiedy ich syn został członkiem sekty...

— ...i potem, kiedy utonął. Zrobiłem to pro publico bono. — Frank musiał mimowolnie unieść brwi, bo detektyw zaczął szybko wyjaśniać: — Było mi ich żal. Chyba czułem się też trochę winny. Nie wiem... może powinienem był wyciągnąć stamtąd dzieciaka... w każdym razie nie zrobiłem wiele. Porozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy byli wtedy na statku..

— I jak się zachowywali?

— Współpracowali. Nie zachowywali się, jakby mieli coś do ukrycia.

Frank ponownie musiał zrobić powątpiewającą minę, Kramer pochylił się ku niemu i powiedział cicho:

— Niech pan posłucha: jeśli chodziło o Świątynię, Bergmanowie dostawali hopla. Nie można było z nimi o niej rozmawiać. Twierdzili, że oni również mają „przekonania religijne”, ale wiedzą, że dzieciak miał „wyprany mózg” i został „omotany przez sektę”. Co panu to mówi?

— Nie wiem.

— Byli dwulicowi, do tego mieli paranoję. Boże, zachowywali się, jakby podejrzewali, że pod dywanami porzkładano im miny przeciwpiechotne. Sądzi, że ich telefon jest na podsłuchu, a dom obserwują specjaliści agencji... Boże Wszechmogący, kupili sobie nawet broń! Na wypadek, gdyby ktoś próbował się do nich włamać, trzymali ją w komodzie w przedpokoju. — Kramer roześmiał się.

— Jaką broń?

— Nie wiem dokładnie. Chyba trzydziestkęsemkę.

— Więc...

— Wszystko to sprowadzało się do tego, że musieli znaleźć winnego, inaczej okazałoby się, że to oni są winni. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Nie uważa pan, że Świątynia ponosi jakąś winę?

Kramer wzruszył ramionami.

— Nie wiem, może gdyby Bergmanom udało się złożyć pozew, mogliby udowodnić kapitanowi niedbałość — na przykład przeprowadzanie zbyt małej liczby ćwiczeń z szalupą ratunkową czy coś w tym stylu, ale nie w tym rzecz. W moim zawodzie spotyka się sporo ludzi, którzy gonią tęczę. Od razu mogłem im powiedzieć, żeby schowali portfel, bo wiem z góry, że nie będę w stanie dostarczyć im tego, czego chcą. Niech pan spojrzy na rodziny zaginionych w akcji: kiedy się z nimi rozmawia, okazuje się, że ani jedna osoba nie jest tak naprawdę zaginiona. Nie używają nawet pojęcia „zaginiony”, bo ich bliscy to wyłącznie

„utajnieni więźniowie”. To samo jest z wypadkami samolotowymi. Wypadek? Skądże! To uderzenie rakiety, bomba, niedopatrzenie konserwatora czy coś w tym rodzaju. Kiedy ma się do czynienia z rodzinami, nie istnieje coś takiego jak wypadek. Ich strata musi mieć jakieś wytłumaczenie, musi być ktoś, kogo da się obarczyć winą. Uważają, że należy im się rewanż — że muszą dostać odszkodowanie, zemścić się, wszystko jedno co, bo inaczej doznana strata zostanie pozbawiona znaczenia. Okaże się przypadkiem. W tym momencie poszukiwania zaczynają być sztuką dla sztuki — śledztwo przestaje dotyczyć tego, co się naprawdę stało, i staje się czymś całkiem innym. Ale cóż... w końcu właśnie dzięki temu zarabiam masę pieniędzy.

— Uważa pan, że tak samo było w przypadku Bergmanów?

— Nie uważam, ale wiem.

— A ciało, które znaleziono?

— W Adirondack?

Frank skinął głową.

Kramer wzruszył ramionami.

— Nie wiadomo, czy to ona.

— Zgoda, ale... jeśli to ona?

Kramer zmarszczył czoło i zastanowił się.

— Nie wiem, może ma pan rację. Może to Świątynia ich załatwiła? Nie dostrzegam niczego, co by na to wskazywało, ale...

— A jeśli to nie Świątynia?

— Ujmijmy to tak: moim zdaniem prokurator okręgowy powinien się rozejrzeć za panem Bergmanem.

Kryjąca się za tym zdaniem sugestia zaskoczyła Franka.

— Chce pan powiedzieć, że...

Detektyw pochylił się do Franka i ściszył głos:

— Bergmanowie mieli kilka poważnych problemów.

— Jakiego rodzaju?

— Nie miały związku z ich synem. — Frank otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Kramer powstrzymał go gestem dłoni. — Nie chciałem o tym mówić, słyszałem jednak, że tuż przed zniknięciem swoim i żony pan Bergman przetransferował sporo pieniędzy na Kajmany.

— Nie wiedziałem o tym.

247

Kramer wzruszył ramionami.

— Rozmawiał pan z Turtle' em?

— Mówi pan o tym facecie z biura prokuratora okręgowego w Placid?

— Właśnie.

— Tylko przez telefon.

— Myślę, że mógłby go pan o to zapytać, nie sądzę jednak, by coś powiedział. To ich zdaniem ważny trop i mocno nad nim pracują.

Frank upił łyk wina i zastanowił się nad słowami Kramera.

— A co z ekshumacją? — spytał po chwili. — Czy dostali...

Detektyw pokręcił głową.

— Nie, wszystko utknęło w sądach. Hrabstwo było gotowe ekshumować, ale Świątynia wygrała apelację. Wyszli argument, że mają dokumenty dzieciaka. Podpisane i poświadczane notarialnie. Jego testament — bez wątplenia z jego podpisem. Chciał być pochowany przy Świątyni i mieć gwarancję, że jego zwłoki nie zostaną „zbezczeszczone”. Dokładnie tak wyraził się w testamencie. Rodzice złożyli wniosek o unieważnienie testamentu, ale nic z tego nie wyszło.

Zjawił się kelner z rachunkiem i Frank podał mu swoją kartę VISA — ciekaw, czy nie jest zablokowana.

— Czy mógłby mi pan dać nazwiska ludzi ze statku, z którymi pan rozmawiał? — spytał Kramera.

— Z „Crystal Dragona”?

— Właśnie. Może bym z nimi porozmawiał.

Kramer kiwnął głową.

— Chyba mógłbym. Niech mi pan zostawi numer swojego faksu, to prześlę panu notatki, które porobiłem.

— Jak tam jest? — spytał Frank, kiedy zapisał detektywowi swój faks. — W Lake Placid?

— Czy ja wiem? — Kramer pokręcił głową. — Są dobrze zorganizowani i najwyraźniej mają sporo kasy. Ich przywódca jest świrem, ale cóż, w tym przypadku to chyba działa jeszcze lepiej.

Rozstali się na parkingu, Kramer podziękował za kolację i obiecał odezwać się, jeżeli coś zobaczy na swoim „radarze”. Wsiadł do jaguara, ryknął silnikiem, pomachał Frankowi przez ramię, wypłynął z parkingu i włączył się w strumień samochodów.

Frank popatrzył, jak detektyw znika, wsiadł do saaba i zastanowił się nad odbytą właśnie rozmową. Może Kramer mówił prawdę, ale Frank miał wrażenie, że detektyw realizował podczas ich rozmowy określony cel — bagatelizował całą sprawę. Zresztą dlaczego miałby być tym zainteresowany? Jednak większość prywatnych detektywów jest pazerna na popularność — wychodzą z założenia, że im częściej ich nazwisko pojawia się w prasie, tym więcej zdobędą klientów.

Wyjeżdżając z parkingu, żałował tego, co powiedział o swoim śledztwie — zwłaszcza o podejrzeniach, że utonięcia mogły zostać sfingowane. Pożałował tego jeszcze bardziej, kiedy kilka przecznic od restauracji mijał sklep sieci 7-Eleven. Na parkingu pod marketem stał jaguar Kramera, a detektyw stał w budce i z ożywieniem rozmawiał przez telefon.

Frank zwolnił, upewnił się, że to naprawdę Kramer, po czym przyspieszył. Miejmy nadzieję, że nie rozmawia o mnie, pomyślał.

DAYTONA BEACH, STAN FLORYDA

Jak większość mieszkańców Pine Creek, Gene Oberdorfer był emerytem. Przeniósł się na Florydę z Lake Placid przed mniej więcej czterema miesiącami, przysięgając sobie, że nie spędzi już nigdy zimy na lodowatej Północy,

Pine Creek zbudowano wokół pola golfowego, przy każdej z dwóch bram znajdowała się stróżówka, a osiedle tylko pozornie było podobne do wielu innych na Florydzie. Tak naprawdę było wyjątkowe, a odkrywało się to, przejeżdżając elektrycznym wózkiem do golfa między siódmym i ósmym dołkiem. Przy pasach, przecinających w poprzek asfalt niezbyt szerokiej ulicy, stała tablica z napisem:

USTĄP SAMOLOTOWI

Jak wszędzie, także i na Florydzie deweloperzy preferują tereny niezabudowane, oszczędza im to bowiem wydatków na burzenie tego, co mogłoby stać na planowanym placu budowy. Tak więc przez lata ignorowali Pine Creek, mając do dyspozycji mnóstwo dziewiczego terenu wokół. Uważali kompleks betonowych pasów za miejsce, które będzie wymagało dodatkowych wydatków, mnóstwa pracy i użycia ciężkiego sprzętu. W tym jednak, co wszyscy uznawali za minus, deweloper, który zdecydował się budować w Pine Creek, dostrzegł okazję. Nazywając swoje dzieło Lądowiskiem Pine Creek, stworzył port dla właścicieli małych samolotów — ludzi takich jak John Travolta czy Gene Oberdorfer.

Główny hangar maleńkiego lotniska i biegnący obok pas nie były niczym szczególnym — przypominały lotnisko w Lake Placid, na którym Oberdorfer trzymał samolot przed przeprowadzką. Pine Creek czyniła wyjątkowym biegnąca tuż przed domami sieć pasów do kołowania i hangary, które wyglądały jak przerośnięte garaże. Latający właściciele tutejszych domów — tacy jak Oberdorfer — mogli wskakiwać do samolotów z taką łatwością, z jaką wskakiwali do swoich samochodów. W dwie minuty mogli wytoczyć się z podjazdu przed domem na pas do kołowania, pięć minut później mogli być w powietrzu.

Tak więc była to idealna sytuacja dla Oberdorfera, którego misja wymagała zarówno posiadania małego samolotu, jak i prywatnego hangaru.

Wstał jak zwykle o wpół do szóstej, wykonał serię porannych ćwiczeń i medytacji, po czym udał się do klubu golfowego na herbatkę z nowymi przyjaciółmi. Zwykle golf go bawił (choć nie grał zbyt dobrze), dziś jednak nie mógł się skoncentrować. Prognozy nie przewidywały deszczu, ale na horyzoncie zbierały się chmury, co go martwiło.

W zasadzie, pomyślał, wzbijając fontannę ziemi, jeżeli nie zacnie padać, warunki meteorologiczne będą niemal idealne. Temperatura ponad 30°C, wysoka wilgotność, lekki wiatr ze wschodu. Ale nie było to aż takie ważne. Mógł polecieć dziś, mógł polecieć jutro. Wybór dnia zależał od niego — byle tylko były odpowiednie warunki. Mimo wszystko myślenie o misji dekoncentrowało go, a to źle wpływało na jego grę. Zwłaszcza kiedy zbliżał

się do dołków. Jego uderzenia były fatalne, a jeśli chodziło o wbijanie piłki do dołków — strach było się temu przyglądać.

— Cholera... — mruknął, kiedy przy czternastym zagranii piłka wpadła mu w wysoką trawę. — Nie miehbyście nic przeciwko temu, gdybym zrobił mulligana?

To pytanie wywołało okrzyki protestu.

— Mulligan dziś ci nie pomoże, Obie — powiedział niejaki Johnson. — Bardziej potrzebowałbyś gulaszu Mulligana*.

W południe jedli lunch w budynku klubowym — z powodu szczególnie kiepskiej gry, jaką zaprezentował podczas drugiego przejścia pola, Oberdorfer stawiał. O drugiej wrócił do domu. Pogoda utrzymywała się, igła barometru tkwiła w bezruchu. Wiatr nie zmieniał się. O trzeciej Oberdorfer był już w hangarze i po raz dziesiąty sprawdzał sprzęt.

Dzięki temu, że posiadał własny hangar, zainstalowanie sprzętu w samolocie nie przedstawiało żadnego problemu. Urządzenia do oprysków składają się z systemu rurek, zamocowanych wzdłuż krawędzi skrzydeł. Oberdorfer przymocował do nich dodatkowo dwadzieścia tryskaczy, co znacznie zwiększało efektywność urządzenia. Wszystko, czego potrzebował, kupił w Home Depot.

Kanister był spory, mieścił się jednak w fotelu pasażera, zamocowanym za fotelem pilota. Zrobiono go w Szwajcarii, gdzie był używany do zwalczania szkodników na Wyżynie Berneńskiej. Dostarczyła go kwatery główna: zbiornik miał regulowany stopień rozpraszania i wbudowany kompresor. Wystarczyło naładować akumulator, wlać wodę i dodać środek. Po wzniesieniu się w powietrze trzeba było tylko przełączyć klawisz i za ogonem samolotu rozpościerał się wachlarz drobnych kropelek.

Oberdorfer zaczął do wpół do piątej. Jak większość małych lotnisk, Pine Creek nie miało urządzeń do rejestracji startów i lądowań. Do lotów lokalnych nie trzeba było wypełniać planu lotu. Niektórzy chłopcy — zwłaszcza ci, którzy mieli stare, klasyczne samoloty, lubili latać bez sensu po okolicy i robić beczki. Teraz jednak w powietrzu nie było żadnego z nich — przynajmniej Oberdorfer nikogo nie widział. Nie trzeba było też czekać na pasie na start. (W kolejce stało się jedynie w weekendy). Załadował kanister na siedzenie pasażera i rzucił na wierzch kurtkę. Przeszedł listę czynności startowych, po czym odsunął się od samolotu i z uznaniem przyjrzał się swojemu dziełu. Rurki i dysze tryskaczy były ledwie widoczne — nawet z tej odległości.

Rękaw do wskazywania siły wiatru zwiślał bezwładnie, jedynie od czasu do czasu unosił się nieco. Na niebie zobaczył samolot — ale była to maszyna pasażerska, przewożąca pracowników z jakiegoś pobliskiego miejskiego ośrodka.

Z powietrza było widać, że ta część Florydy jest już niemal całkowicie zabudowana. W kierunku Orlando pozostało jeszcze kilka farm, których pola zieleniły się świeżą trawą. Poza tymi farmami oraz kilkoma polami golfowymi i wąskim pasem zieleni wzdłuż strumienia, jak okiem sięgnąć, we wszystkie kierunki rozprzestrzeniały się osiedla i centra handlowe. Bardzo im to odpowiadało — potrzebowali do testu sporej gęstości zaludnienia.

Brzeg oceanu znajdował się jedynie nieco ponad sześć kilometrów od Pine Creek i Oberdorfer w kilka minut znalazł się nad ciągnącymi się wzdłuż brzegu apartamentowcami

** Gra słów: mulligan — dodatkowe „darmowe” uderzenie w golfie, przyznawane czasem w grze towarzyskiej po szczególnie kiepskim uderzeniu. Gulasz Mulligana — rodzaj gulaszu z warzywami (przyp. tłum.).*

i hotelami. Zamierzał „przeciągnąć linię źródłową”, co było technicznym określeniem rozpryskiwania materiału w wąskim, ciągłym pasie — tak, by wiatr poniósł go w kierunku lądu.

Było to w zasadzie jedynie działanie zabezpieczające, nie można było bowiem nie trafić w cel. Dokładnie pod samolotem, po jasnej jak włosy blondynki plaży, pełzały samochody — było ich więcej niż kąpiących się. Miasto ograniczyło godziny, w których wolno było tu jeździć, ale nie zakazało tych jazd całkowicie. Bardzo ułatwiało to Oberdorferowi zadanie. Pół planety zostało zabetonowane, a ci idioci musieli jeździć po plaży!

Złościło go to.

Zmniejszył wysokość, sięgnął za siebie i włączył kompresor Nadchodzimy! — pomyślał i zaczął krążyć nad plażą, słuchając warkotu kompresora, wypychającego przez dysze wzdłuż skrzydeł drobną mgiełkę.

22

Cal Tuttle siedział naprzeciwko Franka, na ścianie nad jego plecami wisiały flagi. Prokurator okręgowy miał ciastowatą twarz, dochodził do pięćdziesiątki i nie był zbyt rozmowny.

Frank spytał, w jaki sposób znaleziono korpus.

— Pies biwakowiczów — odparł Tuttle.

— Czy to znalezisko pana zaskoczyło?

Tuttle przekrzywił głowę i popatrzył na Franka.

— Leżący w lesie korpus kobiety z obciętą głową i rękami? — Po chwili wzruszył ramionami. — Nie, w zasadzie nie.

— Czy kiedy znaleziono ciało, skojarzył je pan ze sprawą Bergmanów?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie było podstaw. — Prokurator klasnął językiem o podniebienie. — Testy DNA trochę trwają. Dopiero wtedy poznamy prawdę.

— Czy mógłby pan podać mi nazwiska biwakowiczów?

— Nie sądzę, by im się to spodobało. Pies nazywał się Taz.

— Dziękuję — mruknął Frank. — Współpracuje pan w tej sprawie z hrabstwem Dutchess?

— Jeśli pan tak twierdzi...

— Gdybyście nie współpracowali, być może warte by to było wzmianki w gazecie — stwierdził Frank, którego cała ta sytuacja zaczynała już irytować.

Tuttle uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony, że udało mu się rozzłościć rozmówcę.

— Ktoś mi powiedział, że Harry Bergman jest podejrzewany o spowodowanie śmierci żony — oświadczył Frank, obserwując, jak Tuttle zareaguje. — To prawda?

Pelen zdziwienia uśmiech.

— To nowatorski pomysł.

— Naprawdę?

— Tak. Pierwszy raz o tym słyszę.

Frank zmarszczył czoło. Albo ten facet był znakomitym aktorem, albo mówił prawdę.

— Może mój informator wcale nie był tak dobrze poinformowany — powiedział.

— To możliwe.

Frank postanowił zmienić podejście.

— A co ze Świątynią?

— Co ma z nią być?

— Nie wiem. Jacy ci ludzie są?

Tuttle wzruszył ramionami.

— Trzymają się razem. Nie widzimy ich zbyt często.

Frank westchnął. Od niemal pół godziny próbował rozmawiać z tym człowiekiem i poczuł, że jest już tym zmęczony. Odłożył długopis i spytał, czy Tuttle mógłby mu wskazać drogę do kwatery głównej sekty.

Prokurator narysował mapkę na kartce i pchnął ją do Franka.

— Prawdopodobnie pana nie wpuszczą — uprzedził, podając gościowi rękę na pożegnanie.

— Dlaczego?

Tuttle wzruszył ramionami.

— Są dość powściągliwi w kontaktach z obcymi.

Prokurator miał rację — nie chcieli go wpuścić dalej niż do Centrum dla Odwiedzających.

Przed właściwym terenem posiadłości stał mały domek ze spadzistym dachem, w którym mydlono ludziom oczy. Kilkaset metrów dalej była kuta, ciężka brama i wartownia. Brama wyglądała na zamkniętą, więc Frank zatrzymał się przy białym domku, uniósł kołatkę w kształcie ananasa i puścił ją. Raz. Dragi. Jeszcze raz.

Po chwili pojawiła się uśmiechnięta młoda kobieta i zaprosiła go do środka. Pokazała legitymację prasową.

— Miałem nadzieję obejrzeć teren posiadłości, ale brama jest zamknięta.

Kobieta zaczęła przeproszać i wyjaśniać, że tak jest zawsze — nikt, kto nie jest z góry umówiony, nie może wejść na teren.

— Do kogo mam zadzwonić, by się umówić? — spytał Frank.

— Obawiam się, że musi pan napisać.

— Nie ma nikogo, do kogo mógłbym zadzwonić?

— Chyba nie.

— A on? — Frank skinął głową w kierunku wiszącej na ścianie fotografii. Ukazywała mężczyznę po trzydziestce, stojącego na szczycie góry i uśmiechającego się do aparatu. Za nim i pod nim rozpościerał się świat.

— To Solange — powiedziała kobieta. — Nie sędzę, by mógł znaleźć dla pana czas. Jednak ponieważ jest pan z prasy, może pan napisać do Biura Spraw Publicznych, choć dziś pewnie nikogo tam nie ma. Chyba wszyscy pojechali na prezentacje do Buffalo.

— Ale...

— Mamy stronę internetową — może im pan wysłać e-maila. Wystarczy wejść na naszą stronę główną i kliknąć „sprawy publiczne”. — Podała mu broszurę, wydrukowaną na sztywnej, szarej tekturze. — Tutaj jest wszystko. Adres pocztowy i e-mailowy.

Podziękował.

— Jeżeli chciałby się pan rozejrzeć, Centrum ma trzy działy: Inspiracja, Informacja i Zakupy. Musi się pan jednak pospieszyć — dodała przepraszającym tonem — zamykamy za pół godziny.

Frank obiecał, że się pospieszy.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, kiedy wszedł do pomieszczenia „inspiracji”, był zapach kadzidła i płonących świec. Potem ujrzał znakomitą czarno-białą fotografię, zajmującą całą ścianę naprzeciwko wejścia.

Przedstawiała mężczyznę. Był nim Solange — siedł po plaży, dokładnie wzdłuż linii stykania się piasku z piaskiem, z podwiniętymi nogawkami, obok biegł pies. Niebo promieniowało światłem, w górze krążyły mewy, a transparent unoszący się nad przywódcą sekty głosił wykaligrafowanymi literami: CHODŹ ZA MNĄ. PÓJDŹMY DO ŚWIATŁA.

Kiedy Frank podszedł bliżej, usłyszał muzykę. Chłopięcy chór śpiewał coś — jakąś ekstatyczną, poruszającą pieśń — w języku, którego Frank nie znał. Mógł to być rumuński, bułgarski, coś w tym rodzaju. Czyste głosy przenikały przestrzeń i sprawiały, że powietrze zdawało się drgać. Jaki wspaniały mają system nagłaśniający, pomyślał Frank.

Na ścianach, pokrytych miękką, szarą tkaniną, pozawieszano mniejsze zdjęcia — o wielkości standardowych plakatów. Tak jak duże zdjęcie, przedstawiające przywódcę sekty, były oprawione i podświetlone. Każde przedstawiało coś innego. Pokrytą kroplami rosy pajęczynę. Sosnowy las, poprzecinany skośnymi pasami światła. Dzieci, idące ku zachodowi słońca.

Zdjęcia łączył jeden element: światło, wspaniale uchwycone światło. Frank przechodził od zdjęcia do zdjęcia i powoli zbliżał się do wodospadu muzyki. Czuł się... wspaniale. Właściwie należałoby powiedzieć, że ogarnął go podniosły nastrój.

Niektóre zdjęcia — te, na których był Solange — zaopatrzone w urządzenie audio. Frank wziął jedno ze słuchawek i wcisnął klawisz.

Patrzył na Solange’a, stojącego na polu pszenicy. Padające od tyłu światło sprawiało, że postać wyglądała, jakby otaczała ją aureola. Pszenica też była oświetlona w specjalny sposób — odbłaski od szczytów kłosów tworzyły gwiazdki światła. Kiedy Frank wcisnął klawisz, odniósł wrażenie, że źdźbła pszenicy zaczęły się pochylać i falować, jakby poruszał nimi wiatr. Gdy przyjrzał się dokładniej zdjęciu, stwierdził, że co prawda obraz jest nieruchomy, ale jakieś urządzenie z tyłu sprawia, że światło skrzy się i migocze. Wrażenie ruchu wzmacniał puszcany z taśmy szum wiatru, sunącego przez zboże. Odezwał się też głos — jeździec wiatru:

Bóg rzekł: „Niechaj ziemia wyda rośliny zielone, trawy dające nasiona, drzewa owocowe rodzące na ziemi według swego gatunku owoce, w których są nasiona”. I stało się tak. Ziemia wydała rośliny zielone: trawę dającą nasienie według swego gatunku i drzewa

rodzące owoce, w których było nasienie według ich gatunków. A Bóg widział, że były dobre. I tak upłynął wieczór i poranek — dzień trzeci *.

Frank minął kilka następnych zdjęć, zatrzymał się przy kolejnym stanowisku ze słuchawkami i wziął je do ręki. Patrzył teraz na scenę z ogniskiem — Solange stał niedaleko buchających płomieni, niebo skrzyło się od gwiazd. Tym razem w słuchawkach słychać było trzask ognia i — podobnie jak na zdjęciu z polem pszenicy — pomarańczowe jęzory zdawały się poruszać i migotać. Tak samo żyły gwiazdy, które po włączeniu się głosu najwyraźniej pojaśniały.

Bóg uczynił dwa duże ciała jaśniejące: większe, aby rządziło dniem, i mniejsze, aby rządziło nocą... **.

Księga Rodzaju, pomyślał Frank. Szybko obszedł pomieszczenie, by się upewnić, i rzeczywiście — poszczególne obrazy miały przedstawiać Stworzenie. Z Solange'em w roli głównej.

Wszedł do „zakupów”. Wyglądało na to, że sprzedaje się tu witaminy, suplementy żywnościowe, mydła, olejki do aromaterapii, świece i inne tego typu produkty. Cała ściana była poświęcona inspirującym książkom i kasetom magnetofonowym. Z głośników dolatywała muzyka klasyczna, chyba *Kanon* Pachelbela. Brunetka, która wpuszczała go do środka, stała teraz za ladą i pakowała zakupy kobiety w średnim wieku z warkoczem.

— Zamierza pan coś kupić? — zawołała brunetka do Franka. — Musimy zamykać za mniej więcej... — popatrzyła na zegarek — ...o rany, dwie minuty!

Pokręcił głową i przeszedł szybko do sali informacyjnej. Miał tylko tyle czasu, by się rozejrzeć i wyrobić sobie ogólne wrażenie. Było tu mnóstwo wykresów, plansz i map oraz kilkanaście par słuchawek, przymocowanych do drewnianej lady. Jedna z plansz ukazywała mapę USA z migającymi w różnych miejscach diodami. Na ustawionym centralnie stole, nad którym wisiał wielki transparent z napisem OCIEPLENIE, stał ogromny globus, w który wetknięto termometr. Z sufitu zwisał „zegar populacyjny” w kształcie bomby. Głośno tykał, a cyferki zmieniały się na nim szybciej, niż wzrok był w stanie je zarejestrować. Na jednej ze ścian palił się brazylijski las deszczowy. Na przeciwległej ścianie widać było resztki lasu iglastego — pnie obcięto dwa centymetry nad ziemią.

— Zamykamy — powiedziała brunetka przyjacielskim tonem. — Może pan przyjść jutro. Otwieramy o dziewiątej.

Dała mu plastikową torebkę z „kilkoma darmowymi próbkami”.

— Niech pan wypróbuje żel pod prysznic z mango i lawendą — poradziła, odprowadzając go do drzwi. — Jest wspaniały.

Wychodząc, wziął jeszcze kilka broszur.

Miał nadzieję pojechać prosto do Waszyngtonu, ale o dziewiątej na Jersey Turnpike stwierdził, że łapie go sen. Obudził go klakson jakiejś furgonetki i postanowił poszukać motelu.

Znalazł go kilka kilometrów na południe od Cherry Hill. Było to miejsce w stylu Normana Batesa***, z barem oddzielonym od holu. Wchodziło się do niego przez coś w rodzaju chaty krytej strzechą, oflankowanej transparentami, które wrzeszczały:

* *Księga Rodzaju, 1, 10—13 (Biblia Tysiąclecia).*

** *Op. cit. 1, 16 (przyp. tłum.).*

*** *Norman Bates — właściciel pensjonatu, w którym rozgrywa się akcja Psychozy Alfreda Hitchcocka (przyp. tłum.).*

VINNIE & THE GEE-GNOMES! TYLKO W LEAKY TIKP.

Pokój Franka wyglądał jak zardzewiały: miał pomarańczowe ściany i takiego samego koloru zasłony w oknach, kapę na łóżku oraz dywan. Tuż przy łóżku ktoś wybił pięścią dziurę w ścianie działowej. Miejsce należało do tych, gdzie wstawia się krzesło pod klamkę. Frank tak właśnie zrobił i poszedł wziąć prysznic.

Żel z mango był znakomity.

Po prysznicu ubrał się, wyjął laptopa i napisał kilka krótkich notatek o rozmowach z Kramerem i Tuttle'em oraz o półgodzinie spędzonej w Centrum dla Odwiedzających. Kiedy jednak przeczytał swoje zapiski, doszedł do wniosku, że wyprawa do siedziby sekty nic mu nie dała.

Jeśli wierzyć Kramerowi, szukał wiatru w polu. Dlaczego miałby mu nie wierzyć? Detektyw był bliżej całej sprawy niż ktokolwiek inny. Znał Bergmanów, znał problemy, jakie mieli z synem — i rozmawiał z członkami załogi statku. Według niego nie było się do czego przyczepić. Jego klienci byli nie mniej szurnięci od ludzi z sekty — a może nawet bardziej.

Ale Tuttle, zapytany o to, czy Harry Bergman jest podejrzany w związku z zaginięciem żony, wyglądał na zaskoczonego. Jak on się wyraził? „To nowatorski pomysł”. A według Kramera był to „ważny trop”. Czy należało mu wierzyć? Dlaczego jednak miałby kłamać?

Do niczego to nie prowadziło. Frank znów znalazł się w punkcie wyjścia. Tkwił w tanim motelu, wydał mnóstwo pieniędzy i nie miał żadnego konkretnego materiału. Równie dobrze mógłby siedzieć w „Czernomorskiej”.

Wpisal do laptopa hasła: ŚWIĄTYNIA ŚWIATŁA — CENTRUM DLA ODWIEDZAJĄCYCH, po czym z broszury przepisał dane sekty: adres, faks, telefon, stronę internetową, e-mail. Czy warto było zapisywać coś jeszcze poza tym, że najwyraźniej mieli masę szmalu, „statek flagowy”, helikopter i „posiadłość”? Chyba nie.

Skąd mieli pieniądze? Żel pod prysznic był znakomity, ale ile kasy dało się w ten sposób natłuc? Nie wyglądało na to, że sprzedają swoje produkty w hipermarketach.

Ciekawe, jak wygląda ich strona internetowa, pomyślał. Podłączył laptopa do telefonu i do Matrixa (no, przynajmniej do AOLa), myśląc o sobie: Frank Daly, Cybernetyczny Detektyw.

Po trzydziestu sekundach pojawiła się strona internetowa Świątyni — ukazywała Ziemię, sfotografowaną z kosmosu. Zamiast przypadkowych zawirowań chmur, tworzących znany każdemu „błękitny marmur”, autor tego obrazu rozmieścił chmury tak, że tworzyły obraz tańczącego konia, wściekle błyskającego okiem. Nad nim zapalał się i gasł napis ŚWIĄTYNIA ŚWIATŁA — wciąż zmieniając kolor. Pod bannerem znajdował się szereg kratek, w których były ikony. Frank kliknął na pierwszą z lewej i pojawił się obraz Solange'a biegnącego z psem po plaży. To samo zdjęcie, które wisiało na ścianie w Centrum dla Odwiedzających.

Nie było zbyt wiele informacji o samej sekcji. Z tekstu wynikało, że Luc Solange jest „guru ruchu ekologicznego” i „ucieleśnieniem bezkompromisowej walki o środowisko”. Świątynia deklarowała, że jej misją jest „przywrócenie harmonii między Matką Ziemią a Człowieczym Dzieckiem”. Solange często wykladał w należących do Świątyni „ośrodkach zdrowia” w Big Sur, Taos i Cabo San Lucas oraz innych „miejscach krzyżowania się duchowej konwergencji”. Można było wyświetlić mapę miejsc, w których odbywały się wykłady, oraz uzyskać informacje o „ośrodkach zdrowia”.

Następne strony dotyczyły takich tematów jak *Środowisko-gedon* (co chyba oznaczało: „Armagedon środowiskowy”) oraz Apokalipsa odkodowana, czyli interpretacja Siedmiu Pieczęci autorstwa Solange’a. Frank zajrzał do niej i stwierdził, że jest to hermetyczna, naszpikowana odnośnikami praca, pełna odwołań do numerologii, kabały i innych nauk tajemnych. Przeszedł do kolejnej strony — *Smoczych opowieści* — na której zaczął się powoli materializować profil wielkiego statku, pływającego przez spienione morze. Kliknął na statek, pojawiła się jednak informacja o błędzie 404, co oznaczało, że nie można znaleźć właściwej strony. Wrócił do poprzedniej.

Księga dni ukazywała uśmiechniętych członków Świątyni — przy pracy, przy zabawie, na łonie rodziny. Na kolejnych stronach zamieszczono formularze zamówień na wytwarzane przez Świątynię produkty linii Eeo-Vita (olejki aromaterapeutyczne oraz suplementy żywieniowe) i jej publikacje. Na końcu podawano adresy stron internetowych, na których był tekst Ziemia Najpierw i odezwa PETA * oraz *List od Luke’a*, w którym zapraszano do wstąpienia do Świątyni, by wzmocnić walkę o ratowanie planety.

Frank spojrział na zegarek i rozłączył się. Było wpół do jedenastej, a chciał jeszcze zadzwonić do Annie.

— Hej... — przywitała go, wyraźnie ucieszona, że zadzwonił. — Gdzie jesteś?

— W Jersey. Mój pokój jest pomarańczowy. Czuję się, jakbym siedział w środku dyni. Roześmiała się i zrewanżowała dowcipem o Kopciuszku, po czym spytała:

— Jak poszło?

Opowiedział o Kramerze i Centrum dla Odwiedzających, a potem dodał, że właśnie się wylogował ze strony internetowej Świątyni.

— Może powinnaś ją obejrzeć. Jest dość interesująca... jeśli lubisz tego typu rzeczy.

— Sprawdzę. Do wyboru mam tylko iść spać.

Porozmawiali jeszcze przez kilka minut — o niczym ważnym. Odłożywszy słuchawkę, Frank również stwierdził, że ma do wyboru iść spać albo zobaczyć występ Gee-gnomes.

Kiedy zadzwonił telefon, było już dobrze po północy, niemal dochodziła pierwsza. Terkot wyrwał go z najgłębszego snu.

— Taaa... eee...

— Frank, tu Annie!

— Holloo... — wymamrotał i zapalił światło.

— Obudź się!

— Nie śpię... — powiedział i rozejrzał się po pokoju. — Spałem, ale teraz już nie.

Dlaczego nie śpię?

— Musisz jechać do domu.

— Oczywiście. Zaraz pojedę. Będę w domu rano. To znaczy po południu. Koło drugiej.

— Nie! Masz wracać teraz. Natychmiast!
Było w jej głosie coś dziwnego — strach i podniecenie.

** PETA (People for the Ethical Treatment of Animals) — Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt (przyp. tłum.).*

— Nic ci nie jest? — spytał, odrzucając kołdrę i spuszczaając nogi na podłogę.

— Nie. Wszystko w porządku. Zajrzałam na stronę internetową...

— Jaka stronę internetową?

— Świątyni.

— Aha.

— To oni! To Świątynia!

— Oczywiście, że to oni. W końcu to ich strona. O czym ty właściwie mówisz?

— Jesteś geniuszem! Miałaś rację. To Świątynia zabrała ciała!

— Jest tak napisane na ich stronie internetowej?

— Nie! To znaczy tak... w pewnym sensie. Koń na ich stronie!

— Jaki koń?

— Biały koń z szalonym spojrzeniem. To część ich logo.

— Masz na myśli tego na tle Ziemi? Tego z chmurami itepe?

— Tak!

Zastanowił się.

— No i co? To tylko koń.

— To ten sam koń!

— Jak który?

— Jak koń w Kopervik. Na ścianie kościoła namalowano wielkiego konia — graffiti.

Przestraszył nas. To ich podpis! Ukradli ciała i podpisali się na kościele. Jak: BYŁ TU ZENEK! — Zamilkła na chwilę. — Frank?

— Co?

— Dlaczego religijna grupa chciałaby mieć tego wirusa? To znaczy...

— Nie mam pojęcia.

— Ale musimy komuś o tym powiedzieć, prawda?

— Jasne. Oczywiście.

— Komu?

Przez chwilę się zastanawiał, ale wybór był raczej skąpy.

— Gleasonowi — powiedział w końcu. — Musimy o tym powiedzieć pieprzonemu Gleasonowi.

Wymeldował się z motelu i natychmiast ruszył do Waszyngtonu, gdzie dotarł nieco po czwartej rano. Jakimś cudem znalazł wolne miejsce do parkowania kawałeczek od swojego mieszkania.

Wszedł do środka i stanął, nie bardzo wiedząc, co ma dalej robić. Obiecał Annie, że z samego rana — o siódmej — wpadnie do niej i pojedą do FBI. Oznaczało to, że będzie mógł się jeszcze dwie godziny przespać.

W zaułku za domem śmieciarze hałaśliwie stukali pojemnikami. Mogło mu to przeszkodzić usnąć, postanowił więc zamiast tego wziąć prysznic. Potem wydrukuje notatki, poukłada w logiczny ciąg zdjęcia satelitarne i napije się kawy.

Pięć minut później stał pod prysznicem i pozwalał gorącej wodzie, by łaskotała mu kark. Wtedy do niego dotarło, że coś jest nie tak.

Dziś nie jest dzień śmieciarzy. Przyjeżdżają w czwartek, a dziś i jest wtorek. Poza tym wprawdzie przyjeżdżali wcześniej, ale nie tak wcześniej. Popatrzył na zegarek: było wpół do piątej.

Postał jeszcze chwilę, zastanawiając się nad tym, po czym zakręcił wodę. Wyszedł z kabiny, owinał biodra ręcznikiem i poszedł do kuchni — z jej okna widać było zaułek.

Ujrzał dwóch mężczyzn, wrzucających worki ze śmieciami na tył ciężarówki U-Haula. Miasto nigdy nie używało furgonetek. Choć władze dystryktu cierpiały na zapaść, do czegoś takiego by się nie posunięto. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Frank przyjrzał się mężczyznom.

Wyciągali worki ze śmietnika, obsługującego jego budynek, i wrzucali je na tył samochodu. Śmietniki po drugiej stronie zaułka były nietknięte, tak samo te, które stały dalej. Ciekawe, czego szukają, zastanawiał się Frank, po czym pojawił mu się przed oczami obraz Kramera pod 7-Eleven, rozmawiającego przez telefon.

Kradną moje śmieci, pomyślał. Nie. Niemożliwe. A jednak... pozostałe mieszkania w budynku zajmowali Charlotte Seltzer, nauczycielka z District of Columbia, i Carlos Rubini, który pracował w HUD*. Żadne z nich nie wydawało się prawdopodobnym celem złodziei śmieci, choć...

Otworzył okno i wychylił się.

— Hej, wy tam! Co tam robicie?!

Mężczyźni zamarli, po czym powoli podnieśli głowy. Jeden z nich powiedział coś do drugiego, a potem obaj podeszli spokojnie do samochodu, wrzucili do niego worki, które trzymali w rękach, i opuścili klapę. Kiedy się zatrzasnęła, przeszli na przód samochodu, wsiedli do szoferki i odjechali.

Frank rzucił okiem na tablicę rejestracyjną, ciężarówka była jednak zbyt daleko, by mógł cokolwiek odczytać. Po chwili zniknęła.

Zaczął się zastanawiać, co mogło być w jego śmieciach. Skórki pomarańczy i zużyte chusteczki higieniczne, szkice artykułów, transkrypty wywiadów, puste kartony po mleku i spleśniały chleb, listy rzeczy do zrobienia i formularze podatkowe... Jezu, naprawdę powinien sprawić sobie niszczarkę.

Biuro Neala Gleasona znajdowało się w miejscu znanym pod nazwą Buzzard Point. Odkąd Frank mieszkał w mieście, mówiło się o tej okolicy, że wkrótce czeka ją cudowne odrodzenie. Bliskość rzeki i Kapitolu sprawiały, że nietrudno byłoby zrobić z niej coś podobnego do Inner Harbor w Baltimore: promenada wzdłuż wody, zaraz za nią front wystaw, dalej z tyłu apartamenty, hotele, restauracje, ekskluzywne sklepy.

Jednak mimo licznych projektów architektonicznych i ciągłego gadania na ten temat, w Buzzard Point nic się nie zmieniało. Jezdnie nadal były pełne dziur i tak często je łątano, że wyglądały jak robione ręcznie. Między paskudnymi betonowymi biurorcami i niechlujnymi

** HUD (Department of Housing and Urban Development) — Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, jednostka rządowa (przyp. tłum.).*

pustymi działkami znajdowało się kilkanaście punktów usługowych i handlowych. Wszystkie przypominały trochę elementy barykad, co wynikało — jak twierdzili ich właściciele — „z rodzaju miejsca”.

Były to rodzinne sklepiki spożywcze ze spuszczanymi na noc kratami, sklepy z alkoholem, w których sprzedawcy stali za szybami z pancernego szkła, punkty wymiany czeków na gotówkę, przypominające bunkry salony fryzjerskie i sklepy z aparatami słuchowymi. Po stacji benzynowej kręciły się dzieciaki, za parę centów gotowe wymyć szybę albo pomóc w nalaniu benzyny.

Frank nie bardzo miał ochotę parkować na ulicy, nie było jednak innego wyjścia. Przyjeżdżało tu zbyt mało ludzi, by opłacało się robić strzeżony parking.

Budynek, pod który podjechali, był pochodzącym z lat pięćdziesiątych, prostokątem, różniącym się od sąsiednich jedynie innym, choć równie banalnym, układem zbyt małych okien. W środku nie było lepiej — podłogi korytarzy wyłożono niebieską przemysłową wykładziną, a ściany i sufity płytkami dźwiękochłonnymi, które zaczynały się już strzępić i odrywać. Wejścia chronił uzbrojony i umundurowany duet. Jeden ze strażników stał przy drzwiach, drugi siedział za kontuarem z udającego drewno plastiku, przy którym umieszczono kołowrotek do kontroli przepływu ludzi. Zanim otrzymało się pozwolenie na podejście do szeregu wind, należało, minąć pierwszego strażnika i spędzić nieco czasu przy drugim.

Funkcjonariusz za kontuarem zadzwonił do biura Gleasona, kazał im się wpisać do księgi, zajrzał Annie do torebki i Frankowi do aktówki oraz do tuby ze zdjęciami satelitarnymi. Potem starannie wykaligrafował ich nazwiska i napisał, do kogo się udają, na prostokątach żółtego kartonu, wsunął je w plastikowe koszulki i kazał obojgu przypiąć sobie do ubrania. Z jednej z wind wysiadła korpulentna kobieta, pozwolono im przejść przez kołowrotek i zostali zaprowadzeni przez kobietę na górę. Kazała im zaczekać w pomieszczeniu, w którym stało kilka fotelików, wyłożonych brzoskwiniowym skajem. Ściany zdobiły oprawione w ramki reprodukcje, przedstawiające kwiaty w pastelowej tonacji.

Nie czekali długo. Po chwili zjawił się Gleason i bez słowa dał znak, by szli za nim do jego gabinetu. Agent był tylko w koszuli i kiedy siadał za biurkiem, widać było pistolet w kaburze pod pachą. Miał blade, jasnobłękitne oczy. Niemowlęco błękitne. Frank uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział go bez okularów przeciwsłonecznych.

— No więc? Chciał pan ze mną rozmawiać. Proszę mówić.

— Wiem, dlaczego był pan w Hammerfest — powiedział Frank i zaczął wyciągać z tuby zdjęcia satelitarne.

— Hmm... — mruknął Gleason. — Pomoce wizualne. Przykro mi, ale nie mam czasu na wykłady z pokazami. Może więc pozostaniemy przy rozmowie i skróćmy ją, jak tylko się da, dobrze?

Frank już zapomniał, jakim kutasem potrafił być Gleason.

— Chciałem tylko, żeby pan uwierzył, że doktor Adair o niczym mi nie mówiła — oświadczył. — Dowiedziałem się o ciałach z innych źródeł.

Gleason kiwnął głową, po czym zatoczył kółeczko prawą dłonią, dając do zrozumienia, żeby Frank się pospieszył. Frank szybko przedstawił całą sprawę, kończąc tym, że zdaniem

Annie koń namalowany na ścianie kościoła w Kopervik jest identyczny z koniem z logo na stronie internetowej Świątyni.

Gleason zaczął klaskać powolnymi, teatralnymi mchami.

— Fas...cy...nu...ją...ce.

Annie popatrzyła na niego ze zdziwieniem,

— Nie wygląda pan na zafascynowanego.

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę, nie rozumiem, dlaczego uważacie, że mógłbym się tym zainteresować. Ustalmy coś; Biuro nie zajmuje się grobami w Norwegii. A nawet gdybyśmy mieli prawo się nimi zajmować, nie prowadzimy śledztw dotyczących ugrupowań religijnych.

— Ale... — wtrąciła Annie. — Był pan tam. To pan...

— Doktor Adair chce chyba powiedzieć, że wiemy, iż Biuro zajmuje się tą sprawą, i sądziliśmy, że chciałby pan...

— A ja chcę powiedzieć doktor Adair, że rozmowy na ten temat stanowią złamanie przysięgi o zachowaniu tajemnicy w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa narodowego, którą podpisała, i mogę ją z tego powodu postawić w stan oskarżenia,

— Słucham? — Annie była oburzona. Jej policzki płonęły. — Nic panu Daly'emu nie powiedziałam, jakie to jednak ma teraz znaczenie? Nie rozumie pan? Ta grupa ukradła ciała, Jest obecnie w posiadaniu wirusa i...

Głos Gleasona stwardniał:

— To nie pani problem, doktor Adair. A jeśli chodzi o pana, panie Daly, najlepiej dla pana będzie, jeśli zostawi pan tę sprawę w spokoju. Albo oboje skończycie w pierdłu.

— Chyba pan o czymś zapomniał, Neal. Ja niczego nie podpisywałem.

— Nie musiałeś niczego podpisywać, cwaniaczku. Mamy w tym kraju prawa, w tym także prawa karzące zdradę stanu.

Było to jedynie napinanie mięśni. Gleason nie mógł tego mówić poważnie — zdrada stanu nie wchodziła w rachubę,

Mogli sobie jednak nawzajem trochę pogrozić.

Frank uniósł brwi.

— Zdrada stanu? Może sprawa jest poważniejsza, niż sądziłem. Nie wiedziałem, że jesteśmy w stanie wojny. A może po prostu pan się przejęczył? Jeśli tak, to przyjrzymy się Pierwszej Poprawce, dobrze? Wygląda mi na to... Neal... że „odgórne ograniczenie” nie ma tu zastosowania. Przyjrzyjmy się na przykład Dokumentom Pentagońskim...

Gleason wstał.

— Dziękuję za pomoc — wycedził i skinął głową w kierunku drzwi. — Rozmowa zakończona.

— Sekundę! — zawołała Annie. — Nie rozumiem. To jest kompletnie...

— Powiedziałem: rozmowa zakończona.

Annie wstała. Była czerwona jak burak. Frank schował papiery do aktówki i zamknął tubę ze zdjęciami. Wstał, ujął Annie pod ramię i wyszli.

Przerwali milczenie dopiero na ulicy.

— Mogą coś takiego zrobić? — spytała Annie. — Co to ma znaczyć?

Frank popatrzył w niebo. Było zachmurzone, chmury szybko przemykały nad ich głowami. Rzeka wyglądała jak taśma szarego metalu.

— Oznacza to, że zajmują się tą sprawą i nie chcą, żebyśmy się wtrącali.

— To świetnie, prawda? To, że pracują nad sprawą?

Frank wzruszył ramionami.

— Nie czuję się uspokojony.

— Jak to nie?! Przecież to FBI! Znają się na tym, co robią!

— Nie sądzę, by Richard Jewell* się z tobą zgodził.

Zmarszczyła czoło.

— Kto?

— Ochroniarz z Atlanty. Z Igrzysk Olimpijskich.

— O! Jasne, ale...

— Tak zależało im na znalezieniu kozła ofiarnego i uspokojeniu opinii publicznej, że zniszczyli gościa. Nie wspominając już o tym, że zmarnowali szansę szybkiego znalezienia prawdziwego sprawcy.

— Ale...

— Sądzisz, że znaleźliby Unabombera, gdyby nie wsypał go rodzina?

Na chodnik spadła ciężka kropla deszczu. Potem jeszcze jedna i jeszcze jedna.

— Myślałam, że pan Gleason chętnie się dowie, co wiemy.

— Nie nazywaj go „panem Gleasonem” — burknął Frank.

— A jak mam go nazywać?

Frank pokręcił głową.

— Chyba nie jestem najwłaściwszą osobą, którą należałoby o to zapytać.

Annie uśmiechnęła się.

— Rozumiem.

24

Sterna wymyśliła Annie.

Był absolwentem wydziału stadiów religijnych w Georgetown i pisał doktorat na temat nowych religii (albo tego, co się za nowe religie uważało). Kiedyś raz albo dwa gdzieś razem wyszli („tylko na kawę albo do kina”, jak twierdziła Annie), a potem nie widzieli się przez dwa lata. Kilka tygodni temu natknęła się na niego w „Starbucks” na Connecticut Avenue, naprzeciwko Uptown Bakery. W dalszym ciągu pracował nad doktoratem i „mniej więcej kwartalnie” publikował biuletyn o nazwie „Obserwator Armagedonu”. Dotyczył on nowych sekt i religii, prania mózgu i przełomu tysiącleci. „Jestem specem od świrów” — zażartował. Miała ochotę zrewanżować mu się żartem na temat swojej specjalności, czyli zarazków, jednak w tym momencie doszła do lady i nie wiedziała, czy chce cappuccino, czy kawę z mlekiem, i wtedy Stern... poszedł sobie.

— Myślę, że powinien sporo wiedzieć o Świątyni — powiedziała Annie. — To dokładnie jego krąg zainteresowań.

Frank uznał, że skontaktowanie się z nim to dobry pomysł.

** Richard Jewell był podejrzewany przez FBI o podłożenie bomby, która wybuchła podczas Igrzysk Olimpijskich w Atlancie w 1996 roku, ale został oczyszczony z zarzutów (przyp. tłum.).*

Znaleźli jego numer w książce telefonicznej. Mieszkał daleko od Georgetown — przy Reservoir Road. Annie zadzwoniła i Stern zaprosił ją do siebie.

— Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli przyprowadzę przyjaciela? Pracujemy nad czymś razem.

Nie, nie miał nic przeciwko temu.

Okazał się doskonałym gospodarzem. Przyjął ich w drzwiach swojego obskurnego, wynajętego mieszkania, po czym zrobił dzbanek herbaty i cierpliwie odpowiadał na pytania Franka o książki, których w mieszkaniu było mnóstwo. Leżały w stertach — wielkich i małych — zajmowały każdą poziomą płaszczyznę. Były na podłodze, na stołach, na parapetach okiennych, na kaloryferach — wszędzie z wyjątkiem regałów (wszystkie półki były puste).

Był starszy, niż Frank myślał — nie był dzieciakiem, ale mężczyzną tuż przed trzydziestką. Miał wodniste, błękitne oczy i przerzedzające się włosy — zbyt długie do niektórych fryzur, a zbyt krótkie do innych. Był ubrany w kowbojki, dzinsy i wielką flanelową koszulę i często się uśmiechał.

Frank i Annie siedzieli na skraju podniszczonej kanapy z jaskrawozieloną narzutą i popijali herbatę. W rogu pokoju stał skomplikowany zestaw głośników firmy Bose, z których dolatywały hymny chwalcące Jezusa, śpiewane przez Five Blind Boys of Alabama.

— Ben jest wspaniały — zaczęła Annie, by trochę pocukrzyć gospodarzowi. — Jego praca jest fantastyczna.

Stern zachichotał.

— „Fantastyczna” to dobre określenie. Ma sześćset stron i ani kroku bliżej końca niż trzy lata temu, kiedy ją zaczynałem.

Frank jęknął współczująco.

— Znam ten ból. Zdarzało mi się pracować kilka miesięcy nad jednym artykułem.

— Problem polega na tym, że im więcej się wie, tym bardziej wszystko robi się skomplikowane, więc koniec coraz bardziej się oddala. To coś w rodzaju paradoksu Zenona*. Tyle że nie chodzi o matematykę, a o prozę.

— Annie mówiła, że pisze pan o sektach.

Stern pokręcił powoli głową.

— Chyba tak. Sekty, kultury, nowe religie — to, jak się ich nazywa, zależy od poglądów.

— Jaka jest teza pańskiej pracy?

Doktorant wzruszył ramionami.

— Im więcej rzeczy się zmienia, tym więcej pozostaje bez zmian.

— Hmm...

Stern uśmiechnął się i wyjaśnił:

— To praca porównawcza: taborycy i Zjednoczona Ludzkość.

— Nigdy o nich nie słyszałem.

** Słynny paradoks o Achillesie i żółwiu, w którym Zenon z Elei wykazuje, że jeżeli Achilles wystartuje do biegu razem z żółwiem, to choć biega szybciej, nigdy go nie przegoni, może się jedynie do niego zbliżyć (przyp. tłum.).*

— Cóż... są jak jabłka i pomarańcze. Bardzo się różnią, ale jednocześnie są bardzo podobni. Taborycy to piętnastowieczna sekta religijna z Czech. Wypowiedzieli wojnę klerowi i głosili coś w rodzaju proaktywnego millenaryzmu.

— Co to jest? — spytała Annie. — Skąd...

— Uważali, że ich zadaniem jest wejście w nowe tysiąclecie, a nie czekanie, aż samo nastąpi.

— Jak mieli zamiar tego dokonać? — spytał Frank.

— Oczyszczając świat z grzechu. Próbowali to robić, wykorzystując każde narzędzie, jakie mieli pod ręką: sztylety, piki, katapulty, łuki. Całe szczęście, że nie mieli bomb.

— Więc krążyli po świecie i zabijali ludzi?

Brwi Sterna pomknęły ku górze. Wyjął z kieszonki koszuli paczkę cameli, przypalił papierosa benzynową zapalniczką i zaciągnął się głęboko.

— Zabijali grzeszników. Ich zadaniem, ich religijnym obowiązkiem było likwidowanie wszystkich, którzy nie należeli do ich ruchu. Właśnie w ten sposób rozpoznaje się grzeszników: nie należą do nas. Dlatego trzeba ich zabić, by oczyścić ziemię.

— Jezu... — jęknął Frank.

— Tak było.

Stern zmarszczył groźnie czoło, pochylił się nad okrętową skrzynią, która służyła za stolik do kawy, i złapał Annie za nadgarstek. Przepętnionym złością, zmienionym przez absurdalność brzmiały, pseudoczeski akcent głosem wymamrotał:

— „Przeklęty niech będzie ten, kto zatrzyma miecz przed przelaniem krwi wrogów Chrystusa. Nie ma litości dla Szatana. Nie ma litości dla zła. Tako rzecze Jan Pobożny”.

— No, no! — zawołała Annie, wyrwała mu rękę i zaczęła masować nadgarstek.

— A ci drudzy? — spytał Frank.

Stern przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

— Ma pan na myśli Zjednoczoną Ludzkość? Byli nieco... inni.

— Mówił pan, że mieli ze sobą wiele wspólnego.

— Cóż, no tak... dzieliło ich jednak pięćset lat oraz psychologiczne różnice między średniowieczną Pragą i Santa Monica z okresu Wielkiego Kryzysu.

— Powiedziałbym, że to dość spory dystans — mruknął Frank.

— Też tak sędzę — dodała Annie.

— Zjednoczona Ludzkość powstała na początku lat trzydziestych — wyjaśnił Stern. — Sektę stworzył niejaki Arthur Bell, wyznawca teorii spiskowej, dotyczącej „naszych tajnych władców”, „międzynarodowych bankierów”...

— Oho, teraz pewnie pojawią się Żydzi — zażartował Frank.

Stern roześmiał się.

— Ma pan rację! Bell był wielkim antysemitą. Ale tak samo jak taborycy handlował tysiącleciem. Tyle że jego utopia miała więcej do czynienia z klimatyzacją niż z czymkolwiek innym.

Annie zachichotała.

— Głosił jednak takie same idee. Twierdził, że czeka nas krwawa łaźnia, jakieś potworne klęski żywiołowe, a potem nastąpi apokaliptyczna wojna, która zabije większość ludzi na

świecie. Pozwoli to światu wejść w Nowy Wiek, „Tysiąclecie” czy „Raj na ziemi”. Ale po wojnie każdy będzie miał darmową klimatyzację, dom za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i szesnastogodzinny tydzień pracy... chyba że zechce przejść na emeryturę — wtedy dostanie pieniądze, które mu starczą do końca życia.

— Mnie to pasuje — stwierdził Frank.

— Wielu ludzi było podobnego zdania. Bell szybko stał się bogaty.

— Czy to oznacza, że ci dwaj kolesie — Jan Pobożny i Arthur Klimatyzowany — mieli to samo marzenie?

— Dokładnie. Oni i miliony innych ludzi. Wszyscy mieli — i nadal mają — to samo krwawe marzenie. Jeszcze herbaty?

— Poproszę — odparł Frank.

Stern napełnił mu filiżankę i zwrócił się do Annie.

— No więc — zaczął tonem, który oznaczał: „przejdźmy do interesów” — co jest grane?

— Grane...?

— Nie zadzwoniłaś przecież, by powiedzieć, że mnie kochasz, ale że nad czymś pracujesz. Powiedziałaś, że pracujecie nad czymś razem z Frankiem.

— Ach, tak! To prawda. Pracujemy nad... no... — Odwróciła się do Franka, uśmiechnęła i zamruwała oczami, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że jego kolej.

Frank westchnął i odchrząknął.

— Interesuje nas Świątynia Światła — oświadczył.

Przez chwilę Stern sprawiał wrażenie, jakby uszło z niego całe powietrze. Potem jego ciało stężało i opadł na oparcie krzesła. Przez długi czas się nie odzywał. Wreszcie odwrócił się do Annie i popatrzył na nią z wyrzutem.

— Co to ma znaczyć? — spytał w końcu.

Annie zamruwała, a Frank zmarszczył czoło.

— Co masz na myśli? — spytała.

— Co mam na myśli? Jezu, Annie! Nie widzieliśmy się — ile? — dwa lata, po czym dzwonisz ni stąd, ni zowąd, a potem przychodzisz do mnie z Frankiem i mówisz: „To mój przyjaciel i interesuje nas Świątynia Światła...”. Czy to jakiś żart?

— Nie — odparł Frank. — To nie żart.

Stern, który do tej pory wbijał wzrok w Annie, odwrócił się gwałtownie do Franka.

— Z kim pan trzyma? — spytał.

— Z kim trzymam? Z nikim. Trzymam z Annie.

— On pisze dla „Post” — wyjaśniła Annie.

— No proszę! — zawołał Stern. — A jaki ma pan numer telefonu?

— Numer telefonu...?

— Tak jest! W pracy. Co będzie, jeżeli zadzwonię do „Post”?

— Tak naprawdę to mam urlop bezpłatny.

Stern przewrócił oczami.

— Wolne żarty.

— Mówię poważnie. Niech pan spojrzy. — Frank wyjął portfel i pokazał legitymację prasową oraz identyfikator z „Post”.

— Każdy może sobie zrobić coś takiego. To gównie warte.

— Właśnie! Dzięki temu wiadomo, że to autentyczny „Post” oszczędza.

— To absurdalne — wtrąciła Annie. — To ja, Ben! O co mnie podejrzewasz?
Stern zignorował ją, nie odwracał wzroku od Franka.

— Jeżeli ma pan urlop w „Post”, to co pan robi?

— Mam stypendium Sama Johnsona.

— A to co?

— Organizują corocznie coś w rodzaju konkursu. Dziennikarze składają konspekty, przedstawiają plan, o czym by napisali, gdyby mieli rok na pisanie tego, co ich naprawdę interesuje. Złożyłem taki konspekt i... spodobał im się.

Stem nie odwracał wzroku.

— A dotyczył Świątyni Światła?

— Nie. Dotyczył nowych wirusów.

Zmarszczki na czole Sterna pogłębiły się.

— Może pan zadzwonić do fundacji. Numer jest w książce.

— A skąd mam wiedzieć, że to nie przykrywka?

— Fundacja Johnsona? Przykrywka czego?

— Świątyni.

— Świątyni?!

— Czemu nie? Świątynia daje pieniądze wielu fundacjom— Instytutowi Doświadczenia Religijnego, Fundacji Gaja. Rozdają je, komu się da. To świetna reklama.

— Możliwe, tej fundacji jednak nic nie dawali. Proszę mi uwierzyć. Stary Coe dostałby zawału.

Stem jeszcze przez chwilę poprzyglądał się Frankowi, po czym skinął głową, jakby podjął decyzję.

— Coś panu pokażę — powiedział, a potem wstał i podszedł do biurka przy oknie. Odsunął stertę papierów, wziął do ręki jakiś biuletyn i wrócił do nich. — Proszę spojrzeć na to — powiedział i rzucił biuletyn na stojącą między nimi skrzynię. Potem usiadł.

Było to wiosenne wydanie „Obserwatora Armagedonu” — trzydzieści dwie kartki grubego papieru, zagięte w połowie. Na okładce zapowiadano materiały w Internecie o scjentologach, o sekcje Santerii w zachodniej Luizjanie i o „sanatorium” na południu Indii, w którym prano mózgi.

Frank przewracał kartkę za kartką, aż dotarł do ósmej strony. Znajdowało się tam zdjęcie Luca Solange’a, mrużącego oczy przed słońcem i trzymającego ster statku — najprawdopodobniej „Crystal Dragona”. Podpis brzmiał: STERNIK.

Frank pokazał zdjęcie Annie.

— Przystojny — stwierdziła, nieco zaskoczona.

Pod zdjęciem była krótka notka:

Guru Świątyni Światła, Luc Solange — na morzu, na pokładzie flagowego statku Świątyni, „Crystal Dragona”. Po 15 latach spędzonych w USA, urodzony w Szwajcarii Solange znów wyruszył w drogę, ostatnio odwiedzając Tokio, gdzie w listopadzie przemawiał przed członkami organizacji Chosen Soren. (zdj.: anonim)

— Dobra robota — mruknął Frank.

— Mam trzystu czterdziestu jeden abonentów — powiedział Stern. — W większości naukowców i rodziców dzieciaków, złowionych przez różne „nowe religie”. Kilku

dziennikarzy, paru prywatnych detektywów, no i oczywiście same sekty. Rozpoznaje się je po tym, że podają tylko numer skrytki pocztowej.

— Dużo pan pisał o Świątyni?

Stern pokręcił głową.

— To pierwsza rzecz od ponad roku. Badam teren.

— Co masz na myśli? — spytała Annie.

— To, że to niebezpieczne. Nie potrzebuję kłopotów. — Przerwał na chwilę. —

Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie?

Annie skinęła głową.

— Składałam wniosek o dotację. Dwa lata temu.

— No właśnie, jak ci poszło? — spytał Stern. Annie popatrzyła na Franka.

— Został odrzucony.

Stern jęknął współczująco.

— Przykre. W każdym razie wtedy po raz ostatni napisałem o Świątyni... do teraz.

— Dlaczego napisał pan o nich po raz pierwszy? — spytał Frank.

— Z tego samego powodu, z jakiego piszę doktorat. Znalazłem wątki łączące Solange'a z przywódcami dawniejszych sekt i przedstawiłem je. Nazwałem go „świeckim piewą Apokalipsy”, który wymieszał dziesięcioro przykazań z zasadami ekologii. Poza tym także jest proaktywny, walczy o swój cel.

— Jaki?

— O Apokalipsę, Armagedon... jakkolwiek by to nazwać. W swoich pismach nazywa sam siebie ostatnią „historyczną postacią” świata.

— To znaczy?

— Jezus, Budda...

— I Solange? — dodała Annie.

— Otóż to. Jego misja właśnie na tym polega: jest akuszerką epoki końca. Przynajmniej on sam tak twierdzi.

— Dlaczego komuś miałoby na czymś takim zależeć? — spytała Annie.

Stern wzruszył ramionami.

— Solange nie traktuje świata w taki sam sposób, jak my. Ma ekocentryczny światopogląd.

— Ziemia przede wszystkim, tak? — zapytał Frank.

— Właśnie. Ludzie nie są najważniejsi. Najważniejsza jest natura. Solange dąży do odtworzenia Raju, do czego, między innymi, konieczne jest zniszczenie cywilizacji przemysłowej.

— Brzmi to dość groźnie — zauważył Frank.

— Bo jest groźne. Dlatego niektórzy nazywają go Pierwszym Jeźdźcem.

— Pierwszym Jeźdźcem...? — zdziwiła się Annie.

Stern skinął głową.

— Tak. Pierwszym Jeźdźcem Apokalipsy.

Cała trójka na chwilę zamilkła. W ciszy popijano herbatę. W końcu Frank zapytał:

— Więc co się panu przydarzyło? Do czego między wami doszło? Powiedział pan, że publikując to zdjęcie, „badał teren”.

— No cóż... artykuł, który wtedy napisałem, był w zasadzie kompilacją tego, co napisali inni — głównie dziennikarze — ale zawierał jeszcze analizę historyczną z perspektywy, o której mówiliśmy. Jedyнным nowym materiałem były dane z raportów, które udostępnił mi przyjaciel z biura prokuratora generalnego Kalifornii. Jakies dziesięć lat temu jego syn zniknął u Dzieci Boga i od tego czasu ten mój przyjaciel jest działaczem ruchu skierowanego przeciwko sektom. W każdym razie... po opublikowaniu tego artykułu przyszli po mnie.

— Kto po ciebie przyszedł? — spytała Annie.

— Świątynia. Albo — jak się czasem sami określamy — ”potulni”. Śledzili mnie.

— Żartujesz.

— Nie — odparł Stern. — Było jak na filmie. Miałem „ogona”. Pod moim domem przez szesnaście godzin dziennie — od szóstej rano do dziesiątej wieczorem — siedem dni w tygodniu stał samochód.

— Musieli wydać na to sporo pieniędzy.

— Bawiło mnie to. Kiedy przechodziłem obok ich samochodu, żartowałem sobie z nimi. Ale potem zabili mi psa...

— Co takiego?!

— O, nie! — jęknęła Annie. — Nie twojego labradora... chyba nie Brownie?

— Ktoś dał mu stek zamarynowany w warfarynie. Wiesz, jaki był. Zjadłby wszystko, pod warunkiem, że nie było to psie jedzenie. Biedactwo... Potem zaczęły po nocy wydzwaniać telefony — nieważne, jak często zmieniałem i zastrzegałem numer — nie pozostawało mi więc nic innego, jak wyciągać wtyczkę z kontaktu. A jeszcze potem zaczęli się w moim gabinecie pojawiać ludzie i drzeć się na mnie. Nie dało się z nimi spokojnie porozmawiać.

— Jak wyglądali? — spytał Frank.

— Jak studenci. Całkiem normalnie. Jedyńą nienormalną rzeczą było to, że wrzeszczeli na mnie i wszędzie rozchlapywali krew.

Annie zbladła.

— Kiedyś do biblioteki wpadła kobieta. Ciągnęła za sobą dziecko i darła się wniebogłosy, że właśnie mnie z nim „przyłapała”! Zaraz po tym kilku ludzi z mojego wydziału, w tym jeden z moich promotorów, zaczęło dostawać e-maile.

— Jakiego typu? — spytał Frank.

— Kretyńskie i pełne nienawiści. Jeden z moich kolegów na wydziale jest gejem — nie jest to żadna tajemnica — więc dostał homofobiczną przemowę. Mój promotor jest czarny, więc co dostał? Bzdety od Tożsamości Chrześcijańskiej!

— Były podpisane pańskim nazwiskiem?

— Nie, robili to znacznie subtelniej. Podpisywali się Biały Mściciel albo coś w tym stylu. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ wiadomości przekazywali przez mój komputer i policja bez trudu mogła wyśledzić ich pochodzenie.

— Jak to możliwe?

— Włamywali się do mojego mieszkania, kiedy mnie nie było, i wysyłali e-maile.

— To straszne — wzdrygnęła się Annie.

— Aresztowano mnie. Miałem zostać oskarżony o wrogość wobec mniejszości.

Wyobrażacie to sobie?

— Ale udowodnił pan swoją niewinność? — zapytał Frank.

Stern kiwnął głową i roześmiał się.

— Tak, spieprzyli sprawę. W chwili gdy wysyłano kolejny e-mail, prowadziłem wykład. Nagłówek mówił wyraźnie: czwartek, czternasta piętnaście. Nie mogłem go wysłać.

— I co się stało?

— Nic. Gliniarze spotkali się z prawnikami Świątyni i wiecie, co tamci powiedzieli? Że jestem tak szalony, iż prawdopodobnie sam otrujęm własnego psa. Dodali, że być może przestawiłem w moim komputerze zegar. Oczywiście mógłbym to zrobić, ale po co tyle zachodu, jeżeli mógłbym wysłać wiadomości przez jakąś firmę pośredniczącą, dzięki czemu nie byłoby żadnych nagłówek?

— Więc... na tym sprawa się zakończyła? — spytał Frank. Stern pokręcił głową.

— Nie. Ciągnęła się jeszcze kilka miesięcy. Złożyli na pocztę druczek z zawiadomieniem, że zmieniłem adres, więc ginęła mi poczta, co stało się przyczyną kolejnych problemów, ponieważ ktoś zaczął na moje karty zamawiać różne rzeczy.

— Jakie? — spytała Annie.

— Żenujące, takie, które mogą przysporzyć człowiekowi kłopotów już przez sam fakt, że je zamówił: najtwardsza pornografia, surowce do produkcji amfetaminy. Wydawano tysiące dolarów na telefony pod numery zaczynające się od dziewięciuset, zamawiano dla mnie biuletyny Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Miłości Mężczyzn i Chłopców oraz Kościoła Górskiego.

— Kościoła Górskiego...? — zdziwiła się Annie.

— To organizacja nazistowska. Poza tym napuścili na mnie kilka firm zajmujących się odzyskiwaniem długów, a także DEA* i Urząd Celny.

Annie przewróciła oczami.

— Potem złożyli pozew o zniesławienie.

— W jakim celu?

— A czemu nie? Stać ich było na to. Oddalono go, ale kosztowało mnie to wiele zachodu i zdrowia.

— Co dalej?

— Nic. Przestali.

— Przestali? — powtórzyła Annie.

— Tak. Po prostu przestali. Tak jakby osiągnęli swoje i postanowili zająć się ważniejszymi sprawami. Myślę, że to miało być ostrzeżenie.

— Boże... — wyszeptał Frank.

— Dlatego mam lekką paranoję — wyjaśnił Stern. — Publikuję zdjęcie Solange'a w biuletynie i natychmiast się zjawiacie, pytając o Świątynię. Teraz pan chyba rozumie, co mi przeszło przez głowę.

Frank skinął potakująco.

— Oczywiście. Jak najbardziej.

— Zrobię jeszcze herbaty — powiedziała Annie i wstała. Wzięła dzbanek i poszła do kuchni.

Stern popatrzył na Franka.

— Jednego nigdy nie próbowali: zabić mnie.

* DEA (Drug Enforcement Agency) — Biuro do Zwalczania Narkotyków (przyp. tłum.).

— Cóż... noc jest jeszcze młoda.

— Jestem przekonany, że by to zrobili, gdybym był czymś więcej niż tylko utrapieniem.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien. Mówię o tym, ponieważ nie wiem, nad czym z Annie pracujecie...

Frank otworzył usta, by to wyjaśnić.

— ...i nie chcę wiedzieć. Ale uważam, że powinien pan być ostrożny. Dla jej dobra.

— Będę — obiecał Frank. — Też ją bardzo lubię. Najbardziej może nam jednak pomóc informacja.

Stem wzruszył ramionami.

— Co mogę wam powiedzieć? Ile już wiecie?

— Że Solange jest Szwajcarem.

— Przyjechał do Stanów w osiemdziesiątym drugim. Podobno stracił cały majątek.

— Dlaczego wyjechał ze swojego kraju?

— Moim zdaniem potrzebował większej sceny. Szwajcaria zrobiła się dla niego nieco klaustrofobiczna. Starał się o mandat w parlamencie z ramienia Zielonych, ale rozbił partię, upierając się przy krańcowych poglądach, więc wielu ludzi się na niego wściekło. W tym samym czasie zawalił się jego interes.

— Co robił?

— Miał w Montreux klinikę homeopatyczną i kilku pacjentów zmarło z powodu niewydolności nerek — przez jakiś lek ziołowy, który miał działanie uboczne.

— I tak trafił do Stanów.

— Właśnie. Otworzył klinikę w Los Angeles i nieźle sobie radził. Włączył się w działania na rzecz ochrony środowiska, założył coś, co nazwał „Rozkwit”... coś w rodzaju „Ziemia Najpierw!” — ale było to znacznie bardziej utajnione. Napisano o nim to i owo, zdobył trochę wyznawców. Zaczął wyklądać w Stanach i za granicą.

— Co potem?

Stern zapalił kolejnego papierosa i wydmuchnął nad głowę Franka długą smugę dymu.

— Rozrastał się coraz bardziej. Chyba w dziewięćdziesiątym drugim „kapelusznik rekrutacyjny” przejął u niego koleś, który był przedtem u Moona.

— Kapelusz...?

— Tak. Na wszystko mieli osobny „kapelusz”: na finanse, rekrutację, wywiad.

— Wywiad?

Stern skinął głową.

— Mają własne, bardzo sprawnie działające biuro wywiadowcze. Kiedy zjawił się ten gość od Moona, zreorganizował ich działalność rekrutacyjną. Nagle zrobili się agresywni i diaboliczni. Skoncentrowali się na dwóch grupach wiekowych: na ludziach po dwudziestce — bo mają energię, i ludziach koło osiemdziesiątki — bo mają pieniądze. Założyli szereg organizacji, których celem było „pomaganie” samotnym matkom, „doradzanie” dzieciakom, mającym kłopoty z narkotykami, i „dbanie” o starszych. Tak naprawdę chodziło im jednak

o dotarcie do ludzi z jakimiś problemami, ponieważ takich najłatwiej zwerbować. Założyli nawet w kilku miastach kluby samotnych serc, by móc aranżować randki między członkami swojej sekty i ludźmi, których chcieli do niej wciągnąć.

— Teraz rozumiem, dlaczego użył pan określenia „diaboliczni”.

— Było to zadziwiające. Płacili dziesięć tysięcy dolarów za bazę danych, składającą się wyłącznie z nazwisk ludzi, którzy nie płacą podatków. Ludzi tonących w długach. Sprawdzali ich sytuację finansową i dla każdej takiej osoby zakładali osobne akta. Pukali następnie do ich drzwi i mówili, że mogą pomóc im wybrnąć z kłopotów. „Jesteś ofiarą! — mówili. — Nie ciebie trzeba obwiniać. To wina Ameryki! To ona tworzy nacisk konsumpcyjny! Spakuj manatki, spał rachunki i chodź z nami. Damy ci pracę, przyjaciół i miejsce do zamieszkania”. Ludzie zgadzali się, ale nie wiedzieli, że będą pracować za darmo i mieszkać po cztery osoby w klitce. Nie miało to oczywiście znaczenia, bo w zamian od samego początku byli zalewani miłością przez każdą dziewczynkę w organizacji. Dawali się omamić i spali po cztery godziny na dobę, do tego co drugi dzień! — Stern przerwał i złapał oddech. — Była to niesamowita operacja!

— Co się działo dalej?

Stern wzruszył ramionami.

— Cóż... bardzo się rozrośli. Jednego dnia byli stowarzyszeniem ekologicznym „Rozkwit” z dwustoma członkami, a dwa lata później stali się armią złożoną z tysięcy ludzi o szklanych oczach i nazwali się Świątynią Światła.

— Gdzie cukier? — zawołała z kuchni Annie.

— Skończył mi się! — odkrzyknął Stern.

— Ilu członków ma Świątynia?

— Według ich danych? Trzydzieści tysięcy. A naprawdę? Może cztery razy mniej.

Nawet jednak przy takiej liczbie mają zakon zewnętrzny i wewnętrzny.

— Jak to działa?

— Tak, jak można się spodziewać. „Wewnętrzni” to rdzeń, personel. Jest ich może tysiąc w sześciu miastach. Plus ci przebywający w posiadłości. Tych jest ze trzystu.

— Gdzie?

— Pod Lake Placid. Kupili prywatną szkołę i zamienili ją w swoją kwaterę główną.

— A zakon zewnętrzny?

— Przysyłają czek, prenumerują biuletyny i kupują witaminy Solange’a.

— Opowiedz nam o fabryce witamin na terenie posiadłości — poprosiła Anne, wchodząc z herbatą. Postawiła dzbanek na skrzyni, nalała sobie filiżankę i podeszła z nią do okna.

— Nie ma w niej nic niezwykłego — odparł Stern. — Robią tam leki homeopatyczne i rzeczy do aromaterapii. Żeń-szeń. Olejek jałowcowy. Witaminy.

— I przynosi to dobry dochód?

— Trochę przynosi. Do tego mają patenty.

— Jakie?

— Na leki depot. Takie, w których środek czynny umieszcza się w polimerze, by wydzielal się w określonej dawce.

— Jakie leki można tak podawać? — spytał Frank.

— Wszelkiego rodzaju. Przeciwbólowe, insulinę, witaminę B dwanaście. Co tylko dusza zapagnie. Widziałeś kuleczki w kapsułkach Contacu? To coś podobnego, tyle że mniejsze.

— Ben ma na myśli mikro kapsułki — rzuciła Annie przez ramię i znowu zaczęła wyglądać przez okno.

— Właśnie to miałem na myśli. Opowiadałem Frankowi o „zakonie wewnętrznym”, ale istnieje w nim jeszcze bardziej wewnętrzny krąg. Powiniście o nim wiedzieć, ponieważ to oni po was przyjdą — ludzie z Wydziału Spraw Specjalnych.

— A to co takiego? — spytał Frank.

— Szpiony. Wewnętrzna agencja szpiegowska Świątyni. Są dobrzy, nawet bardzo. Profesjonalni. Mają masę przykrywek i dysponują mnóstwem pieniędzy. Na ich liście płac jest wielu ludzi spoza sekty: prywatnych detektywów, gliniarzy, dziennikarzy, naukowców... co tylko chcecie.

— Brzmi to groźnie.

— Bo i takie jest. To jeden wielki koszmar. Mają specjalne oddziały.

— Do czego?

Stern uśmiechnął się słabo.

— Do łapania ludzi.

— Ho, ho!

Doktorant pokręcił głową.

— Niech pan posłucha: wkurzy ich pan, przyjdą po pana. Obudzi się pan któregoś dnia i BUM! — nie ma pana.

— To akurat mi się nie podoba — odparł Frank, mieszając herbatę. — Nigdy nie lubiłem wersji, w której znikam.

— To nie żarty — mruknął Stern.

— Nie żartuję. Wracając jednak do tego, co pan mówił o pieniądzach... z czego mają główne wpływy? Z witamin? Z patentów?

— Nie.

— A datki od członków? Podejrzewam też, że mają ulgi podatkowe...

— Nie w tym rzecz — przerwał mu Stern. — Z tego nie ma się dużych pieniędzy. Duża kasa płynie skądinąd.

— Skąd?

Stern zdusił papierosa i natychmiast zapalił następnego.

— Chosen Soren.

Frank zastanawiał się przez chwilę — w końcu przypomniał sobie.

— Ma pan na myśli tych Japończyków, o których napisał pan w swoim biuletynie?

— Zgadza się. Tyle że Chosen Soren nie jest organizacją japońską. Zrzesza pracujących w Japonii Koreańczyków. Głównie tych z Korei Północnej. Robią za Japończyków brudną robotę i wysyłają pieniądze do kraju, a firma zarabia na wymianie dewiz.

— I Świątynia się z tego utrzymuje?

Stern skinął głową.

— W dużej części.

Frank był zaskoczony.

— Ale... dlaczego tamci im płacą?

— Nie mam pojęcia, faktem jest jednak, że od dziewięćdziesiątego piątego Koreańczycy dali im pięćdziesiąt milionów dolarów.

— Skąd pan to wie?

— Z danych celnych. Z biura prokuratora generalnego Kalifornii. Wsadzili gościa, który krążył ze szmałem: Los Angeles, Tokio, Genewa i z powrotem Los Angeles. Innymi trasami też. Chyba znaleźli przy nim sporo pieniędzy, z których nie umiał się wytłumaczyć. W każdym razie przesłuchali go i pękł. Opowiedział o wszystkim.

— To znaczy?

— Ze przeniósł pieniądze z konta na konto, żeby nikt się nie domyślił, skąd pochodzą.

— A były to pieniądze Chosen Soren?

— Właśnie.

— I gdzie ten człowiek jest teraz?

— Spieprzyli sprawę. Zamiast prowadzić dalej śledztwo, deportowano go. Wiadomo tylko, że wysiadł z samolotu w Naricie i zniknął. Nie wyszedł z sali kontroli celnej. Żona czekała na niego z dwójką dzieci tuż za kontrolą paszportów, ale znaleziono tylko jego walizki, na wózku w holu. Koniec historii.

— Nigdy go nie odnaleziono?

— Nie. Przecież powiedziałem: koniec historii.

— Hej! — krzyknęła nagle Annie. Stała przy oknie z filiżanką w ręku i pochylała się, krzycząc do kogoś na zewnątrz. — Hej!

— Co się stało? — spytał Frank, podchodząc do niej szybko.

— Ktoś jest w twoim samochodzie.

Frank odsunął zasłonę. Zaparkował saaba przy krawężniku i natychmiast zobaczył, że drzwi kierowcy są szeroko otwarte. Stała przy nich kobieta w niebieskiej sukience — nogi miała na ziemi, a tułów wewnątrz samochodu.

— Zaraz wracam — powiedział Frank i nie czekając na Annie, wybiegł na korytarz, minął windę i zbiegł na dół, pokonując po dwa schody naraz. Kilka sekund później był w holu i zaraz potem znalazł się na ulicy. Drzwi samochodu były zamknięte, a kobieta odeszła już jakieś dwadzieścia metrów, pchając przed sobą wózek.

— Chwileczkę! — krzyknął Frank i pobiegł za nią. — Hej! Przepraszam!

Kobieta odwróciła się i uniosła dłoń, by osłonić oczy przed słońcem. Była bardzo młoda i dziewczęca — i było w niej coś z piegowatej niewinności księżniczki piękności klubu 4H*.

— Halo! — odkrzyknęła, uśmiechając się szeroko.

Frank nagle poczuł, że brak mu oddechu — bardziej z podniecenia niż z wysiłku — i wykrztusił:

— Przep...raszam, że... krzy...czałem, ale... wyrz...łem przez okno i... i... była pani w... moim samochodzie.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— To był pana samochód? — Mówiąc, poruszała wózkiem w przód i do tyłu, bujając dziecko.

— Tak, mój — odparł Frank, czując się nieco głupio. — Mój.

— O! Zgasiłam za pana światła. Zostawił pan zapalone.

— Naprawdę? — Przez chwilę się zastanawiał. — Nie sędzę. Dlaczego miałbym mieć zapalone światła? Jest przecież...

Pokręciła głową. Miała zielone oczy.

— Nie wiem. Jechał pan może... tunelem?

** Klub 4H — kluby zrzeszające dzieci i młodzież w wieku 4 —18 lat pragnące poświęcić społeczeństwu Head, Heart, Hands i Health, czyli głowę, serce, ręce i zdrowie (przyp. tłum.).*

Dziecko zabalgotało i Frank popatrzył na nie. Nie widać było, jakiej jest płci, ale było urocze, tak jak matka.

— Ładny brzdąc — zauważył Frank.

— Dziękuję — odparła i przekrzywiła głowę jak cheerleaderka na końcu pokazu.

Odwróciła się i pchnęła wózek. — Muszę już iść. Mój mąż wraca zaraz do domu.

— No tak... dziękuję za zgaszenie świateł.

Kiedy wracał do mieszkania Sterna, pomyślał, że akumulator mógł się wyładować.

Postanowił to sprawdzić, najpierw jednak musiał iść po Annie.

— Kto to był? — spytała.

— Nie wiem. Chyba zostawiłem zapalone światła. Zgasiła je.

— Naprawdę zostawiłeś zapalone światła?

— Pewnie tak.

— Nie zauważyłam.

Frank wzruszył ramionami.

— W każdym razie dobrze, że je zgasiła. No a my, Annie i ja... — odwrócił się do Sterna i wyciągnął rękę — lepiej już sobie pójdziemy. Dzięki za pomoc, naprawdę.

— Żaden problem.

— Czy jeśli będzie trzeba, będę mógł znów się do pana zwrócić?

— Hmm... — mruknął z wahaniem Stern. — Chyba tak... ale jeśli będzie to miało związek ze Świątynią, niech pan nie dzwoni do mnie z domu. I na Boga, proszę nie wpadać bez zapowiedzi. Niech pan przedtem wyśle znaki dymne albo coś w tym rodzaju.

Frank roześmiał się.

Kiedy szli do samochodu, Annie powiedziała:

— Jestem pewna, że nie zostawiłeś zapalonych świateł.

— Oczywiście. Nie zostawiłem. I co z tego? Słyszałaś, co on powiedział? O tym Chosen jak-mu-tam? Pięćdziesiąt milionów dolarów. O co tu chodzi?

— Nie mam pojęcia. Bardziej martwi mnie ta fabryka witamin, czy co tam robią.

Frank otworzył drzwi samochodu i wsunął się za kierownicę. Kiedy włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go, Annie zaczęła coś mówić o mikrokapsulacji.

Silnik saaba ryknął, został jednak niemal całkowicie zagłuszony okrzykiem Franka:

— A to, kurwa, co?!

Annie odwróciła się do niego i popatrzyła na jego ręce, które — tak samo jak kierownicę — pokrywał przezroczysty żel.

— Co się stało?

Frank wyciągnął ręce przed siebie i zgiął dłonie w nadgarstkach.

— Nie mam pojęcia. Czuję się jak opluty. Daj mi ręcznik z tylnego siedzenia.

Annie sięgnęła na tył, gdzie na podłodze leżała rolka papierowych ręczników. Oderwała kilka i pomogła Frankowi zetrzeć podejrzany śluz z dłoni i kierownicy. Kiedy skończyli, Frank wcisnął brudny papier pod fotel, wrzucił bieg i wyjechał na ulicę, kierując się ku domowi Annie w Mount Pleasant.

— Ona to zrobiła — stwierdziła Annie.

— Co zrobiła?

— Posmarowała tym świństwem kierownicę. Nie sądzisz?

— Nie wiem, co sądzić.

Annie wzdrygnęła się.

— To obrzydliwe.

— Miała ze sobą małe dziecko. Pewnie to jakaś dziecięca maść. Coś, czym zabrudziła sobie ręce.

Pojechali Foxhall Road w kierunku Nebraski i skręcili na Wisconsin. Przez kilka minut stali przed Sidwell Friends School, z której właśnie wychodzili uczniowie, po czym skręcili w lewo, w Porter, i przecięli park, by dojechać do Mount Pleasant. Droga zajęła im mniej więcej dwadzieścia minut. Kiedy dojechali na miejsce, Frank nie czuł się najlepiej.

— Wszystko w porządku? — spytała zaniepokojona Annie, spoglądając na niego.

Skinął głową.

— Nic mi nie jest. Jestem po prostu trochę zmęczony. Poza tym cały dzień nic nie jadłem.

Annie popatrzyła na niego sceptycznie i wysiadła. Obeszła samochód i pochyliła się do okienka kierowcy.

— Jesteś pewien?

— Jasne. Chyba po prostu wypilem za dużo herbaty.

Machnął jej ręką i odjechał. Przeciskał się przez gęsty ruch w kierunku Columbia Road, mijał latynoskie sklepiki, nocne kluby, radiowozy. Na tyle rzeczy trzeba było zwracać uwagę — na pijaków na rogach, psy, sklepy 7-Eleven...

Kiedy dojechał do Columbia Road, stwierdził z zaskoczeniem, że się poci — kwaśnym, lepkiem potem, charakterystycznym dla początku gorączki. Wcale nie czuł się dobrze. Serce mu waliło i czuł w żołądku i piersiach dygot jak przy scenicznej tremie — tyle że wcale nie miał wyjść na scenę. Siedział w samochodzie, a adrenalina waliła mu przez żyły zupełnie bez powodu. Przecież nie jechał szybko. Jechał... ile? Dziesięć kilometrów na godzinę.

Nic dziwnego, że wszyscy na niego trąbili.

Coś było z nim nie tak i nagle dotarły do niego wszelkie możliwe, wynikające z jego dziwnego stanu zagrożenia. Gdyby na przykład nieco mocniej przekręcił kierownicę w lewo, samochód przejechałby przez środkową linię i mogło dojść do zderzenia z kimś jadącym w przeciwnym kierunku. Nieważne, że nie miał powodu tego robić — ale mógł. Była to zatrwajająca ewentualność.

A gdyby przed skruceniem kierownicą przyspieszył, samochód mógł wjechać na chodnik i poranić lub zabić wiele osób.

Wszędzie byłaby krew.

Strach, jaki ta myśl w nim wywoływała, sprawił, że poczuł mdłości. Każdy umie chodzić, ale wystarczy spróbować przejść się po poręczy balkonu trzydzieści metrów nad ziemią, to prawie na pewno się spadnie.

Tak właśnie czuł się w tej chwili — jakby miał spaść, jakby umysł ściągał go za jakąś niewidzialną krawędź. Prowadzenie samochodu było niezwykle skomplikowaną czynnością — jak masowanie dłonią brzucha i równoczesne klepanie się po czole. Tyle rzeczy mogło się nie udać i zakończyć katastrofą. Jak ludzie sobie z tym radzą? Jak udaje im się zwracać uwagę na tyle spraw równocześnie? Na prędkościomierz i dźwignię zmiany biegów, sprzęgło, hamulce i gaz, inne samochody, światła, przechodzących przez ulicę ludzi? Świat był potężną

falą miejsc i zdarzeń, pieniając się konsekwencjami. A ja pod nią tonę, pomyślał Frank. Był jeszcze jeden problem: brakowało mu wyraźnego stanowiska wobec świata, perspektywicznego spojrzenia. Tak jakby nie tyle zapomniał, kim jest, ale jak to jest być osobą, którą się jest. Nie chodziło o fakty dotyczące jego własnej osoby, lecz o interpretację samego siebie.

Nagle pojął, w czym rzecz: zapomniał, jak to jest być Frankiem Dalym, a zapomniawszy, nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedykolwiek sobie to przypomni. Zniknął cały jego egzystencjalny słownik, więc bycie sobą było jak próba mówienia w języku, którego nigdy się nie uczył. Było to ponad jego możliwości. Bycie Frankiem Dalym było ponad jego możliwości.

Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęło go przerażenie, tym większe, że zdawał sobie sprawę ze swojej bezsilności i niemożności powrotu do normalnego stanu — niemożność wpływała z jego wnętrza, z miejsca, gdzie powinien się znajdować, a gdzie teraz była jedynie czarna dziura.

Wiedział oczywiście, co się stało. Został zatruty narkotykiem. Przez Sterna, Annie albo dziewczynę, którą przyłapał w samochodzie. Piegowatą mamuszkę z szerokim uśmiechem. Świadomość tego nie była jednak żadnym pocieszeniem. Ktokolwiek to zrobił, odebrał mu wszystko, co miał. Wiedział, że jego stan nigdy się nie poprawi, bo to, co stracił, było tak ważne — i tak nieuchwytnie — jak Standardowy Czas Wschodni.

Powrót do mieszkania — gdzie powinien już dawno być — trwał straszliwie długo.

Wcisnął mocno pedał gazu. Saab skoczył na przeciwległy pas i rozdzielił sznur samochodów na dwie części jak rozsuwający się zamek błyskawiczny. Ze wszystkich stron ryknęły klaksony. „Chief Dee’s Mambo Room” śmignął do tyłu, po nim sekwencja „Popeye’s”, „Mixtec”, „Crestar Bank” i duża grapa buddystów, czekających na rogu Osiemnastej i Columbia Road na zmianę świateł.

Powinienem się położyć, pomyślał Frank. W łóżku będę bezpieczny. Najpierw jednak musi zaparkować. Ale w tych okolicznościach nie było na to szansy. Nawet gdyby znalazł miejsce, parkowanie saaba przypominałoby dokowanie wahadłowca, manewrowanie toną żelaza w trzech wymiarach przy użyciu jedynie dłoni i stóp. Zadanie nie do wykonania. Wbił więc hamulec w podłogę — obydwoma stopami — i zatrzymał auto na środku ulicy.

Zanim wysiadł, zapalił światła, bo wydawało mu się, że dzięki temu łatwiej mu będzie potem znaleźć samochód.

Okropnie kręciło mu się w głowie. Czuł się, jakby zamocowano mu ją na łożysku. Z chodnika ruszył w jego kierunku mężczyzna, zaczął coś mówić po hiszpańsku, ale zaraz się cofnął, przestraszony wyrazem oczu Franka.

Chwilę potem (a może godzinę) Frank stał pośrodku i odsłuchiwał automatyczną sekretarkę.

Frank! Tu Jennifer. Chodzi o wydatki na zdjęcia satelitom to jakiś żart? Zadzwoń.

Cześć, Frankie! Mówi wuj Sid. Wszystkim jest bardzo smutno z powodu śmierci twojego ojca, ale miło było cię zobaczyć i... no wiesz, pokazuj się czasami.

Trzecią wiadomość nagrała jakaś kobieta:

Halo! Spotkaliśmy się dziś po południu. Chciałam tylko powiedzieć: milej podróży i... Może popracowałbyś nad czymś innym?

Potem zaczął dzwonić telefon, włączyła się sekretarka i rozległ się głos Annie:

— Frank, to ja. Martwię się tą mazią z kierownicy. Oddzwoń, dobrze? Może bym wpadła... Jesteś tam? Odbierz!

Nie było to jednak możliwe. Słuchawka pulsowała, rosła i w końcu upadła niczym królowa termitów, dysząca w ciemności. A jego ręce... Jezu, ręce! Można zrobić rękami takie okropne rzeczy...

25

POSIADŁOŚĆ

23 MAJA

Kwaterna główna Świątyni mieściła się na terenie, który kiedyś był kampusem prywatnej szkoły. Położone mniej więcej trzydzieści kilometrów od Lake Placid dawne tereny szkolne znajdowały się w długiej, wijącej się dolinie, a dostępu do nich strzegły efektywne, choć zardzewiałe bramy.

Za bramą asfaltowa droga wiała się przez świerkowy las i prowadziła do niewielkiej polany, służącej jako parking. Stąd szło się dalej zwirową ścieżką i po przejściu kilkunastu metrów przez ciemny las wychodziło się na świeżo skoszoną łąkę z niskim, łagodnie wznoszącym się wzgórzem, u stóp którego znajdował się staw.

Na zachód od łąki stała grupa białych domków, w których dawniej mieszkali starsi nauczyciele, a które teraz były zarezerwowane dla wyższych rangą członków Świątyni. Dwa większe podupadające budynki przeznaczono dla reszty członków wewnętrznego zakonu.

Dużo lepsze wrażenie robiła część techniczna. Był to kompleks połączonych ze sobą, hipernowoczesnych budowli ze szkła i stali, w których mieścił się szpital, stołówka, biuro administracji, laboratoria badawcze i hale produkcyjne. To stąd Świątynia prowadziła swoje międzynarodowe interesy i tu wytwarzała mieszanki witaminowe, leki homeopatyczne oraz produkty aromaterapeutyczne.

Na szczycie wzgórza (co ułatwiało nadzorowanie domostw i laboratoriów), znajdował się dom dyrektora — pieczołowicie odrestaurowana posiadłość w stylu Tudorów z wielodzielnymi oknami, otoczonymi porośniętymi winoroślą pergolami. Była to rezydencja Solange'a i *sanctum sanctorum* Świątyni.

Susannah siedziała ze Stephenem na wyłożonym płytami chodnikowymi tarasie, osłoniętym od góry parasolem różowej glicynii, i wpatrywała się w otaczające posiadłość góry. Była zdenerwowana, ponieważ zupełnie nie wiedziała, dlaczego się tu znalazła. Wśród mieszkańców farmy krążyły legendy o tym tarasie i rzeczach, jakie się tu wydarzały.

Starala się przekonać siebie samą, że to tylko zmyślane opowieści.

Wezwanie do kwatery głównej niemal zawsze oznaczało coś dobrego. Solange aranżował czasem między członkami personelu małżeństwa, które były zapowiadane właśnie na tym tarasie. Także tu wręczano nagrody i przydzielano zadania specjalne. Susannah zakładała więc, że właśnie z tego powodu ją wezwano — z dobrego powodu. W końcu o co innego mogłoby chodzić? Zrobiła wszystko, o co ją poproszono — w Rhinebeck, w Los

Angeles, w Waszyngtonie — i wszystko poszło jak z płatka. Ale tak samo dobrze sprawili się Tommy, Vaughn i wszyscy inni, dlaczego więc tylko jej kazano tu przyjść? Dlaczego była jedynym członkiem oddziału operacyjnego, siedzącym na tarasie?

Nieśmiało popatrzyła na Solange'a, który przepytawał Belindę na temat zdrajcy.

— Jak go znaleźliście?

— Detektyw go znalazł. Był w jakimś motelu i chyba popełnił błąd.

— Jaki?

— Zadzwoił do domu. Zawsze dzwonią do domu. Jak E.T.

Solange skinął głową, zadowolony z odpowiedzi.

— A Kramer pilnował telefonów?

Belinda skinęła głową.

— Współpracuje z takim jednym świrem, który umieścił coś na linii albo wszedł do centrali identyfikacji numerów. W każdym razie znaleźli go w „Motelu Sześć”* na wybrzeżu Jersey.

— Gdzie jest teraz? — spytał Solange. Belinda wskazała głową w kierunku laboratoriów.

— W szpitalu. Doktor napakował go halcionem i torazyną, nie będzie więc teraz mógł z nikim gadać. Jeżeli chcesz z nim porozmawiać, muszą wszystko odstawić.

Solange pokręcił głową.

— Nie, trzymajcie go w takim stanie.

Jaki on jest opanowany i spokojny, pomyślała Susannah. Stoi sobie z lekko odchyłoną do tyłu głową i przymkniętymi oczami, jak jazzman, słuchający czyjejś solówki. Kiedy się porusza, robi to tak lekko, jak wracający na pozycję rozgrywający.

Jest jak kot. Ale nie jak zwykły, pręgowany dachowiec.

Solange miał trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był smukły jak wąż. Miał na sobie sprane dzinsy, buty do chodzenia po górach i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Jego broda i policzki, pokryte świeżym zarostem, wyglądały, jakby posypano je pieprzem, a kruczoczarne włosy wymagały przystrzyżenia. Czarne jak agaty oczy pod gęstymi brwiami były nakrapiane szarymi punkcikami.

Wszystko kryje się w tych oczach, pomyślała Susannah. Z nich bierze się jego moc — nie ze słów, ale ze sposobu, w jaki patrzy na człowieka. Zupełnie jakby mówił: „Jesteś jedyną osobą, która rozumie, jedyną, która naprawdę rozumie”. Kto usłyszał coś takiego albo wyczuł, no cóż... było to całkiem tak, jakby się zakochał.

Nie byłoby to zresztą wcale trudne. Solange był najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego Susannah widziała w życiu — choć tak naprawdę wcale nie był przystojny. Nie w normalnym znaczeniu tego słowa. Życie oszczędziło mu „przystojności” dzięki nosowi, który dawno temu został złamany i nigdy nie nastawiony. Efektem tego był orli dziób, który w połączeniu z oczami nadawał jego twarzy wyraz drapieźności — nawet kiedy się śmiał.

Jego głos też był niesamowity. Wydobywał się z głębin przypominających szyb kopalniane i przenikał człowieka aż do trzewi. Kiedy Solange mówił, nadawał wypowiedzanym przez siebie zdaniom kadencję, która przykuwała uwagę. Słuchając go i patrząc na niego, Susannah wiedziała, że ma do czynienia z wielkim człowiekiem. Albo nawet całym mnóstwem wielkich ludzi. Prasa porównywała go do Hitlera, Szczurołapa z

** Powstała w 1962 roku, obecnie największa w Ameryce sieć moteli. Nazwa pochodzi stąd, że na początku każdy pokój kosztował 6 dolarów (przyp. tłum.).*

Hameln, Johna Muira albo Koota Houmiego (kto to był? — ciągle zapominała sprawdzić).

Inni dzielili jej uczucia. Tak samo jak ona byli zachwyceni Solange'em (i trochę się go bali).

Na tarasie było piętnaście osób oprócz małego Stephena, Susannah i ich guru. Każdy należał do „personelu”, co oznaczało, że ich życie krąży jedynie po orbicie organizacji. Każdy z nich odbył rejs na „Crystal Dragonie” i od tej chwili wszystko mieli wspólne: jedzenie i miejsce do spania, bezpieczne domy i kody, tajemnice i przestępstwa. Byli komunardami i stanowili dla siebie wszystko: rodzinę, kochanków, towarzyszy podróży, przyjaciół. Poza sobą nie mieli nikogo, nie mieli też innej własności niż wspólna. Nie należała do nich nawet ich przeszłość, bo wszyscy mieli symboliczne daty urodzin — dzień, w którym znaleźli się wśród „personelu”.

Stephen ssał pierś, a Susannah wodziła wzrokiem od osoby do osoby. Poza nią i jeszcze jednym członkiem wspólnoty wszyscy obecni na tarasie byli kierownikami działów albo ich zastępcami.

Byli w Świątyni legendą i Susannah znała niemal każdego.

Wychudzony mężczyzna z palcami żółtymi od nikotyny nazywał się Saul i kierował wydziałem, w którym pracowała — Biurem Spraw Specjalnych. Po jego bokach siedzieli zastępcy — Antonio, Belinda i Jane, odpowiedzialni za Badania, Sprawy Operacyjne i Bezpieczeństwo.

Wieruszka, kochanka Solange'a, kobieta tak pełna seksu, że Tommy „czuł jej zapach przez pokój”, odpowiadała za Rekrutację.

Poza nią i szefami Spraw Specjalnych na tarasie znajdowali się kierownicy i zastępcy kierowników Bankowości i Komunikacji oraz szefowie Administracji, Służb Technicznych i Działu Prawnego. Susannah znała ich funkcje, nie znała jednak imion — przynajmniej nie wszystkie.

Była wśród nich jedna osoba, którą widziała po raz pierwszy i która nie należała do ich grona: ubrany w ciemny garnitur z białą koszulą z krawatem mężczyzna, wyglądający na Azjatę — może Koreańczyka? — stojący poza ich kręgiem i w milczeniu im się przyglądający.

— Co z rodzicami? — spytał Solange.

Belinda odwróciła się do siedzącego obok niej pod ścianą najwyraźniej znudzonego cherlawego młodzieńca, który był ich prawnikiem.

— Fred...?

— Wiedzą, że tu jest — odparł młodzieniec — ale nic nie mogą zdziałać. Nie musi się z nimi widzieć, nie musi z nimi rozmawiać. Ma dwadzieścia trzy lata. Poza tym mam poświadczony notarialnie oświadczenie, że nic złego mu się nie dzieje; to znaczy będę miał, jak je wydrukuję.

— Sądysz, że podpisze to oświadczenie?

— Podpisał je pięć lat temu, kiedy wszedł do personelu. Każdy coś takiego podpisuje, i to niejeden raz. Wystarczy tylko wpisać datę i treść.

— Doskonale — powiedział Solange, po czym klasnął w dłonie i odwrócił się na pięcie. — Kto następny? Avram! Co masz dla nas?

Avram, szef Służb Technicznych Świątyni, był zezowatym rosyjskim emigrantem z paskudną łuszczycą. Zdjął okulary i zaczął je czyścić skrajem koszuli, a potem odchrząknął i mrużąc oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza, spojrział w kierunku Solange'a. Uśmiechnął się.

— Możemy zaczynać — oznajmił. Solange był wyraźnie zaskoczony.

— Żartujesz chyba...

— Nie, choć sprawa nie była prosta. Od niemal ośmiu miesięcy pracujemy tylko i wyłącznie nad tym. Mieliśmy problemy z temperaturą. A także z kompetencjami i dyscypliną jednej lub dwóch osób z personelu. — Przerwał i popatrzył na zebranych na tarasie ludzi. — Czy zdajecie sobie sprawę, jaki to problem, kupić dwadzieścia tysięcy zapłodnionych jaj, nie ściągając uwagi FDA*?

Solange i reszta roześmieli się.

— Ale poradziliśmy sobie — dodał Avram. — Już jutro możemy zacząć szczepienie. Kiedy zechcesz.

Solange na chwilę zamknął oczy.

— A Dama? — spytał.

Avram założył okulary na nos i zamrugał, by wyostrzyć wzrok.

— Dama jest silniejsza niż kiedykolwiek. Ładnie się replikuje.

— Silniejsza niż kiedykolwiek? To teoria, prawda?

Avram pokręcił głową.

— Nie. To fakt.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Ponieważ przeprowadziliśmy testy — nie w naturze, ale w laboratorium. Wyniki się powtarzają. Zwiększyliśmy pięciokrotnie odsetek śmiertelności.

— W jaki sposób?

Avram przekrzywił głowę i popatrzył na Solange'a.

— Mam to wyjaśnić technicznie?

— Nie, po prostu powiedz, co zrobiliście.

Avram wzruszył ramionami.

— W październiku zrobiliśmy mapę genomu. Od tego momentu próbowaliśmy znaleźć sposób na to, by — jak to powiedzieć? — uczynić wirus niewidzialnym... no, niemal niewidzialnym... dla układu odpornościowego.

— I co?

— Udało się.

— Jak?

Avram westchnął, dumny ze swego osiągnięcia, najwyraźniej jednak nie miał ochoty wyjaśniać laikom, w jaki sposób tego dokonał.

— Za pomocą metody prób i błędów. Stwierdziliśmy, że usunięcie pewnego fragmentu DNA powoduje wydzielanie przez wirus związku, który maskuje jego immunogeny, ukrywa je przed limfocytami B. To tak, jakby otoczyć wirus teflonem. Receptory kwasu siałowego nie mogą się wtedy z nim związać, a bez tego nie ma reakcji odpornościowej. W rezultacie przez połowę czasu wirus rozwija się w niekontrolowany sposób.

— Co sprawia, że odsetek śmiertelności...

— Wynosi ponad pięćdziesiąt pięć procent.

* FDA (Food and Drug Administration) — Komisja do spraw Żywności i Leków (przyp. tłum.).

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. W końcu ciszę przerwał Solange:

— Znakomicie! Jutro zaczynamy szczepienia. Wszystkich na terenie posiadłości, tak? Avram skinął głową.

— Zorganizuję to.

Solange potrząsnął głową, by odrzucić włosy, które opadły mu na oczy.

— A pan Kim? — spytał, składając dłonie jak do modlitwy i kłaniając się ceremonialnie Azjacie.

— Mogę mieć zestaw dla niego w ciągu dwóch dni — powiedział Avram, drapiąc się po karku.

— Znakomicie! — stwierdził Solange, dziko się uśmiechając. — Może być, panie Kim? Koreańczyk tępo patrzył na niego, nie rozumiał ani słowa.

— Dwa dni — powiedział powoli Solange, wyciągając w górę dwa palce. — A potem... — przekrzywił dłoń i wyrzucił ją w górę — Pyong-yang!

Kim uśmiechnął się i radośnie pokiwał głową.

— A co z naszymi ludźmi za granicą? — zapytała Wieruszka. — Mam w Rosji, Izraelu, Francji i jeszcze chyba w dwóch miejscach ludzi zajmujących się naborem. Mówię o personelu. Co z nimi? Sprowadzimy ich do domu?

Zanim Solange zdążył odpowiedzieć, Belinda oświadczyła:

— Taniej będzie, gdy ktoś do nich pojedzie. Jeśli dasz mi listę miejsc, gdzie przebywają, jeszcze tego samego dnia wyślę drogą lotniczą kurierkę. Możemy wszystkich zaszczepić w ciągu tygodnia.

Wieruszka zmarszczyła czoło.

— Sądziłam, że... może powinniśmy ściągnąć ich do domu. Jak ta kurierka przedostanie się przez cło?

— Damy jej poświadczony notarialnie dokument, że ma cukrzycę — odparła Belinda. — Umieścimy szczepionkę w ampułkach na insulinę. Nie sędzę, by ktokolwiek ją niepokoił.

— Znakomicie — przerwał im Solange — ale teraz przejdźmy do następnego punktu programu. — Uśmiechnął się, odwrócił do Susannah i wyciągnął do niej rękę.

Jej serce na moment przestało bić. Stephen odsunął główkę od piersi i przez chwilę sądziła, że zacznie płakać. Podała małego Belindzie, wstała i poprawiła bluzkę.

— Boże, ale ty wspaniale wyglądasz! — zawołał Solange. — Spójrz na siebie! Jesteś piękna!

Policzki Susannah zapłonęły i spuściła oczy.

— Saul... dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona tak wygląda, co? Po co mam sekcję wywiadu, jeżeli trzymasz przede mną w ukryciu takie tajemnice? — Solange objął Susannah ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Przysyłam ci raporty — odparł Saul z uśmiechem. — Belinda je parafuje.

— Wiem, ale w przyszłości chcę mieć także zdjęcia. Czytałem raporty i wiem, czego ta dziewczyna dokonała. Zamierzam zmienić jej nazwisko na „Bond”. Dobrze? Susannah Bond. Może być, *cher*?

Susannah skinęła głową, zażenowana tyloma skierowanymi na nią spojrzeniami i podniecona dotykiem ramienia Solange’ a.

— Mówię wam, ta dziewczyna jest niesamowita! Gdybym wam zdradził, co zrobiła, musiałbym was pozabijać! — Roześmiał się i wszyscy mu zawtórowali. — Nie żartuję. Nawet mnie to przeraża!

Kolejny wybuch śmiechu.

— Ale... jest pewien problem — dodał po chwili. Serce Susannah znów się zatrzymało.

— J-jaki problem?

Solange z żalem pokręcił głową.

— Chłopak.

Susannah nagle zrozumiała, dlaczego się tu znalazła, pojęła, co było nie tak. Wstępując do Świątyni, rezygnowała się z posiadania dzieci, ponieważ ludzie... jak określał to Solange? — „przerzucali się”. Jak przertzuty raka rozpowszechniali się po całym świecie. Jak robaki. Na tym właśnie polegał największy problem, choć...

— Ale...

— Ciii! — szepnął Solange i przycisnął ją mocniej. Nie wiedziała, że jest taki silny. — Żadnego tłumaczenia się. Powiedziałem ci, *cher*: jesteś bohaterką! Zawsze będziesz bohaterką, więc nie spieprz sprawy. Zgoda?

Skinęła głową.

Puścił ją i podszedł do drewnianej skrzynki, której Susannah dotychczas nie zauważyła. Podniósł pokrywkę i wyjął pęk przezroczystych, plastikowych worków na śmieci. Zaczął rozdawać po jednym siedzącym wokół ludziom.

Susannah również wyciągnęła rękę, ale Solange pokręcił głową.

— To nie dla ciebie, *cher*. Dla nich. Podszedł do Belindy, wziął od niej Stephens, podniósł go wsadził do plastikowego worka. Zakręcił torbą i zawiązał ją.

— Weź to — powiedział i podał worek Belindzie. Susannah zamurowało. Stała bez słowa, wsłuchując się w tłumione przez plastik krzyki. Mały rzucał się w środku, rozgrzewając zamknięte w worku powietrze i sprawiając, że przezroczysty plastik robił się mleczny. Ugięły się pod nią kolana, ale Solange złapał ją za rękę i przytrzymał.

— Musisz być silna — oświadczył. — To dla małego ważne, *cher*. — Odwrócił się do pozostałych. — No dobrze: wszyscy oprócz Susannah i pana Kima.

Zgromadzeni na tarasie ludzie jeden po drugim zakładali torby na głowę i zaciągali je przy szyi. Przerażona Susannah patrzyła, jak torby się wydymają, potem ściśle oklejają policzki i nosy i po chwili znów się wydymają.

Solange wrócił do drewnianej skrzyni, sięgnął do środka i wyjął dwie pary rękawic bokserskich. Jedną parę rzucił Susannah i dał jej znak, by je nałożyła, drugą wziął sobie.

— To skomplikowany problem — zaczął, nakładając rękawice. — Ziemia, która jest matką, jest święta. Tak samo jak życie. To nasza religia. To aksjomat i wiemy, że nie da się go podważyć. Wiemy jednak także, że zabijamy Ziemię — ty i ja — zabijamy zarówno ją, jak i jej dzieci — miliony gatunków, które tworzy. (Nie przejmuj się zawiązywaniem, *cher*, po prostu włóż ręce do środka). Wybiliśmy dziury w atmosferze, zatruliśmy wody gruntowe, zepsuliśmy ziemię, zamieniliśmy lasy w śmietniki. Te torby być może pomogą ci zrozumieć, jak Ziemia się czuje, jak to jest dusić się w plastiku, dławić się wydzielanymi przez siebie gazami. Kiedy w przyszłości ci powiem, że cywilizacja to morderstwo, może to sobie przypomnisz — powiedział Solange i klasnął rękawicami.

— Mogę wypuścić Stephena? — zapytała Susannah. — To chyba dla niego nie najlepsze...

— Ależ *cher*, w tym właśnie tkwi sedno. On też nie jest najlepszy dla nas, rozumiesz? Przecież tak samo jak i ja wiesz, na czym polega problem, prawda? Chodzi o populację. Jest nas zbyt wiele, a ty dałaś nam kolejnego drapieżnika do nakarmienia. Co sobie przy tym myślałaś? Czym myślałaś?

Susannah pokręciła głową. Solange stał między nią a Stephenem i nie widziała małego.

— Gdyby to był dzieciak kogokolwiek innego, *cher*, utopiłbym go jak kociaka. Dla przykładu. Jest jednak twój, więc powiem ci, co zrobimy: będziemy się o niego boksować! Jedną rundę. Trzy minuty. Jeśli utrzymasz się na nogach do końca rundy, będziesz go mogła uratować, *cher*. Jeśli nie, to cóż... zostanie tam, gdzie jest.

— Ale... nie mogę. Nie wiem, jak się boksuje — jęknęła z rozpaczą.

— Nauczę cię. Najważniejsze to ciągle się poruszać, rozumiesz? Inaczej to marnowanie czasu.

Susannah skinęła głową.

— No to zaczynajmy. Uderz. Dawaj, *cher*. Tak jak mówiłaś: to dla niego chyba nie najlepsze.

Machnęła ręką w jego kierunku, a Solange odsunął się z gracją, jednocześnie spoglądając na zegarek.

— Start. Ale nie tak grzecznie. Uderzaj przeze mnie, nie we mnie, *cher*. Dawaj!

Wiedziała, jak należy się bić — wychowała się z trzema braćmi, a jeden z nich był niezłym byczkiem. Nie umiała się jednak skoncentrować na Solange'u. Musiała się z całej siły powstrzymać, by nie skoczyć do Belindy i...

Nagle zobaczyła gwiazdy. Solange trafił ją lewym prostym w sam środek czoła i poprawił prawym sierpowym, po którym przed jej oczami roziskrzyła się chmura gwiazd. Zatoczyła się do tyłu, zaskoczona i oszołomiona. Brat nigdy jej tak nie uderzył.

— Trzymaj ręce wyżej, *cher*, i podejdź bliżej mnie. Mam większy od ciebie zasięg ramion. Dawaj! Myśl! Wejdź między moje ręce.

Czuła w ustach smak krwi, a oczy piekły ją od łez. Co on powiedział o staniu? O trzymaniu się na nogach? O Stephenie?

Solange uderzył lewym prostym, który przyjęła na bark, potem prawym, ale odskoczyła.

— Dobrze! Zostały jeszcze dwie minuty!

Powiedział, że zostanie tam, gdzie jest. Że zostawi go w worku.

— Nieźle — stwierdził Solange — ale musisz wejść między moje ręce, *cher*, inaczej będzie cię bolało. Jestem dla ciebie za wysoki.

Okrażała go, próbując utrzymać dystans, nie bardzo jej się to jednak udawało. Dorskakiwał do niej i uderzał seriami, objając jej ramiona.

— Nigdy nie uciekaj, kiedy jesteś atakowana, *cher*. To ważna lekcja. Jeżeli ktoś do ciebie doskakuje, atakuj. Inaczej... — Przerwał w pół zdania i wymierzył trzy szybkie ciosy, które poluzowały jej kilka zębów i sprawiły, że usta wypełniły się krwią. Zaraz potem skręcił się w biodrach i uderzył ją w brzuch — z taką siłą, że odniosła wrażenie, jakby próbowano precyzyjnie przecisnąć przez nią słup telegraficzny.

Nagle uświadomiła sobie, że klęczy, podpierając się rękami, niezdolna oddychać, kaszląc z bólu.

— Minuta dwadzieścia! — powiedział Solange, stojąc nad nią. — Wstawaj albo doliczę czas, kiedy nie walczysz!

Nie mogła oddychać, ale zrobiła, co kazał: odepchnęła się od betonowych płyt i chowając głowę, rzuciła się w jego ramiona. Zaskoczyło go to, więc wykorzystwała okazję i dwa razy uderzyła, za drugim razem trafiając go w szczękę.

Przytrzymała go potem, najmocniej jak umiała, splatając ręce za jego plecami. Zatoczyli krąg i zobaczyła twarze członków Świątyni, oddychających w plastikowych torebkach i obserwujących ją uważnie. Czegoś jednak brakowało i po chwili — rozpaczliwie usiłując przytrzymać znacznie silniejszego Solange'a — dotarło do niej, co to takiego: mały Stephen nie wrzeszczał.

— Trzydzieści sekund, *cher!* Nie zawieźdź mnie!

Trzymała go najmocniej, jak umiała, nagle jednak skręcił ciało i odskoczył od niej. Zaczął polować na jej głowę — uderzał w usta, nos, podbródek, policzki, zadawał cios za ciosem, obsypując jej oczy gwiazdami i przypalając twarz uderzeniami.

Ledwie stała, trzęsąc się i bujając na drżących kolanach. Powoli uniosła rękawice do policzków, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze ma twarz. Jak przez mgłę zobaczyła, że kręci prawym ramieniem niczym szykujący się do rzutu miotacz drużyny softballu albo bokser z filmu rysunkowego, zamierzający zadać cios, który pośle jego przeciwnika w kosmos.

Solange nagle się roześmiał, zrobił krok do przodu, po czym objął ją ramionami i uniosł w górę, jak pan młody na weselu.

— Nieźle, *cher*, całkiem nieźle. — Odwrócił się do pozostałych, uśmiechnął chytrze i krzyknął: — Czemu macie torby na głowach? Tacy jesteście brzydzy? Zdejmujcie je! Co za głuptasy...

Torby zostały zerwane z głów i wszyscy równocześnie buchnęli śmiechem, po czym zaczęli ciężko dyszeć. Pan Kim zaklaskał, a Susannah padła na kolana przy Stephenie i zakrwawionymi palcami zaczęła gorączkowo szarpać plastik.

Chwilę potem chłopiec był w jej ramionach. Darł się wniebogłose, a ona była tak szczęśliwa, że rozplakała się i patrząc z uwielbieniem na Solange'a, myślała jedynie: dziękuję dziękuję dziękuję...

26

— Wrócę o piątej — powiedziała Annie. — Zadzwonisz, jeśli gorzej się poczujesz, dobrze? Obiecujesz?

Frank siedział na fotelu w salonie Annie, przed telewizorem, w którym szedł program Today. Z początku wydawało mu się, że Katie Couric mówi głosem Annie, choć wiedział, że to nie może być prawda.

— Frank?

Zmarszczył czoło i pochylił się do telewizora. Katie nadal mówiła, ale jej słowa potrzebowały bardzo dużo czasu, by dotrzeć do jego mózgu. Miał wrażenie, że ogląda zagraniczny film z kiepskim dubbingiem.

— Wszystko w porządku?

Odwrócił się do Annie. Jej słowa również zdawały się docierać do niego z niewielkim, ale znaczącym opóźnieniem — jakby rozmawiał przez telefon z Tokio.

— Jasne — odparł, odwracając się znów do telewizora. Katie Couric powiedziała coś, co zabrzmiało jak „poppadom z krokodyla”*

** Poppadom — hinduskie cienkie prażone lub smażone placki z mąki soczewicowej (przyj. tłum.).*

— Może nie powinnam iść do pracy? Mówię poważnie.

— Nic mi nie jest.

I nagle, jakimś cudem, wślizgnął się do jednego z pęcherzy jasności umysłu — powrócił do stanu, który uważał za „normalny”. Lekarze zapewnili go, że przez kilka najbliższych dni efekty narkotyku będą słabnąć, „epizody” będą się pojawiać coraz rzadziej i przez coraz dłuższe okresy będzie się czuł dobrze. Niedługo całkiem wróci do zdrowia i — choć możliwe będą nawroty.

— Na pewno? — spytała Annie. Była gotowa do wyjścia do pracy — miała na sobie swój „strój przedszkolanki”. Pochyliła się, by go pocałować, i wtedy pociągnął ją ku sobie. Lekko jęknął, gdy poczuł na sobie jej ciężar.

— Nie idź... czuję się dziwnie...

— Frank...

— Niech ci będzie. Uciekaj.

Po tym jak go zatruto, trafił na oddział psychiatryczny w Georgetown. Personel szpitala wiedział, jak sobie poradzić z człowiekiem dręczonym przez gwałtowne halucynacje. Frank zaatakował sanitariuszy, którzy przyjechali po spanikowanym telefonie Annie, co pamiętał jako rozpaczliwą próbę ucieczki przed ludźmi, którzy zamierzali rozerwać go na kawałki. Kiedy na pomoc sanitariuszom przyjechał radiowóz, zaatakował także policjantów, wrzeszcząc jak szaleniec. Jego saaba ściągnięto ze środka Columbia Road, gdzie spowodował potężny zator, który długo jeszcze będzie się pamiętał.

Niemal cały dzień zajęło Annie przekonywanie przedstawicieli władz, że Frank jest ofiarą przestępstwa, a nie ćpunem, którego należy oskarżyć o napaść na policjanta. Skonfiskowano saaba i zebrano z niego odciski palców, a skórzaną osłonę kierownicy zdjęto i wysłano do laboratorium.

Teoria była taka, że narkotyk — szybko ustalono, że chodzi tu o używany do celów wojskowych związek, zwany BZ — został podany w dwumetylosulfotienku, czyli DSMO. Jest to rozpuszczalnik przemysłowy, czasem stosowany przez sportowców jako supermazidło, które wnika bezpośrednio do krwiobiegu. Używa się go także jako nośnika do podawania leków — albo trucizn — przez skórę.

Po czterech dniach na oddziale psychiatrycznym przeniesiono Franka do normalnej sali, a po kolejnych dwóch dniach pozwolono mu iść do domu — jednak przedtem naszprycowano go środkami uspokajającymi, by złagodzić działanie tego, co w historii jego choroby określono jako „mimowolne ostre zatrucie lekowe”.

Odczuwał jeszcze skutki przytrzymywania siłą przez czterech dorosłych mężczyzn, ale przynajmniej już nie sikał krwią. Poczłapał do łazienki, czując się jak starzec, spryskał twarz wodą i popatrzył na siebie. Pierwszego dnia po „incydencie” jego gęba wyglądała jak mielonka. Teraz opuchlizna już znikła — poza okolicą jednego oka, gdzie skóra wyglądała jak namoczona i nabrała karmazynowej barwy. Z paseczkami indygo. W zagłębieniu nad

podbródkiem miał szwy, którymi załatano dziury, jakie sobie zrobił, gdy przegryzł dolną wargę.

Poza ranami na twarzy miał pęknięte dwa zębra — w miejscu, gdzie jeden z jego wybawicieli nieco za mocno przykleknął. Zaszynowano mu też i obandażowano kciuk i palec prawej ręki, bo próbując uciec przed sanitariuszami, wybił palcami szybę w kuchennym oknie.

Uważał, że skoro choć na chwilę odzyskał jasność umysłu, powinien trochę popracować. Powoli zaczął się wspinać na schody prowadzące do pokoju Annie. Pisanie uszkodzoną ręką na maszynie czy poruszanie komputerową myszą było żmudnym zadaniem, ale wykonalnym. Praca na laptopie (Annie przyniosła mu go z domu) okazała się niemożliwa.

Poprzedniego dnia wydrukował wywiad z Tomem Deerem — i teraz, czekając, aż komputer Annie się uruchomi, przeglądał tekst.

Deer: Nie można nią nikomu grozić. Możesz jej jedynie użyć i czekać, aż zarażą się ptaki. Potem w takich miejscach jak Chiny pojawia się fala zwiastunowa i BUM! — za chwilę grypa jest już wszędzie!

Frank zabębnił palcami w stół.

Deer: Nie w tym jednak problem, a w tym, że wszyscy zarażają się grypą. To największe zagrożenie, jakie ze sobą niesie. Nie da się opanować choroby po wybuchu, gdyby więc użyć grypy jako broni, można by zabić miliony ludzi — dziesiątki milionów.

W tym momencie Frank przypomniał sobie, co Deer powiedział pod koniec rozmowy. Jak on się wyraził? Zajrzał ponownie do tekstu.

Deer: ...gdyby ktoś chciał się zemścić... gdyby był wściekły na cały świat...

WŚCIEKŁY NA CAŁY ŚWIAT. Im więcej Frank dowiadywał się o Świątyni Światła — a przynajmniej o jej przywódcy — tym bardziej oczywiste stawało się, że jest to ugrupowanie „wściekłe na cały świat”. Nie miał wątpliwości, że dla Solange’a zabicie dziesiątków milionów ludzi oznaczało wielki krok naprzód w realizacji jego celu — naprawienia szkód, powstałych w wyniku „rozplenienia się gatunku, który oszalał”. Tym gatunkiem była oczywiście ludzkość.

Komputer Annie zagrał melodyjkę Windowsów i Frank włączył edytor tekstu — swój ulubiony: XyWrite.

Poprzedniego wieczoru spędził kilka godzin w sieci, surfując po stronach mających związek ze Świątynią Światła. Wszystko, co znalazł, zebrał w pliku o nazwie PRZEGLĄD.

Świątynia/Solange

„Le Monde”: Świątynia Światła została założona w Lozannie na początku lat 70. Pierwotna nazwa: Académie des Recherches et de la Connaissance des Hautes Sciences — ARCH. 1979: dwóch członków sekty wrzuca bombę do katedry w Einsiedeln, protestując przeciwko papieskiemu zakazowi przerywania ciąży. 1980: członek

zgromadzenia zostaje oskarżony o zamordowanie (zastrzelenie z przejeżdżającego samochodu) dyrektora szwajcarskiego urzędu nuklearnego. Inne incydenty to połączone z przemocą ataki na organizacje ekologiczne, zdaniem Solange'a „niewystarczająco bojowe”. Po niewyjaśnionej śmierci liberalnego polityka, który nazwał Solange'a „bakcylem nienawiści w ruchu Zielonych”, ARCH i jej przywódca znikają z widoku publicznego.

Dwa lata później organizacja pojawia się ponownie w San Francisco jako Świątynia Światła, nowa „religia”, propagowana przez Luca Solange'a.

„U.S. News & World Report”: Solange „stworzył przedziwną mieszankę mistycyzmu i ekologii na użytek wykształconych wyznawców”. Osoby, które zajmowały się rekrutacją nowych członków Świątyni, były „szczególnie aktywne na kampusach wydziałów nauk ścisłych i inżynierskich kilku najlepszych uniwersytetów Ameryki”.

Pod nagłówkiem PIENIĄDZE ŚWIĄTYNI Frank wypisał, jak zwróciły się koszty rekrutacji naukowców: spore sumy przynosiła sprzedaż produktów linii Eco-Vita, znaczące były także tantiemy, uzyskiwane ze zdobytych przez Świątynię patentów. Najbardziej lukratywnymi patentami Świątyni — przynoszącymi około dziesięciu milionów dolarów rocznie — były techniki mikrokapsulacji, udostępniane koncernom farmaceutycznym. Zacytował Annie:

Adair (5.12.98.): „Mikrokapsulacja to zamykanie małych cząstek w samoniszczących się ochronnych powłokach, pozwalających czynnym biologicznie związkom przetrzymać warunki, które by je zniszczyły — na przykład działanie kwasu żołądkowego lub wysokie temperatury”.

Ziewnął i zmarszczył czoło. Jego koncentracja była do dupy — przyplýwała i odpływała jak słaby sygnał telefoniczny. Pomyślał, że powinien skontaktować się ze Sternem.

Próbował — zadzwonił do niego trzy razy, ale naukowiec nie oddzwonił. Musi koniecznie sprawdzić, co się z nim dzieje. W końcu podano mu narkotyk pod jego domem, więc dziewczyna, która to zrobiła, musiała wiedzieć, u kogo był.

Nie chciał jednak do niego jechać — był zbyt zmęczony i nie mógł się skoncentrować. Sprawdzi jutro, może pojutrze i upewni się, czy wszystko jest w porządku...

Policja skończyła badać samochód trzy dni temu i poprzedniego wieczoru zadzwonili do niego, że może go zabrać z policyjnego parkingu. Urzędnik poinformował go, że za przechowanie będzie musiał zapłacić po dwadzieścia dolarów za dobę — licząc od poniedziałku. Dochodziła do tego jeszcze opłata za holowanie. Frank nie mógł uwierzyć własnym uszom — czuł się, jakby go napadnięto i obrabowano.

W czwartek jego oko wyglądało niemal normalnie, zdjęto mu też szwy z wargi. Ponieważ nie stanowił już zagrożenia ani dla siebie, ani dla otoczenia, odebrał saaba.

Kiedy Annie pojechała do Atlanty na coroczny zjazd specjalistów od grypy, który nazywała „grypową naradą”, pozostawanie w jej mieszkaniu bez niej wydało mu się dziwne, wrócił więc do siebie. Indu przez cały czas trzymała się na dystans — według Annie

wynikało to stąd, że drugiej nocy po tym, jak u niej został, przez pomyłkę wszedł do jej pokoju i wpakował się jej do łóżka.

To, jak trafił do łóżka Annie i jak zostali kochankami — zagubiło się we mgłę otulającej jego pamięć i możliwe, że miało tam pozostać na zawsze. Czasem przeblyskiwał jakiś epizod z tego, jakiś okruch wspomnienia. Raz czy dwa przypomniawszy mu się jej pochylona nad nim zatroskana twarz, rozświetlająca się nagłą radością, kiedy mówił: „Annie...”. Pamiętał, jak przykładła mu do czoła mokry ręcznik, pamiętał też, jak kładła się obok niego i jej ciepłe ciało dotykało jego ciała. Inne wspomnienia były zamazane i rozplływały się. Potem dwa razy wspomniawszy o ich „pierwszym razie” — raz patrząc na niego przepelnionymi szczęściem oczami, drugi raz z frywolnym chichotem. Tylko się wtedy uśmiechnął, bo pytania wszystko by popsuiły. Poza tym wyobrażenie sobie tego było zabawne — choć dekoncentrowało. Ale pamiętał, że w łóżku Annie była zaskakująco pozbawiona zahamowań i namiętna — przynajmniej na tyle, na ile pozwalały jego rany.

Stern w dalszym ciągu nie odpowiadał, więc Frank, wracając z policyjnego parkingu, zajechał pod jego dom.

Nie zastał go, nie zauważył jednak niczego, co by wskazywało, że stało się coś złego. Nie było stert gazet czy listów. Zapukał do drzwi obok.

Otworzył mu chudy Murzyn w okularach w drucianych oprawkach. Nie, nie widział ostatnio Sterna.

— Musiał wyjechać, bo nie słyszę muzyki. Uwielbia tę swoją muzykę. Moim zdaniem za bardzo.

— Czy prosił pana kiedyś... bo ja wiem... o podlewanie mu kwiatów, zabieranie poczty czy coś w tym stylu?

Sąsiad Sterna popatrzył na Franka zdumiony.

— Ben nie ma kwiatów. Nie należy do ludzi, którzy lubią kwiaty. Jest miłośnikiem muzyki. O poczcie nic nie wiem. Ma chyba skrytkę. — Przyjrzał się Frankowi. — Jak dobrze go pan zna?

— Nie za bardzo — przyznał Frank. Murzyn zrobił palcem kółko przy skroni.

— Ben jest nieco niezwykły — powiedział. W domu na automatycznej sekretarce Franka były dwie wiadomości od Annie.

Cześć, Frank, jestem w Atlancie. Dzwonię, ponieważ... dzieje się coś dziwnego i pomyślałam, że może... w każdym razie w różnych miejscach kraju doszło do dziwnych wybuchów grypy — dziwnych, bo pora jest nietypowa. Nie zastanawiałam się nad tym zbyt, dopóki się tu nie znalazłam. To archiwalna grypa... Chcę przez to powiedzieć, że... rany, szkoda, że cię tu nie ma, nienawidzę rozmawiać z maszynami. W każdym razie to, co się dzieje, nie może być naturalne, ponieważ...

W tym momencie automatyczna sekretarka jej przerwała.

Draga wiadomość brzmiała następująco:

Chodzi o to, że nie ma możliwości, by grypa pojawiła się w czterech różnych miejscach naraz! Jest jeszcze coś... — Frank usłyszał, jak Annie wzięła głęboki wdech i westchnęła. — Nie, to zbyt frustrujące. Wracam jutro. Porozmawiamy na miejscu.

Ponownie odsłuchiwał obie wiadomości i zasepił się. Co, do diabła, miała znaczyć ta „archiwalna grypa”?

Następnego dnia, o pierwszej, zastał Annie w domu.

— Właśnie rozmawiam przez telefon — powiedziała i poszła do kuchni. Podążył za nią. — Spójrz na to — rzuciła przez ramię, wskazując leżące na stole papierzyska. — Jeszcze nie — powiedziała do słuchawki. — Wracam do laboratorium, jak tylko złapię trochę oddechu.

Papierzyska okazały się dwoma wydaniem biuletynu o nazwie TRZŚ, wydawanego przez Centrum Kontroli Chorób. Frank domyślił się, że tytułowy skrót oznacza „Tygodniowy Raport o Zachorowalności i Śmiertelności”.

Pod hasłem OBSERWACJE I RAPORTY EPIDEMIOLOGICZNE znajdowała się dłuższa notatka:

FALE GRYPY TYPU A

KALIFORNIA. 18 kwietnia Kalifornijski Wydział Zdrowia rozpoczął dochodzenie dotyczące pojawienia się przypadków ostrego schorzenia płucnego, zaobserwowanych w strefie metropolitalnej Los Angeles przez lekarzy nadzoru medycznego, ośrodki pomocy w nagłych wypadkach oraz personel szpitalnych izb przyjęć. W okresie 4—11 kwietnia zanotowano 1395 przypadków, z których w 1011 wystąpiła temperatura ponad 37,8°C oraz kaszel. Pacjenci byli w wieku od 34 do 99 lat. 67 osób hospitalizowano, u 9 stwierdzono radiologicznie objawy zapalenia płuc. Pojawienie się podobnych objawów zostało stwierdzone przez pracowników 27 ze 142 ośrodków, mających obowiązek składać raporty epidemiologiczne. U wielu pacjentów stwierdzono niezwykle przedłużanie się fazy ostrej oraz upośledzenie fazy powrotu do zdrowia.

Badanie wirusa za pomocą dostarczonych przez CDC odczynników, używanych do badania szczepów grypy w latach 1997/98, nie pozwoliło na jednoznaczną identyfikację. Chorym podawano amantadynę.

Annie pisała coś na kartce.

— Może wieczorem — powiedziała do telefonu. — Jeśli będę miała szczęście. Jasne, w dzień albo w nocy.

Frank przeglądał TRZŚ, koncentrując się na opisach dotyczących pojawienia się grypy. Poza Kalifornią podobną sytuację zaobserwowano w Waszyngtonie, Madison w stanie Wisconsin i Daytona Beach na Florydzie.

— Dzięki, Ozzie. Oczywiście. — Annie odłożyła słuchawkę i opadła na krzesło naprzeciwko Franka. Wyglądała na bardzo zmęczoną. — Zupełnie nie wiemy, co robić. Nie mamy dość amantadyny, by zabezpieczyć mieszkańców Waszyngtonu, nie wspominając już o...

— O czym ty mówisz? Wygląda przecież jedynie na to, że ileś tam osób dostało grypy. Nie może to być „nasza” grypa, bo nie przebiega tak ciężko. Nikt nie umarł. Więc... o co chodzi?

— Masz rację, to nie „nasza” grypa. Jeszcze nie. Ale ci, co zachorowali, nie „dostali” po prostu grypy. W kwietniu ta choroba jest rzadkością, a w maju — wtedy pojawiła się w Wisconsin i na Florydzie — czymś zupełnie wyjątkowym. Tylko dlatego zwróciliśmy na to uwagę. Po pierwszym wybuchu w Los Angeles nawet nie sprawdzono, czy na pewno chodzi o grypę. Gdyby wszystko miało miejsce miesiąc albo dwa wcześniej, wcale byśmy się nie domyślili, że po kraju krąży nietypowy zarazek.

— Co miało znaczyć, że ci ludzie nie „dostali” po prostu grypy?

— Chorują na archiwalną grypę. Właśnie to chciałam ci powiedzieć przez telefon.

— Nie bardzo rozumiem...

Annie wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Przed chwilą rozmawiałam z przyjacielem z CDC. Większość z nas ma dostęp do genomycznej bazy danych, w której zapisane są sekwencje nukleotydów szczepów grypy — dzięki temu możemy sprawdzać, co krąży w powietrzu, robić badania porównawcze i wyodrębniać kolejne mutacje. Właśnie przyszły wyniki badań z Wisconsin i Florydy i są zgodne z tym, co znaleźliśmy w Los Angeles i okolicy Waszyngtonu. Wszyscy ludzie, którzy zachorowali w czterech różnych miejscach, mają grypę genetycznie identyczną ze szczepem zwanym... — przerwała i popatrzyła na leżącą obok telefonu kartkę — A łamane przez Pekin łamane przez dwa i przez osiemdziesiąt dwa. — Rozłożyła ręce. — Takie rzeczy nie dzieją się same.

— Co to jest A łamane przez Pekin...?

— To szczep grypy, na który po raz pierwszy natknięto się w Chinach, w lutym osiemdziesiątego drugiego roku. Teraz pojawił się u nas, a jest to po prostu niemożliwe, Frank. Grypa stale mutuje. To jej główna cecha: niestabilność. Mutowanie. Nie da się uzyskać dokładnej repliki szesnastoletniego szczepu.

— Ale tak się stało.

— Dla CDC jest to absolutnie niezrozumiałe. Po wybuchu choroby w Los Angeles sądzono, że doszło do przypadkowego wydostania się wirusa z jakiegoś laboratorium, i epidemiolodzy sprawdzili wszystkie możliwe ośrodki badawcze, by znaleźć winowajcę.

— Co masz na myśli?

— Wirusolodzy, laboratoria farmaceutyczne, epidemiolodzy czy producenci materiałów do szczepień czasami mają do czynienia ze starymi szczepami grypy. Niekiedy dochodzi do wypadku i zarazek się uwalnia. To się zdarza. Takie było też logiczne wyjaśnienie fali chorobowej w Los Angeles — dopóki ten sam szczep nie pojawił się w Waszyngtonie. Potem znaleziono go w Wisconsin i na Florydzie.

— A jeśli ludzie zakażeni w Los Angeles lecieli samolotem? Nie wyjaśniałoby to przeniesienia się choroby?

— Nie, ponieważ gdyby było, jak mówisz, mielibyśmy znacznie więcej małych ośrodków choroby. Prawdopodobnie takie małe ośrodki też są, ale nic o nich nie wiemy, bo ludzie nie chorują na tyle poważnie, by rzucało się to w oczy. Nie mamy sezonu grypowego, więc większość przypadków diagnozuje się jako zwykłe infekcje dróg oddechowych. Ale te duże wybuchy... — wzięła do ręki TRZŚ — nie zostały spowodowane przez zakażonego nosiciela ani nawet przez samolot pełen nosicieli. Popatrz na raport z Madison: w ciągu tygodnia mieli dwa tysiące osiemset zachorowań. Ta fala nie zaczęła się od pojedynczych przypadków, które się namnażały, lecz BUM! — wszystko pojawiło się naraz. Na Florydzie jest podobna liczba przypadków i pojawiły się tak samo. Popatrz na doniesienia z Waszyngtonu: niemal cztery tysiące przypadków!

— To dużo?

— Tak, dużo. Bardzo dużo. A to tylko czubek góry lodowej, bo większość ludzi z łagodnym przebiegiem choroby nie zwraca się o pomoc do lekarza.

— Więc z czym mamy do czynienia?

— Z testami!

— Testami? Z jakimi testami?

— Testują metody rozpowszechniania wirusa.

— Słucham...?

Annie wskazała na TRZŚ.

— W ten właśnie sposób określili, jaka metoda jest najskuteczniejsza. CDC co tydzień zamieszcza te wyniki w Internecie, więc Świątynia nawet nie musiała robić własnych obliczeń. Wystarczyło, że przejrzeni TRZŚ, i już wiedzieli, która z ich metod przyniosła najlepsze wyniki. — Wzięła do ręki biuletyny i potrząsnęła nimi. — Zwycięzcą jest.. Waszyngton!

— Jak udało im się rozprzestrzenić wirusa?

— Jest mnóstwo sposobów. Trzeba tylko rozproszyć go w powietrzu — używając samolotu, samochodu, można też zrzucić pojemnik z dachu. — Westchnęła. — Wystarczy wprowadzić go do powietrza, by ludzie zaczęli go wdychać. Nie mam pojęcia, co robić. Może gdybyśmy umówili się z Gleasonem...

— Pewnie. Ciekawe tylko, dlaczego ta myśl nie daje mi poczucia bezpieczeństwa. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnim razem zagroził nam oskarżeniem o zdradę stanu.

— Gdybyśmy jednak opowiedzieli mu, czego się od tamtego czasu dowiedzieliśmy, pokazali te TRZŚ, a ja porozmawiałabym z doktorem K. i namówiła go, by z nami poszedł... — Annie popatrzyła w sufit. — Pokażę doktorowi K. konia... logo Świątyni. Pamięta go z Kopervik. Doktor jest tak jak wszyscy inni zaskoczony tymi wybuchami grypy. Jeżeli Gleason nie zechce wysłuchać mnie, może wysłucha doktora K. Może też wysłucha Sterna— Ben mógłby nam pomóc wyjaśnić co nieco na temat Świątyni.

— Wygląda na to, że Stem wyjechał.

— Mimo to warto spróbować z Gleasonem. — Popatrzyła na zegarek. — Pojadę do laboratorium i rzucę okiem na próbkę, którą przywiozłam.

— Po co?

— Ponieważ jest w niej coś dziwnego.

— To znaczy?

Wzięła do ręki TRZŚ.

— Gdzie to jest...? O, tutaj: „U wielu pacjentów stwierdzono niezwykle przedłużanie się fazy ostrej oraz upośledzenie fazy powrotu do zdrowia”. Oznacza to, że stan wielu ludzi nie poprawiał się tak szybko, jak powinien. Objawy utrzymywały się zbyt długo. Świadczy to o tym, że albo coś pozwala się utrzymywać objawom, albo powstrzymuje układ odpornościowy przed zadziałaniem. Tak, jakby wirus zakamuflowano.

— To możliwe?

Zamknęła oczy, ale po chwili je otworzyła.

— Obawiam się, że ten, kto to zrobił, zmanipulował genomem, by zahamować odpowiedź immunologiczną. W przypadku A łamane przez Pekin... nie jest to wielki problem, bo szczep był łagodny, ale jeżeli zrobili to samo ze szczepem z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku...

— Co takiego?

Patrzyła na niego w milczeniu.

— Annie... Co jest?

— Niemal każdy, kto na tę gripę zachoruje, umrze — powiedziała w końcu. — Jedynym skutecznym przeciwdziałaniem byłoby pełne uodpornienie. — Znowu zamilkła na chwilę, zaraz jednak się uśmiechnęła i zamachała ręką. — Prawdopodobnie przesadzam. Może grypa pekińska po prostu należała do szczepów, które trudno się leczy, a nie mieliśmy wystarczających danych, żeby ją zbadać, bo przebiegała łagodnie. Muszę jednak rzucić na to okiem... dla upewnienia się. — Klapnęła dłonią w TRZŚ. — To były na pewno testy.

— Zadzwońię do Gleasona — oświadczył Frank.

Wracając od Annie, zatrzymał się przy „Mixtecu” i kupił coś do jedzenia. Czekając, aż Annie wróci z laboratorium, mógłby wydrukować notatki o Świątyni. Zamierzał sporządzić zwięzły raport, przedstawiający łańcuch wydarzeń i dowodów — coś, czego nawet Gleason nie będzie mógł zignorować.

Jeżeli jednak nic z nim nie osiągną, pójdą do FEMA*. Zadzwońią do Toma Deera. Muszą coś zrobić. Cokolwiek.

Drzwi jego mieszkania były otwarte.

Z początku pomyślał, że może ich nie zamknął. Wszedł do pomieszczenia, które było zarówno sypialnią, jak i pracownią. Natychmiast się zorientował, że coś jest nie tak. Klawiatura stała na miejscu, monitor stał na miejscu, drukarka stała na miejscu — ale brakowało samego komputera. Zniknął też laptop. Szafy na akta były puste. Zniknął napęd ZIP. Nie było ani jednej dyskietki — przepadło całe archiwum.

— Kurwa... — jęknął i stał bez ruchu przez kilkanaście sekund, zastanawiając się, jak wielką część życia mu ukradziono. Nie martwił się o aktualną pracę — przynajmniej nie przede wszystkim, bo większość danych miał na zapasowych dyskietkach w lodówce — ale o wszystko inne. O prywatne listy. O dziennik. Książkę z adresami. Dane podatkowe.

W jego piersi narastała wściekłość. Było to prymitywne uczucie, przypominające reakcję psa albo wilka, który po powrocie do legowiska poczuł zapach intruza. Gdyby Frank był psem, zacząłby szaleć.

Zamiast tego zrobił to, czego nauczono ludzi z końca XX wieku: podszedł do telefonu, by zawiadomić policję. Nic to oczywiście nie da, ale po prostu należało to zrobić — było to rutynowe działanie. Dwa lata temu, kiedy ukradziono mu telewizor i sprzęt stereo, zadzwonił na policję nie dlatego, że istniała szansa, by odnalazła sprzęt — ale dlatego, że towarzystwo ubezpieczeniowe uzależniało wypłatę odszkodowania od przedstawienia dokumentu o jej zawiadomieniu.

Dopiero gdy sięgał po słuchawkę, dotarło do niego, że nie był to zwykły rabunek, ale kradzież informacji — nie tknięto jego telewizora, monitora, sprzętu muzycznego ani kolumn głośnikowych. W tym samym momencie wiedział już, kto jest sprawcą.

Kiedy podnosił słuchawkę, coś uderzyło go w potylicę i zwałił się na podłogę. Padając, zahaczył głową o stolik, na którym stał telefon, i przed oczami zobaczył fontannę iskier.

** FEMA (Federal Emergency Management Agency) — istniejąca od 1979 roku niezależna agencja rządowa, której zadaniem jest .umniejszanie strat w ludziach i dobrach materialnych oraz zabezpieczanie podstawowej infrastruktury kraju przed wszelkimi typami zagrożeń poprzez kompleksowy, skoncentrowany na czynnikach ryzyka program działania w sytuacjach wyjątkowych” (przyp. tłum.).*

Sekundę później siedział na nim mężczyzna — czuł jego oddech. Uniesiono mu głowę, przyciśnięto dłoń do ust i zatkano nos wilgotną szmatą. Poczłł słodki, szpitalny odór — mógł to być tylko chloroform.

Bił wokół pięściami i wił się, próbując strząsnąć z siebie napastnika, ale po kilku sekundach znieruchomiał i wstrzymał oddech.

Wydawało mu się, że leży bez ruchu bardzo długo, choć w rzeczywistości nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund. Jego płuca gwałtownie domagały się powietrza, serce łomotało, jednak po chwili wyczuł, że mężczyzna się rozluźnia. Minimalnie, ale wystarczająco.

Błyskawicznie skręcił się jak sprężyna i wbił czoło w twarz przeciwnika z taką siłą, że tamten padł na plecy, rozrzucając ręce na boki. Frank skoczył na nogi, by go kopnąć, jednak mężczyzna odtoczył się na bok i wstał.

Frank przyjrzał mu się: czarne dżinsy, czarny T-shirt, płowe włosy i okrągła twarz z jaskrawą plamą krwi wokół nosa i ust. Znów skoczył na niego, ale spowolnił go ból w żebrach, który nie pozwalał mu się wyprostować. Intruz dobiegł do drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem, wrzasnął: „Claude!” — po czym wyskoczył na zewnątrz i zatrzasnął drzwi.

Frank złapał za klamkę, jednak nie dała się poruszyć. Tamten trzymał ją od zewnątrz i drzwi nie chciały się otworzyć. Sekundę później zostały pchnięte z taką siłą, że Frank nie zdążył uskoczyć i dostał ich brzegiem prosto w czoło. Poturlał się do tyłu i ujrzał w szeroko otwartych drzwiach zakrwawioną twarz mężczyzny, który go napadł, a za nim drugiego intruza — wrzeszczącego jak szaleniec. Powietrze wypełniał smród chloroformu.

Do przodu popchnął go strach, ale uratował futbol. Frank wiedział, jak uderzać. Błyskawicznie namierzył twarz pierwszego napastnika, postać z tyłu i szmatę z chloroformem, pochylił nisko głowę i skoczył do przodu.

Jego atak całkowicie ich zaskoczył. Stracili równowagę i zatoczyli się na skraj podestu schodów. Frank pchał dalej i cała trójka zaczęła spadać, objijając sobie głowy i płacząc kończyny.

— Hej, co tu się dzieje?! — rozległ się nagle głośny wrzask.

Intruzi ledwie spadli na dół, już stali na nogach. Skoczyli ku frontowym drzwiom i odepchnęli na bok Carlosa — sąsiada Franka — rozrzucając jego zakupy.

— Hejjj! — wrzasnął jeszcze raz Carlos.

Frank podciągnął się na poręczy i wybiegł na ulicę, było już jednak za późno. Zobaczył jedynie, jak obaj mężczyźni wskakują do czarnej furgonetki, zaparkowanej „na trzeciego” kilkadziesiąt metrów dalej. Ruszył biegiem w nadziei, że zbliży się na tyle, by dostrzec tablice rejestracyjne, ale auto ruszyło i zaczęło się oddalać, ostro przyspieszając.

— Jezus, Maria... — jęknął.

Wyszedł do niego Carlos. W rękach trzymał główkę sałaty i ciężko oddychał.

— Frank... co ta się dzieje? — spytał.

Ozzie Vilas wykonał większość prac przygotowawczych i Annie była mu za to bardzo wdzięczna.

Mikroskop elektronowy widzi pole o boku mniej więcej jednej milionowej milimetra. Wirusy są niezwykle małymi tworam — w jednym przecinku mogłyby się ich zmieścić miliony. W tkance albo krwi są jednak rozproszone, poza tym ich liczba zależy od fazy zakażenia. Tak więc, aby móc obejrzeć wirus bez frustrującego, długiego poszukiwania, hoduje się kultury wirusowe — często w warstwach komórek pobranych z nerek koczkodana zielonego i koncentrowanych za pomocą wirówki. Czasami wirusy replikuje się przy użyciu metody zwanej PCR.

Próbka wirusa, którą Ozzie dostarczył doktorowi Kicklighterowi, została skoncentrowana i zgranulowana, a potem materiał wirusowy rozproszone żywicą. Powstałe w ten sposób maleńkie, twarde granulki umieszczono w rurkach, które zapakowano w bawełnę i zamknięto w metalowym pojemniku namalowanym na zewnątrz znakiem, informującym o zagrożeniu biologicznym.

NIH miał do dyspozycji wielu techników, wyspecjalizowanych w pracy z mikroskopem elektronowym, przygotowywaniu rastrów oraz szukaniu patogenów. Annie często korzystała z ich usług, bo nie lubiła spędzać czasu na szukaniu elektronicznych „odcisków stóp”, jakie zostawiają wirusy. Sam mikroskop był ogromny — jak pół budki telefonicznej — i zawsze stał w osobnym pomieszczeniu w piwnicy. Z powodu konieczności zapewnienia mu całkowitego bezruchu pomieszczenie to było grubo izolowane i zabezpieczone systemem rozpór. Tego właśnie Annie najbardziej nie lubiła — było to „martwe” wnętrze i czuła się w nim jak zamknięta w słoju lub pogrzebana żywcem.

Pochowała swoje rzeczy w gabinecie i odbyła żmudną procedurę ubierania się przed kontaktem z zaraźliwym czynnikiem. Kiedy skończyła, położyła na specjalnej podstawie granulkę, uruchomiła diamentowe ostrze przecinarki i odkroiła z zawierającej wirus kulki kilka płatków o grubości mierzonej w angstromach. Urządzenie położyło je na jezioru płynu. Teraz następowała trudniejsza część — należało złapać maleńki, okrągły raster, który miał być włożony do mikroskopu, i spróbować umieścić na nim jedną z próbek zawierających wirus. Raster był maleńką płytką o średnicy mniej więcej trzech milimetrów, z naniesioną siatką do oglądania. Sztuka polegała na tym, by złapać malutką pęsetą zaokrąglony brzeg rastra i zgarnąć nim któryś z unoszących się na powierzchni płynu płatków z wirusem — tak by dokładnie przyłgnął do powierzchni siatki. Annie przyglądała się pływającym skrawkom — szukała tych, które złoto pobłyskiwały. Złote były najcieńsze, więc najlepsze. Im cieńszy płatek, tym bardziej prawdopodobne było, że uda się z niego wyizolować próbkę wirusa.

Do krawędzi płytki przyczepiły się dwie próbki i musiała je zdjąć. Trzecia rozerwała się, kiedy próbowała wciągnąć ją na raster. Podczas kolejnego podejścia zaczęła w najgorszym momencie kasłać — akurat wtedy, gdy umieściła raster pod cieniutkim złotym płatkiem. Oczywiście straciła go i potrzebowała jeszcze trzech prób, by coś złapać. Jezu, miała już dość tej grypy...

Wreszcie mogła zobaczyć, jak to cudo wygląda. Umieściła raster w „skrzynce”, wsunęła ją do mikroskopu i włączyła urządzenie. Niemal godzinę zajęło jej znalezienie tego, czego szukała, a kiedy już znalazła i powiększyła obraz, znów na chwilę straciła swój obiekt z oczu. Gdy wreszcie ponownie go znalazła, zmarszczyła czoło.

Wirus grypy przypomina kulę, z której powierzchni wystaje mnóstwo kolców i gruzełków. Kolce to antygeny, hemaglutynina i neuraminidaza, przyczepiające się do śluzowatych membran wewnątrz dróg oddechowych. W każdym szczepie wirusa mają one inny kształt. Jeżeli układ odpornościowy został uczulony na określony szczep w wyniku wcześniejszego zarażenia albo podania szczepionki, immunoglobuliny rozpoznają kolce, przyczepiają się do nich i neutralizują je. Jednak w próbce, którą Annie miała przed sobą, kolce były... dziwne. Nie przypominały żadnej próbki grypy, jaką kiedykolwiek oglądała. Wyglądały maziowato i były niewyraźne, jakby powierzchnię białka pokrywał lepki żel.

Pokręciła głową. Czasem, siedząc przy mikroskopie, człowiek nie do końca był pewien, co ogląda. Obiekty robiły się wyraźniejsze na wydrukach — zaczęła więc przygotowywać mikrografię. Niektóre z nowszych urządzeń były podłączone do komputera, co pozwalało na zapamiętywanie serii obrazów, kolorowanie ich oraz dokonywanie na nich różnych manipulacji, poprawiających czytelność. Czas pracy przy tego typu urządzeniach był jednak ściśle limitowany — niczym czas obserwacji przez sławny teleskop. Annie pracowała na starym sprzęcie, umożliwiającym zrobienie negatywu na szklanej płycie. Potem można było wykonać pozytyw w taki sam sposób, w jaki wykonuje się normalne zdjęcia — za pomocą powiększalnika. Zrobiła kilka pozytywów — CDC z pewnością zechce dostać jeden egzemplarz — i powiesiła je, zabierając jedną fotografię do swego gabinetu. Chciała porównać obraz z mikrografiami A/Pekin/2/82, zmagazynowanymi w bazie danych.

Weszła do głównej bazy danych NIH i zaczęła się przebijać przez archiwum wirusów grypy. Wpisała nazwę i czekała, aż pojawi się obraz. Ponieważ jej komputer był stary i powolny, trwało to wieczność. Kiedy pojawiła się fotka A/Pekin/2/82, Annie znów pokręciła głową. Wirus był identyczny z tym, którego przed chwilą badała, a jednak inny. Obraz na ekranie monitora był ostry i wyraźny, nie rozmazany jak ten, który miała w mikroskopie. Struktura była jednak taka sama. Annie nic nie rozumiała. Wcisnęła kilka klawiszy i zrobiła wydruk.

Ozzie dał jej slajdy z przeprowadzonych na wirusie testów immunofluorescencyjnych. W ten właśnie sposób identyfikowano większość szczepów grypy. Poddawano próbki działaniu przeciwciał ze znanych szczepów, które znakowano markerami radioaktywnymi, powodującymi ich fluorescencję. Kiedy pod mikroskopem fluorescencyjnym przeciwciała z konkretnego szczepu spotykały antygeny tego samego szczepu, wirus rozświecił się, zapalał jak neon.

W tym przypadku było jednak całkiem inaczej — i wyglądało to bardzo dziwnie. Rozbłysło kilka fragmentów wirusa, ale bardzo słabym, ledwo widocznym światłem. Powinno też być znacznie więcej cząsteczek. Wszystko wskazywało na to, że części wirusa są niewidzialne dla przeciwciał, a nawet jeśli są widzialne, efekt markerowy jest znacznie osłabiony.

Annie pobiegła do gabinetu doktora K. — i zaczęli na zmianę oglądać próbki Ozziego pod mikroskopem fluorescencyjnym. Doktor K. chciał się upewnić, czy pierwszy oglądany

skrawek nie był anomalią. Ale obraz powtórzył się — zamiast gęstej chmury jasnych gwiazdek zobaczyli rzadko rozrzucone, ciemnawe punkciki.

— Niech mnie cholera... — mruknął Kicklighter. — Zupełnie jakby coś powstrzymywało receptory przed przyczepieniem się do antygenów.

Przeciwciała ze znanych szczepów były znakowane — fluoryzująca reakcja miała miejsce, kiedy znajdowały one specyficzne dla siebie antygeny i przyczepiały się do nich.

W tym przypadku antygeny istniały, ale przeciwciała się z nimi w nie wiązały.

— No właśnie — powiedziała Annie. — Myślę, że to sprawka tego... mazidla. Odpycha limfocyty B.

— Nic dziwnego, że ludzie tak długo chorują. Myślisz, że ktoś specjalnie je tam wprowadził, by nie dopuścić do odpowiedzi immunologicznej?

— Albo po to, by ją opóźnić. Widzimy słabe światełka, więc może limfocyty B też w końcu się połapią.

— Może...

— Przypomina mi to odrę — oświadczyła Annie.

Wirus odrę jest wirusem RNA, strukturalnie podobnym do zarazka grypy, i tak samo jak ten, który właśnie oglądali, powoduje wytwarzanie przez limfocyty B immunoglobuliny.

Kiedy razem z doktorem K. przeprowadzili telekonferencję z Ozziem i innymi pracownikami CDC, Anie była wykończona. Nie mogła powstrzymać ziewania. Rozumiała teraz, dlaczego grypa, którą złapała, tak długo się ciągnęła — na skutek zahamowania odpowiedzi immunologicznej jej organizm reagował jak przy AIDS.

Gdy spakowała aktówkę, doktor Kicklighter rozmawiał jeszcze przez telefon. Zapukała we framugę drzwi i machnęła mu ręką na pożegnanie. Odpowiedział takim samym gestem, nie podnosząc głowy.

Przed chwilą rozmawiali o konieczności zawiadomienia FBI i doktor — choć niechętnie — zgodził się w końcu towarzyszyć Annie i Frankowi. Znacznie bardziej interesowały go naukowe implikacje odkrycia, a nie bardzo uświadamiał sobie, co dziwne wirusy mogą oznaczać w kontekście planów Świątyni.

— To niesamowite... — mówił właśnie do słuchawki — wygląda to tak, jakby wirus wydzielał teflon. Chętnie bym się dowiedział, jak tego dokonano, bo gdyby udało się sprawę odwrócić i nasilić odpowiedź immunologiczną...

Idąc do samochodu, Annie czuła ogromne zmęczenie i choć noc była ciepła, dygotała z zimna. Umieszczone wysoko na słupach ołowiowe lampy wykrawały w ciemności stożki światła. Z Wisconsin Avenue i Beltway dolatywał odgłos ruchu ulicznego, przypominający daleki szum morskich fal. Resztki energii, jakie jej jeszcze pozostały, Annie zużyła w laboratorium i przejście przez ogromny, niemal pusty parking NIH było jak pokonanie pustyni. Z ulgą dotarła do samochodu. Chciała już tylko dojechać do domu i wejść do łóżka.

Kiedy stała przed głównym wyjazdem, z którego skręcało się na Wisconsin Avenue, nagle najechano na nią od tyłu. Gwałtowne uderzenie szarpnęło jej ciałem w przód. Metal zazgrzytał o metal. Pas bezpieczeństwa napiął się maksymalnie i po sekundzie odrzuciło ją do tyłu.

Dostała „w dupę”.

O, nie... tego tylko jeszcze brakowało. Odpięła pas, by wysiąść i ocenić uszkodzenia. Jeśli są poważne, będą wymagały spisania numeru polisy ubezpieczeniowej sprawcy, a może nawet wezwania policji.

Młody człowiek, który na nią najechał, już wysiadł i przyglądał się z rozpaczą zgniecionemu zderzakowi jej samochodu. Miał na głowie odwróconą daszkiem do tyłu czapkę baseballową.

— O rany... — jęknął. — Stary mnie zabije.

Zderzak samochodu Annie był skrzywiony i wygięty, tablica rejestracyjna wisiała na jednej śrubie, a na asfalcie leżały kawałki plastiku z rozbitego tylnego światła.

— Przepraszam panią... ja... po prostu... — Chłopak stał bezradnie przed Annie, kręcąc głową. Przy jego wielkiej czarnej furgonetce honda wyglądała jak mikrus. Jej lewe tylne koło zostało chyba zablokowane przez połamany zderzak.

Młodzian podszedł bliżej.

— Myśli pani, że trzeba wzywać policję?

— Raczej tak.

Podjechał do nich samochód U-Haula. Z okna kierowcy wychylił się rudy mężczyzna.

— Może w czymś pomóc?

Nie czekając na odpowiedź, wysiadł i dołączył do nich.

— No, no... — mruknął, przyglądając się hondzie. — Nieźle ją przygwoździłeś — dodał, zwracając się do chłopaka.

— Ale... bo...

W tym momencie mężczyzna z U-Haula objął Annie, blokując jej ramiona, przycisnął ją mocno do siebie i przytknął jej do ust i nosa wilgotną, słodko pachnącą szmatę. Z przerażeniem zobaczyła, że tylne drzwi ciężarówki otwierają się. Zaczęła się szarpać, ale po sekundzie znalazła się w środku samochodu. Był tu ktoś jeszcze. Drzwi się zatrzasnęły, a Annie zapadła w otchłań.

Jeden gliniarz był wysoki, drugi niski — wyglądali jak Mutt i Jeff * i Frank zastanawiał się, który udaje dobrego, a który złego, jeżeli postanowią się w to bawić.

— Jest pan ubezpieczony? — spytał Mutt. Przyglądał się drzwiom i ryglom.

Frank potwierdził.

— W takim razie radzę zmienić zamki. Na pewno przekroczy to sumę minimalnego odpisu, poza tym zazwyczaj zwracają tego typu wydatki. — Podał Frankowi kawałek kartki, na której był napisany numer, jaki przydzielili sprawie. — Jeżeli ma pan możliwość ustalenia numerów seryjnych — mam na myśli komputer — proszę je nam przekazać, choć marne szanse, by kiedykolwiek zobaczył pan swoje zabawki. Rozkładają je na kawałki jak samochody. Za tydzień płyta główna pańskiego komputera będzie w Hongkongu, a twardy dysk w Meksyku. — Kiwnął głową swojemu partnerowi i ruszyli do wyjścia.

— To wszystko? — zdziwił się Carlos. — Na tym koniec? Zebraliście odciski palców, rozmawialiście z Frankiem, odpylaliście go, a co ze mną? Chcę złożyć oświadczenie! Jeżeli ci ludzie zostaną kiedyś złapani, chcę ich pozwać!

* Mutt i Jeff — klasyczny amerykański komiks, którego bohaterami są dwaj mało rozgarnięci policjanci: wysoki chudzielec z wielkimi wąsami i mały tysoy z brodą (przyp. tłum.).

Frank był znudzony, gliniarze byli znudzeni, ale Carlos był bardzo podekscytowany. Wysoki policjant — ten, którego Frank nazywał w myślach „Jeffem” — popatrzył na Carlosa.

— Że co?

— Chcę, by skorzystano z usług rysownika policyjnego. Chcę, by rozesłano rysopis tych ludzi. Kiedy nadejdzie czas, chciałbym wziąć udział w konfrontacji. Jestem świadkiem, który może potwierdzić wasze zarzuty.

Mutt skrzywił się.

— Ogląda pan za dużo telewizji, panie...

— Carlos — wtrącił się Frank — panowie policjanci chyba...

— Rubini — z emfazą przedstawił się Carlos, ignorując Franka. — Nazywam się Carlos Rubini. Zachowujecie się, jakby to było zwykłe włamanie, ale to coś znacznie poważniejszego. To była próba porwania. Bardzo poważne przestępstwo. Musicie coś zrobić. Jako obywatel amerykański nie jestem zadowolony z waszego podejścia. Popatrzcie na tego człowieka.

Wskazał palcem swojego sąsiada. Frank co prawda zdążył się umyć, ale mimo to wyglądał, jakby uczestniczył w ulicznej burdzie. Okolica jego prawego oka zaczynała już czernieć, a spadając ze schodów, rozerwał sobie szwy na kciuku i palcu wskazującym. Był to w tej chwili jego główny problem. Rękę miał owiniętą ręcznikiem i choć był to już trzeci, krew w dalszym ciągu się przesączała.

Wysoki gliniarz rzucił Frankowi spojrzenie, zdające się mówić: „ten facet jest naprawdę niesamowity”.

— Pan Daly zaskoczył tych drani w trakcie włamania — powiedział. — Nie mieli chyba żadnej broni. Prawdopodobnie jeden z nich nosił ukradzione przedmioty do samochodu, który — ponieważ jesteśmy w Adams-Morgan, a przy krawężniku stoi na trzeciego masa innych samochodów — parkował nie przed samym wejściem, ale sto metrów dalej. Włamywacz B nosi więc towar do wozu, a włamywacz A dalej kręci się po mieszkaniu i zastanawia, co by tu jeszcze skubnąć. Pan Daly wraca do domu, więc złodziej znajdujący się w środku chowa się do szafy. Tak moim zdaniem mogło się to odbyć. Kiedy pan Daly sięga po telefon, by zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, facet wychodzi z szafy. Pasuje, panie Daly?

Frank wzruszył ramionami.

— Brzmi sensownie.

Carlos zmarszczył czoło i wciągnął głęboko powietrze.

— W żadnym wypadku! Dlaczego w takim razie miałoby zabierać mojemu sąsiadowi dokumenty i materiały dotyczące jego pracy?

Niski policjant, który do tej chwili rozmawiał przez telefon komórkowy, popatrzył na Franka podejrzliwie.

— Sierżant dyżurny twierdzi, że nasi koledzy byli u pana kilka dni temu. W związku z narkotykami. Czy to się jakoś łączy z tamtą sprawą?

— „W związku z narkotykami”? — powtórzył z oburzeniem Carlos. — Ten człowiek został zatruty, mógł zginąć!

Mutt wzruszył ramionami i bąknął, że nie zamierzał niczego sugerować.

— Mam taką nadzieję — wycedził Carlos.

— Zabrali pańskie dokumenty i komputer, tak? — spytał Mutt. — Mówił pan, że jest dziennikarzem, prawda?

Frank kiwnął głową.

— Pracował pan nad czymś, co mogło kogoś... zdenerwować?

Frank bardzo chciał, by już sobie poszli. Gliniarze, Carlos — wszyscy. Musiał dostać się do telefonu i sprawdzić, czego Annie dowiedziała się w laboratorium. Potem zamierzał iść do niej i popracować nad raportem dla Gleasona. Pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Piszę tylko artykuł o grypie. Kiedy policjanci poszli, Carlos piskliwym głosem wyraził swoje rozczarowanie.

— Naprawdę, Frank... przecież wiesz, że to nie było zwykłe włamanie. Powiem ci jedno: społeczeństwo ma taki rząd, na jaki zasługuje. — Pokiwał palcem. — Nie powinieneś być im pozwolić wykręcić się sianem. Kto poza nami zmusi ich do tego, by poprawili jakość swojej pracy?

Frank próbował się uśmiechnąć.

— Przepraszam cię, Carlos, i doceniam twoją pomoc. Gdybyś akurat nie nadszedł... ale jestem naprawdę wykończony.

— Porozmawiam z administratorem na temat zamontowania nowego zamka przy drzwiach frontowych. Wesprzesz mnie?

— Jak najbardziej.

— Nie podoba mi się, że każdy może tu ot tak sobie wmaszerować — oświadczył Carlos, po czym wskazał na rękę Franka. — Zawieźć cię na pogotowie? Chyba powinni to zaszyć.

— Nic mi nie będzie. Moja dziewczyna mnie potem zawiezie.

Telefon Annie był zajęty. Frank spryskał twarz wodą i starannie zmył szmatką krew. Wylał sobie na dłoń pół butelki wody utlenionej i patrzył, jak się pieni, zabarwiając się na różowo przy ranach na palcach. Owinął dłoń gazą i zamocował ją plastrem.

Kiedy znów zadzwonił, telefon Annie w dalszym ciągu był zajęty, zszedł więc na dół i pojechał do niej. Jeśli nie będzie jej w domu, Indu wpuści go do środka i zaczeka na nią. Tak też się stało — kiedy zapukał, otworzyła mu współlokatorka Annie. Odsunęła zasłonę i wyjrzała, po czym szybko otworzyła drzwi.

— Annie nie ma — powiedziała ze zmarszczonym czołem. — Trochę się martwię. Wejdz, proszę.

— Martwisz się? Czym?

Gdy znaleźli się w holu, popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— O mój Boże! Co się stało?

Zignorował to pytanie.

— Dlaczego martwisz się o Annie?

Gładka, brązowa twarz Indu znów się zmarszczyła.

— Policja dzwoniła w sprawie jej samochodu.

— Co się stało?

— Znaleźli go na parkingu NIH, porzucony.

Frank miał wrażenie, jakby nagle z pokoju wyssano całe powietrze.

— Porzucony?

— Były na nim ślady zderzenia, ale dlaczego Annie nie wezwała pomocy drogowej? Nie zostawiłaby samochodu. Obawiam się, że została ranna i może leżeć w szpitalu.

— Kiedy to się stało?

— Dzwonili mniej więcej... eee... pół godziny temu.

Następną godzinę Frank spędził przy telefonie. Na początek obdzwonił wszystkie szpitale, ale Annie nie trafiła do żadnej izby przyjęć. Potem obdzwonił różne policje — w Dystrykcie, w Bethesda, Park Police, wydział Marylandu. Nikt nie zgłaszał pod 911 ani żaden inny „zwykły” numer wypadku. Samochód zauważyli ochroniarze NIH i to oni zawiadomili władze.

— Naprawdę się martwię, Frank — powiedziała Indu. — A jeśli ona krąży po okolicy w szoku i nie wie, co się z nią dzieje? A może jest u ciebie?

Zadzwoił do domu. Nie było jej tam, ale może próbowała zostawić mu wiadomość? W czasie walki z włamywaczem słuchawka spadła z widełek, więc jeśli właśnie wtedy dzwoniła, mogła się nagrać na automatycznej sekretarce. Gdy się z nią połączył, neutralny kobiecy głos poinformował go, że ma trzy wiadomości. Pierwsze dwie były od Annie — wcześniejsze chaotyczne informacje z Atlanty o archiwalnej grypie i testach, które zapomniał skasować.

Trzecią wiadomość zostawiono pół godziny temu i kiedy zaczął jej słuchać, włosy na karku stanęły mu dęba. Głos był przetworzony mechanicznie i ze słuchawki dolatywało głucho dudnienie.

Szukasz czegoś? HAHHAHAHA. Po diabolicznym śmiechu sparodiowano wiadomości od Annie z poprzedniego wieczora: *Rany... szkoda, że cię tu nie ma... nienawidzę rozmawiać z maszynami... HAHHAHAHA.* *Umowa jest taka: chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swoją panienkę? To się pojawia, koleś.*

— Co jest? — spytała współlokatorka Annie, kiedy odłożył słuchawkę. — Dzwoniła? Co się stało?

— Chyba została porwana.

— Co?! — krzyknęła przerażona Indu, ale Frank był już przy drzwiach. — Frank! Gdzie idziesz?

Oświadczył, że musi zawiadomić policję o zaginięciu, po czym pobiegł do samochodu. Wskoczył do saaba i próbował uruchomić silnik, ale grat nie chciał zaskoczyć. Cholera jasna! Wściekły, zapominając o ranach na dłoni, walnął z całej siły w kierownicę. Jego rękę przeszył ból, który rozlał się po całym ramieniu — był tak silny, że Frank miał wrażenie, jakby na chwilę przybito go do fotela.

Kiedy nieco zelżał, Frank wyskoczył z auta i puścił się biegiem. Ulice Mount Pleasant i Adams-Morgan były jak zwykle pełne ludzi, kluczył więc między zaniepokojonymi yuppies, zaskoczonymi dziećmi i podenerwowanymi kobietami i przecinał drogę samochodom. Stojący pod McDonaldem żebrak podniósł rękę jak kierujący ruchem policjant i krzyknął: — Hej!

Frank wiedział, że musi dotrzeć do swojego telefonu, zanim zadzwoni ktoś następny i będzie chciał zostawić mu jakąś wiadomość. Skurwiel, który się nagrał ostatni, na pewno zablokował identyfikację numeru dzwoniącego, ale Frank miał system Omnipoint, który pokazywał numer ostatniej dzwoniącej osoby. Na szczęście kiedy dzwonił od Annie, rozłączył się, zanim sekretarka zdążyła się włączyć. Pognał schodami na górę, wbiegł do mieszkania i rzucił się do telefonu. Jest! Kierunkowy 914.

Ruszył do komputera, zamierzając skorzystać ze swojej bazy danych, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież nie ma już komputera.

Sąsiad długo nie chciał go wpuścić, w końcu jednak otworzył drzwi. Carlos miał hopla na punkcie komputerów — miał wszystko co najnowsze i w dwie minuty ustalił, co trzeba.

— To numer w Pouhkeepsie — powiedział swoim piskliwym głosem. — W stanie Nowy Jork. Firma Martin Kramer i Spółka. Mówi ci to coś?

— Oczywiście. Znam faceta. — Frank przypomniał sobie kolację w restauracji „Fernacci’s”. „Para dziwaków — oświadczył Kramer. — Dwulicowi... mieli paranoję... zachowywali się, jakby podejrzewali, że pod dywanami porozkładano im miny przeciwpiechotne”.

— Chcesz adres? — spytał Carlos.

— Dzięki, nie trzeba. Wiem, gdzie on mieszka.

28

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do fedziów, ale z powodu Waco i Ruby Ridge Biuro nie kojarzyło mu się z organizacją, do której można mieć wielkie zaufanie, jeśli chodzi o uwalnianie zakładników. Postanowił spróbować inaczej.

Pół godziny później zamknął paczkę. Włożył do niej dyskietkę z lodówki — ze wszystkimi informacjami, jakie zebrał o Świątyni, o hiszpańskiej grypie i Lucu Solange’u. Był tu także pospiesznie sporządzony na komputerze Carlosa i wydrukowany na jego drukarce materiał, zawierający informacje, których brakowało na dyskietce — o tym, co Annie powiedziała o TRZŚ, o jej podejrzaniach, iż ostatnie wybuchy grypy były testami metod jej rozprzestrzeniania, a także o jej porwaniu i planach Franka na najbliższy czas. Znając sceptycyzm Gleasona, Frank dodał kod swojej skrzynki głosowej, by agent FBI mógł odsłuchać wiadomość od Świątyni.

„Obywatel” Rubini solennie obiecał, że następnego dnia rano dostarczy paczkę do biura Gleasona w Buzzard Point. Niemal sztywniał z podniecenia, kiedy Frank podkreślał, że im mniej wie, tym lepiej dla niego. Frank kazał mu przy oddawaniu paczki upierać się, by Gleason zszedł po nią osobiście. Gdyby akurat nie było go w biurze, Carlos miał powiedzieć, że chodzi o sprawę najwyższej wagi, dotyczącą bezpieczeństwa narodowego, i trzeba natychmiast dostarczyć mu paczkę.

— Nie martw się, zadbam o to, by dotarła do pana Gleasona — oświadczył Carlos z błyszczącymi oczami. — Wiem przecież, że to nie było zwyczajne włamanie. Nie dałem się oszukać.

Frank przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien zorganizować sobie jakiejś broni, szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Broń mogłaby być przydatna tylko wtedy, gdyby miał sprawną prawą rękę. Teraz nawet prowadzenie samochodu było dla niego wyzwaniem.

Postanowił nie męczyć się z saabem. A jeśli rozkraczy się gdzieś po drodze? Znacznie łatwiej jeździłoby mu się automatem. Wziął więc taksówkę na lotnisko krajowe, wynajął samochód i ruszył na północ.

Kiedy dotarł do Delaware, o przednią szybę waliła ulewa. Boczne szyby zaparowały, a auto zachowywało się jak hydroplan. Franka napędzała irracjonalna wiara, że dopóki będzie

szukał Annie i starał się ją uratować, nic jej się nie stanie. Było to życzeniowe myślenie, ale pozwalało mu jechać w ulewnym deszczu coraz dalej i dalej na północ.

Odsuwał od siebie złe myśli i uciszał dudniący w głowie głos Benny'ego Sterna: „Jednego nigdy nie próbowali: zabić mnie... Jestem przekonany, że by to zrobili, gdybym był czymś więcej niż tylko utrapieniem”. Puszczając głośną muzykę i skupiał się na jeździe. Od czasu do czasu mijał go jakiś tir, zalewając mu przednią szybę wodą i odbierając na chwilę widoczność. Ale ponieważ była to jakaś odmiana, która pozwalała zapomnieć o innych zmartwieniach, w tych chwilach niemal cieszył się swoim przerażeniem: nic nie widział, tkwił w tunelu hałasu i gnał w deszcz.

Wjechał do Lake Placid mniej więcej o czwartej rano. Nareszcie przestało padać. Wkrótce znalazł się po przeciwległej stronie miasta, gdzie domy były rzadko rozrzucone, jak na wsi. Starsze stały blisko drogi, nowe wybudowano nieco dalej i dojeżdżało się do nich długimi podjazdami. Raz światło jego reflektorów złapało w polu — tuż przy drodze — grupę jeleni. Stały bez ruchu, a potem nagle rzuciły się pędem w ciemność. Nigdzie nie widział świateł — wszystkie domy były jak zaciemnione. Na żadnej werandzie nic się nie paliło, w żadnym oknie nie migotała niebiesko telewizja. Deszcz przestał padać i okolica błyszczała w świetle tłustego księżyca, rzucającego na sfalowany teren upiorny blask. Od wyjazdu z gęsto zabudowanego terenu Frank nie spotkał ani jednego samochodu. Pustka ciążyła mu i zdawało mu się, że jest sam na świecie. Wszyscy umarli...

Minął biały domek, który pamiętał z poprzedniej wizyty w Świątyni. W głębi widać było prowadzącą do posiadłości bramę. Zjechał na pobocze i po kilku podskokach na nierównej trawie zatrzymał się. Strażnik w wartowni przy bramie z pewnością widział każdy samochód, który przez nią przejeżdżał, ale można ją było obejść, bo wokół posiadłości nie było muru.

Frank nie miał żadnego planu działania. Gdzieś — w jakiejś odległości od bramy — wejdzie w las, ale co dalej? Nie miał pojęcia. Poszuka Annie. Znajdzie ją i zabierze do domu.

Pobiegł w bok od drogi — był tak naszprycowany adrenaliną i pobudzony, że słyszał pulsowanie krwi w uszach. Wszedł między drzewa. Światło księżyca migotało, drzewa były srebrne i czarne.

Był to stary i dobrze utrzymany las, więc nietrudno się nim szło. Ziemia, pokryta warstwą igieł, była miękka i gąbczasta. Panowała taka cisza, że słyhać było jakieś stukanie i cykanie owadów (a może to ptaki?), niekiedy przemykało obok jakieś zwierzę.

Po jakimś czasie drzewa zrobiły się grubsze i las zgęstniał. Szło się znacznie wolniej, trzeba było wymacywać drogę, a gałęzie smagały po twarzy. Nagle Frank znalazł się na polanie — nie, na parkingu! Pod jego stopami zachrząścił żwir. Księżyc właśnie zaszedł, ale dało się dostrzec pozbawione barw samochody, starannie poustawiane wzdłuż jednego z boków prostokąta. Było nich coś wrogiego — przypominały żuki w twardych skorupkach. Frank popatrzył na zegarek: była 5.10. Od parkingu odchodziła żwirowa ścieżka, znikająca między drzewami.

Wszedł na nią i wkrótce znalazł się na następnej polanie. Tym razem była to łąka. Po prawej stronie widać było jaśniejsze niebo — pierwszy bladobrzoskwiniowy zwiastun świtu albo blask nad jakimś większym osiedlem. Frank minął staw i kort tenisowy. Dalej stały białe domki, za którymi majaczyło kilka większych kształtów. Kiedy podszedł bliżej, okazały się budynkami z cegieł.

OBÓZ.

Rozpoznając to, co początkowo wydawało się w ciemności bardzo tajemnicze, poczuł taką ulgę, że niemal głośno wypowiedział to słowo. Nagle wszystko stało się wyraźne, odzyskało właściwe wymiary. Przypomniał sobie, że Stern wspominał o starej, prywatnej szkole czy czymś w tym rodzaju. Wchodził teraz w górę zbocza, gdzie ścieżka się rozszerzała, tworząc drogę. Kiedy znalazł się na szczycie wzniesienia, niemal westchnął na widok nowoczesnego kompleksu ze szkła i stali — była to fabryka z magazynami i budynkami administracyjnymi. Wszystko było wielkie, czyste i z pewnością kosztowało masę pieniędzy — mały, ukryty w lesie kompleks przemysłowy. Dobiegał stamtąd cichy pomruk maszyn i metaliczny stukot. Wszystkie części kompleksu były oświetlone — cały teren emitował chłodny, fluoryzujący blask. Między budynkami były wytyczone drogi. Przy rampie załadunkowej magazynu stało kilka wielkich ciężarówek — na ich białych bokach pyszniły się słońca i napisy ECO-VITA.

Jak na razie Frank nie dostrzegł ani jednego człowieka, czuł jednak, że są tu ludzie, prawdopodobnie pracują we wnętrzu kompleksu. Może produkują wirusa? Mimo opinii Toma Deera, że produkcja wirusa jest mniej więcej tak samo trudna, jak upędzenie beczułki domowej gorzałki, Frank miał ukrytą nadzieję, że członkowie sekty nie są do tego zadania przygotowani technicznie. Jednak na widok ich „fabryczki” ta nadzieja znikła.

Za stalowo-szklanymi budynkami rosły dalsze drzewa. Za nimi, wysoko na wzgórzu, stał duży dom ze staromodnymi, okrągłymi lampami, znaczącymi wijący się podjazd. Posiadłość.
Chez Solange.

Frank chciał ominąć budynki, musiał więc wejść z powrotem między drzewa. Kiedy je okrążył, niebo wyraźnie pojaśniało. Mógł teraz na szczęście iść szybciej i wkrótce znalazł się w lesie między fabryką i posiadłością. Rosły tu stare świerki, każdy pień był prosty jak ołówek. Z drzew przy posiadłości poobcinano dolne gałęzie i szło się jak pod zielonym baldachimem. Nigdzie nie było leżących, martwych pni — teren był utrzymany jak park. Frank oparł się o drzewo, by złapać oddech.

Usłyszał cichy terkot i uniósł głowę. Od wejścia w las słyszał go już wiele razy — i był przekonany, że należy do nocnego leśnego życia, więc jedynie odruchowo uniósł głowę. Nie spodziewał się niczego ujrzeć — a jednak ujrzał.

To, co zobaczył, sprawiło, że niemal zatrzymało mu się serce. Ujrzał maleńkie czerwone światełko kamery. Kiedy jej się przyglądał, poruszyła się lekko, korygując kąt widzenia. Z cichutkim pomrukiem obróciła się kawałeczek w prawo, zatrzymała, a potem przesunęła się w lewo.

Frank poczuł, że uginają się pod nim nogi.

Choć nie było wiadomo, czy kamery mają czujniki podczerwieni, ich towarzyszący mu od początku terkot oznaczał, że obserwowano go od chwili wejścia na teren posiadłości,

Ale kamery obserwacyjne nic nie znaczą, jeżeli siedzący przy nich człowiek nie zwraca na nie uwagi, pomyślał. Na pewno nie wróci teraz do samochodu. Zamierzał znaleźć Annie i wyciągnąć ją stąd w jakiś sposób. Musi być jakiś sposób.

Postanowił trzymać się z dala od wypielegnowanych trawników wokół domu Solange’a. Zamierzał iść skrajem lasu, gdzie światło było lepsze. Chciał przemknąć się obok posiadłości i rzucić na nią okiem.

Nagle znalazł się w kręgu światła reflektora — skąpany jaskrawością, oślepiony.

Kobięcy głos powiedział:

— Proszę wyjść na polanę i trzymać ręce na widoku.

Skuto mu ręce i nogi i wrzucono do pokoiku oświetlonego słabą żarówką u sufitu. Było w nim tylko wiadro na ekskrementy. Ledwie znalazł się w środku, zgaszono światło.

Nie potrafił określić, jak długo tkwił w tym pomieszczeniu, nie miał możliwości oceny wpływu czasu. Wydawało mu się, że przetrzymywano go przynajmniej przez dobę — ale kto wie, jak było naprawdę? Cienki paseczek światła wokół drzwi przez cały czas pozostawał taki sam. Musiał tu jednak przebywać dość długo, bo zdążył zgłodnieć i bardzo chciało mu się pić. Kilka razy się budził — i znów wpadał w stan zdezorientowanego odrętwienia, które szybko zaczęło mu się bardziej podobać od pełnej świadomości. Zaczął się martwić, że albo o nim zapomniano, albo pozostawiono samemu sobie, by umarł.

W końcu jednak drzwi się otworzyły i z blasku wyszło dwóch uzbrojonych ludzi. Dali mu wody, po czym zabrali go do innego pomieszczenia — zupełnie innego.

— Mogę zaproponować panu coś do picia? — spytał Solange. — Wygląda pan, jakby bardzo się to panu przydało.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy stojącym na wspaniałym bucharskim dywanie dębowym bibliotecznym stole, w pokoju całym w drewnie. Sufit zdobiły kunsztowne kasetony, a półki z książkami, do których można było się dostać za pomocą drabin na kółkach, sięgały do samego sufitu. Pod jedną ze ścian stał szereg niskich komód, nad nimi biegły wielodzielne okna. W dużym kominku wesoło trzaskał ogień. Pokój miał dwoje drzwi — ze środkiem z bursztynowych szybek — nad którymi znajdowały się okna w kształcie wachlarza. Przy drzwiach — po obu ich stronach — stali strażnicy: przy każdym kobieta i mężczyzna, ubrani w granatowe dzinsy i białe koszule. Wszyscy czworo trzymali w rękach broń — według Franka były to pistolety maszynowe Ingram. Jest to mała, ale bardzo skuteczna broń. Żaden z wartowników ani razu nie spojrzał na Franka. Byli nieruchomi jak żołnierze pilnujący pałacu Buckingham.

Zanim zjawił się Solange, Frank siedział ponad godzinę przywiązany do fotela. — Gdzie jest Annie? — spytał natychmiast. Solange odchylił się do tyłu i zabujał na dwóch nogach fotela. Frank nie mógł zrobić czegoś podobnego, bo choć ręce miał wolne, nogi zgięto mu w kolanach i przymocowano do nóg fotela plastikowymi, przemysłowymi opaskami samozaciskowymi. Zrobiono to tak, że jego mięsień czwórgłowy został naciągnięty jak sprężyna — i aby choć trochę osłabić napięcie, musiał pochylać się do przodu. Przed przybyciem Solange'a fotel stał na środku pomieszczenia i Frank musiał przez cały czas ostrożnie balansować. Gdyby nie pochylał się do przodu, ból w udach byłby nie do wytrzymania, ale gdyby za bardzo się wychylił, poleciałby na twarz.

Kiedy pojawił się Solange, zaniecono go z fotelem do stołu — gdy go niesiono, poczuł ogromną ulgę, bo wreszcie mógł się mocno wychylić do przodu bez obawy, że straci równowagę.

Między nimi, na stole, stała patera z owocami i serami, karafka wina i dwa puste kieliszki. Solange nalał do jednego, zakręcił nim, powąchał, po czym upił trochę i obrócił płyn w ustach. Popatrzył na Franka i z troską zmarszczył czoło, unosząc gęste brwi.

— Na pewno nie? To znakomite bordo.

— Gdzie ona jest?

— Na pańskim miejscu nie byłbym taki wybredny, Frank. Dlaczego nie chce pan cieszyć się życiem i jego drobnymi przyjemnościami, póki pan może?

— A dlaczego nie pocałujesz się w dupę?

Solange skrzywił się, ale po chwili pobłażliwie pokiwał głową, jakby Frank był upartym dzieckiem. Upił trochę wina, westchnął, po czym wstał i podszedł do kominka. W jego ruchach było coś drapieżnego, kociego, jakby poruszał się na palcach. Otworzył ażurowe drzwiczki i poprzesuwał polana kutymi w żelazie narzędziami. W górę strzelił pióropusz iskier, a ogień buchnął płomieniem. Solange odwiesił narzędzia, przyjrzał się swojemu dziełu i zamknął drzwiczki. Potem, nie odwracając głowy, uniósł dłoń i machnął nią. Zbliżył się jeden z wartowników — piegowaty dzieciak, w którego rękach Ingram wyglądał jak zabawka. Solange coś do niego powiedział i chłopak wyszedł.

Przywódca Świątyni wrócił do stołu i ponownie usiadł naprzeciwko Franka. Odsunął kieliszek z winem, splótł palce, oparł na nich podbródek i zaczął się z ciekawością przyglądać swojemu więźniowi.

— Interesuje mnie pan. Czemu zdecydował się pan tu przyjść? Co pan sobie przy tym myślał? Nie powiem, że nie jesteśmy zadowoleni, ale... — urwał.

Frank nic nie odpowiedział.

— Na pewno ani łyka wina? — zapytał ponownie Solange. — Mogłoby pomóc panu się odprężyć.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Frank odwrócił głowę w nadziei, że ujrzy Annie. Jednak w drzwiach stanął jakiś mężczyzna — tak wychudzony, że wyglądał niemal jak szkielet. Solange podszedł do niego i przez chwilę cicho rozmawiali. Chudzielec wyszedł i przywódca Świątyni wrócił na swoje miejsce. Przez jakiś czas siedział bez ruchu, a potem zabębnił palcami po stole, wziął do ręki kieliszek z winem i rzucił go za siebie.

— No cóż, Frank... mam kilka pytań. Wiem, że nie zechce mi pan na nie odpowiedzieć, ale jak pan się domyśla, o kilku sprawach muszę wiedzieć. Na przykład, ile z tego, co pan wie, przekazał pan FBI? Hmm? — Wstał i chodząc, zadawał kolejne pytania: — Czy Gleason wie o testach na roznoszenie?

— Czy wie, że jesteście tu oboje: pan i doktor Adair? — Frank podriiósł głowę. — Cóż, jeśli wierzy doktor Adair...

— Zabiję cię, skurwielu — warknął Frank. — Co jej zrobiliście?

— Co jej... zrobiliśmy? Oczywiście przesłuchaliśmy ją i postaraliśmy się o to, by mówiła prawdę, ale nigdy nic nie wiadomo... — Dał znak wartownikowi, który natychmiast podszedł. Chwilę później Frank stał — uwolniono mu nogi, ale związano ręce za plecami.

Solange wrzucił sobie do ust winogrono i wstał.

— Chodźmy. To dywan za dziesięć tysięcy dolarów i nie chcę go brudzić.

Zjechali windą trzy poziomy niżej, po czym poszli korytarzem o ścianach z surowego betonu, wyłożonym czymś twardym i jednocześnie gumowatym. Do nóg Franka wróciło krążenie, jednak w dalszym ciągu czuł się słabo i „pływał”.

— Tę podłogę zrobiono ze zużytych opon — powiedział Solange. — Jest bardzo wytrzymała i jak sam pan czuje, przyjemnie się po niej chodzi. Zdaje pan sobie sprawę, ile na świecie jest zużytych opon? Całe góry.

Tego faceta pojebało, myślał Frank, woląc się nie zastanawiać, co Solange miał na myśli, mówiąc, że nie chce brudzić dywanu, ani nad tym, co go czeka na końcu tego korytarza. Nie

miał najmniejszej ochoty wchodzić razem z tymi ludźmi do jakiegokolwiek zamkniętego, małego pomieszczenia.

— Jeśli chodzi o wtórny obieg materiałów i surowców — mówił Solange — pobieranie od ludzi kaucji ekologicznej w chwili zakupu przedmiotu nie jest rozwiązaniem, ponieważ nie wszystkim zależy na jej zwrocie. A zwiększenie kaucji, by zmotywować wszystkich do utylizacji, będzie tylko karą dla najbiedniejszych. Nie można także zakazać wyrzucania takich rzeczy jak zużyte opony, ponieważ ludzie zaczęliby się ich pozbywać w sposób nielegalny.

— Więc... co? — wyrwało się Frankowi mimo woli. — Przerobiliście je na podłogę? — Chyba zaczynam wariować, pomyślał. Co będzie dalej? Wykład o katalizatorach samochodowych?

— Właśnie. Jesteśmy pionierami w tej dziedzinie — prototyp powstał u nas. Sprzedaliśmy tę technologię PetroChemowi. Szkoda, że nie mamy czasu na zwiedzanie... chętnie pokazałbym panu fabrykę.

Weszli do kolejnego korytarza i Solange otworzył jakieś drzwi. Znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu o betonowych ścianach, z odpływem w podłodze. Na środku ustawiono zupełnie niepasujący do tego wnętrza czarny stół ogrodowy z blatem wykonanym z metalowej siatki, wokół niego stały cztery foteliki. W rogu był dwukomorowy zlew, a na podłodze leżał zwinięty ogrodowy szlauch. W ścianie obok zlewu znajdowały się drzwi.

Wartownicy pchnęli Franka na jeden z fotelików. Solange przeciągnął dłonią przez włosy, kiwnął energicznie głową i jeden z wartowników powiedział coś do znajdującej się w ścianie przy drzwiach kratki. W chwilę później otworzyły się drzwi obok zlewu i do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn — między sobą prowadzili Annie.

— Annie! — odruchowo krzyknął Frank.

Postać między osiłkami nawet nie podniosła głowy. Gdy podprowadzili Annie bliżej, Frank zauważył, że jest pod silnym wpływem leków albo narkotyków. Miała szkliste oczy, źrenice rozjeżdżały jej się na boki i ledwie poruszała nogami. Kiedy opuścili ją na fotelik, głowa bezwładnie opadła jej na pierś.

— Narąbałeś ją — stwierdził Frank. Solange uniósł brwi.

— No... tak. Wiesz, jak jest. — Przechylił głowę na bok i wykrzywił twarz w szalonym, komiksowym uśmiechu. — Czasami łapią cię nerwy — zaśpiewał — a czasami nie...

— Rozłożyć plastik? — spytał jeden z jego pomagierów. Postawił na stole dwie butelki pepsi i blaszaną puszkę po herbatnikach. Frank wbił wzrok w butelki. Sądził, że Solange znów zamierza bawić się w dobrego gospodarza, i pomyślał: jakie to absurdalne. Butelki były szklane, lekko zmatowiały od zadrapań.

— Nie — odparł Solange. — Kiedy skończymy, spłuczemy szlauchem.

Frank poczuł, że ktoś odchyła go razem z fotelikiem do tyłu. Wsadzono mu w usta mokrą szmatę. Jeden z wartowników zatkał butelkę palcem i mocno potrząsnął. Solange uśmiechał się.

Wartownik podszedł do Franka i przytknął mu butelkę do nosa. Chwilę później wystrzeliła z niej fontanna piany, która pomknęła do zatok. Kiedy ból przeszył jego głowę, Frank zaczął się gwałtownie rzucać. Każda komórka w jego ciele oszalała. Tonął i dusił się. Umierał.

Postawiono fotelik pionowo i piana wyleciała Frankowi z nosa. Był straszliwie zmaltretowany. Annie pochlipywała.

— Prosto do celu! — krzyknął ze śmiechem Solange. — Bum! — Zaczął chodzić, równocześnie mówiąc: — Wiesz, co mi się w tym podoba, Frank? — Zaczął odliczać na palcach: — Po pierwsze, jest bardzo proste. Po drugie, nie wymaga żadnych nakładów. Po trzecie, jest niewykrywalne. Po czwarte, nie pozostawia trwałych uszkodzeń. Po piąte, można to wciąż powtarzać i wciąż jest tak samo skuteczne. — Opuścił ręce i wziął głęboki wdech. — A teraz powiedz mi o Gleasonie. Wie, że tu jesteś? Wie o testach na roznoszenie?

Frank patrzył na niego bez słowa. Solange wzruszył ramionami i fotelik Franka po raz drugi został odchylony do tyłu. Szmata ponownie znalazła się w jego ustach i jego głowa znów wybuchła. Potem znów go postawiono pionowo. Parskał i krztusił się, a jego ciało przeszywały dreszcze. Patrzył, jak dygoczą mu nogi — jakby był leżącą na laboratoryjnej szalce żabą. Reakcja galwaniczna. Annie miała zamknięte oczy, jej głowa przetaczała się na boki. — No więc... pytałem o Gleasona — wycedził Solange. Jeden z wartowników wyjął Frankowi knebel z ust, ale Frank nic nie powiedział.

— Ciężki z ciebie przypadek, Frank — mruknął przywódca Świątyni i kiwnął głową. Strażnik potrząsnął butelką z pepsi.

Solange podniósł dłoń i wskazał na Annie.

— Nie, jemu już wystarczy — oświadczył. — Teraz jej kolej.

Frank poczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Zostaw ją w spokoju! — krzyknął.

— Ach... odzyskałeś dar mowy... — Solange podszedł do stołu i otworzył pudełko po herbatnikach. Wyjął przezroczystą plastikową torbę i otworzył ją, potrząsając. — Była już raz użyta, ale można ją wykorzystać do czegoś innego. Wtórne użycie... To jeszcze lepsze niż utylizacja.

Tego faceta pojebało, myślał Frank, patrząc z przerażeniem, jak jeden ze strażników bierze do ręki niewielki pojemnik aerozolowy, pryska z niego czymś Annie w twarz — jakby opryskiwał owada — a potem Solange naciąga jej na głowę torbę i zawiązuje ją ciasno wokół szyi ofiary.

Skoczył na równe nogi, pociągnięto go jednak od tyłu w dół i przytrzymano na fotelu.

Ciało Annie eksplodowało bólem, ale ponieważ miała skute z tyłu ręce, nie mogła ściągnąć z głowy torby, która z każdym łapczywym oddechem przyklejała się jej do twarzy i wydymała. Annie wyla się i rzucała głową na boki, próbując pozbyć się torby, gryzła plastik, a jej twarz płonęła od preparatu, którym ją opryskano.

— Wiesz, co to takiego? — zapytał Solange z chichotem. — Pieprz w aerozolu...

Frank nie był w stanie określić, jak długo to trwało — eksplodująca w jego zatokach pepsi, Annie, plastikowe torby, pieprz — w końcu jednak obie butelki zostały opróżnione. Mogło to trwać dziesięć minut albo kilka godzin. Ból to krajobraz o specyficznych wymiarach i zwykle kryteria wytrzymałości nie mają tu zastosowania.

Oczywiście „zaczął mówić” — dziwiąc się potem, dlaczego tyle czasu potrzebował, by zacząć — ale nie miało to już znaczenia. Po każdym pytaniu pojawiało się następne i jeżeli Solange nie był zadowolony z odpowiedzi, szmata wracała do ust Franka, a pepsi do jego zatok.

Kiedy stracił już nadzieję, że kiedykolwiek to się skończy, Solange dał im obojgu spokój.

— Mają dość — powiedział ostrym tonem, jakby chciał skarcić swoich ludzi. Podeszedł do Franka i ścisnął go za ramię. — To koniec — oświadczył. — Koniec bólu. Już po wszystkim.

Frank zdawał sobie sprawę, że jego dotyk powinien wywołać w nim odrazę, ale wbrew rozsądkowi i logice poczuł wdzięczność.

— Przynieście im czyste ubrania — polecił Solange swoim ludziom. — I każcie doktorowi dać im xanax albo coś podobnego, żeby im trochę ulżyło — dodał, po czym wstał i wyszedł.

Pół godziny później wprowadzono ich do dawnej sali balowej — obszernego pomieszczenia z błyszczącym parkietem i beczkowatym sklepieniem — przerobionej na gigantyczne biuro. Ściany były zawieszane grafami kołowymi, mapami, wykresami i zdjęciami satelitarnymi, wszędzie stały biurka, komputery, telefony i szeregi szaf na akta. Niemal na wszystkim widniało logo ukazujące konia.

Frank i Annie — z rękami skutymi za plecami — zostali doprowadzeni do biurka, za którym siedział przy komputerze Solange. Kiedy stanęli przed nim, nawet nie uniośł głowy. Stali i czekali. Nad Frankiem do obitej korkiem ściany przymocowane były serie kolorowanych zdjęć, przedstawiających chyba fotografowane z góry pola pszenicy. Na każdym zdjęciu narysowano kółko, a w nim strzałkę. Pszenica na wszystkich polach sprawiała wrażenie chorej albo zniszczonej przez suszę. Stan pól był różny — na tych, które najmniej ucierpiały, było jedynie kilka brązowych plamek, inne miały ich więcej, a najgorzej wyglądało pole, które całe zamieniło się w jednolitą ciemną masę. Na marginesie zdjęć były ołówkowe dopiski. Frank przyjrzał się im.

Puccina graminis 272 — 4017/0

Puccina graminis 181 — 2022/7

Puccina graminis 101 — 1097/3

Puccina graminis 56 — 6340/7

Solange dokończył to, czym się zajmował, i wyłączył komputer. Popatrzył na Franka i Annie i uśmiechnął się ciepło.

— Ach... jesteście. Wyglądacie znacznie lepiej.

— Co to jest *Puccina graminis*? — spytała Annie.

Jej głos brzmiał w uszach Franka jak głos robota. Musiał to być efekt działania narkotyków i podejrzewał, że jego głos brzmi podobnie. Czuł się dziwnie — co prawda nie był otumaniony, ale wszystko w nim było pomieszane. Czuł się, jakby tylko udawał, że jest sobą.

— Rdza żdźbłowa zbóż i traw — odparł Solange i wskazał na zdjęcia. — To bardzo wczesne próby. Jesteśmy jak hodowcy koni i staramy się uzyskać najlepszą i najszybciej się rozwijającą *Puccina graminis*. Jak na razie naszym Secretariatem* jest numer pięćdziesiąt sześć, ale to jeszcze faza wstępnych prób. Poza rdzą żdźbłową pracujemy nad wieloma innymi rodzajami chorób zbóż i ryżu. Stanowią główne źródło pożywienia.

* *Secretariat* — amerykański koń wyścigowy (1970—1989), obwołany „koniem stulecia” (przyp. tłum.).

Annie zmarszczyła czoło i popatrzyła ukradkiem na Franka. Mimo martwego głosu, mimo tego, co przeszła, jej spojrzenie było żywe jak zwykle. Ale wyglądała, jakby przeżyła wiele dni na tratwie ratunkowej. Skórę miała spękaną i zaczerwienioną, wargi spierzchnięte, a oczy czerwone jak oczy królika.

— Dlaczego? — spytała. — Dlaczego to robicie?

— Aby przywrócić równowagę — odparł Solange. — Pomóc Matce Naturze walczyć z gatunkiem, który ją naruszył. Jest pani naukowcem i powinna to rozumieć. „Zielona rewolucja” z hybrydową pszenicą i odpornymi na choroby zbożami i ryżem służy populacji, która niszczy planetę. Nie potrzebujemy tego. Przyroda też tego nie potrzebuje.

— Sprowadzacie głód i choroby.

Solange popatrzył na zegarek i szybko wstał.

— Czas iść — stwierdził i cały korowód — Frank i Annie oraz milczący strażnicy — ruszył za nim. — Głód i choroby, mówi pani? A czemu nie? Jeżeli ktoś tworzy szczepionkę przeciwko grypie i jest to uważane za naturalne, dlaczego ktoś inny nie miałby stworzyć supergrypy? Gdybyśmy mieli czas, pokazałbym wam, dlaczego jest to konieczne. Pokazałbym liczby, prognozy, opowiedziałbym o wszystkich grożących Ziemi zniszczeniach. Wtedy zrozumielibyście, dlaczego trzeba przeszkodzić gatunkowi, który niszczy sam siebie, niszcząc swoje naturalne środowisko. Zrozumielibyście i przyłączyli się do nas. Jestem pewien, że przydałaby się nam pani w laboratorium, choć nie bardzo wyobrażam sobie, co mógłby robić Frank. — Klasnął w dłonie. — No, ale niestety nie mamy na to czasu.

Kiedy wsiedli do windy i jeden ze strażników wcisnął klawisz 3B, Frankowi załomotało serce. Po chwili znów znaleźli się trzy poziomy niżej. Szli tym samym korytarzem. Gdy zbliżali się do pomieszczenia, w którym ich torturowano, Annie przyspieszyła kroku, a Frank uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Przywódca Świątyni szedł jednak dalej. Doszli do podwójnych zielonych, stalowych drzwi z szybkami ze zbrojonego szkła i dopiero za nimi Solange skręcił w krótki boczny korytarzyk. Gdy dotarli do kolejnych drzwi, jeden z wartowników wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył je i weszli do środka.

Znaleźli się w prostokątnym pomieszczeniu o ścianach z pustaków i wysypanej żwirem, zagrabionej podłodze. Przypominało to nieco japoński ogród zen. Stały tu dwa fotele z rattanu, a między nimi rattanowy stolik z wazonikiem, w który włożono gałązkę bzu. Jedną ścianę w całości zajmowały emaliowane na biało, podwójne drzwi, na których namalowano błękitną Ziemię, zasłanianą przez białego konia.

— Proszę siadać — powiedział Solange, wskazując na fotele. Frank i Annie usiedli. Na znak Solange’a strażnicy zdjęli z ramion broń i skierowali ją na więźniów. — Przepraszam za te środki ostrożności, ale czasami ludzie się denerwują. Nauczyliśmy się temu zapobiegać.

Annie popatrzyła na Franka z przerażeniem, po czym oboje wbili wzrok w lufy pistoletów maszynowych.

— Och, proszę się nie martwić — uśmiechnął się uspokajająco Solange. — Damy wam kilka godzin na medytację i oczyszczenie umysłów i dopiero potem wpuścimy was do Berthy. — Poklepał drzwi, jakby ukrywał się za nimi medalowy buhaj. — Rozwiązała jeden z naszych największych problemów. Szkoda, że nie mogliśmy jej użyć przy Bergmanach. — Otworzył drzwi. Pierwsze pomieszczenie było tak nieskazitelnie czyste i surowe, że Frank zdziwił się, widząc, iż wewnątrz ogromnej lodówki — czy co to takiego było — jest wysmarowane sadzą i brudem, a na podłodze leżą grudki popiołu.

Zastanawiał się gorączkowo, co Solange chciał powiedzieć. Co miało znaczyć „użyć przy Bergmanach”?

— To komora mikrofalowa — wyjaśnił Solange. — Powoduje szybkie odparowanie płynu, a potem rozpad tkanki. Skończycie jako kupka sadzy. — Sięgnął za siebie, potarł ścianę i pokazał im swoje palce, pobrudzone czymś ciemnym i oleistym. — Cóż, to wasz przyjaciel Ben Stern...

Choć narkotyk go obezwładniał i poruszanie się przypominało przebijanie się przez wodę, choć celowano do niego z broni, Frank wstał i rzucił się na Solange’a.

— Ty pierdolony pojebie!

Solange uchylił się i uderzył Franka. Mocno. Potem jeszcze raz. Jego ciosy były celne i pewne. Frank był bezradny. Stopy przyrosły mu do podłogi, ręce miał unieruchomione. W końcu dostał cios w żołądek, od którego zgiął się wpół. Wartownicy pchnęli go z powrotem na fotel.

Solange śmiał się, trzęsąc się cały, był naprawdę rozbawiony. Wreszcie przestał i pokręcił głową.

— Dostał tyle narkotyków, że powstrzymałyby byka, a on się na mnie rzuca... — Westchnął. — Fascynujące.

— Dlaczego... pan... to... robi? — spytała Annie. Mówiła z wysiłkiem, jak osoba po wylewie, wypowiadając każde słowo osobno.

Solange sprawiał wrażenie skonsternowanego.

— Przecież mówiłem. Chodzi o rozwiązanie problemu z utylizacją.

— Nie! — krzyknęła Annie. — Mam na myśli hiszpankę. Rdzę zbożową...

— Ponieważ jestem Pierwszym Jeźdźcem — odparł Solange. — Nie uważaliście?

— O czym ty gadasz? — spytał Frank. Solange popatrzył na niego.

— Apokalipsa — powiedział, po czym głosem kaznodziei zaczął deklamować:

I ujrzałem: gdy Baranek otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci, usłyszałem pierwsze z czterech Zwierząt mówiące jakby głosem gromu: „Przyjdź!” I ujrzałem: oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk, i dano mu wieniec, i wyruszył jako zwycięzca, by [jeszcze] zwyciężać*.

Wartownicy wpatrywali się tępym wzrokiem w przestrzeń.

Bóg przysłała mnie, aby zwyciężać, zwyciężać — tak, zwyciężać rodzaj, który oszalał, który wyrwał się spod kontroli — rodzaj, niszczący swój raj na ziemi.

Frank nie wytrzymał i odwrócił się do wartowników.

— Wierzycie w te bzdety? — zapytał. Potem odwrócił się do Solange’a. — Jesteś najbardziej szalonym skurwielem, jaki chodzi po Ziemi! — Zaczął się śmiać. Nie był w stanie się powstrzymać. Był tak przerażony, że mógł tylko śmiać się albo płakać.

* *Apokalipsa św. Jana, 6, 1—2 (Biblia Tysiąclecia).*

Solange przyglądał mu się i przez chwilę Frank miał wrażenie, że zaraz — tu, na miejscu — zabije go. Kiedy jednak przywódca Świątyni zrobił krok w jego kierunku, zaterkotał mu w kieszeni telefon. Był to tak niespodziewany, tak niepasujący do sytuacji dźwięk, że Frank aż się skurczył. Solange wyjął telefon i z oburzoną miną przyłożył go do ucha.

— Tak? Co jest?

Słuchał chyba przez całą minutę, tracąc wszelkie zainteresowanie tym, co działo się tu i teraz — pokojem, Annie i Frankiem. Zanim zadzwonił telefon, Solange był całkowicie skoncentrowany na nich i teraz, kiedy pochłonęło go coś innego, Frank poczuł się dziwnie porzucony. Po chwili Solange odsunął telefon od ucha, wcisnął antenkę i nawet nie spoglądając na więźniów, ruszył ku drzwiom.

— Idziemy! — rzucił swoim ludziom.

— A co z nimi?

Solange wzruszył ramionami.

— Niech się trochę pozastanawiają.

Ponieważ podłogę pokrywał żwir, rozbicie dość grubego wazonu zajęło im trochę czasu. Kiedy tego dokonali, szybko przecięli sobie więzy. Natychmiast jednak stwierdzili, że nie mają żadnej możliwości ucieczki — drzwi zamknięto od zewnątrz.

Nie mogli zrobić nic poza trzymaniem się w ramionach. Frank powiedział Annie, że kiedy drzwi się otworzą, zaatakuje pierwszą osobę, jaka się w nich pojawi. Mieliby przewagę zaskoczenia i może nawet Frankowi udałoby się odebrać przybyszowi broń. Była to jedyna rzecz, jaką mogli zrobić.

Potem zasnęli, leżąc obok siebie na podłodze. Annie śniła o Sternie i pojękiwała przez sen. Frank śnił o Carlosie.

Śnił jeszcze, kiedy usłyszał odgłos przypominający daleki grzmot — serię wstrząsów, które sprawiły, że jarzeniowe światło zamigotało, a drzwi zadrżały. Początkowo sądził, że to część snu — a może zaczynał mieć halucynacje? Jednak Annie też to usłyszała. Obudziła się i wbiła wzrok we Franka. Czyżby wysadzano laboratorium?

Zaraz potem hałasy ucichły, a oni ponownie zapadli w półsen.

Nagle wokół zadudnił potężny, wzmacniany przez głośniki głos.

ODSUNĄĆ SIĘ OD DRZWI!

Mężczyźni, którzy wpadli do środka, mieli na sobie kamizelki kuloodporne z wielkimi literami na plecach: FBI. Mieli też hełmy, maski przeciwgazowe i byli ciężko uzbrojeni. Nie zachowywali się przyjaźnie — zupełnie nie docierało do nich, że Frank i Annie są ofiarami, a nie ukrywającymi się w tajnej kaplicy członkami Świątyni.

Wyjaśnienie tego zajęło im sporo czasu.

Przyjazny nie był także Neal Gleason, choć kiedy stanęli z nim twarzą w twarz, byli szczęśliwi, że przeżyli.

Agent miał zaczerwienione oczy i wyglądał, jakby od kilku dni nie spał.

— Dostał pan wiadomość, prawda? — spytał Frank.

— Ktoś dał im cynk — burknął Gleason, nie odpowiadając na pytanie. — Musieli mieć kogoś w Wydziale Policji Lake Placid, bo tylko tam wiedziano o akcji.

— Kto uciekł?

— Solange i jego oddział do zadań specjalnych.

Frank siedział w wielkim salonie i przyglądał się Annie, śpiącej po podanych jej lekach. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł zacząć pisać artykuł, ale praca była oczywiście niemożliwa. Nie był Victorem Hugo. Potrzebował komputera albo przynajmniej maszyny do pisania. Wystarczyłby nawet telefon — mógłby podyktować komuś całą tę historię.

Ale telefon w salonie był martwy, a aparat w holu niedostępny. Pod drzwiami posadzono agenta ATF* ze słuchawką w uchu i uzi na kolanach, pilnującego, by nikt nie wyszedł ani nie wszedł bez zgody Gleasona.

Frank chciał się dowiedzieć, czemu są pilnowani, ale trochę potrwało, zanim strażnik zdecydował się cokolwiek wyjaśnić.

— Mam was podobno chronić — oświadczył wściekłym tonem. — Pasuje?

— Nie — odparł Frank. — Nie pasuje. Nie potrzebuję ochrony. Potrzebuję laptopa.

Na tym jednak polegał zasadniczy problem, bo Gleason nie chciał, by Frank cokolwiek pisał — przynajmniej do chwili złapania Solange'a. Pozostawało mu więc spacerowanie po salonie i obserwowanie przez okno, co się dzieje na zewnątrz.

Sceneria była niemal surrealistyczna i gdyby namalował to Bosch, pewnie obraz otrzymałby tytuł: Raj najechany. Na łące, tuż obok stawu, stał helikopter z powoli obracającymi się łopatami wirnika, a owczarki niemieckie szarpały we wszystkie strony uzbrojonych agentów ATF. Wokół laboratoriów kręcili się żołnierze Piechoty Morskiej w kombinezonach chroniących przed zagrożeniami biologicznymi, a agenci FBI (wszyscy w takich samych wiatrówkach) wkładali do wielkiej białej furgonetki komputery i szafki z aktami. Poza tym obóz wydawał się opuszczony — członkowie sekty zostali zapędzeni do swoich pomieszczeń mieszkalnych, gdzie czekali na przesłuchanie.

Frankowi wreszcie znudziło się oglądanie tego teatrzyku i usiadł przy kunsztownie rzeźbionym biurku, stojącym we wnęce. Jego nóżki, uformowane w szponiaste łapy, tonęły w starym perskim dywanie, a nad nim wisiał portret Edwarda Abbeya**. Na biurku stał dziewiętnastocalowy monitor, nie było jednak komputera.

Miło byłoby dostać się do zawartości twardego dysku Solange'a, pomyślał Frank. Może jednak coś zostało — notebook, dyskietka, kalendarz... cokolwiek.

Otwierał kolejne szuflady i zaglądał do nich. Niczego ważnego jednak tam nie było. Kilka długopisów, ołówków, spinacze, pusty notes, ryza papieru do drukarek laserowych. Mapa Nowego Jorku, nożyczki, trochę pinesek, kartki samoprzylepne do robienia notatek.

Rozłożył mapę i popatrzył na nią. Nie było na niej żadnych zaznaczeń ani wrysowanych ręcznie linii. Była to zwykła, najwyraźniej niedawno kupiona mapa. Frank z westchnieniem opadł na oparcie fotela i zamknął oczy.

Siedział tak przez dłuższy czas, a potem nagle — czując przyływ energii albo zwykłe zniecierpliwienie — wyprostował się, odsunął mapę na bok, wziął kartkę papieru i zaczął pisać. Kto powiedział, że nie jestem Victorem Hugo? — zapytał sam siebie.

* ATF (*Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms*) — agencja rządowa, zajmująca się zwalczaniem przemytu alkoholu, tytoniu i broni palnej oraz nielegalnego obrotu tymi towarami (przyp. tłum.).

** Edward Abbey (1927—89) — amerykański pisarz, orędownik ruchu ekologicznego (przyp. tłum.).

Po mniej więcej piętnastu minutach spojrzął na to, co napisał: było to kilka wersji tego samego, pierwszego akapitu. No dobrze, nie jestem Victorem Hugo, pomyślał. Jestem pisarzem z Lśnienia — tym, którego grał Jack Nicholson. Zmiał kartkę i wrzucił ją do kosza.

KOSZ NA ŚMIECI SOLANGE'A. Był do połowy wypełniony.

Czyżby agenci FBI naprawdę byli tak niedbali? Czy to możliwe, że nie zajrzeli do kosza? Najwyraźniej.

Wstał, wyrzucił zawartość kosza na biurko i zaczął ją przeglądać. Nie było tego wiele. Laserowy wydruk „Tygodniowego Raportu Zachorowalności i Śmiertelności” z zeszłego tygodnia. Pierwsze dwie strony eseju pod tytułem Polityka dystopii. Zgniecione karteczki z tekstami w rodzaju: „zadzwoń do Nikki”, „wt. wyw. z Futurist”, „zap. Belindę o tbl. rekrut.”. Pusta butelka po wodzie Evian, zgniecione opakowanie po cukierkach na gardło i kawałki czarno-białego zdjęcia.

Przerwano je trzy razy na pół i rozłożone na biurku osiem kawałków ukazywało coś jakby domek. Może raczej nie domek, ale barak na placu budowy. Na pewno? W każdym razie stało to pośrodku przemysłowej pustyni i było anonimowe jak blok betonu. Mogło znajdować się w Yonkers, w Anacostii, we wschodnim Los Angeles albo na południu Chicago. Jeszcze trudniej było domyślić się, co przedstawiony na fotografii budynek mógł znaczyć dla Solange'a (jeżeli w ogóle cokolwiek znaczył).

Frank zastanawiał się jeszcze nad tym, co właściwie ogląda, kiedy do pokoju wszedł agent FBI z kanapkami i dwiema puszkami Mountain Dew.

— Gdybym mógł dostać od państwa oświadczenie, chyba moglibyśmy pchnąć sprawę do przodu.

— Czy to znaczy, że moglibyśmy sobie iść?

— To zależy od Neala, ale dopóki nie będziemy mieli waszych oświadczeń, nie sądzę, by cokolwiek mogło się szybko zmienić.

Frank obudził więc Annie — w końcu było już popołudnie — i kiedy jako tako oprzytomniała, powiedzieli agentowi, co wiedzieli. A przynajmniej większość tego, co wiedzieli. Kiedy Frank wymienił nazwę Chosen Soren, agent nagle przestał notować. Westchnął, założył skuwkę na pióro, wstał i oświadczył, że zaraz wraca.

Minęły dwie godziny, zanim ktoś znów się pojawił — tym razem była to wysoka, modnie ubrana kobieta o grobowym głosie, z aktówką od Hermesa pod pachą.

— Janine Wasserman — przedstawiła się, podając rękę Frankowi i Annie. — Pomagam FBI.

— To miło z pani strony — odparł Frank — ale miałem nadzieję ujrzeć Gleasona. Chcielibyśmy stąd wyjść.

— Och, wkrótce sobie pójdziecie, ale dopóki czekamy, miałam nadzieję, że opowiecie mi o północnych Koreańczykach. — Z uśmiechem podeszła do zielonego fotela i usiadła. — Wprowadzicie mnie w temat? Powinam wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Frank i Annie popatrzyli po sobie.

— Nie mamy wiele do powiedzenia. Wydaje nam się, że finansują Solange'a.

— Tak sądzicie? To możliwe, choć... dlaczego tak uważacie?

— Wskazuje na to raport Urzędu Celnego o koreańskich pieniądzach, które przyjechały z Japonii. To oznacza, że północni Koreańczycy...

— Naprawdę? Ciekawe. Macie ten raport? Chętnie bym go zobaczyła.

— Nie mamy.

Wasserman zmarszczyła czoło.

— Nie macie tego raportu. A może...

— Nie, nie mamy go — powtórzyła Annie.

— Ale go widzieliście.

Frank pokręcił głową. Kobieta uniosła brwi.

— W takim razie... chyba nie rozumiem.

— Mówiono nam o nim.

Kiedy Wasserman krzyżowała nogi, rozległ się cichy świst, spowodowany pocieraniem jednej warstwy nylonu o drugą.

— Rozumiem. A więc to plotka.

— Zgadza się.

— No cóż... niektóre plotki są prawdziwe. To zależy od źródła. Od kogo się tego dowiedzieliście?

— Cóż... nasz informator nie żyje — odparł Frank. — Był doktorantem w Georgetown i nazywał się Ben Stern. Solange go zamordował.

— Nnnnoo... doobbrze. Zostańmy przy tym, choć... nie bardzo to rozumiem. Dlaczego północni Koreańczycy mieliby finansować Solange'a? Nie mają zbyt dużo dewiz.

— Pyta mnie pani o moje prywatne zdanie? — spytał Frank.

— Mhm.

Frank wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem mają zbieżne interesy.

Wasserman zmarszczyła czoło.

— Nie wydaje mi się. Dzieli ich pół świata. Co mogą ze sobą wspólnego?

Gdy Frank się zastanawiał, jak sformułować odpowiedź, Annie zapytała:

— Pyta pani, bo chce pani poznać odpowiedź, czy chce pani sprawdzić, czy my znamy odpowiedź?

— Ohoho! — zawołała Wasserman. — Cóż za znakomite pytanie. Zastanawiające.

— Ma pani wizytówkę? — spytała Annie.

Kobieta poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Nie. Obawiam się, że nie.

Frank głośno wypuścił powietrze.

— Posłuchajcie — powiedziała Wasserman, pochylając się ku nim — układ jest taki: jeśli chcecie wyjść stąd jeszcze dziś wieczorem, spróbujcie być pomocni.

— „Jeśli chcemy wyjść stąd jeszcze dziś wieczorem”? Kim pani jest, do kurwy nędzy?! — zawołał Frank. — Co tu jest właściwie grane? Jesteśmy aresztowani?

Wasserman milczała przez chwilę, a potem odparła:

— Nie, nie jesteście aresztowani. To raczej zatrzymanie prewencyjne.

— Zatrzymanie prewencyjne! — wykrzyknęła Annie.

— Co to oznacza? — spytał Frank.

— No cóż... — mruknęła Wasserman, wygładzając zmarszczki na sukience — mamy do czynienia z zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego. Prezydent ogłosił to oficjalnie o trzeciej siedemnaście rano.

Frank opadł ciężko na oparcie kanapy i westchnął.

— A dlaczego jesteśmy zatrzymam?

— Musicie o to spytać Neala. Sprawy krajowe to jego działka.

— Ale my przecież nic złego nie zrobiliśmy... — jęknęła Annie, której oczy nagle wypełniły się łzami.

— Jestem o tym przekonana i Neal na pewno wszystko wyprostuje — odparła Wasserman. — Jak jednak państwo z pewnością rozumieją, mamy bardzo mało czasu. Moglibyśmy w związku z tym przejść do tematu? To na pewno bardzo pomoże. Zgoda?

Annie kiwnęła głową.

— Mówiliśmy o „zbieżności interesów” — przypomniała Wasserman, patrząc na Franka.

— Zgadza się. Według mnie zarówno Solange, jak i Koreańczycy bardzo chcieliby, żeby Ameryka rozlaźla się w szwach.

— Achchchaaa...

— Solange naprawdę może to sprawić... poza tym jest „zaprzeczalny”.

Wasserman wyglądała na zaskoczoną.

— Co to znaczy?

— Jest walnięty, Wszyscy jego ludzie są walnięci. Nieważne, co mówią albo co robią — każde ich działanie jest wyrwane z kontekstu. Ba — w ogóle nie ma kontekstu. Już samo stwierdzenie, że coś zrobiła „sekta”, pozbawia to coś znaczenia, jakie mogłoby mieć w innym przypadku.

— Dlaczego?

— Każda sekta to zbieranina świrów. A ponieważ to świry, ich działania nie są uważane za racjonalne. Nie są spójne i nie mają szerszego znaczenia. Dlatego też ich działalność jest poza wymiarem prawnym. Właśnie to mam na myśli, mówiąc, że są „zaprzeczalni”.

Wasserman skinęła głową.

— Powiedzmy, że ma pan rację. Ale dlaczego uważa pan, że Korea Północna mogłaby być zainteresowana wybuchem epidemii, która byłaby w stanie zabić połowę ludności kraju?

— Dlatego, że gdyby zmarło bardzo wielu ludzi, kraj by się rozpadł. Naszym głównym zajęciem — jeśli nie jedynym — byłoby grzebanie zmarłych. Albo palenie ich. Nawet gdybyśmy jeszcze mieli działający rząd, nie wyobrażam sobie, by zechciał wysyłać ludzi na wojnę poza naszymi granicami. Siedzielibyśmy w domu, wycinali drzewa i budowali krematoria.

Wasserman przez długą chwilę milczała.

— Użył pan zwrotu „wojna poza naszymi granicami” — powiedziała w końcu.

— Miałem na myśli Koreę Północną wkraczającą do Korei Południowej.

— I o tym właśnie zamierza pan napisać?

Frank podrapał się po szczecinie na podbródku.

— Nie wiem. Może.

Wasserman kiwnęła głową.

— A może i nie. Nie jest pan w stanie udowodnić swoich tez.

— Zgadza się. Nie jestem.

— A poza tym to i tak nie ma znaczenia — stwierdziła Wasserman i wstała.

Annie wyglądała na zszokowaną.

— Nie ma znaczenia?! Jak pani może coś takiego mówić!

— Ponieważ pan Daly ma rację. Solange jest „zaprzeczalny”. Poza tym, jeżeli mu się uda, kwestia odpowiedzialności będzie nieaktualna. Połowa ludzi w kraju umrze i ma pan rację — nie sądzę, by w tych okolicznościach rząd był zainteresowany jakimikolwiek sprawami zagranicznymi.

— To prawda. A jeśli mu się nie uda? — spytał Frank.

— Zostanie potraktowany jak zwykły świr. Nawet jeżeli uda się prześledzić drogę przepływu pieniędzy, które dostał — w co wątpię — czego to dowiedzie? Że pochodzą z Korei Północnej? Nie sądzę. W najlepszym przypadku da się jedynie udowodnić, że pochodzą od pracujących w Japonii koreańskich robotników. Wielu ludzi powie: „I co z tego? Może Solange ma wielu koreańskich zwolenników? Może też powariowali?”.

— No dobrze, ale w czym rzecz? — spytał Frank.

Wasserman wzruszyła ramionami.

— W tym, że powinien pan być ostrożny. W końcu gra idzie o wiarygodność Franka Daly’ego. Nie sądzę, by chciał pan wyjść na zwolennika teorii spiskowej... nawet jeśli ma pan rację. Chce pan?

Zanim Frank zdążył odpowiedzieć, Wasserman odwróciła się na pięcie i wyszła.

Zaraz potem zjawił się Gleason i spytał, czy zechcieliby polecieć z nim do Nowego Jorku.

— A mamy wybór? — spytał Frank.

— Oczywiście. Jeśli chcecie, możecie zostać tutaj. Kawalek stąd jest też „Motel Sześć”. Mógłbym was tam umieścić i postawić kogoś przy drzwiach, ale nie sądzę, byście o tym marzyli. Jeżeli polecicie ze mną, będę mógł mieć na was oko, a wy będziecie bliżej „akcji”. Tego chyba chcecie, co?

Helikopter hałasował, lot się nie kończył. Kiedy wreszcie wylądował, Frank i Annie mieli wrażenie, że odbyli podróż nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

Pochodząca z przełomu XIX i XX wieku, zamknięta rok temu Stacja Straży Przybrzeżnej na Governors Island znajdowała się na wysokości Brooklynu, tuż przy północnym krańcu zatoki Upper Bay — w miejscu, gdzie Hudson łączy się z East River. Oddalona mniej więcej półtora kilometra od Manhattanu wyspa ma niewiele wspólnego z zatłoczonym, hałaśliwym, rozświetlonym neonami miastem — jest oazą zieleni z drewnianymi budynkami, krążącymi na niebie mewami i słonymi bryzami.

Spędzili noc w domu gościnnym, stojącym jakieś sto metrów od portu — niestrzeżeni. Nie mieli telefonu, za to z werandy rozciągał się wspaniały widok — obejmujący Statuę Wolności, most Brooklyński i znajdujący się pomiędzy nimi Manhattan.

Następnego dnia dołączyli do Gleasona na mostku „Chinquateague”, trzydziestopięciometrowego kutra Straży Wybrzeża, mającego zamontowany na pokładzie karabin maszynowy kalibru 25 mm.

— Cóż, przynajmniej wiemy, co ten facet zamierza. Albo co mu się wydaje, że zamierza — powiedział Gleason, spoglądając przez wielką lornetkę na kolejkę frachtowców, czekających na wejście do portu. — Jeśli jednak popatrzeć na to z innej strony, to on też wie, że my wiemy, więc dlaczego miałyby to zrobić? — Podał lornetkę Annie, przycisnął palce do oczu i ziewnął.

Lekka bryza poruszała proporczykiem na rufie okrętu, ale warunki atmosferyczne sprzyjały „incydentowi biologicznemu” — było wilgotno, ciepło, niebo pokrywały chmury.

— Zrobi to, ponieważ jest megalomanem — stwierdził Frank. — Tacy ludzie nie są zbyt elastyczni.

Gleason kiwnął głową.

— Też tak uważam. Moim zdaniem robi to dla udowodnienia, że może.

Annie nie była tego aż tak pewna.

— A jeżeli przejdzie do planu B?

Gleason popatrzył na nią zdziwiony.

— A na czym on polega?

— Nie wiem, ale założę się, że go ma. Robił testy w Kalifornii i w Wisconsin, a także w innych miejscach, i zawsze używał tej samej archiwalnej grypy.

— I co to pani mówi?

— Że nie testował wirusa, ale metody jego roznoszenia.

Gleason przez chwilę sprawiał wrażenie zaniepokojonego, wrażenie to jednak zaraz zniknęło.

— W takim razie mamy nad nim przewagę — oświadczył. — Prowadziliśmy własne testy w latach pięćdziesiątych i mogę powiedzieć jedno: jeżeli chce się osiągnąć jak największą zakaźność, ma się trzy ewentualności: łódź, samolot albo metro.

— A wy o wszystkie te ewentualności zadbaliście, tak? — spytał Frank.

Agent kiwnął głową.

— Zgadza się. Są pod kontrolą.

Frank był jednak sceptyczny.

— FEMA udzieliła nam wszelkiej możliwej pomocy — dodał Gleason.

— Co to takiego? — spytała Annie.

— Federal Emergency Management Agency.

— Zamknęliśmy korytarze powietrzne Nowego Jorku i Waszyngtonu dla małych samolotów, to samo dotyczy rzek i małych jednostek pływających. Nie zobaczycie na Hudsonie, East River czy Potomacu ani jednej motorówki. Będzie tak, dopóki to się nie skończy... być może już zawsze.

— A co z dużymi statkami?

— Nie wejdą do portu, dopóki nie zostaną sprawdzone, a nasi ludzie nie znajdą się na pokładzie.

— Co z metrem?

— Mamy ludzi w każdym składzie.

— A samochody? — spytała Annie. — Ciężarówki? Jeżeli zamknęli wirusa w mikrokapsułkach, można go rozprzestrzeniać z rury wydechowej. Wystarczy pojeździć samochodem po mieście. Nikt nic nie zauważy.

Gleason popatrzył na Annie.

— Jezu... — jęknął Frank. — Mogłabyś być niebezpieczna!

— Nie uzyskaloby się w ten sposób pożądanego zasięgu — oświadczył agent. — Samochód nie wystarczy. Potrzebna jest łódź albo samolot. Coś, co obejmuje całe miasto. Doskonale byłoby metro.

— A wodociągi? — spytał Frank. Gleason pokręcił głową.

— Nic z tego. Zagrożenie, spowodowane wrzuceniem czegoś do sieci wodnej, to mit. Nie osiągnie się odpowiedniego rozprzestrzenienia. Poza tym wypicie wody z grypą nikomu by nie zaszkodziło. Wirus musi się dostać do płuc.

— Nie rozumiem tylko jednego — powiedział Frank. — Jakim cudem zamierzacie wszystko przeprowadzić tak, by nikt nic nie zauważył? Przecież wystarczy, że choćby piloci...

— Zauważą. Inni ludzie też zauważą, tyle że nic nie pojawi się w prasie.

— Jakim cudem?

— Ponieważ każdy środek masowego przekazu otrzymał dziś rano faks albo telefon.

— Więc wprowadziliśmy z powrotem cenzurę?

Gleason wydał wargi.

— Nie większą niż w czasie Pustynnej Burzy. A poza tym tylko na pewien czas. Wyniki walk bokserskich są w dalszym ciągu jawne. — Widząc zmarszczone czoło Franka, agent wyjaśnił: — Mamy dwudziesty wiek, co oznacza, że mieszkamy w przepelnionym teatrze. Ludzie zaczęliby biegać, wrzeszcząc „pali się!”.

— A jeżeli naprawdę zacznie się palić?

— Zajmiemy się gaszeniem

— W porządku. Zajmijcie się — mruknął Frank. — A po co my jesteśmy wam potrzebni? Jeśli nie mogę o tym napisać...

— To nie takie proste — powiedział Gleason.

— Ze względu na Internet — wyjaśniła za niego Annie.

Gleason pochylił głowę, jakby równoczesne chciał przytaknąć i ukłonić się.

— To poważny problem — przyznał.

Frank przyjrzał się krążącej nad okrętem mewie.

— I co dalej? — spytał. — Jak długo będziemy tu siedzieć?

Gleason wzruszył ramionami.

— Cóż... to zależy od Solange'a.

30

STATEN ISLAND

Susannah nie była przyzwyczajona do kierowania ciężarówką, ale tę prowadziło się bardzo łatwo. Miała automatyczną skrzynię biegów i bardzo dobrą widoczność. Było to dla niej dużym ułatwieniem, ponieważ od czasu walki bokserskiej miała problemy z oczami. Okulary przeciwsłoneczne o szklach w kształcie serca, które miała na nosie, zasłaniały niemal zupełnie zamknięte prawe oraz podbiegłe krwią i nieco rozmazujące obraz otoczenia lewe oko. Doktor stwierdził, że wszystko wróci do normy, ale dopiero za jakiś czas.

Stephen siedział na dziecięcym foteliku obok niej i gulgotał.

Bała się. Nie tyle tego, co mieli zrobić i co by się wydarzyło, gdyby coś poszło nie tak, ale tego, że spaprze sprawę. Otrzymała specjalne instrukcje od Solange'a i niech Bóg jej dopomoże, jeżeli da dupy...

Dotarła do portu mniej więcej godzinę temu — jakąś minutę po odpłynięciu promu. Wyglądało to na pech, było jednak zamierzone. „Kto pierwszy wjeżdża, ten pierwszy zjeżdża” — powiedział Solange. Susannah nie sądziła, by miało to jakieś znaczenie, ale musiała zastosować się do wydanych instrukcji.

Przesiedziała więc prawie godzinę w samochodzie i kiedy bramka znów się otworzyła, ruszyła powoli naprzód, aż samochód znalazł się głęboko w trzewiach promu. We wstecznym lusterku widziała samochód Francuza — z Vaughnem i Belindą na tylnym siedzeniu.

Była zdenerwowana, choć wcale nie powinna. Pod wieloma względami jej zadanie było najłatwiejsze. Tak naprawdę — dopóki nie wpadliby w jakieś tarapaty — nie musiała nic robić. „Wtedy się włączysz, *cher* — powiedział Solange. — Jesteś planem B”.

Super. Jestem planem B. Nikt inny nie jest żadnym planem, tylko ja, pomyślała. Pozostali mają realizować plan A, ale ja jestem planem B. Zaciśnęła oczy, ponieważ — jak często zdarzało się to w ostatnim czasie — łzawiły. Marynarze pokrzykiwali do siebie, po chwili rozległo się basowe TUUUT syreny. Podłoga zaczęła wibrować, zaraz potem zadygotały ściany i ruszyli. Gładko nabierali prędkości. Susannah czuła, że prom zaczyna płynąć naprawdę szybko.

Jak na dany znak Vaughn i Belinda wysiedli i przeszli na tył samochodu, gdzie w bagażniku były schowane ingramy. Mieli na sobie T-shirty, zaprojektowane przez Solange’a — aby bez względu na to, jaki zrobi się zamęt, mogli siebie nawzajem rozpoznać. Podkoszulki były super: czerwone jak krew, z rysunkiem głowy błotnego ludka, nad którym był napis:

POTULNY

Szkoda, że ona takiej nie miała... chociaż nie, właściwie to nie. Tak było nawet lepiej. Była kimś szczególnym. Była planem B. W innej sytuacji czułaby się poza nawiasem, ale teraz było inaczej. Solange też nie miał T-shirta. Tak więc on też był planem B.

Przypominające roletę tylne drzwi U-Haula zapiszczały — prawdopodobnie Saul je otworzył — i narobiły hałasu, wsuwając się w prowadnice w suficie. Potem bujnęło ciężarówką i Susannah usłyszała, jak wyjmują rozpylacz.

Wysiadła i obeszała samochód. Otworzyła drzwi pasażera, wyjęła Stephena z fotela, wzięła go na ręce i ruszyła na pokład. Mijając uśmiechniętego Solange’a, rzuciła:

— No to połamania nóg...

Wyszła na zewnątrz. Było tam wspaniale — powietrze było świeże i wilgotne, wiał lekki wiaterek. Na pokładzie stało mnóstwo uśmiechniętych ludzi, w środku też było ich sporo.

— Popatrz na to! — powiedziała do Stephena. — Jakie wielkie miasto! Widzisz to wielkie miasto? Gdzie jest wielkie miasto? O, tam!

Stary Murzyn z przyborami do czyszczenia butów uśmiechnął się do niej, po czym zwrócił się do wyglądającego na bankiera mężczyzny i wskazując głową na jego buty, oświadczył:

— Potrzebujesz pomocy, drogi panie. Prezentujesz się nieco mizernie!

W głównym salonie zespół zaczął grać bluesa, ktoś rzucił w kogoś piłeczką. Dzieciaki biegały wokół jak zwariowane.

Kiedy spod pokładu doleciał odgłos salwy z broni maszynowej, Susannah stała przy relingu i pokazywała Stephenowi Statuę Wolności. Gdy zaterkotał drugi Ingram, jakaś kobieta wrzasnęła i ludzie z krzykiem rozbiegli się we wszystkie strony — jakby było gdzie uciec. Po chwili jednak wrzaski zamarły, prom znacznie zwolnił i jak spod ziemi zjawili się towarzysze Susannah. Wyglądali tak super, że nie mogła oderwać od nich wzroku.

Saul i Francuz, Vaughn i Belinda, Wieruszka i Avram. I jeszcze czworo lub pięcioro innych — każdy z Ingramem w rękach. Poza Saulem, który niósł rozpylacz, i Francuzem, trzymającym wiertarkę.

— Wszyscy do środka! — rozkazała Wieruszka.

— Tempo! — krzyknął Antonio, wskazując lufą Ingrama grubą babę z dziećmi.

— Ruszać się! — wrzasnęła Jane. — Podurnieliście?!

Najpierw pojedynczo, a potem po dwie, po trzy osoby, po dziesięć pasażerowie zaczęli zapelniać główny salon.

Fajnie jest rozkazywać, stwierdziła Susannah. Miło być częścią czegoś, czego ludzie się boją. Gdy Francuz przechodził obok niej i „strzelił” do niej z akumulatorowej wiertarki, roześmiała się.

Kiedy Saul i Francuz mocowali rozpylacz na dziobie, sprawy na chwilę się pokomplikowały. Jakiś chłopak z krótko ostrzyżonymi włosami złapał Jane za włosy, szarpnął jej głowę do tyłu i rzucił nią o pokład — wszystko jednym płynnym ruchem — po czym szybko się wyprostował, trzymając w ręku jej broń. Jezu, ten koleś wie, co robi... — pomyślała Susannah.

Szybko się jednak okazało, że nie bardzo. Wieruszka cisnęła broń, podniosła ręce i wrzasnęła: „Nie strzelaj!”. Młodziak odwrócił się w jej kierunku, ale w tym momencie z salonu wyszedł Antonio i puścił serię, która niemal odcięła koleśowi głowę.

Stał przez chwilę, która wydawała się bardzo długa — ręce miał opuszczone wzdłuż tułowia, podbródek oparty o pierś — i kiwał się lekko na boki. Dwa metry od niego na pokład osunęła się kobieta z dziurą w szyi, a potem Wieruszka pchnęła lekko chłopaka i upadł jak zwalone drzewo.

Kiedy Wieruszka podniosła broń i posłała Antoniowi całusa, rozległy się wrzaski i płacze.

— Zamknąć, kurwa, mordy! — wrzasnęła, jakby przeszkadzano jej oglądać telewizję. Najbardziej zadziwiające było to, że jej posłuchali — zamknęli, kurwa, mordy.

Solange stał na wyższym pokładzie i obserwował wydarzenia z uśmiechem na ustach. Susannah ominęła stróżkę krwi i mocniej przycisnęła Stephena. „Pfuj...” — szepnęła, czując na podszwach lepkość.

— Popatrz tam! — powiedziała Annie. Frank zmrużył oczy.

— Gdzie?

— Na prom. Stał.

— Masz rację. — Po chwili jednak dodał: — Nie, ruszył. — Przystawił do oczu lornetkę i skierował ją na prom. Nic nie rozumiał: na pokładzie powinno być mnóstwo ludzi, a było tam tylko kilkanaście osób. Poprawił ostrość, ale prom znajdował się za daleko, by mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Widział jedynie niewyraźne kontury i rozmazane kolory. Głównie czerwien.

— Ludzie na promie mają mundury? — zdziwił się.

— Kto?

— Marynarze na promie.

— Nie sędzę,

— To dlaczego...

— Nagle po schodkach wbiegł Gleason — razem z dowódcą ich okrętu, młodym porucznikiem o nazwisku Horvath.

— Mamy problem — oświadczył.

— Jaki? — spytał Frank,

— Z promem — odparł Horvath, wziął słuchawkę telefonu i zaczął wykrzykiwać do niej rozkazy. Pod nimi zaczął dzwonić dzwonek, trzy razy ostro zatrąbiono,

— Co się stało? — spytała Annie, kiedy silniki zaczęły pracować, a marynarze pozbiegali z pokładu. — Co się dzieje?

— Porwali go.

Annie wbiła w niego wzrok.

— Nie możecie pozwolić im wpłynąć w górę Hudsonu — powiedziała. — Nie wolno do tego w żadnym wypadku dopuścić.

„Chinquateague” odbił, zawrócił i przyspieszając, ruszył w kierunku Upper Bay. Frank oparł łokcie o konsolę, byunieruchomić lornetkę.

— Mają na dziobie działko albo coś w tym rodzaju. Wygląda jak armatka wodna.

— To rozpylacz — powiedział Gleason, wystukując na telefonie komórkowym numer. Odwrócił się, rzucił do aparatu: — Teraz, właśnie teraz! — po czym rozłączył się i schował z telefon.

— Jak ich zatrzymacie? — spytał Frank.

— Jeśli trzeba będzie, zatopimy prom — odparł Gleason.

— Nie możecie! — zaprotestowała Annie. — Na pokładzie jest kilkaset osób!

Agent FBI zignorował jej wybuch i zwrócił się do porucznika Straży Wybrzeża:

— Za dwadzieścia minut będę tu miał helikopter bojowy. Zatrzyma ich pan?

Porucznik nie wyglądał na zbyt pewnego siebie.

— Nie wiem... — odparł z wahaniem. — Gdyby trzeba było, mógłbym ich staranować, ale... powiem panu, co mogę zrobić: mogę trzymać ich z dala od rozpylacza. Mogę sprawić, że nie będą mieli okazji go użyć.

— Więc proszę to zrobić — polecił Gleason i kiedy porucznik kazał zdejmować pokrowiec z działka, znów zaczął rozmawiać przez telefon.

Saul był jedynym, który naprawdę oberwał. Gdy ładował rozpylacz, fedzio z płynącej za nimi jakieś sto metrów łodzi patrolowej zaczął do nich gadać przez megafon — rozsądnie i spokojnie, jakby był ich tatusiem. Wtedy Vaughn i Wieruszka podeszli do relingu i wywalili w niego całe magazynki. Jezu, ale było ekstra — jak fajnie rozwalalo się szkło na mostku, megafon zacharczał i ucichł, a fedzie, marines czy kto tam był, skakali po kątach jak pchły!

W sumie jednak aż tak ekstra nie było, bo kiedy Saul oberwał, właściwie nic nie robił. Stał sobie obok rozpylacza, oglądał przedstawienie, a gliniarze walnęli z armaty i — Jezu! — przecięli go na pół! Dosłownie! Załatwili na dodatek dzieciaka, który mu pomagał, tyle że nie został zabity — tylko mocno krwawił.

Prom stanął i od razu nim zabujało. Pasażerowie zaczęli wymiotować, nie wstając z podłogi w salonie, i po chwili całe pomieszczenie wypełnił smród rzygowin.

Susannah zastanawiała się, dlaczego oni wszyscy tak się boją? Przecież wcale nie zamierzali zrobić im nic złego. Wokół promu krążyło kilka policyjnych łodzi, dwie jednostki strażackie i kuter Straży Wybrzeża, a w górze unosił się matowoczarny helikopter, zawieszony w powietrzu jak ważka. Ciekawe, jak długo może tak wisieć bez ruchu, zanim skończy mu się paliwo i zwali się do wody, pomyślała. Było to jednak prawdopodobnie bez znaczenia, bo pewnie mieli także nurków.

Stała na mostku z Wieruszką i Solange'em i słuchała, co mówi Francuz, który chodził w tę i z powrotem z telefonem przy uchu i kłócił się z negocjatorem z FBI.

— Posłuchaj — powiedział Gleason do telefonu. — Musisz zrozumieć, że ten prom nie wpłynie w górę Hudsonu. Zatopię go, zanim do czegokolwiek dojdzie. Może zauważyłeś helikopter — po to właśnie tu jest. Jeżeli to rozumiałeś, możemy negocjować, więc mów.

Rozmawiając, agent przez cały czas chodził, obserwując jednocześnie Franka i Annie.

— Cieszę się, że wspomniałeś o tym... Powiem ci, co mogę zrobić. Nie potrzebujecie aż tylu zakładników. Wcale nawet pewnie nie chcecie tylu mieć. To dla was dodatkowy kłopot. — Przez kilkanaście sekund słuchał, po czym znów zaczął mówić: — Więc możemy iść na układ. Wypuście kobiety i dzieci, a ja zajmę się jedzeniem dla was. Pizza? Co tylko chcecie.

Jeszcze przez chwilę słuchał, po czym rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

— I co ten facet powiedział? — spytała Annie.

— Że się zastanowi.

— Chodź, *cher*.

Susannah zawahała się.

— Stephen też?

— Oczywiście — odparł Solange. — Czy mógłbym go zostawić? Wyglądam na szaleńca? — Podniósł torbę na książki, w której znajdowały się ampułki z wirusem, i zarzucił ją sobie na ramię. Potem odwrócił się do Francuza: — Etienne, kiedy będziesz z nim rozmawiał, bądź maksymalnie upierdliwy, dobrze? Nie ułatwiał mu sprawy, bo zrobi się podejrzliwy. Powiedz, że w porcie ma być tylko jedna karetka. Uprzyj się przy tym. Nic więcej.

Francuz — Susannah nie miała pojęcia, jak ma na nazwisko — kiwnął głową.

— Ee... hien... a jeżeli nie pozwolą nam przybić do brzegu?

Solange prychnął.

— On właśnie chce, żebyś przybił do brzegu. To dla ciebie niebezpieczne, więc negocjuj. Powiedz mu, że zamienisz rozpylacz na samolot na Kubę. Daj mu rozpylacz, a on da ci wszystko, czego zechcesz.

— A co potem?

Solange wzruszył ramionami.

— Zostałeś zaszczepiony. Poleć na Kubę. — Kiedy Francuz z powątpiewaniem popatrzył na niego, Solange roześmiał i poklepał napis na jego koszulce. — Nie rozumiesz jeszcze? Odziedzyczyłeś Ziemię, idioto! Jest twoja!

— Bez urazy — powiedział Gleason, kiedy Frank i Annie wsiadali do motorówki. — Zrobiłem, co musiałem.

— Naprawdę pan sądzi, że już po wszystkim? — spytał Frank.

Gleason wskazał na prom, który przybijał do nabrzeża.

— Myślę, że tak. Inaczej nie puściłbym was na brzeg.

— Jasne — mruknął Frank, próbując nie mieć zbyt powątpiewającej miny.

— Dajemy pizzę za ludzi — oświadczył Gleason. — Zawsze robię ten handel.

— Kto by nie chciał? — mruknęła Annie.

— Zobaczycie, za dziesięć minut z tego statku wyjdzie masa kobiet i dzieciaków. A potem zaczniemy pertraktować o rozpylacz. Już słyszę końcowe akordy — głośno i wyraźnie.

Sam jesteś końcowym akordem, pomyślał Frank. Pomachał na pożegnanie i odpłynęli, Annie popatrzyła na niego.

— To zbyt łatwe — stwierdziła,

— Wiem.

— Więc co twoim zdaniem zrobią? Zaczną rozpylać z brzegu?

Frank pokręcił głową.

— Gleason nie pozwoli nikomu podejść do rozpylacza.

— Więc... co?

— Nie wiem. Coś.

W Dystrykcie Finansowym z mruganiem zapalały się światła, na wschodzie niczym monochromatyczna tęcza przecinał rzekę most Brooklyński. Tak jak polecił Gleason, motorówka wysadziła ich na nabrzeżu przy Old Slip, jakieś dwieście metrów od policyjnego kordonu, zaczynającego się na rogu ulic South i Broad.

— Gdzie chcesz iść? — spytała Annie,

— Nigdzie. Chcę popatrzeć na prom.

Susannah upewniła się, że Stephen jest zapięty w foteliku, po czym wrzuciła bieg i samochód potoczył się do przodu. „Kto pierwszy wjeżdża, ten pierwszy zjeżdża” — przypomniała sobie, nareszcie rozumiejąc, dlaczego było tak ważne, żeby samochód U-Haula jako pierwszy znalazł się na promie. Solange pomyślał o wszystkim.

Kiedy ciężarówka wyjechała na ulicę, na nabrzeże zaczęły wychodzić kobiety i dzieci. Teren wokół terminalu został oczyszczony z ludzi, był to jedynie sanitariusz, stojący przy karetkce i kierujący wszystkich do namiotu pierwszej pomocy, ustawionego przy parku Battery.

Susannah skręciła w State Street, zobaczyła blokującą ją barykadę i skręciła w Water Street. Ulica była pusta, ale dwa budynki dalej migały policyjne światła i instynkt kazał Susannah ominąć niebezpieczeństwo. Kiedy jednak skręciła w Whitehall, stwierdziła, że nie ma przejazdu. Na skrzyżowaniu stały trzy radiowozy z wirującymi na dachach niebieskimi lampami. Zaraz za nimi tłumek na chodniku walczył z ekipą telewizyjną o możliwość popatrzenia na prom.

Susannah zwolniła i po chwili zatrzymała się. Gdy podszedł policjant, opuściła szybę.

— Nic pani nie jest?

— Nie.

Gliniarz spojrział na Stephena.

— A jak mały?

— W porządku. Musimy się tylko dostać jak najszybciej do domu. To było dość przerażające. — Poglaskała synka po głowie. — A dzień był długi. Sam pan rozumie...

— Mogę zobaczyć jakiś dowód?

— Oczywiście. — Susannah zaczęła grzebać w torebce. Wyciągnęła portfel, wyjęła z niego prawo jazdy i podała je gliniarzowi. Spojrzał na nie i oddał dokument.

— Mogę rzucić okiem na tył?

Susannah skinęła głową.

— Pewnie.

Patrzyła w boczny lusterko, jak policjant idzie na tył samochodu. Po chwili zniknął jej z oczu, a dwie sekundy później rozległ się zgrzyt podnoszonych drzwi. Na skrzyżowaniu stało kilkunasto innych gliniarzy i wszyscy wyglądali na spiętych. Kiedy drzwi z łoskotem się opuszczały, rozluźnili się.

Policjant wrócił do Susannah.

— Nie wiedzieliśmy, że z promu będą zjeżdżać samochody.

Susannah rozłożyła ręce.

— Powiedziano mi, że mogę jechać, więc wsiadłam i pojechałam. Zrobiłam źle?

Gliniarz zaśmiał się.

— Źle nie, ale trochę nas to zaskoczyło. — Popatrzył na nią z zatroskaną miną. — Mąż został na promie?

Susannah pokręciła głową.

— Nie. Mam się z nim spotkać na parkingu dla ciężarówek.

— Ktoś będzie chciał z pani porozmawiać, więc niech pani skęci w lewo w Bridge Street i dojedzie do parku. Za mauzoleum jest namiot pierwszej pomocy — nie można go nie zauważyć. Niech pani powie funkcjonariuszowi, że zjechała pani z promu. Inaczej dostanie pani mandat.

Susannah podziękowała mu i ruszyła. Serce waliło jej o żebra jak dzieciół w uschnięte drzewo.

Kiedy ciężarówka nadjechała, Frank i Annie stali za kordonem policyjnym na rogu Whitehall i Pearl Street i patrzyli w kierunku promu. Widzieli, jak policjant rozmawia z kierowcą, po czym obchodzi samochód od tyłu i zagłąda do środka.

Dłoń Annie na ramieniu Franka zacisnęła się.

— Co się stało? — spytał, wybity z koncentracji,

— Wygląda jak ten, w którym byłam,

Z początku Frank nie zrozumiał, zaraz jednak dotarło do niego, o co Annie chodzi.

— Na pewno jest tej samej wielkości — mruknął. Chciał rzucić okiem na kierowcę, który znów rozmawiał z policjantem.

— Nie to mam na myśli — powiedziała Annie. — Jest dokładnie taki sam.

Napięcie w jej głosie kazało mu się odwrócić.

— Co masz na myśli?

— Ma motyw z południowego zachodu... tak samo jak tamten.

Frank przyjrzał się U-Haulowi. Nie mógł dostrzec twarzy kierowcy, bo stali po złej stronie ulicy.

Annie miała rację co do „motywu”. Z boku ciężarówki namalowano tancerkę flamenco — zakrywała twarz wachlarzem, ale po wyrazie jej oczu można było poznać, że się śmieje.

Ciężarówka odjechała i Frank zauważył, że ma nowojorskie tablice rejestracyjne, co w połączeniu z malunkiem z boku nie miało sensu. Jeżeli samochód pochodził z Nowego Jorku, powinien mieć namalowane wieżowce, wielkie jabłko albo coś podobnego, a nie hiszpańską tancerkę. Zaczął za nim iść, a potem biec, ciągnąc za sobą Annie. Pojazd włączył lewy kierunkowskaz, ale nie skręcił. Kiedy dojechał do Bridge Street, przyspieszył i pojechał dalej prosto.

— O w mordę! — krzyknął policjant i wyrzucił ręce w górę. Wtedy Frank zrozumiał. I wiedział, że musi dogonić ciężarówkę.

— To Hiszpańska Dama — wysapał, odwracając się do biegnącej tuż za nim Annie.

Gdy dotarli do następnego rogu, Frank rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś samochodu albo taksówki, zobaczył jednak tylko czarną, długą limuzynę, czekającą pod restauracją przy Stone Street. Szofer siedział na przednim zderzaku i czytał gazetę. Mijając samochód, Frank zauważył, że kluczyki tkwią w stacyjce. Zatrzymał się i kazał Annie szybko zająć miejsce pasażera i zablokować drzwi.

— Ale...

— Zrób to, bardzo proszę — powiedział, a potem patrzył, jak walcząc ze sobą, wykonuje jego polecenie. Po chwili drzwi się zatrzasnęły.

— Hej! — krzyknął zaskoczony kierowca. — Proszę pani! Co pani wyprawia? To nie pani samochód! — Zirytowany, wstał i podszedł do drzwi, za którymi siedziała Annie, akurat w chwili, gdy je blokowała. — Proszę wysiadać! — Zapukał w szybę. — Nie może pani tu siedzieć!

— Bardzo pana przepraszam — powiedział Frank i podszedł do drzwi kierowcy. — Porozmawiam z nią. — Wsiadł, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił kluczyk. Silnik limuzyny ożył z rykiem.

— Co do kurrrrr...! — wrzasnął kierowca. Auto skoczyło do przodu. Frank obserwował we wstecznym lusterku, jak mężczyzna biegnie za nimi, wołając policję. Po chwili skręcili za róg.

Cała akcja zajęła niecałą minutę, ale tylko jakiemuś niesamowitemu szczęściu zawdzięczali, że ponownie zobaczyli U-Haula z hiszpańską tancerką na boku. Może kierowca zagubił się w plątaninie uliczek wokół World Trade Center, a może po prostu wolno jechał. W każdym razie samochód znajdował się niewielki kawałek przed nimi, na Fulton Street, i toczył się w kierunku FDR Drive.

Za każdym razem, kiedy Frank zbliżał się do skrzyżowań, światła zmieniały się na czerwone, nie miało to jednak znaczenia. Pojawienie się jakiegoś radiowozu bardzo by go ucieszyło, ale jak zwykle w takich sytuacjach gliniarzy nie było.

Na szczęście w limuzynie był telefon. Frank poprosił, by Annie zadzwoniła do Gleasona.

— Jak? Nie znam numeru.

— Zadzwoń do waszyngtońskiego biura FBI i powiedz, że to ważne. Że dotyczy Solange’a. Nadstawią wtedy uszu. Zrób to samo z FEMA i Strażą Wybrzeża. Ktoś cię przełączy.

— A numery? Frank jęknął.

— Pięć-pięć-pięć, jeden-dwa...

— A w jaki sposób oddzwonią? Jedziemy kradzionym samochodem.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

— Nie lubisz telefonować, co?

— Nie żartuj! — defensywnie odparła Annie. — Jak mają się z nami skontaktować?

— To przecież FBI... może mają identyfikatory numerów rozmówców... Annie, jeżeli wystarczająco długo z nimi porozmawiasz, podadzą ci nawet strukturę twojego DNA...

Marszcząc czoło, Annie wzięła telefon i zaczęła wybierać numer. Trzymała aparat, jakby był wężem

Frank jechał i próbował nie zgubić ciężarówki, którą dzieliło od nich teraz kilkanaście samochodów. Na autostradzie Roosevelta, na którą wjechali, strumień aut poruszał się z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę, na chwilę przyspieszał do czterdziestu i zaraz znów zwalniał. Ścigany pojazd był jakieś sto metrów przed nimi.

— Dokąd on jedzie? — spytała Annie, zakrywając słuchawkę dłonią.

— Na północ. — Frank wyciągnął rękę i włączył radio. Znalazł kanał informacyjny, nie mówiono jednak nic o promie, Świątyni ani o niczym z tym związanym. Minęli most Williamsburski. — To robota Gleasona — mruknął Frank, wskazując na radio. — Gleasona i FEMA. Gdyby to od nich zależało, trzeba by mieć zezwolenie nawet na słuchanie komunikatów pogodowych.

Minęli Lower East Side, potem tunel Queens Midtown. Kiedy byli przy siedzibie ONZ, Frank miał nadzieję skrócić dystans, ale zjechał ich motocyklista i było po marzeniach. Wkrótce znaleźli się w Upper East Side i U-Haul zaczął migać. Zjechał z autostrady na wysokości Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, a Frank za nim.

Zaraz potem przetoczył się przez skrzyżowanie na żółtych światłach, nie było jednak mowy, by im też udało się przejechać, bo w poprzek ruszyła lawina aut.

— Cholera! — wrzasnął Frank, walnął pięścią w kierownicę i opadł na fotel.

Kiedy światła wreszcie się zmieniły — zdawało się, że nastąpiło to po godzinie — Frank wdepnął gaz do deski i ruszył, nie zastanawiając się, dokąd jechać. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo i skierował się na Hartem.

— Dlaczego tutaj? — spytała Annie.

— A dlaczego nie? — odparł Frank, rozglądając się za ciężarówką.

Po kilku minutach Annie z triumfem podała mu telefon.

— Mam go! — oświadczyła. — To Gleason.

— Lepiej, żeby to było ważne — burknął agent. — Jesteśmy tu dość zajęci.

— Wydaje mi się, że z promu zjechał ktoś, kto nie powinien.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Gleason spytał:

— Co to znaczy?

Frank powiedział o U-Haulu.

— Jedziecie za nim? Gdzie jesteście?

— Zgubiłem go w Harlemlu, ale musi gdzieś tu być. Albo był. W każdym razie jestem na rogu Sto Dwudziestej Drugiej i... jakiej? Trzeciej Alei.

— Wezwę na pomoc policję.

— Martwię się przede wszystkim tym, że wirus jest w ciężarówce.

— Wiem. Przeprowadziliśmy analizę głosu gościa, z którym negocjuję.

— I...?

— To nie Solange.

— A kto?

— Co za różnica? Jakiś zabojad. A może Królowna Śnieżka? Kogo to obchodzi, ważne, że nie Solange.

— Niech mi pan poda swój numer — powiedział Frank. — Na wypadek, gdybyśmy znaleźli ciężarówkę. — Kiedy się rozłączyli, wyjaśnił Annie: — Solange uciekł.

„Negocjowali” nie z tym, z kim trzeba.

Annie popatrzyła na niego z rozpaczą.

Pięć minut później zobaczyli ją. Ciężarówka stała przy rogu Madison Avenue i Sto Trzydziestej Drugiej Ulicy, tuż obok zjazdu z FDR. Frank podjechał do niej od tyłu i zatrzymał się. Kazał Annie zadzwonić do Gleasona i przekazać, gdzie ją znaleźli. Potem wysiadł i ostrożnie obszedł ciężarówkę od przodu.

Za kierownicą siedziała kobieta i karmiła dziecko piersią. Od razu ją poznał. Była to ta sama dziwko-anielica, która dwa tygodnie temu wysmarowała mu kierownicę gównem, dzięki któremu znalazł się po drugiej stronie lustra.

— Jakie to słodkie... — syknął, po czym jednym szarpnięciem otworzył drzwi i sięgnął po kluczyki.

— Spóźniłeś się — powiedziała, nie odwracając wzroku od dziecka.

— Dokąd poszedł?

— Pieprz się.

Mało brakowało, by wyszarpnął ją z samochodu, ale nie miał czasu na takie małe odwety, więc tylko trzasnął drzwiami. Wrócił do Annie, która stała przy tylnych drzwiczkach.

— Gliniarze już jadą — poinformowała go.

Kiwnął głową, złapał rączkę drzwi i pociągnął ku górze. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby potwierdzić to, czego się spodziewał: między tylną ścianą kabiny a przestrzenią ładunkową zrobiono fałszywą ściankę, tworząc głębokie na mniej więcej pół metra pomieszczenie. Kawałek przepierzenia był wyrwany — tak jak zostawił go Solange, wychodząc.

— Tu był, kiedy zjechali z promu.

— Kim jest kierowca? — spytała Annie.

— Pamiętasz dziwkę, która twierdziła, że zostawiłem zapalone światła?

— To ona?!

Frank kiwnął głową.

— Karmi juniora.

— A gdzie... Solange? Co zamierza?

— To samo, co planował zrobić na promie.

— Ale jak?

— Nie wiem. — Frank rozejrzał się wokół. Okolica wyglądała, jakby przetoczyła się tędy wojna. Jeden dom był wypalony. Nieliczne wysokie budynki, popaprane graffiti, kilka kamienic i pusta działka. Co jakieś trzydzieści metrów ze studzienek wylatywał słup pary wodnej.

PARA WODNA.

Frank popatrzył na Annie.

— Gdzie chorowali studenci?

— Jacy studenci?

— Ci, którzy zachorowali podczas ich testów roznoszenia wirusa.

Próbowała sobie przypomnieć.

— Chyba w Madison. Na Uniwersytecie Stanu Wisconsin. Dlaczego o to pytasz? .

— Ponieważ nigdy nie udało nam się określić metod, jakie stosowali.

— Na pewno gdzieś użyli łodzi. I samolotu.

Frank pokręcił głową.

— Ale w Madison... jak to się stało, że chorowali tylko studenci?

— Tak naprawdę nie tylko. Wykładowcy też chorowali.

— Jednak ograniczyło się to tylko do kampusu. Mam rację?

Annie skinęła głową.

— Jak to możliwe? — spytał Frank.

— Nie mam pojęcia.

— Myślę, że wiem. To efekt metody, jaką zastosowali.

— A na czym ona polegała?

Frank skinął głową w kierunku słupa wydobywającej się spod ziemi pary.

— Para? — spytała Annie.

— Na pewno. Używa się jej w szpitalach i na uniwersytetach. Do ogrzewania, ale także do klimatyzacji. Podobnie jest w miastach. Zazwyczaj w mieście połowę budynków ogrzewa się parą. Może nawet więcej.

— Ale to... system zamknięty. Para nie dostaje się do układu napowietrzającego budynku. Nagrzewa tylko kaloryfery...

— Wszędzie są zawory upustowe. Nie w budynkach, ale przed nimi. Para wydobywa się zaworami redukcyjnymi na każdym rogu ulicy. Rozejrzyj się.

Zrobiła, co kazał. Wszędzie wokół widać było cienkie smugi pary.

— Skąd o tym wiesz?

— Mój ojciec pracował w elektrociepłowni. W Kerwick. Pomagałem mu kilka razy w czasie wakacji.

— Ale... jak Solange umieści wirus w przewodach?

— Jeżeli dostanie się do elektrociepłowni, bez trudu wejdzie do pomieszczenia, w którym dodaje się chemikalia: środki polerujące i demineralizujące. Idą prosto do systemu.

— Czy zakłady takie jak te nie są strzeżone?

— Są, oczywiście, że są. No ale to, co mówię, to tylko teoria, poza tym nie widzę w okolicy żadnej elektrociepłowni.

Rozejrzeli się. Rzeczywiście nie było niczego, gdzie można by produkować parę wodną. Widzieli jedynie slumsy. Annie skinęła głową w kierunku furgonetki.

— Co ta dziewczyna powiedziała?

— „Pieprz się”. — Widząc zaskoczoną minę Annie, dodał: — Tylko cytuję. — Znów zaczął przepatrywać ulicę w poszukiwaniu Solange’a. Wiedział, że jest gdzieś w pobliżu. Musiał być.

Ale nie było tu nic, co mogłoby mu pomóc. Kilka latynoskich sklepików. Pusta, oddzielona od ulicy metalową siatką działka, na której stał jakiś barak. Sklep przerobiony na kościół. Domy komunalne z cegły, których trawniki wydeptano do gołej ziemi. Skaczące na skakance dzieciaki.

KOSZ NA ŚMIECI SOLANGE'A, przypomniał sobie Frank. Z tego kosza wyjął zdjęcie baru, który stał na działce obok. Porwane na osiem części zdjęcie.

— Jest tam — oświadczył, wskazując na budynek.

— Skąd wiesz?

— Popilnuj Matki Teresy — powiedział i ruszył biegiem. Stojący na środku pustej działki barak był z betonu, a ziemię wokół niego pokrywał dywan z potłuczonego szkła. Cały teren otaczał płot z metalowej siatki, zwieńczony drutem kolczastym. Frank szedł wzdłuż ogrodzenia, wiedząc, że gdzieś musi być dziura. Kiedy ją znalazł, wślizgnął się na działkę.

Podchodził do baru, jakby szedł po polu minowym, w każdej chwili spodziewając się strzału. Nie zaatakowano go jednak — na ziemi leżała przecięta kłódka, a drzwi były szeroko otwarte. Wszedł do środka. Nikogo tam nie było.

Od razu poznał, gdzie się znajduje. Barak był „zwieńczeniem” — pustym budynkiem, stojącym nad pionowym szybem, którym ekipy techniczne schodziły po drabinie do podziemi miasta. Składała się na nie płatanina rur, tuneli i kanałów ściekowych, pozwalających dotrzeć do wszelkiego rodzaju instalacji — gazowych i elektrycznych, wodnych i parowych, kablowych i telefonicznych. Frank wiedział o tym, ponieważ wszystkie systemy tego rodzaju były podobne. Jeden z konserwatorów z Kerwick pracował przedtem dla nowojorskiego Con Ed i opowiadał bez przerwy, jak niesamowicie wielki i skomplikowany jest tamtejszy system. Frank niemal słyszał jego głos: „W Nowym Jorku...”.

Wejście do szybu znajdowało się pod metalową płytą w podłodze. Frank podniósł ją i aż się zatoczył od smrodu ścieków, jaki na niego buchnął. Usiadł i spuścił nogi, a potem ostrożnie zaczął schodzić — nienawidząc każdego szczebla.

Znalazł się w najgorszym możliwym dla siebie miejscu — w świetle klaustrofobii i mdłości. Szyb był ciemny i niewiele szerszy od jego ramion, poza tym śmierdziało w nim jak w piekle. Frank nie potrafił ocenić, jak głęboko schodził — dziesięć metrów czy trzydzieści — w każdym razie spadanie byłoby długie. Drabina była śliska, wymykała mu się z rąk, a stopy się z niej zsuwały. Dwa razy obsunęła mu się noga i zawisł na rękach.

Wreszcie dotarł na dół i stojąc na końcu niskiego, wilgotnego tuneliku, przez chwilę słuchał gonitwy swojego serca. Wszystko wokół przypominało mu stary horror, który kiedyś oglądał. Coś.

Uważaj, nakazał sobie. Nie chcesz chyba, by cię tu zabito. Nawet nie chcesz się tu zgubić.

Powoli ruszył przed siebie. Wkrótce jego wzrok przywykł do półmroku i mógł przyspieszyć. Świadomość konieczności pośpiechu pokonała strach. Musiał dogonić Solange'a, zanim ten dostanie się do generatorowni.

Na szczęście nie musiał wybierać drogi — tunel był prościusieńki. Po obu stronach znajdowały się galeryjki, ale wszystkie okazały się ślepe.

Biegł truchtem, wpadał w kałuże i rozpryskiwał wodę na boki, bojąc się, że może już się spóźnił. Poruszał się bardzo głośno i zdawał sobie sprawę, że jeżeli Solange go usłyszy, natychmiast go zabije.

Nagle wydało mu się, że już po nim — w ciemności eksplodowała salwa z broni maszynowej, zagłuszając kapanie wody. Zamarł, czekając na ból, po chwili jednak zrozumiał, że nie jest ranny. Albo Solange spuścił wodę, albo strzelał do kogoś innego.

Frank zmrużył oczy i wbił wzrok w ciemność. Słyszał Solange'a i po kilku dalszych krokach go dostrzegł. Przywódca sekty był odwrócony do Franka plecami i szarpał za stalowe drzwi generatorowni, których zamek właśnie przestrzelił. Ingram stał obok niego, oparty o plecak, a Solange klął po francusku, nie mogąc poradzić sobie z drzwiami.

Nie było czasu na myślenie. Wystarczyło, by Solange dostał się do pompy zaopatrującej bojler, i byłoby po wszystkim. Niezależnie od liczby strażników na zewnątrz, w środku mogło być najwyżej dwóch robotników — do obsłużenia wytwornika pary nie trzeba więcej ludzi.

Frank zaczął biec, marząc o tym, by osiągnąć prędkość ze szkoły średniej, ale wiedział, że mu się to nie uda. Dzieliło ich dwadzieścia metrów, kiedy Solange go usłyszał.

Jest za daleko, pomyślał Frank. Spóźniłem się.

Przywódca Świątyni schylił się po ingrama i błyskawicznie się podniósł, obejmując łufę palcami. Jedyne sekundę — niecałą sekundę — zajęło mu przerzucenie broni do drugiej ręki, namacanie spustu, wycelowanie i oddanie ognia.

Franka przeszył ból, rozległy się dwa głośne kłaśnięcia i w tym momencie zderzył się z Solange'em. Ingram poleciał wysokim łukiem w górę, a szef sekty upadł do tyłu i jego potylicza zderzyła się z betonem. Frank cofnął się, po czym walnął Solange'a w twarz, wybijając mu kilka zębów. Uderzył jeszcze kilka razy i na koniec grzmotnął go głową w nasadę nosa.

Kiedy wbił pięść w czerwoną papkę pośrodku twarzy Solange'a, w powietrze trysnęła fontanna krwi, a pod przywódcą sekty zaczęły uginać się kolana. Frank odwrócił go plecami do siebie, złapał za włosy i huknął jego twarzą w brzeg drzwi. Raz, drugi, trzeci. Solange cofnął się kawałek na dygoczących nogach, jakby szukał miejsca do osunięcia się. Frank dopomógł mu, z całej siły waląc go kantem dłoni w kark. Trzasnęło, jakby złamano sopel, i Solange zwałił się na ziemię.

Słysząc już było policyjne syreny. Ktoś biegł tunelem, a w drzwiach stało dwóch konserwatorów. Frank zrobił krok do tyłu, zamierzając wbić nogę w klatkę piersiową Solange'a, ale nagle uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Był słabszy, niż powinien, i z jakiegoś powodu nie mógł złapać powietrza. Miał też mokrą klatkę piersiową. Coś z niej spływało. Spojrzał w dół.

Jezus, Maria... umieram... — pomyślał.

Epilog

O mało nie wykrwawił się na śmierć. Dostał dwa postrzały w pierś, a jeden z pocisków, koziółkując, rozerwał po drodze naczynia krwionośne i tkankę miękką i zatrzymał się pięć milimetrów od kręgosłupa. Przez niemal tydzień Frank leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej Columbia Presbyterian Hospital, wdychając tlen z butli i odżywiając się przez rurkę. Po dwóch operacjach lekarz oznajmił, że wraca do zdrowia, i przeniósł go do prywatnego pokoju na oddziale dla VIP-ów.

Było to równocześnie dobre i złe. Dobre, bo pokój był duży i jasny, a przy oknie urządzono kącik do przyjmowania gości — choć Frankowi nie pozwolono mieć gości. Złe, ponieważ nie zainstalowano tu telefonu. Było to dziwne, zważywszy na standard pokoju. Frank był przekonany, iż jego firma ubezpieczeniowa nie zapłaciłaby za taki pokój nawet za

milion lat. Nie był żadną Bardzo Ważną Osobą — a jeśli, to tylko dla Annie. Mimo to leżał tu.

Spytał doktora, co jest grane, ten jednak odparł tylko:

— Niech się pan nie martwi. Proszę to uznać za awans.

— Cieszę się, ale czy mógłbym w ramach tego awansu dostać telefon?

Lekarz zawahał się.

— No cóż... na razie nie.

— A będę mógł przyjmować gości?

— Oczywiście. Niedługo. Kiedy pan się trochę wzmocni.

Z początku mu to nie przeszkadzało, ponieważ z powodu brania ogromnych ilości środków przeciwbólowych przez połowę czasu nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest. Ale po czterech albo pięciu dniach zaczęło do niego docierać, że coś jest nie tak. Gdyby doktor pewnego ranka nie otworzył drzwi i nie powiedział: „Ktoś przyszedł do pana z wizytą”, prawdopodobnie zaryzykowałby ucieczkę na wózku inwalidzkim.

Ciągle jeszcze sztywny od szwów w klatce piersiowej, podepchnął się na poduszkach do góry i z uśmiechem spojrzął na drzwi. Ale uśmiech zamarł mu na ustach, bo gościem nie była Annie. Był nim pułkownik Sił Powietrznych o nazwisku Fitch.

— Taylor Fitch — przedstawił się, wyciągając dłoń.

— Witam — odparł Frank, patrząc na niego podejrzliwie. — Co się stało?

— No cóż... — pułkownik wyjął z aktówki kartkę papieru — zanim sobie pogawędzimy, mam nadzieję, że pan to podpisze. To tylko formalność. — Podał kartkę Frankowi i z optymistycznym spojrzeniem wyjął z kieszonki pióro.

Frank spojrzął na dokument. Była to zgoda na „nieujawnianie”.

— To nie dla mnie — stwierdził. — Dziękuję — dodał i zwrócił kartkę.

Pułkownik schował dokument do aktówki. Westchnął, ale nie był zawiedziony.

— Nieważne — mruknął.

Frank wzruszył ramionami.

— Jestem dziennikarzem. Płaci mi się za pisanie. A to dobry materiał.

— Bez wątplenia. — Pułkownik zmarszczył czoło. — Jednak nie może go pan opublikować.

Frank przyjrzał mu się uważnie.

— Znam pana?

Fitch pokręcił głową.

— Nie.

— Ale widziałem już gdzieś pana nazwisko.

Pułkownik poczuł się wyraźnie nieswojo.

— Możliwe — odparł. — Jestem dość aktywny w ruchu skautowskim.

— Nie kojarzę pana ze skautingiem — powiedział Frank.

— Cóż... — mruknął Fitch, sygnalizując chęć zmiany tematu. — To nieistotne.

Chciałbym...

Frank odwrócił się do okna i zmarszczył czoło.

— Było na liście przewozowym.

— Co?

— Pańskie nazwisko. — Przez chwilę się zastanawiał. — Tak! Pamiętam! Leciał pan z Gleasonem i Annie z Hammerfest samolotem.

— Z kim?

— Z Nealem Gleasonem.

— Nie sędzę, bym go znał.

— Oczywiście... — prychnął Frank, z trudem powstrzymując śmiech, który groził, że przeleci mu przez klatkę piersiową jak żyłotka. — Chyba nikt z nas tak naprawdę nie zna Gleasona. Nikt chyba nawet tego nie chce. Ale to on siedział obok pana w fotelu... — Przerwał, a potem przytknął jedno oko. — Zamierzałem pana prześwietlić, musiałem się jednak zająć innymi sprawami. To naprawdę pański mundur czy tylko przebranie?

Fitch uśmiechnął się.

— Jestem w rezerwie.

Frank znów się odwrócił.

— CIA, co?

Pułkownik wzruszył ramionami.

— Pozwoli pan, że coś mu pokażę — powiedział i wyjął z aktówki biuletyn informacyjny. Wręczył go Frankowi i dodał: — Założyłem na odpowiedniej stronie.

Frank popatrzył na okładkę. REJESTR FEDERALNY. Otworzył na stronie trzynastej.

— Chce pan, żebym to przeczytał?

— Tak.

Pod nagłówkiem OGŁOSZENIE STANU WYJĄTKOWEGO znajdował się list do Kongresu, napisany przez prezydenta Stanów Zjednoczonych:

Ponieważ działania i polityka rządu Ludowo-Demokratycznej Republiki Korei w dalszym ciągu zagrażają bezpieczeństwu narodowemu, polityce zagranicznej i gospodarce Stanów Zjednoczonych, ogłasza się stan wyjątkowy, zgodnie z Ustawą o Narodowych Sytuacjach Wyjątkowych {50 U.S.C. 1622(d)}...

Frank popatrzył na swojego gościa.

— I co?

— Próbuję zaoszczędzić panu mnóstwa kłopotów.

— W jaki sposób?

— Zanim do tego przejdziemy, chcę, by pan wiedział, że wszyscy jesteśmy panu bardzo wdzięczni za to, co pan zrobił. Naprawdę.

— Dziękuję.

— Ale musi pan także wiedzieć, że tego typu ogłoszenie daje prezydentowi — a więc i mnie, jako wykonawcy jego rozkazów — szczególne uprawnienia.

— Na przykład?

— Cóż... tak naprawdę pozwala nam robić to, na co mamy ochotę. Jeśli chodzi o Koreę Północną, konstytucja została zawieszona. Jeżeli zajdzie taka potrzeba — a to właśnie my zdecydujemy, czy zaszła — możemy przejmować nieruchomości i ruchomości, wysyłać za granicę wojsko, wprowadzać stan wojenny. Doktryna *habeas corpus* przestaje obowiązywać, co oznacza, że możemy przetrzymywać, kogo chcemy, tak długo, jak chcemy — bez oskarżania go o cokolwiek. — Przerwał i rozejrzał się. — Podoba się panu ten pokój?

— Podoba. Ładnie tu.

— Cieszę się. To jednak nie wszystko. Jeśli będziemy musieli, możemy zakazać podróżowania, jeśli uznamy to za konieczne, możemy także wprowadzić cenzurę.

— Co za „my”?

— Rząd federalny.

Frank nie bardzo w to wierzył.

— Wiem, o czym pan myśli, ale może pan sam to sprawdzić. W przypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego konstytucję zawiesza się na czas jego trwania. Artykuł dziewiąty, ustęp pierwszy. Mam go panu napisać na kartce?

— To chyba nie będzie konieczne.

— No dobrze... — mruknął Fitch i mówił dalej: — Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że ciągle mamy jakieś stany wyjątkowe. Iran, Irak, Angola, Libia — to wszystko stany wyjątkowe. Roosevelt ogłosił stan wyjątkowy, który trwał czterdzieści trzy lata — od trzydziestego trzeciego do siedemdziesiątego szóstego! Tak więc niewielu ludzi zwraca na tego rodzaju sprawy uwagę — chyba że jakiś nieszczęsny frajer wsadzi cycek w wyżymaczkę. Wtedy ma problemy. — Pułkownik westchnął. — Jak się pan czuje?

— Doskonale.

— To świetnie. W każdym razie wszędzie jest tak samo. Każdy kraj ma na to własne określenie. We Francji mówią: „stan oblężenia”. W Anglii...

— O co konkretnie chodzi?

— Jeżeli spróbuje pan sprzedać swoją historię, narobi pan sobie masę kłopotów. Nikt panu nie uwierzy, a nawet jeśli, nie opublikuje tego. Gwarantuję to panu.

— Jest pan wydawcą „Writer’ s Digest” czy coś w tym rodzaju?

Pułkownik zaśmiał się, ale po chwili spoważniał.

— Wiem, co pan sobie myśli — oświadczył. — Uważa pan, że nie możemy pana powstrzymać...

— Ojoj! Teraz powie mi pan, że możecie mnie zabić?

Fitch zrobił przerażoną minę.

— Ależ skąd! Jest pan amerykańskim obywatelem!

— Więc co?

— Po prostu niczego pan nie udowodni.

— Bzdura! Zabito ludzi. Na promie zamordowano...

Fitch pokręcił głową.

— Jacyś wariaci próbowali uprowadzić prom. Co z tego?

— Postrzelono mnie. Solange...

— Kiedy został pan postrzelony, ten człowiek był już aresztowany.

Frank patrzył na swojego gościa z niedowierzaniem.

— Coś takiego ciągle się zdarza. W końcu był pan w Harlemlu. — Pułkownik z uśmiechem wyjął z aktówki wycinek z gazety. — Jest sprzed tygodnia, ale pomyślałem, że może zechce pan zobaczyć...

DZIENNIKARZ FRANK DALY POSTRZELONY
W NOWYM JORKU

32 (!?) maja (Nowy Jork). Dziennikarz „Washington Post” Frank Daly, specjalizujący się w zagadnieniach krajowych, został minionego wieczoru postrzelony w Harlemie, gdzie najprawdopodobniej został napadnięty.

Znajdujący się na urlopie bezpłatnym dziennikarz leży w stanie krytycznym w Columbia Presbyterian Hospital. Rzecznik policji oświadczył, że brak osób podejrzanych o dokonanie napadu.

Frank spojrzął znad wycinka na Fitcha.

— Zdziwiająca — mruknął. Pułkownik uśmiechnął się.

— Jesteśmy w tych sprawach nieźli — stwierdził i po chwili dodał: — Frank, z naszego punktu widzenia problem polega na tym, że Korea Północna to psychopatyczne państwo. Są jak Hannibal Lecter, który najadł się szaleju. Są zdesperowani i nie mają nic do stracenia. Gdyby podjęli decyzję o likwidacji Japonii za pomocą węglików albo ospy, mogliby to błyskawicznie przeprowadzić, używając balonów meteorologicznych albo swoich ludzi w Tokio. Stracilibyśmy przy tym kilka batalionów ludzi, stacjonujących w strefie zdemilitaryzowanej. Rozumie więc pan chyba, że nie chcemy sprowokować ich do działania.

— Rozumiem.

— Pańska sytuacja również nie wygląda najlepiej. Nie ma pan próbek wirusa ani niczego w tym rodzaju. Nie ma pan też świadków. Jeżeli więc zacznie pan biegać po okolicy i opowiadać o martwych Norwegach i hiszpance, nic to panu nie da, a my będziemy musieli pana jakoś uciszyć. Co oczywiście możemy zrobić.

— Jest jeszcze Annie.

— To znaczy?

— Jest świadkiem.

Fitch klepnął się w skroń.

— No przecież! Wszystko widziała, prawda? Może więc pan umieścić swoją opowieść w Internecie albo opublikować ją za granicą — i będzie miał pan świadka. Nie pomyślałem o tym! Poza tym, że... podpisała zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Więc i z tego wariantu chyba nici. — Pułkownik usiadł na brzegu łóżka. — Coś panu powiem: jeśli umieści pan jej nazwisko w artykule, może być pan pewien, że Neal Gleason wystrzeli ją w czas i przestrzeń!

O wilku mowa... Wpuszczono Annie minutę po wyjściu Fitcha. Była wściekła.

— Czekam tu od kilku dni, a ten generał wchodzi ot tak sobie...

— To nie generał. Jest pułkownikiem.

— Chyba nawet i to nie. Kiedy go poznałam, był agentem CIA.

— Wiem. Leciał z wami z Hammerfest.

Pocałowała go delikatnie w usta i usiadła.

Wieczorem zainstalowano mu telefon, a Annie przyniosła gazetę.

WALKA Z WNIOSKIEM O EKSTRADYCYJĘ

7 czerwca (Hawana). Po przylocie na Kubę ośmiu członków amerykańskiej sekty walczy z wnioskiem o ekstradycję, złożonym w związku z morderstwami, dokonanymi przez nich podczas absurdalnego porwania promu linii Staten Island.

W wywiadzie udzielonym agencji France Press rzecznik aresztowanych członków Świątyni Światła, Belinda Barron, oświadczyła, że grupa uciekła na Kubę w celu uniknięcia „prześladowań na tle religijnym”.

„To, co miało miejsce na promie — powiedziała dziennikarzom — było winą policji oraz FBI. Przesadzili. Miał to być tylko »teatr guerilla« i nic więcej. Chcieliśmy zademonstrować przeciwko zanieczyszczeniu wody, a policja zamieniła naszą akcję w krwawą łaźnię...”.

Podczas następnych tygodni Frank co rano poświęcał wiele godzin rehabilitacji swojego „poobijanego” kręgosłupa. Przez resztę dnia czytał gazety, szukając artykułów związanych z interesującymi go wydarzeniami.

USA I KOREA POŁUDNIOWA PODPISUJĄ UKŁAD O ROZBROJENIU

Inspekcje połączone z pomocą żywnościową

2 lipca (Pyong-yang). Po trwających ponad miesiąc spotkaniach z przywódcami Korei Północnej przedstawiciele Narodów Zjednoczonych oznajmili, że osiągnięto porozumienie, postanawiając połączyć pomoc humanitarną z inspekcjami, kontrolującymi przeprowadzanie likwidacji zasobów broni w tym biednym kraju.

George Karalekis, kierownik pierwszej komisji inspekcyjnej ONZ, która przybędzie do stolicy Korei Północnej, stwierdził, że jego grupa w pierwszym rzędzie zajmie się szukaniem w Górach Diamentowych laboratoriów produkujących broń biologiczną.

„Jesteśmy w posiadaniu kilku niepotwierdzonych raportów, że północni Koreańczycy mogą próbować wyprodukować tego typu broń — powiedział dziennikarzom. — Oczywiście bardzo się tym martwimy...”.

Kolejny artykuł dotyczący Świątyni pojawił się w dniu, kiedy Frank wrócił do domu: na trzeciej stronie „Timesa”, pod fotografią młodej kobiety, która zjechała ciężarówką z promu.

TRZEJ CZŁONKOWIE SEKTY I PRYWATNY DETEKTYW OSKARŻENI O SPOWODOWANIE ŚMIERCI MAŁŻEŃSTWA

20 lipca (Albany). Trzech członków sekty oraz prywatny detektyw z Poughkeepsie obojętnie słuchało dziś prokuratora, przedstawiającego straszliwy opis morderstwa i okaleczenia ciał.

Rozemocjonowana Susannah Demianiuk (lat 23), powiedziała sądowi, że zabijając na początku roku dwoje mieszkańców Rhinebeck, Harolda i Marthę Bergmanów, działali „na rozkaz”.

„Luc powiedział nam, co mamy robić — zeznała. — I dokładnie tak zrobiliśmy”. Poproszona o zidentyfikowanie „Luca”, wskazała ze łzami w oczach guru Świątyni

Światła, Luca Solange'a, dodając: „Siedzi przy stole dla oskarżonych. To ten w kołnierzu ortopedycznym i gorsecie”.

Obrońca oskarżonego zbagatelizował zeznanie Demianiuk, nazywając je „majakami niezrównoważonej psychicznie kobiety, która nie ma prawa jako pierwsza rzucać kamieniem”.

Odnosiło się to prawdopodobnie do niedawnego zeznania Demianiuk w sprawie zamordowania w piecu mikrofalowym Benjamina Sterna (lat 28), doktoranta Georgetown University. Stern publikował artykuły o organizacji w wydawanym przez siebie biuletynie o nazwie „Obserwator Armagedonu”. Po ukazaniu się tych artykułów Stern zniknął.

W złożonym tego popołudnia zeznaniu Demianiuk powiedziała, że Bergmanowie zostali porwani ze swojego domu w Rhinebeck w stanie Nowy Jork i zabici. Tuż przed zabójstwem małżeństwo starało się o uzyskanie nakazu sądowego na ekshumację syna Leonarda, członka Świątyni Światła, który rzekomo utonął na morzu.

Poza Solange'em oskarżono Martina Kramera (lat 44) z Poughkeepsie, Thomasa Reckmeyera (lat 26) oraz Vaughna Abelarda (lat 25). Czwarty członek sekty, podejrzany o uczestnictwo w zbrodni, Etienne „Francuz” Moussin (lat 29), prawdopodobnie przebywa na Kubie. Z wyjątkiem Kramera wszyscy są mieszkańcami okolic Lake Placid.

Do końca miesiąca nie było więcej publikacji na temat całej tej sprawy — ale za to w jednej z gazet pojawiło się zawiadomienie:

DALY I ADAIR ZAMIERZAJĄ WZIĄĆ ŚLUB

Do tego czasu Frank napisał już dwieście stron książki.

— O czym jest? — spytała Annie, stając nad jego ramieniem.

— Mówiłem ci już. To powieść. Sensacyjna.

— Ale o czym?

— O... dziennikarzu... — przerwał na chwilę, by dopisać kilka słów. — O niesamowicie przystojnym dziennikarzu...

— Tak?

— I dziewczynie.

— Jaka jest?

— Wysoka.

— Tylko „wysoka”?

— Nie tylko. Jest też... błyskotliwa... i olśniewająca. Niesamowicie olśniewająca.

— I co się dzieje?

— Jest tam lodołamacz...

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

— I...?

— Dziewczyna płynie tym lodołamaczem, ponieważ... no, ponieważ jest naukowcem. A on tkwi w tanim hoteliku gdzieś w ostępach Rosji...